Hoffmann Ernst Theodor Amadeus

DIABLE ELIKSIRY

DIABLE ELIKSIRY

E. T. A. Hoffmann
tłum. Ludwik Eminowicz

PRZEDMOWA WYDAWCY

Chciałbym cię poprowadzić, łaskawy czytelniku, pod owe ciemne platany, gdzie po raz pierwszy czytałem dziwną historię brata Medarda. Tam siadłbyś przy mnie, na tej samej kamiennej ławce, na wpół ukrytej wśród wonnych krzewów i pstro kwitnących drzew; tam spojrzałbyś, jak ja, z tęsknotą ku błękitnym górom, piętrzącym się w przedziwnych kształtach przy ujściu słonecznej doliny, co roztwierałaby się przed nami na końcu alei. Tam obróciłbyś się nagle i ujrzałbyś poza nami, w odległości może dwudziestu kroków, gotycką budowlę z portalem zdobionym bogato posągami. Przez ciemne gałęzie platanów spojrzą ci w twarz obrazy świętych pogodnymi, żywymi oczami; spojrzą ci w twarz świeże freski, błyszczące na szerokim murze. Patrz! Już czerwień słońca stanęła na wzgórzu, już wiatr wieczorny zrywa się do lotu: wszędzie ruch, życie...

Szept i szum... wiążą się w dziwne głosy, idą przez drzewa i krzewy, idą, rosną stopniowo w śpiew, w organów ton. W szerokich fałdzistych szatach kroczą poważni mężowie, z pobożnym wzrokiem utkwionym w niebiosach. Kroczą milcząco przez szpalery drzew.

Czyżby ożyły te święte obrazy i zeszły z wysokich gzymsów?

Owiewa cię tajemny dreszcz czarownych podań i legend wymalowanych tam w górze - jest ci tak, jakby się to wszystko działo przed tobą, i chciałbyś serdecznie uwierzyć w te widzenia. W takim nastroju przeczytałbyś historię Medarda, a wtedy - kto wie... może byś ujrzał w dziwnych wizjach mnicha coś więcej niż zawiłą grę podnieconej wyobraźni.

A teraz, łaskawy czytelniku, ponieważ widziałeś już obrazy świętych, klasztor i mnichów, mogę ci tylko dodać, że ten

wspaniały ogród, do którego cię wprowadziłem, należy do klasztoru kapucynów w B.

Gdy pewnego razu zatrzymałem się na dni kilka w tym klasztorze, pokazał mi czcigodny przeor spuściznę po bracie Medardzie, papiery chowane w archiwum jako coś niezwykłego. Z trudem tylko udało mi się nakłonić przeora, by mi ich użyczył. Zakonnik był właściwie przekonany, że papiery te należało spalić. Nie bez trwogi zatem, łaskawy czytelniku, daję ci w ręce tę książkę, złożoną z jego papierów. Kto wie, czy nie staniesz po stronie przeora.

Jeżeli jednak zechcesz pójść wraz z bratem Medardem, niby jego wiemy towarzysz, przez mroczne krużganki, przez mnisze cele, przez różnobarwny, stokrotnie mieniący się świat, jeżeli odważysz się z nim razem znieść całą okropność i wstręt obłędów, całą szaloną wściekłość i kuglarstwo życia, to może uczujesz rozkosz na widok zmieniających się obrazów owej camera obscura, co roztworzy się przed tobą.

Zdarzy się może, iż bezkształtne widma, jeżeli bystrzej wglądniesz w nie oczami, nabiorą dla ciebie wyrazu, kształtu. A wtedy poznasz, jak ukryty zarodek, dziecię tajemnego stosunku, strzela w górę bujną rośliną i spiętrza coraz to wyżej krętaninę tysięcznych łętów, aż oto kwiat, zmieniając się w dojrzały owoc i wysysa żarłocznie wszystkie soki życiowe i niszczy zarodek.

Z niemałym trudem odcyfrowałem papiery kapucyna Medarda, bo rękopis - zwyczajem mnichów - był mały i nieczytelny. Po przeczytaniu całości ogarnęło mnie wrażenie, że to, co zwykliśmy nazywać snem i ułudą, jest może symbolicznym poznaniem tajemniczego wątku, który ciągnie się przez całe nasze życie, spajając je we wszystkich jego przemianach; lecz biada temu, kto sądzi, że przez owo poznanie zdobył moc stargania tej nici przewodniej i podjęcia jej wraz z ciemną potęgą, co nad nami włada...

Być może, łaskawy czytelniku, doznasz tego samego uczucia - a życzę ci tego serdecznie dla wielu podniosłych powodów...

CZĘŚĆ I

ROZDZIAŁ I

LATA DZIECINNE I ŻYCIE KLASZTORNE

Matka nigdy mi nie mówiła, w jakich warunkach żył na świecie mój ojciec. Lecz ilekroć przetrawiam pamięcią to wszystko, co mi o nim opowiadała w zaraniu mej młodości, widzę, że był to mąż zdolny, rozumny, o głębokiej wiedzy.

Z tych to opowiadań i wynurzeń matki, dotyczących przeszłości - zrozumiałem je dopiero później - wiem, że moi rodzice z wyżyn wygodnego życia i blasków wielkiego bogactwa runęli w objęcia najdotkliwszej i najbardziej gorzkiej nędzy i że mój ojciec, skuszony przez szatana, dopuścił się haniebnej zbrodni, popełnił grzech śmiertelny, za który, gdy go w późniejszych latach oświeciła łaska boska, chciał odpokutować pielgrzymką do Świętej Lipki w dalekich, zimnych Prusach.

Wśród uciążliwej wędrówki do świętego miejsca uczuła moja matka po raz pierwszy w swym małżeńskim życiu, że ono nie miało pozostać bezpłodnym, jak się tego obawiał mój ojciec. Mimo biedy i braku ucieszył się on bardzo, bo oto miało spełnić się widzenie, w którym mu święty Bernard zapewnił pociechę i przebaczenie grzechu przez narodziny syna.

W Świętej Lipce zachorował mój ojciec, a słabość wzmagała się i brała górę, tym więcej, im mniej, pomimo choroby, chciał folgować sobie w spełnianiu surowych ćwiczeń przepisanej pokuty. Umarł rozgrzeszony i pocieszony w tej samej chwili, w której na świat przyszedłem.

W brzaskach mej pierwszej świadomości świtają porannie kochane obrazy klasztoru i wspaniałego kościoła w Świętej Lipce. Dziś jeszcze oszemrza mnie ciemny las, dziś jeszcze obejmują mnie wonią owe bujnie kiełkujące trawy i

wielobarwne kwiaty, co były mi kołyską. Ni zwierz jadowity, ni owad szkodliwy nie gnieździ się w świątyni Błogosławionej. Ni muchy brzęk, ni świerszcza głos nie przerywa świętej ciszy. Brzmią tylko pobożne śpiewy kapłanów, co wraz z pielgrzymami przeciągają w długich szeregach, kołysząc złote kadzielnice, z których unosi się smugami woń ofiarnego dymu. Jeszcze mi widny w pośrodku świątyni ów pień przedziwnej lipy, powleczony srebrem, gdzie aniołowie osadzili cudowny obraz Przeczystej Dziewicy. Jeszcze darzą mnie uśmiechami barwne postaci aniołów i figury świętych - ze ścian, z powały kościoła.

Opowiadania mej matki o cudownym klasztorze, gdzie na jej ból najgłębszy spłynęła obficie łaskawa pociecha, tak zwarły się z moim umysłem, że jest mi, jakbym sam widział to wszystko i sam wszystkiego doświadczył - choć przecież to niemożliwe, by moje wspomnienia sięgały tak daleko, matka moja bowiem opuściła to święte miejsce w połowie drugiego roku pobytu. I zdaje się pamięci, jakbym na własne oczy ujrzał raz w pustym kościele przedziwną postać poważnego mężczyzny i jakby to był właśnie ów cudzoziemski malarz, który pojawił się dawnymi czasy, gdy budowano świątynię; nikt nie rozumiał jego mowy, lecz on doświadczoną ręką mistrza pokrył w krótkim czasie kościół wspaniałymi malowidłami i, odłożywszy pędzel, zniknął.

Pamiętam też jakiegoś starego, z cudzoziemska ubranego pielgrzyma o długiej, siwej brodzie, który nosił mnie na ręku, wyszukiwał mi w lesie mchy i kolorowe kamienie i bawił się ze mną.

A przecież wiem dobrze, że tylko dzięki opisowi matki powstał w mojej duszy żywy jego obraz. Przywiódł on raz ze sobą jakiegoś obcego chłopca przedziwnej urody, równego mi wiekiem. Śród pieszczot i pocałunków usiedliśmy na murawie, podarowałem mu wszystkie swoje kolorowe minerały, on zaś układał na ziemi różne figury, lecz tak, że w końcu zawsze tworzył się kształt krzyża. Matka moja siedziała przy nas na kamiennej ławce, a starzec tuż za nią

przyglądał się z łagodną powagą naszym dziecinnym zabawom. Wtem wyszli z krzaków jacyś nieznani młodzieńcy; z odzieży i z całego zachowania ich widać było, że jedynie z ciekawości i żądzy widzenia przybyli do Świętej Lipki. Jeden z nich, wskazując na nas, zawołał ze śmiechem:

- Patrz no, święta rodzina! Jakby stworzone do mego szkicownika.

I rzeczywiście wyciągnął papier i ołówek, aby nas odrysować, lecz stary pielgrzym podniósł głowę i zawołał:

- Nędzny szyderco! Chcesz być artystą, a w twoim sercu nie płonął nigdy płomień wiary i miłości. Twoje dzieła pozostaną martwe i sztywne, jako sam jesteś, a ty, jak potępieniec, zwątpisz w czczej samotności i zniszczejesz w swym własnym ubóstwie...

Młodzieńcy znikli zmieszani. Stary pielgrzym zwrócił się wtedy do matki i rzekł:

- Przywiodłem tu dzisiaj to dziwne dziecię, aby w twym synu zbudziło iskrę miłości. Muszę jednak zabrać je na powrót i już nas więcej nie ujrzycie. Synowi twojemu dano wiele wspaniałych darów, ale w krwi jego burzy się i kłębi grzech ojca. Może jednak, wyrosnąć na dzielnego bojownika za wiarę - niech będzie księdzem!

Matka moja nie umiała powiedzieć, jak głębokie, nigdy nie zatarte wrażenie uczyniły na niej te słowa starego pielgrzyma. Mimo to postanowiła nie wywierać żadnego nacisku na moje skłonności, lecz wyczekać cierpliwie, co sam los mi przyniesie i do czego mnie przywiedzie, albowiem nie mogła, nawet marzyć o jakim innym wyższym wykształceniu nad to, które sama dać mi mogła.

Jaśniejsze, że tak powiem, moje własne wspomnienia ugruntowane na własnym doświadczeniu, zaczynają się, dopiero od czasu, gdy matka, w drodze powrotnej ze Świętej Lipki, przybyła do klasztoru cystersek i znalazła życzliwe przyjęcie u tamtejszej ksieni, książęcego rodu, niegdyś znajomej mojego ojca. Czas między owym zdarzeniem z pielgrzymem, które rzeczywiście sam pamiętałem, tak że

matka przypomniała mi tylko słowa starca, a chwilą, gdy matka przywiodła mię, po raz pierwszy przed oblicze ksieni, stanowi dla mnie niczym niewypełnioną przerwę, nie pozostał mi po nim ni cień najlżejszego wspomnienia. Odnajduję się więc znowu w chwili, gdy matka naprawiała i czyściła moje ubranie, kupiła w mieście nowe wstążki, podstrzygła mi przydługie włosy, wystroiła mię z największą troskliwością i przykazała, bym się zachował pobożnie i grzecznie wobec ksieni.

Wreszcie, trzymając się ręki matczynej, wstąpiłem na szerokie, kamienne schody i wszedłem do komnaty o wysokim sklepieniu, ozdobionej świętymi obrazami. Stanąłem przed ksienią. Była to wysoka, majestatyczna, piękna pani, a szata zakonna dodawała jej czcigodnej powagi. Spojrzała na mnie wzrokiem poważnym, sięgającym najgłębszego wnętrza, i spytała zwracając się do matki:

- Czy to syn pani? - Jej głos, jej wygląd - zresztą całe obce mi otoczenie, wysoka komnata, obrazy - wszystko to tak podziałało na mnie, że pochwycony uczuciem jakiejś wewnętrznej trwogi zacząłem gorzko płakać.

- Cóż ci to, mój mały, czy się mnie boisz? - Spytała księżna, darząc mnie spojrzeniem łagodniejszym i jakimś lepszym. - Jak mu na imię, kochana pani?

- Franciszek - odrzekła matka.

- Franciszek - zawołała księżna nad wyraz boleśnie, podniosła mnie do góry i przycisnęła silnie do piersi. Lecz w tejże chwili jakiś ból w szyi wydarł mi z piersi głośny krzyk. Księżna przestraszyła się i puściła mię z objęcia, a stropiona moim zachowaniem matka przyskoczyła ku mnie, by mnie zaraz wyprowadzić. Księżna nie pozwoliła. Okazało się, że to diamentowy krzyż zawieszony na piersi księżnej, tak mocno ukłuł mnie w szyję, przy silnym uścisku, że miejsce to zupełnie poczerwieniało i nabiegło krwią.

- Kochany Franciszku - zawołała księżna - sprawiłam ci ból. Pozostańmy jednak i nadal dobrymi przyjaciółmi!

Jedna z sióstr przyniosła łakoci i słodkiego wina, a ja, ośmielony już nieco, nie dałem się długo prosić, lecz zabrałem się dzielnie do słodyczy i pochłaniałem je szybko, siedząc na kolanach czcigodnej pani, która sama kładła mi do ust najsłodsze przysmaki. Gdym skosztował kilka kropel słodkiego napoju, nieznanego mi dotąd, wróciło mi wesołe usposobienie i owa szczególna żywość, która, według świadectwa mej matki, była mi właściwa od najwcześniejszej młodości. Śmiałem się i paplałem ku największej uciesze ksieni i siostry zakonnej. Dotychczas nie wiem, skąd to poszło, że matka kazała mi opowiedzieć księżnej o pięknie i wspaniałości mojego rodzinnego miejsca, a ja, niby natchniony jakąś wyższą mocą, opisałem jej tak żywo piękne obrazy obcego, nieznanego malarza, jakbym pojmował ich treść najgłębszą.

Przy tej sposobności zapuszczałem się we wspaniałe historie świętych, jakbym znał doskonale wszystkie pisma Kościoła. Księżna i nawet moja matka patrzyły na mnie z najwyższym zdumieniem, a im więcej mówiłem, tym bardziej potęgowało się moje natchnienie. Gdy zaś księżna spytała:

- Powiedz mi, dziecię, skąd wiesz o tym wszystkim? - odpowiedziałem bez sekundy zastanowienia, że piękny, cudowny chłopiec, którego raz przyprowadził ze sobą ów obcy pielgrzym, objaśnił, mi wszystkie obrazy, co więcej, niejeden z nich ułożył z kolorowych kamyków i nie tylko wtajemniczył mnie w ich znaczenie, ale jeszcze opowiedział wiele świętych historii. Już dzwoniono na nieszpór. Siostra zgarnęła mnóstwo cukierków i, zapakowawszy w tutkę, włożyła mi je w ręce. Wziąłem z wielką ochotą. Ksieni powstała i rzekła do matki:

- Droga pani. Syna twojego uważam za swojego wychowanka. Będę się odtąd troszczyła o niego.

Matka moja nie mogła opanować głębokiego wzruszenia. Milcząc, ze łzami w oczach całowała ręce księżnej. Już zdążaliśmy ku drzwiom, gdy dobiegła nas księżna, jeszcze

raz podniosła mnie do góry, troskliwie odsunęła krzyż diamentowy, przycisnęła mnie do piersi i gwałtownie płacząc, tak że gorące łzy spadały mi na czoło, zawołała:

- Franciszku, bądź pobożnym i dobrym!

Byłem do głębi wzruszony i nie wiedząc dlaczego - rozpłakałem się.

Zamieszkaliśmy w pobliżu klasztoru, w leśniczówce, a małe gospodarstwo mej matki nabrało lepszego wyglądu dzięki pomocy i dobrodziejstwu ksieni. Skończyła się bieda. Chodziłem lepiej ubrany i pobierałem naukę u proboszcza, któremu zarazem służyłem do mszy, ilekroć ją odprawiał w kościele klasztornym. Niby sen anielski owiewa mnie dziś jeszcze wspomnienie tej szczęśliwej młodości. Ach, niby daleki, wspaniały kraj, gdzie mieszka radość i niczym niezmącona pogoda dziecięcego serca, leży ta ziemia ojczysta, daleko, daleko poza mną, lecz kiedy spojrzę wstecz, przepaść ziejąca roztwiera się przede mną i dzieli nas na zawsze. Porwany wichrem gorącej tęsknoty wpijam się uporczywie oczami w postaci ukochanych moich, przechadzających się po tamtej stronie niby w purpurowych blaskach wczesnego świtu i, zda się, słyszę drogie ich głosy. Ach! Jestże taka przepaść, której by nie przebiegło silne skrzydło tęskniącej miłości? Czymże jest czas i przestrzeń dla miłości? Czyż ona nie żyje w myśli? A myśl czyż zna granice? Lecz ciemne postaci powstają i tłocząc się coraz to ciaśniej i ciaśniej, coraz większą ciżbą, zwierają coraz

ciaśniejszym kołem, przesłaniają widok i tak zagważdżają umysł troskami teraźniejszości, że nawet tęsknota, wypełniająca mnie bezimiennym, rozkosznym bólem, staje się zabijającą, nieuleczalną męką.

***

Proboszcz był samą dobrocią. Umiał powściągać żywość mojego usposobienia i tak zastosować naukę do mojego

sposobu myślenia, żem w niej znajdował przyjemność i czynił szybkie postępy.

Matkę kochałem nade wszystko, lecz księżnę czciłem jak świętą i uroczystym był dla mnie każdy dzień, w którym mogłem ją widzieć.

Za każdym razem postanawiałem sobie zabłysnąć przed nią nowo zdobytymi wiadomościami, lecz gdy stanęła przede mną, gdy przemówiła uprzejmie, nie mogłem wydobyć ni słowa, mogłem tylko wpatrywać się w nią, mogłem tylko jej słuchać.

Każde jej słowo zapadało mi w głębię duszy i przez cały dzień, po rozmowie z nią, trwałem w jakimś dziwnym, uroczystym nastroju, a postać jej towarzyszyła mi na przechadzkach, gdziekolwiek zwróciłem kroki.

A gdy z rozbujaną kadzielnicą stałem przy głównym ołtarzu, w ulewie grających organów, co falowała z chóru, wzbierając w rwący nurt i porywała mnie ze sobą, jakież uczucie bezimienne przejmowało mnie do głębi serca, gdy wśród hymnu odróżniłem jej głos, który przenikał mnie jak promień rozedrganego światła i wypełniał mi duszę przeczuciem Najwyższego... Najświętszego. Lecz najwspanialszym dniem, na który cieszyłem się przez całe miesiące, o którym nigdy nie mogłem myśleć bez zachwytu, był dzień świętego Bernarda, patrona cystersów, obchodzony w klasztorze jak Najwspanialej. Już dzień przed odpustem płynęły tłumy ludu z sąsiedniego miasta i pobliskiej okolicy, rozkładały się obozem na wielkiej, kwiecistej łące, tuż przed klasztorem, tak że ni w dzień, ni w nocy nie ustawał ruch wesoło nadciągających gromad.

Nie przypominam sobie, by temu świętu nie dopisała kiedy pogoda, zwłaszcza że pora była wyśmienita (dzień Świętego Bernarda przypada na sierpień). Snuła się pstra mieszanina ludzi, tu widać było pobożnych pątników, jak szli z hymnem na ustach, tam znowu wesołych parobczaków wiejskich przy boku żywo zwijających się dziewek; duchowni, w pobożnym zapatrzeniu, składali ręce i patrzyli

w chmury; rodziny mieszczańskie rozsiadły się na murawie, porozkładały kosze, wypełnione szczelnie żywnością, i zajadały obiad. Wesoły śpiew, pobożne pieśni, gorące westchnienia pokutników, chichotanie wesołków, skargi, żarty, modlitwy - wypełniały powietrze odurzającym, dziwacznym koncertem.

Lecz z uderzeniem dzwonka klasztornego przebrzmiewał hałas i milknął.

Natychmiast, jak daleko sięgnąć okiem, gęsto stłoczone szeregi padały na kolana i tylko przytłumiony szept modlitwy przerywał świętą ciszę. Po ostatnim uderzeniu dzwonu rozchwiewał się znowu kolorowy tłum pątniczej braci i na nowo rozbrzmiewał ów na chwilę przerwany rozgwar wesela. Co więcej, w dniu świętego Bernarda sam biskup, mający rezydencję w sąsiednim mieście, odprawiał w kościele klasztornym uroczystą mszę w asyście niższego duchowieństwa, podczas której przygrywała jego orkiestra, umieszczona obok głównego ołtarza na trybunie pokrytej wspaniałym, nadzwyczaj rzadkim kobiercem. Do dzisiejszego dnia jeszcze nie zamarły we mnie te uczucia, które wówczas wstrząsały mym sercem. Odżywają one z młodzieńczą świeżością, ilekroć zwrócę się i skłonię myślami w ten czas błogosławiony, który tak szybko przeminął.

Pamiętam żywo owo "Gloria", wykonywane kilka razy, bo właśnie tę kompozycję najbardziej sobie umiłowała księżna. Gdy biskup zaintonował pierwsze słowa i potężne tony chóru zabrzmiały: "gloria in excelsis Deo", czyż nie było w tej chwili tak, jakby się rozwarła gloria chmur nad głównym ołtarzem, jakby cud boski zaróżowił jutrzenką życia kształty owych malowanych cherubinów i serafów, jakby ruszyły się mocne skrzydła i rozedrgały rytmiczną falą na cześć Boga, wielbiąc go śpiewem i lutni cudownymi tony. Zdziwione serce trawiło się gwałtownym biciem adoracji i szło, i rwało się w dal przez bezbrzeża podziwu, szlakiem świetlanych chmur w ową kochaną, upragnioną ojczyznę, gdzie w rozkwitłym lesie brzmiały wołania aniołów, a cudowne

pacholę wychylało się spośród lilii i pytało mnie: "Gdzie bawiłeś tak długo, Franciszku. Oto kwiaty piękne i pachnące. Weź je, weź te kolory kwitnące, a w zamian za nie zostań przy mnie i kochaj mnie - na zawsze..."

Po mszy odbywała się uroczysta procesja po korytarzach klasztoru i po kościele. Szły więc szeregi zakonnic, a na ich czele postępowała ksieni w infule i z pastorałem srebrnym. Ileż świętego namaszczenia, ileż godności, jakaż nadziemska wielkość promieniała z każdego spojrzenia wspaniałej dostojności, znamionowała każdy jej ruch. Rzekłbyś, że to sam Kościół tryumfujący jawi się tłumowi wiernych, błogosławi rozpościera łaskę. Padłbym w proch przed nią, gdyby przypadkiem spoczął na mnie jej wzrok.

Po nabożeństwie ugaszczano całe zgromadzone duchowieństwo i kapelę biskupią w obszernej sali klasztoru. Rozliczni przyjaciele klasztoru, oficjaliści, kupcy z sąsiedniego miasta brali udział w biesiadzie. I ja także mogłem być obecny przy uczcie dzięki życzliwości kapelmistrza biskupiego, który mnie bardzo polubił i rad widział w swoim towarzystwie.

O ile w czasie mszy, rozpłomieniony żarem pobożnych wzruszeń, oddawałem się niepodzielnie marzeniom nadziemskim, o tyle teraz powracałem w radość życia i tonąłem w jego barwnych obrazach. Rozliczne wesołe gawędy, żartobliwe zwroty i opowieści krzyżowały się w atmosferze wesołego śmiechu gości, przy czym wypróżniano pracowicie butelki, dopóki nie zapadł wieczór i nie zajechały pojazdy z wezwaniem do powrotu.

***

Miałem szesnaście lat, gdy poczciwy proboszcz oświadczył, że jestem już dostatecznie przygotowany do rozpoczęcia wyższych studiów teologicznych w seminarium sąsiedniego miasta; postanowiłem bowiem z całą

stanowczością poświęcić się stanowi duchownemu, a decyzja ta napełniała moją matkę najgłębszą radością, gdyż widziała w tym wyjaśnienie i wypełnienie tajemniczych napomknień pielgrzyma, które łączyły się tajemniczym związkiem z nieznaną mi wizją nieboszczyka ojca. Wierzyła ona, że decyzja moja oczyszczała duszę ojca i ratowała od męki wiecznego potępienia.

Także księżna, którą teraz mogłem widywać tylko w rozmównicy, pochwaliła skwapliwie mój zamiar i powtórzyła swoje przyrzeczenie, iż będzie zaopatrywała we wszystko, czego mi potrzeba, aż do osiągnięcia przeze mnie godności duchownego Chociaż miasto leżało tak blisko, że z klasztoru widać było jego wieże i zwykle dzielni piechurzy wybierali sobie na przechadzkę powabne i wesołe okolice klasztoru, mocno mi zaciążyło na sercu rozstanie z dobrą matką i z tą wspaniałą panią, przedmiotem czci mej najgorętszej, oraz ze starym, dobrym nauczycielem. To pewna, że w zgryzocie rozłąki każda piędź poza kołem ukochanych równa się przestrzeniom największego oddalenia. Księżna była jakoś dziwnie wzruszona, a głos jej gdy powtarzała pełne namaszczenia słowa napomnieli drżał niską nutą żałości.

Podarowała mi wdzięczny wieniec róż i małą książeczkę do nabożeństwa z pięknymi obrazkami.

Nadto wręczyła mi list polecający do przeora klasztoru kapucynów w mieście, rozkazując mi udać się do niego natychmiast po radę i pomoc.

Zapewne, nie łatwo znaleźć tak powabną okolicę jak ta, w której leżał klasztor kapucynów, tuż pod samym miastem.

Wspaniały ogród z widokiem na wzgórza zdawał mi się za każdym razem, gdym wędrował przez długie aleje i stawał to przy tej, to przy tamtej bujnej grupie drzew, rozbłyskać coraz to nową pięknością. Właśnie w tym ogrodzie spotkałem przeora Leonarda, gdym po raz pierwszy przestąpił progi klasztorne, aby mu wręczyć list polecający od ksieni. Wrodzona życzliwość przeora wrosła jeszcze bardziej po przeczytaniu listu; naopowiadał mi tyle

pociągających rzeczy o księżnej, którą znał jeszcze z Rzymu, że mię tym od pierwszej chwili zupełnie pozyskał.

Stał on w otoczeniu braci i można było zaraz poznać cały stosunek jego do mnichów, organizację klasztoru i zwykły tryb życia; cisza i spokój ducha, malujące się dokładnie w postaci przeora, promieniowały dobroczynnie na wszystkich członków reguły. Nie widać było nigdzie ani śladu niezadowolenia i tego zamknięcia się w sobie, które tak często spostrzegamy na twarzach mnichów. Pomimo surowej reguły klasztornej ćwiczenia duchowne były dla przeora Leonarda raczej potrzebą duszy, zwróconej ku niebu, niż ascetyczną pokutą za wrodzone naturze ludzkiej grzechy. Umiał on tak rozpalić w braciach ten zmysł pobożności, że wszystko, co musieli czynić, by wypełnić regułę, nacechowane było pogodą i dobrotliwością, która istotnie stwarzała wyższy stopień bytu śród tej przyziemności. Umiał też przeor Leonard wytworzyć taką komunikację ze światem, która nie mogła inaczej oddziaływać na braci, jak tylko zbawiennie. Bogate dary, które zewsząd składano głęboko szanowanemu klasztorowi, dawały możność goszczenia w pewnych dniach przyjaciół i opiekunów klasztoru w refektarzu. Ustawiano wtedy na środku jadalni długi stół, na którego górnym końcu zasiadał przeor i goście. Bracia zajmowali miejsca przy wąskim, wzdłuż ściany ustawionym stole i stosownie do reguły posługiwali się posługiwali się prostym nakryciem, podczas gdy stół gościnny błyszczał czysto i ozdobnie szkłem i porcelaną. Kucharz klasztorny umiał znakomicie przyrządzać postne potrawy, które bardzo smakowały gościom.

Goście nie zaniedbywali też wina i w ten sposób zmieniały się te obiady kapucyńskie w pogadanki świeckich z duchownymi, co wobec wzajemnego wpływu nie mogło pozostać bez korzyści dla obu stron.

Bowiem ludzie oddani światowym sprawom, wstępując w mury, gdzie wszystko wskazywało na diametralnie przeciwne życie zakonników, musieli przyznać, pod

wpływem iskry, co zapadała im w serce, że na innej niż ich własna drodze można zdobyć, spokój i szczęście i że duch, im wyżej wznosi się ponad ziemię, tym wyższy byt zgotować może człowiekowi już na tym padole.

Na odwrót - zakonnicy zyskiwali znajomości życia i mądrość, bo wieści, jakie ich dochodziły o tym, co się dzieje w świecie, poza ich murami, budziły w nich niejedną pożyteczną refleksję.

Nie nadając fałszywej wartości rzeczom ziemskim, musieli oni w różnorodnych wnętrzem człowieka uwarunkowanych sposobach życia uznać konieczność takiego załamania promieni ducha, bez którego wszystko byłoby bezbarwnym i pozbawionym blasku.

Ponad wszystkimi jednak górował wykształceniem duchownym i wiedzą przeor Leonard. Prócz tego, że powszechnie uchodził za tęgą powagę w dziedzinie teologii, tak że z największą łatwością mógł rozprawiać głęboko o najtrudniejszych problemach, a profesorowie seminarium prosili go często o radę i wskazówki miał też wykształcenie światowe w stopniu wyższym, niżby można przypuszczać u zakonnika. Mówił biegle i wytwornie po włosku i po francusku, a dla wielkiej obrotności używano go w dawnych czasach do ważnych misji. Już wtedy, gdy go poznałem, był to człowiek podeszły w latach, ale choć siwy włos świadczył o starości, błyszczał jeszcze w oczach młodzieńczy ogień, a poważny uśmiech, igrając na ustach, powiększał jeszcze wrażenie wewnętrznej błogości i spokoju umysłu. Ta sama gracja, która cechowała jego przemówienia, widniała też z jego ruchów, i nawet ciężka szata zakonna układała się wdzięcznie na jego dobrze zbudowanej figurze. Śród braci nie było ani jednego, który by tu me przybył z dobrowolnego wyboru, którego by tu, w zacisze klasztoru, nie przywiodła serdeczna potrzeba, płynąca z wewnętrznego duchowego nastroju.

Lecz i takiemu nieszczęśliwcowi, który by w klasztorze szukał bezpiecznego portu, aby uniknąć rozbicia, umiałby

Leonard udzielić rychłej pociechy; jego pokuta byłaby krótkim przejściem do spokoju; pojednany ze światem, lecz obojętny na jego szych i złudę, żyłby wśród ludzi wzniesiony ponad sprawy ziemskie.

Te niezwykłe w życiu klasztornym tendencje wyniósł był Leonard z Włoch, gdzie kult i całe związane z nim pojmowanie życia religijnego były pogodniejsze niż w katolickich Niemczech. Jak w budowie kościołów zachowały się formy antyczne, tak też, zdaje się, promień pogodnej, życiem tętniącej epoki starożytnej wcisnął się w mistyczne ciemnie katolicyzmu i rozjaśnił je przedziwnym blaskiem, który niegdyś opromieniał bogów i bohaterów.

Leonard polubił mię. Uczył mię po włosku i po francusku. Zwłaszcza doskonałe były książki, którymi mię obdarzał, i rozmowy nadzwyczaj kształcące. Prawie cały czas, wolny od studiów w seminarium spędzałem w klasztorze kapucynów i z dnia na dzień odczuwałem jaśniej, jak rosła we mnie i wielmożniała skłonność do sukni zakonnej.

Objawiłem swoje życzenie przeorowi. Nie starając się wprost odwodzić mię od tego postanowienia, radził mi, bym przynajmniej kilka lat wyczekał i przez ten czas rozejrzał się nieco więcej i uważniej po świecie. Co prawda, znałem już nieco ten świat, i nawet niezgorzej, dzięki kapelmistrzowi biskupiej orkiestry, który mię uczył muzyki; czułem się jednak jakoś nieprzyjemnie skrępowany w każdym towarzystwie, zwłaszcza w obecności płci żeńskiej, a to, jak i w ogóle skłonność do życia kontemplacyjnego, zdawało się rozstrzygać o moim wewnętrznym powołaniu do klasztoru. Pewnego razu rozpoczął ze mną przeor nadzwyczaj ciekawą rozmowę o życiu światowym; dotykał najdrażliwszych materii, o których jednak umiał rozprawiać z wrodzoną sobie lekkością i powabem, tak że unikając każdej, choćby najmniej niestosownej rzeczy, utrafił zawsze w samo sedno zagadnienia. W końcu ujął mię za rękę, spojrzał mi bystro w oczy i spytał mię, czy jestem jeszcze niewinny. Czułem, że się rumienię, bo w chwili gdy mnie Leonard tak badawczo

pytał, przyszedł mi na myśl w najżywszych barwach pewien obraz, który już dawno zatarł się zupełnie w mojej pamięci. Kapelmistrz miał siostrę, która właściwie nie mogła uchodzić za piękność, a jednak, stojąc w krasie najwyższego rozkwitu, była niezwykle pociągającym dziewczęciem. Odznaczała się przede wszystkim niezwykle szlachetnym wzrostem i harmonijną budową. Miała najpiękniejsze ramiona i najpiękniejsze piersi, jakie kiedykolwiek widziałem, tak pod względem kształtu, jak i kolorytu; Pewnego poranku, wchodząc do mieszkania kapelmistrza na lekcję, zderzyłem się z nią twarzą w twarz. Była w lekkim stroju porannym, z prawie obnażoną piersią; wprawdzie szybko zarzuciła na siebie chustkę, lecz już za wiele spostrzegły moje ciekawe spojrzenia. Nie mogłem wymówić ni słowa, zbudziły się we mnie burzliwie nigdy nieznane uczucia i tak rozhulały w żyłach gorącą krew, że słychać było, jak biją gwałtownie pulsa. Pierś zacisnęła się kurczowo i chciała pęknąć. Dopiero ciche westchnienie sprawiło mi pewną ulgę.

To, że dziewczę całkiem swobodnie podeszło ku mnie, ujęło mię za rękę i zapytało, co mi się stało, pogorszyło jeszcze mój stan. Szczęściem wszedł do pokoju kapelmistrz i wybawił mię z męczarni.

Nigdy jeszcze, w ciągu wszystkich lekcji nie brałem tak fałszywych akordów, nigdy jeszcze w śpiewie tak nie spadałem z tonu, jak wówczas.

Byłem o tyle pobożnym, że wszystko to uważałem później za zaczepkę diabła i poczytywałem sobie za wielkie szczęście, że wkrótce ascetycznymi ćwiczeniami, podjętymi w tym celu, zmusiłem złego nieprzyjaciela do odwrotu.

Teraz, przy badawczym zapytaniu przeora, stanęła mi przed oczami siostra kapelmistrza, czułem na twarzy ciepło jej oddechu, na ręce uścisk jej dłoni - moja wewnętrzna trwoga wzrastała z każdą sekundą. Leonard spojrzał mi w oczy z jakimś ironicznym uśmiechem, pod wpływem którego zadrżałem. Nie mogłem wytrzymać jego spojrzenia i

spuściłem oczy. Wtedy pogłaskał mnie przeor po rozpalonych policzkach i rzekł:

- Widzę, mój synu, że mnie dobrze zrozumiałeś i że stoisz jeszcze na mocnych nogach. Niech cię Bóg ustrzeże przed pokusami świata, bo rozkosze jego trwają bardzo krótko i można z pewnością twierdzić, ze jakieś przekleństwo na nich ciąży, skoro w nieopisanym obrzydzeniu, jakie sprowadzają, w zupełnej tępocie i ospałości do wszystkiego, co wyższe, ginie lepsza, duchowa część człowieczej istoty.

Rozmowa ta i pytanie przeora wryły mi się w pamięć i nie mogłem odegnać ich z myśli ani opędzić, się obrazowi wywołanemu słowami Leonarda. Nie byłem już panem swej woli. O ile dotychczas udawało mi się przezwyciężać nieśmiałość w obecności owego dziewczęcia, o tyle teraz nie umiałem sobie radzić z jej spojrzeniem, już bowiem na samą myśl o niej opadały mnie jakieś duszności, jakiś wewnętrzny niepokój, tym niebezpieczniejszy, że łączył się z jakąś nieznaną, przedziwną tęsknotą, a ta znów z niewymowną rozkoszą, która mogła być grzeszną.

Wreszcie jeden wieczór zawyrokował o tym stanie wątpliwym. Otrzymałem zaproszenie na wieczór muzyczny, urządzony przez kapelmistrza i jego przyjaciół. Oczywiście poszedłem. Prócz siostry gospodarza było jeszcze kilka panien. Ona ubrana była bardzo ponętnie. Zdawała mi się piękniejszą niż kiedykolwiek; wydawało mi się, że ciągnie mnie ku niej jakaś niewidzialna, nieprzezwyciężona siła - i stało się w końcu, ze sam nie wiedząc o tym, trzymałem się ciągle w jej bliskości, chciwie chwytając każde jej spojrzenie, każde jej słowo, i tak przysuwałem się ku niej, że przynajmniej jej szata mogła mnie dotykać i muskać przy każdym żywszym poruszeniu, a to napełniało mnie niewysłowioną, nie znaną nigdy przedtem przyjemnością. Ona zdawała się to spostrzegać i znajdować w tym upodobanie; chwilami opadało mnie szalone pragnienie, by ją porwać w szale gwałtownej miłości i zamknąć gorąco w objęciach. Długo siedziała przy fortepianie. W końcu wstała i

zostawiła na krześle rękawiczkę. Natychmiast pochwyciłem zgubę i w przystępie szału przycisnąłem serdecznie do ust. Spostrzegła to jedna z panien, podeszła ku siostrze kapelmistrza i szepnęła jej coś do ucha, i oto obie poczęły na mnie patrzeć i śmiać się szyderczo! Poczułem się unicestwiony, lodowaty prąd rozszedł się po moich żyłach, bez namysłu wypadłem z pokoju i popędziłem do kolegium, do mojej celi. Wściekłe zwątpienie rzuciło mnie na podłogę, palące łzy wybiegły mi spod powiek, złorzeczyłem dziewczęciu i przeklinałem je, potępiałem samego siebie, a potem modliłem się i śmiałem na przemian, jak obłąkaniec. Zewsząd rozbrzmiewają wołania pełne drwin i złowrogiego szyderstwa. W przystępie rozjątrzenia chciałem się rzucić z okna; na szczęście przeszkodziły mi kraty żelazne; mój stan był naprawdę okropny! Dopiero z brzaskiem dnia uspokoiłem się nieco; postanowiłem nie ujrzeć jej więcej i wyrzec się świata zupełnie. Jaśniej niż kiedykolwiek uświadomiło się mej duszy powołanie do zacisznego życia klasztornego, od którego żadna już pokusa nie miała mnie odciągnąć.

Skoro tylko zdarzyła mi się sposobność uwolnienia się od zwykłych studiów, pobiegłem natychmiast do przeora i wyjawiłem mu pośpiesznie, że stanowczo już zdecydowany jestem wstąpić do nowicjatu - i że wiadomość o tym postanowieniu posłałem matce i księżnej.

Leonard zdawał się dziwić nagłości mojego zapału, nie wywierając jednak żadnego nacisku starał się różnymi sposobami wybadać, co mogło tak nagle wpłynąć na moje postanowienie i dlaczego tak usilnie domagam się reguły klasztornej. Widocznie przeczuwał, że weszło tu w grę jakieś szczególne, niespodziewane zdarzenie. Jakiś wewnętrzny wstyd, jakiś srom nieprzepartą wolą wzbraniał mi wyznać mu całą prawdę. Natomiast uciekłem się do ogni egzaltacji, żarzącej się we mnie, i opowiedziałem mu owe cudowne zdarzenia z zarania mojego dziecięctwa, które różnymi znakami wskazywały na moje przeznaczenie do życia

klasztornego. Leonard wysłuchał mnie spokojnie. Nie wyrażając żadnych wątpliwości co do moich wizji, zdawał się jednak niewiele na nie zważać; owszem, zaznaczył, że wszystko to nie świadczy jeszcze o prawdziwości mojego powołania, bo przecież mogło to być całkiem dobrze złudzeniem. W ogóle Leonard nie lubił mówić o wizjach świętych a nawet o cudach pierwszych apostołów chrześcijaństwa i były chwile, w których podejrzewałem go o skryte zwątpienie. Raz nawet, chcąc zmusić go do jakiegoś określonego wynurzenia, odważyłem się mówić z nim o ludziach, którzy wzgardzili wiarą chrześcijańską, i szczególnie potępiałem tych, którzy w dziecinnym zuchwalstwie śmią bezbożnym przezwiskiem przesądu lżyć wszystko nadzmysłowe. Leonard rzekł z łagodnym uśmiechem:

- Mój synu, niewiara jest najgorszym przesądem. - I rozpoczął rozmowę, o rzeczach obcych i obojętnych. Dopiero później danym mi było wejrzeć w jego wspaniałe myśli o mistycznej stronie naszej religii, w której przejawia się tajemniczy związek naszego duchowego pierwiastka z wyższą istotą, a jeszcze później nabrałem przekonania, że Leonard czynił słusznie, iż tylko w chwili najwyższego namaszczenia odkrywał uczniom całą subtelność swoich przekonań.

Matka napisała mi, że już od dawna przeczuwała, iż mi nie wystarczy stan świeckiego księdza, lecz skłonię się ku życiu klasztornemu. W dzień Medarda miał się jej jakoby ukazać stary pielgrzym ze Świętej Lipki, prowadząc mnie za rękę w habicie kapucyna. I księżna zgadzała się zupełnie z moim postanowieniem. Obie ujrzałem raz jeszcze przed obłóczynami, które, ponieważ zgodnie z najgłębszym moim życzeniem darowano mi połowę nowicjatu, niebawem nastąpiły. Pomny widzenia matki przybrałem imię Medarda.

Wzajemny stosunek braci, wewnętrzna organizacja ćwiczeń duchownych i całego trybu życia w klasztorze zgadzały się zupełnie z wrażeniem, jakie powziąłem zaraz

po pierwszej wizycie. Spokój ducha, wyciskający na wszystkim niezatarte piętno, wlewał mi w duszę całe niebo ciszy, co szła za mną i snuła się w koło, podobna do tamtej z czasów mojego dzieciństwa, tam, w klasztorze w Świętej Lipce.

W czasie uroczystego aktu moich obłóczyn spostrzegłem wśród widzów siostrę kapelmistrza; wyglądała bardzo przygnębiona i zdało mi się, że ujrzałem łzy w jej oczach. Lecz minął już czas pokuszenia i słabości. Opanowało mnie dziwne uczucie - być może duma z łatwo odniesionego zwycięstwa - i uśmiech zaigrał mi na ustach. Spostrzegł go idący przy mym boku ojciec Cyryl i zapytał:

- Z czego tak się cieszysz, mój bracie?

- Jakże nie mam być wesołym, wyrzekając się marnego świata i jego szychu? - brzmiała moja odpowiedź. Lecz przy wymawianiu tych wyrazów zadrżałem w głębi duszy pod wpływem nieznośnego uczucia kary za kłamstwo.

Było to ostatnie natarcie ziemskiego samolubstwa, po którym nastąpił ów błogi spokój ducha. Oby już nigdy był mnie nie opuścił! Lecz wielką jest moc nieprzyjaciela... Któż może zaufać potędze swej broni, któż może zaufać swej czujności, jeżeli nań czatują, siły podziemne?

Już pięć lat przeżyłem w klasztorze, gdy stary już i chory brat Cyryl oddał mi z polecenia przeora nadzór nad bogatym zbiorem relikwii klasztornych. Znajdowały się tam rozmaite kości świętych, trzaski z krzyża Zbawiciela i inne świętości, które przechowywano w czystych, oszklonych szafach i tylko w pewnych dniach wystawiano na widok publiczny dla zbudowania ludu. Brat Cyryl zapoznał mnie po kolei z każdym kawałkiem i odnośnymi dokumentami, które świadczyły o jego prawdziwości i o cudach przezeń zdziałanych. Wykształceniem dorównywał on prawie naszemu przeorowi, tym mniej więc mogłem się powstrzymać od wywnętrzeń, które gwałtownie cisnęły mi się na usta.

- Kochany bracie Cyrylu -powiedziałem - czyż by te wszystkie rzeczy były z pewnością tym, za co je podajemy? Czy tu przypadkiem oszukańcza chciwość nie podsunęła czegoś, co teraz uchodzi za prawdziwą relikwię tego lub owego świętego? Tak na przykład jakiś klasztor posiada cały krzyż naszego Zbawiciela, a przecież pokazuje się wszędzie tyle jego trzask, że, jak to ktoś z naszego grona, co prawda w zuchwałym żarcie, zaznaczył, nasz klasztor można by nimi przez cały rok opalać.

- Właściwie - odpowiedział brat Cyryl - nie przystoi nam wcale podawać tych rzeczy w wątpliwość lecz, jeżeli mam wyznać szczerze i otwarcie, mam to przekonanie, że pomimo istniejących dokumentów nie wiele tylko z tych rzeczy jest istotnie tym, za co uchodzi. Lecz zdaje mi się, że tu nie o to idzie. Posłuchaj, kochany bracie Medardzie, jak sobie to wyobrażam ja i przeor, a ujrzysz w nowej glorii naszą religię. Czyż to nie wspaniale, że nasz Kościół troszczy się o ujęcie owych tajemniczych nici, które sprzęgają zmysły że światem nadzmysłowym, i stara się tak pobudzić nasz do ziemskiego życia przystosowany organizm, by jego pochodzenie od wyższego, duchowego pierwiastka, jego wewnętrzne pokrewieństwo z cudowną istotą, której siła płomiennym oddechem przenika całą przyrodę, wystąpiły jasno i by nas, niby skrzydła serafów, owiało przeczucie wyższego życia, którego zarodek nosimy w sobie. Czymże jest ów kawałek drzewa, ta kosteczka, ta szmatka? Mówi się: wycięto ją z krzyża Chrystusowego, wzięto ją z ciała świętego, wyrwano z szaty bożego pomazańca... - ale wiernego, który na to spogląda bez cienia wątpliwości, wypełnia natychmiast owo natchnienie nadziemskie, które mu otwiera królestwo szczęśliwości jedynie przeczuwane na tym padole. Tak budzi się duchowy wpływ świętego, którego przypuszczalna relikwia dała do tego pobudkę, a w człowieku wzmaga się i utrwala wiara w najwyższego Ducha, do którego zwracał się z głębi wzruszonego serca o pociechę i pomoc.

A ta rozbudzona z uśpienia wyższa siła ducha ma moc uśmierzania fizycznych cierpień, i w tym mają źródło owe z relikwii płynące cuda, którym nie można zaprzeczyć, bo dzieją się tak często w obecności zgromadzonych tłumów.

Przypomniały mi się nagle niektóre napomknienia przeora, które zupełnie zgadzały się ze słowami brata Cyryla, i odtąd na relikwie, które mi się wydawały religijnym kuglarstwem, patrzyłem z prawdziwą czcią nabożeństwem. Nie uszedł baczności brata Cyryla ten wpływ jego przemówienia i z jeszcze większym zapałem i prostotą trafiającą wprost do serca począł mi objaśniać cały zbiór, kawałek po kawałku. W końcu zbliżył się do starannie zamkniętej szafy i otworzywszy ją, wyjął jakąś skrzynkę i rzekł:

- W niej to, kochany bracie Medardzie, znajduje się najbardziej tajemnicza i najdziwniejsza z relikwii jakie nasz Kościół posiada. Jak długo tu jestem w klasztorze, nie dotknął tej skrzynki nikt oprócz przeora i mnie; zresztą inni ,bracia, a tym bardziej obcy, nie wiedzą nic o istnieniu tej relikwii. Nie bez wewnętrznego przerażenia dotykam tej skrzynki, jakby w niej taił się zamknięty czar złego, który w razie zerwania więzów, co go krępują i czynią bezsilnym, mógłby przyprawić o zgubę i potępienie tego... kogo by dosięgnął. To, co jest w środku, pochodzi bezpośrednio od sułtana, z tych czasów, gdy jeszcze w widzialnej postaci, mógł walczyć przeciw zbawieniu człowieka.

Spojrzałem na Cyryla z: największym zdziwieniem. Nie dając mi czasu na pytanie, począł mówić dalej:

- Nie będę ci, kochany bracie Medardzie, tłumaczył tej niezwykłej, mistycznej sprawy i zaniecham wszelkich możliwych hipotez, które mi się plątały po głowie. Nie, wolę ci raczej opowiedzieć wiernie, co mówią o tej relikwii odpowiednie dokumenty. Znajdziesz te papiery w tej oto szafie i możesz je sam sobie przeczytać. Znasz dostatecznie życie świętego Antoniego. Wiesz, że udał się na pustynię, by porzucić wszystko, co ziemskie, i oddać się całą duszą rzeczom boskim. Tam poświęcił swe życie ćwiczeniom

pokutnym i nabożnym. Szatan prześladował go i nieraz widomie zastępował mu drogę, by mu przeszkadzać w pobożnych rozmyślaniach.

I zdarzyło się raz o zmierzchu, że ujrzał święty Antoni w pobrzasku zapadającego słońca jakąś ciemną postać, która szła prosto na niego. Gdy podeszła bliżej, spostrzegł ku swemu wielkiemu zdziwieniu, że z dziur potarganego płaszcza, którym otulała się zjawa, wyglądały szyjki licznych flaszek. Był to sam czart w tak dziwacznym ubraniu. Uśmiechał się do świętego szyderczo i spytał, czyby nie zechciał skosztować eliksirów, które on ma przy sobie, w tych flaszeczkach. Święty Antoni, którego już nie mogła dotknąć taka zaczepka, ponieważ szatan, tylekroć już pokonany i obezwładniony, nie mógł się porwać na jakąś inną walkę i musiał się ograniczyć do złośliwych żartów, zapytał: "cóż to za flaszki? Dlaczego je tak nosisz?"

Wtedy odrzekł szatan:

"Rzecz prosta: gdy mnie spotka człowiek, dziwi się, jak i ty, oczywiście spogląda ciekawie i nie może się powstrzymać, by się nie spytać o mój napój i nie skosztować go z łakomstwa. Śród tylu eliksirów znajdzie się zawsze coś, co mu przypadnie do smaku, wtedy wypija całą flaszkę do ostatniej kropelki, no, a potem jest już pijany i mój, oddany mnie i memu państwu".

Tyle mówi legenda. Lecz z niezwykłego dokumentu naszego, dotyczącego widzenia świętego Antoniego, wiadomo też, że zły duch, odlatując w siną dal, zostawił na trawie parę butelek. Święty Antoni porwał je natychmiast z ziemi, zaniósł do jaskini i ukrył troskliwie, bojąc się, by nawet na pustyni nie zaszkodziły komuś, jakiej słabej głowie - ot, któryś z jego uczniów mógłby skosztować trunku i pójść na wieczne zatracenie.

Raz, przypadkiem - jak dodaje dokument - otworzył święty Antoni jedną z tajemniczych flaszek i osobliwy, oszołamiający opar wydobył się z jej głębi; chmara obrzydliwości, wszelakie zmysły odurzające obrazy piekła

obstąpiły świętego i starały się skusić go uwodzicielskim śmieszkowaniem, póki ich nie odpędził surowym postem i wytrwałą modlitwą. W tej skrzynce znajduje się właśnie taka flaszka z diablim eliksirem, pochodząca z puścizny po świętym Antonim. Odnośne dokumenta są tak autentyczne i dokładne, że zupełnie nie można wątpić, iż rzeczywiście flaszka ta została znaleziona po śmierci świętego Antoniego pomiędzy pozostałymi po nim rzeczami. Zresztą mogę cię zapewnić, kochany bracie Medardzie, że ilekroć dotykam tej flaszki lub choćby tylko tej skrzynki, w której ona jest zamknięta, opada mię niewytłumaczony wewnętrzny lęk, a nawet zdaje mi się, że zalatuje od niej jakiś osobliwy zapach, który mię otumania i zarazem wywołuje głęboki niepokój ducha, tak że nawet jeszcze podczas ćwiczeń religijnych jestem roztargniony. Wówczas wytrwałą modlitwą pokonuję ten nastrój, pochodzący widocznie od jakiejś wrogiej potęgi, że już pominę możliwość bezpośredniego wpływu szatana. A teraz pozwól, że ci coś poradzę, kochany bracie Medardzie. Masz wrażliwą wyobraźnię i wszystko zjawia ci się w żywszych i jaśniejszych kolorach. Powiedzmy to sobie otwarcie: jesteś wprawdzie bardzo dzielnym, ale niedoświadczonym bojownikiem; ciągniesz do walki ochoczo, ale może za odważnie. Iż porywasz się na rzeczy niemożliwe i zanadto ufasz swym siłom - cóż w tym dziwnego? Wszak jesteś młody. Radzę ci więc serdecznie, byś nigdy nie otwierał tej skrzynki, a przynajmniej dopiero po latach. Pozostaw ją przeto z daleka od spojrzeń, ukrytą, dla uniknięcia pokusy i ciekawości.

Brat Cyryl postawił tajemniczą skrzynkę na dawne miejsce, zamknął szafę i oddał mi pęk kluczy, w którym wisiał także klucz od owej szafy.

Całe to opowiadanie zrobiło na mnie jakieś dziwne wrażenie. Im jednak wyraźniej czułem w sobie rosnącą ochotę przyjrzenia się przedziwnej relikwii, tym usilniej starałem się utrudnić to sobie wszelkimi sposobami, pomny ostrzeżeń brata Cyryla.

Po odejściu Cyryla obszedłem raz jeszcze wszystkie powierzone mi świętości, następnie zdjąłem z kołka ów jedyny kluczyk od niebezpiecznej szafy i ukryłem go głęboko pod swoimi papierami w biurku.

***

Pomiędzy profesorami seminarium jeden był wybornym mówcą. Ilekroć kazał z ambony, kościół roił się od słuchaczów. Płomiennym wybuchem słów porywał nieodparcie wszystkich, rozpalając w piersiach arcyzbożne żary. I mnie przejmowały do głębi te jego wspaniałe, natchnieniem bijące wyrazy. Lecz, mieniąc szczęśliwym zachwyconego mówcę, czułem, iż budzi sił we mnie jakaś tajemna siła, jakiś wewnętrzny popęd: dorównać mu! Po każdym jego przemówieniu kazałem zapalczywie w swej samotnej izdebce, oddając się cały natchnieniu chwili, aż doszedłem do tego, iż własne idee i własne wyrazy nagiąłem do posłuszeństwa: mogłem je chwytać, mogłem je zapisywać. Nasz kaznodzieja klasztorny zapadał coraz bardziej na zdrowiu. Mowy jego wymykały się z osłabionych ust jak na wpół wyschnięty potok, z trudem i bezdźwięcznie. Niezwykle długie cedzenie wyrazów, płynące z ubóstwa idei i słownictwa - mówił bowiem bez konceptu - czyniło jego kazania tak nieznośnie długimi, że już przed amen przeważna część gminy, jakby przy bezmyślnym, monotonnym klekocie młyna, zapadała w łagodną drzemkę i przytomniała dopiero na głos organów.

Wprawdzie przeor Leonard był znakomitym mówcą, lecz nie miał jakoś ochoty do kazalnicy, zwłaszcza że na starość szkodziły mu bardzo wzruszenia, związane z tym obowiązkiem.

Poza nim nie było w klasztorze nikogo, kto by mógł zastąpić schorowanego ojca- kaznodzieję.

Leonard wspominał mi nieraz o tej przykrej sytuacji klasztoru, przez którą topniała liczba pobożnych słuchaczów.

Wziąłem na odwagę i przyznałem mu się, że już w seminarium odkryłem w sobie żyłkę kaznodziejską i napisałem niejedno kazanie. Polecił mi pokazać je i tak mu się spodobały, że nakłonił mnie, bym już w najbliższe święto stanął na ambonie i wygłosił naukę.

O wynik był zupełnie spokojny, twierdząc, że natura obdarzyła mnie wszystkim, czego potrzeba dobremu kaznodziei, mianowicie ujmującą postacią, wyrazistą twarzą, silnym i melodyjnym głosem. O zewnętrznych walorach kazania, o zasadach prawidłowej gestykulacji pouczył mnie Leonard osobiście.

Nadeszło oczekiwane święto. Kościół był pełniejszy niż zwykle. Wstąpiłem na kazalnicę nie bez bicia serca. Z początku trzymałem się wiernie rękopisu. Leonard powiedział mi potem, że mówiłem zrazu głosem drżącym, co jednak odpowiadało dobrze pobożnym, rzewnym myślom, którymi rozpocząłem naukę, i wydawało się wielu szczególnym, wywierającym silne wrażenie kunsztem mówcy. Wkrótce jednak opromieniła mnie płomienna iskra niebiańskiego natchnienia, z oczu mych zniknął rękopis, zdałem się na podniosłą chwilę. Czułem, jak krew rozsadza mi żyły i bije mocno w pulsach. Słyszałem głos swój brzmiący po załamaniach sklepienia. Stałem z podniesioną głową i wyciągniętymi przed siebie ramionami, jak gdyby w blasku natchnienia. Sentencją, w której wszystką świętą i wzniosłą rozlewność swej przemowy zwarłem raz jeszcze niby w gorącym ognisku, zakończyłem kazanie.

Wrażenie było niezwykłe, niesłychane. Gwałtowny płacz, wydarte woli i wargom okrzyki zbożnej rozkoszy, głośne modlitwy zerwały się jako pogłos moich słów przebrzmiałych.

Bracia byli zachwyceni. Leonard uścisnął mnie i nazwał dumą klasztoru. Sława moja rozeszła się: szybko. Aby usłyszeć ojca Medarda, zbiegały się tłumy najdostojniejszych, najbardziej kulturalnych mieszkańców miasta i cisnęły się do niezbyt wielkiego kościoła

klasztornego już na godzinę przed uderzeniem dzwonka. Wraz z podziwem rósł mój zapał i moja troska o to, by nadać kazaniom większy ogień, okrągłość i potoczystość. I rosła moja władza nad słuchaczami. Coraz to silniej trzymałem ich na uwięzi. Z dnia na dzień wzmagała się cześć, z jaką zwracano się do mnie, gdziekolwiek się pojawiłem, i graniczyła niemal z uwielbieniem świętych.

Religijny szał owładnął miastem. Kto żyw, biegł do klasztoru przy lada sposobności, nawet w dni powszednie, by ujrzeć ojca Medarda, by z nim zamienić choć kilka słów. Wtedy zrodziła się we mnie myśl, że jestem szczególnym wybrańcem nieba. Tajemnicze okoliczności towarzyszące mojemu urodzeniu w świętej miejscowości, na znak rozgrzeszenia mojego zbrodniczego ojca, cudowne zdarzenia z pierwszych lat mojego dziecięctwa, wszystko to wskazywało, że mój duch, zetknąwszy się bezpośrednio z niebem, już tu na ziemi wznosi się ponad rzeczy ziemskie, tak że nie należę do świata i do ludzi, lecz przebywam śród nich, by im nieść zbawienie i pociechę.

Byłem teraz pewny, że ów stary pielgrzym w Świętej Lipce był świętym Józefem, a owym cudownym chłopcem nie był nikt inny, tylko Dzieciątko Jezus, które powitało we mnie świętego, przeznaczonego do wędrówki ziemskiej. Ale im wyraźniej stawało mi to wszystko przed oczami duszy, tym uciążliwszym, tym przykrzejszym stawało mi się moje otoczenie. Ów spokój i pogoda ducha, wypełniające mnie zwykle podziały się gdzieś i znikły. Wszystkie wynurzenia uczuciowe braci i przyjacielskość przeora budziły we mnie wraże porywy gniewu.

Oto jestem święty, wysoko ponad nich wzniesiony - takim mnie widzieć powinni, w proch się uniżyć i prosić o wstawiennictwo przed tronem Boga. Iż tak nie czynili, posądzałem ich o zgubną zakamieniałość serca. Nawet w kazania swoje wplatałem pewne przygrywki mające wskazywać na to, że zaświtał już czarowny czas, podobien porannej łunie wschodu o drżących płomieniach, czas, w

którym przebywa na ziemi wybraniec Boga: pocieszyciel i zbawca wiernych.

Urojone posłannictwo przystrajałem w mistyczne obrazy, które tym bardziej działały na ludzi na kształt czarodziejskiego trunku, im mniej były zrozumiałe. Leonard oziębnął dla mnie widocznie i unikał rozmowy bez świadków. Raz jednak, gdy przypadkiem spotkaliśmy się na osobności w alei klasztornego ogrodu, przerwał milczenie i rzekł:

- Nie będę ukrywał, ojcze Medardzie, że twoje postępowanie od jakiegoś czasu napełnia mnie goryczą. Coś wgryzło ci się w duszę i odciąga cię od życia w pobożnej prostocie. W kazaniach twych panuje niebezpieczna ciemność, z której lęka się wyłonić coś, co by cię poróżniło zupełnie - przynajmniej ze mną... Pozwól mi mówić otwarcie i ze szczerego serca. Ciąży na tobie wina naszego grzesznego poczęcia. On to każdemu silniejszemu wzlotowi naszej duszy roztwiera na oścież granice zatraty, sprowadzając niestety zbyt łatwo, na bezdroża nasz nieostrożny lot. Poklask, co więcej, ów zabobonny podziw, którym ci hołduje lekkomyślny, wszelakich podniet łakomy świat, oślepił cię i widzisz się w postaci, która nie jest twoją właściwą, lecz złudą wabiącą w przepaść zatracenia. Wejdź w siebie, Medardzie! Odtrąć ten samolubny szał, co cię zamąca! A znam go, wierzę w to, że znam go... Odbiegł cię już ów spokój umysłu, bez którego nie ma dla nas możności zbawienia. Ostrzegam cię, ustąp z pola przed nieprzyjacielem, który na ciebie nastaje. Bądź znowu tym młodzieńcem, którego kochałem z całego serca.

Łzy towarzyszyły słowom przeora. Oczy płakały, wtórując ustom; uścisnął mnie za rękę i, puściwszy mą dłoń, oddalił się szybko, nie czekając odpowiedzi. Lecz ja wrogim sercem przyjąłem te słowa. Jak to! Więc o poklasku, o tym największym podziwie, należnym mi za moje nadzwyczajne dary, wspominał jako o grzechu! Było mi jasnym, że to tylko niska zazdrość ściągała na mnie tę palącą gorycz, z którą on zdradził się najniezręczniej w świecie.

Milczący i zatopiony w sobie uczestniczyłem w zebraniach mnichów, a wnętrze trawiła mi tajemna nienawiść do nich! Wypełniony bezwzględnie nową istotą, co zaświtała we mnie, rozważałem w dnie i noce bezsenne, jakby rozkiełkowaną pierwośnię mych marzeń ująć w korę słów przepysznych i rzucić ludowi.

Im bardziej oddalałem się od Leonarda i od braci, tym silniejszymi więzami pociągałem ku sobie lud zasłuchany.

W dniu świętego Antoniego taki natłok panował w kościele, że musiano na oścież otworzyć bramę wchodową, aby napływającym tłumom dać możność słyszenia mnie z oddali, sprzed kościoła.

Nigdy nie mówiłem silniej, płomienniej, bardziej przekonywająco. Opowiedziałem, jak zwyczaj kazał, coś niecoś z życia świętego i wyciągnąłem stąd pobożne, głęboko w sens życia sięgające rozmyślania. Mówiłem o kuszeniu przez szatana, któremu upadek pierwszych rodziców dał moc wabienia ludzi. Mimo woli skierował mnie potok wymowy ku legendzie o eliksirach i starałem się wytłumaczyć ją za pomocą pomysłowej alegorii. Nagle moje wodzące po kościele oczy spoczęły na jakimś wysokim, chudym mężczyźnie. Stał na wprost mojej kazalnicy, na ławce, oparty o narożny filar. Miał na sobie ciemnofioletowy płaszcz zarzucony dziwnie i z cudzoziemska, pod którym ginęły ręce skrzyżowane na piersiach. Twarz trupioblada, ale wzrok wielkich, czarnych nieruchomych oczu bił sztyletem ognia prosto w moje piersi. Dreszcz niezwykłej grozy przeszedł mi po kościach. Odwróciłem oczy i mówiłem dalej starając się zachować przytomność. Lecz jakby ciągnięty czarem nieznanej przemocy, musiałem raz po raz patrzeć tam, gdziem patrzeć nie chciał za żadne skarby świata, a gdzie wciąż, jak wryty, stał nieruchomy człek z upiornym spojrzeniem, przeznaczonym dla mnie... Gorzkie szyderstwo i wzgardliwa zawiść widniały na zmarszczonym wysokim czole i na zaciśniętych wargach. Jakaś okropność i straszliwość jakaś biły z tej postaci. Ha! To był ów nieznany

malarz, ów malarz ze Świętej Lipki. Czułem: lodowe pięści strachu chwyciły mnie nerwowo; pot przerażenia żłobił skroń huczącą. Frazy kazania zaczęły się rwać raz po raz; coraz to mętniej brzmiały słowa - szmer i głuchy pomruk rozległ się w kościele - lecz jak wryty stał nieruchomy człek, oparty o filar, a dziki jego wzrok szklany drążył mi w piersi loch prosto ku sercu. Krzyknąłem w piekielnym strachu szalonej rozpaczy: - A ruszże się, przeklęty! Rusz się! Ja jestem - ja jestem sam święty Antoni!

Po tych słowach straciłem przytomność.

A gdym dźwignął z omdlenia zamroczoną głowę, ujrzałem się na łożu w swej celi. Ojciec Cyryl siedział przy mnie pielęgnując mnie i pocieszając. Przeraźliwy obraz Nieznajomego stał mi jeszcze żywo przed oczami. Ojciec Cyryl, któremu wszystko opowiedziałem, tłumaczył mi, że to był tylko majak wzburzonej gorliwą i płomienną mową wyobraźni. Im bardziej przemawiał mi do przekonania, tym głębiej czułem gorzką, palącą skruchę i wstyd za swoje zachowanie się na kazalnicy. Słuchacze - jak się później dowiedziałem - mniemali, że dostałem nagłego ataku obłędu, o czym upewnił ich jeszcze mój ostatni okrzyk. Byłem złamany i zdruzgotany na duchu. Zamknięty w swej celi, poddałem się najsurowszym ćwiczeniom pokutnym i wzmacniałem się gorzkimi modlitwami do walki z szatanem, który mi się osobiście pokazał tam w świątyni, w zuchwałym szyderstwie przyjmując postać pobożnego malarza ze Świętej Lipki. Nikt nie widział człowieka w fioletowym płaszczu, a przeor Leonard, idąc za popędem najlepszego serca, rozszerzał jak najgorliwiej pogłoskę, że to tylko nagły atak gorączki, wywołanej jakąś chorobą, tak strasznie wstrząsnął mną na mównicy i pomieszał zupełnie moje kazanie. I rzeczywiście byłem jeszcze słabowity j chory, gdym po kilku tygodniach powracał do zwykłego trybu klasztornego życia. Mimo to zdecydowałem się znowu wstąpić na kazalnicę, lecz torturowany wewnętrzną trwogą, prześladowany wizją okropnej, bladej postaci, zaledwie

mogłem utrzymać wątek kazania, a cóż dopiero oddać się ogniowi wymowy. Moje przemówienia bywały teraz zwykle sztywne, rozczłonkowane na kawałki. Słuchacze ubolewali nad zanikiem mojego talentu i liczba ich zmniejszała się coraz to bardziej. Stary ojciec kaznodzieja, który, jak się pokazało, zastąpił mię, przemawiał obecnie lepiej niż ja, powracając na swoje dawne miejsce.

***

Zdarzyło się wkrótce, że pewien młody hrabia, podróżujący w towarzystwie guwernera, odwiedził nasz klasztor i pragnął zobaczyć różne jego zbiory. Musiałem otworzyć salę z relikwiami i wstąpiliśmy do środka. Ponieważ przeor, który towarzyszył nam w drodze poprzez chór i kościół, został po coś odwołany, zostałem sam z nieznajomymi. Pokazywałem im i objaśniałem każdy kawałek. Hrabiemu wpadła w oko ozdobna staroniemiecka snycerska robota szafy, w której znajdowała się skrzynka z diablim eliksirem. Wahałem się otworzyć ją i nie śpieszyłem się wcale z objaśnieniami, co się w niej znajduje. Spostrzegł to hrabia i guwerner i zaciekawieni poczęli dopóty napierać na mnie prośbami, dopóki nie zapoznałem ich z legendą o świętym Antonim i podstępnym szatanie.

Powtórzyłem im zupełnie wiernie opowiadanie ojca Cyryla, a nawet dodałem jego przestrogę dotyczącą otwierania skrzynki i pokazywania flaszki. Hrabia, chociaż religijny, zdawał się, podobnie jak jego guwerner, powątpiewać zupełnie o prawdopodobieństwie usłyszanej legendy. Poczęli sobie dworować i w dowcipnych żartach ubolewać nad komicznym diabłem, który takie cenne, uwodzicielskie flaszki nosił w dziurach starego płaszcza. W końcu jednak spoważniał guwerner i rzekł:

- Chciejcie wybaczyć, wielebny ojcze, nam, lekkomyślnym profanom; proszę nam wierzyć, że obydwaj, ja i mój hrabia, czcimy świętych jako wspaniałych wiarą natchnionych ludzi,

którzy dla zbawienia swej duszy, dla zbawienia swych bliźnich wyrzekli się wszystkich radości świata tego, a nawet życia samego. Lecz co się tyczy podobnych historii jak ta, którąście nam, ojcze, właśnie opowiedzieli, mam to przekonanie, że przez pomyłkę wzięto za prawdziwe zdarzenie jakąś piękną, przez świętego wymyśloną alegorię!

To mówiąc, szybkim ruchem ręki odchylił wieko skrzynki i wyjął czarną flaszę niezwykłego kształtu. Istotnie rozszedł się - jak to, był powiedział brat Cyryl - silny zapach. Nic jednak oszołamiającego nie było w tej woni; działanie jej było raczej przyjemnie wzmacniające.

- Ej - zawołał hrabia - założę się, że ten diabli eliksir to wspaniały, prawdziwy syrakuzak.

- Bez wątpienia - odparł guwerner - jeżeli ta flasza pochodzi rzeczywiście ze spuścizny po świętym Antonim, to powinszować wam, wielebny ojcze, może wam pozazdrościć sam król Neapolu, który został pozbawiony przyjemności skosztowania starorzymskiego wina dzięki niegrzecznemu zwyczajowi Rzymian niekorkowania wina, lecz przechowywania go pod warstwą oliwy. A chociaż to wino nie jest tak stare, jakby tamto być mogło, jest jednak bez wątpienia najstarsze, jakie istnieje, dlatego dobrze zrobicie, ojcze, jeśli go użyjecie na własny pożytek i z całym spokojem wypijecie po troszce.

- To prawda - dodał młody hrabia - ten stary syrakuzak wleje wam w żyły nowy zapas sił i odpędzi chorobę, która was widocznie nawiedziła, ojcze.

Guwerner wyciągnął z kieszeni stalowy korkociąg i mimo mych protestów otworzył flaszę. Zdało mi się, że po wyciągnięciu korka zapełgał w otworze niebieski płomyczek i zniknął natychmiast. Silniej zapachniało z wnętrza flaszki i woń rozeszła się po sali. Guwerner skosztował i krzyknął rozradowany: - Pyszny, pyszny syrakuzak! Dalibóg, piwnica świętego Antoniego nie należała do najgorszych, a jeśli sam diabeł był jego piwniczym, to widocznie życzył świętemu lepiej, niżby się mogło wydawać. Skosztuj, hrabio. Hrabia

spróbował i potwierdził zachwyt guwernera. Obaj poczęli na nowo wyśmiewać się z legendy, żartując, że flaszka jest widocznie najpiękniejszą pamiątką z całego zbioru, i życzyli sobie wzajemnie całej piwnicy podobnych relikwii.

Słuchałem w milczeniu, pochyliwszy głowę, ze wzrokiem utkwionym w ziemi. Błaznowanie tych gości odbijało dziwnie od mojego smutku i męczyło mnie nieznośnie. Na próżno nakłaniali mnie do skosztowania wina świętego Antoniego. Odmówiłem stanowczo i, zakorkowawszy starannie flaszkę, zamknąłem ją z powrotem w schowku. Przybysze opuścili klasztor. Gdy się znalazłem sam w swej smutnej celi, nie mogłem się oprzeć jakiejś wewnętrznej rozkoszy i jakiejś świeżej pogodzie ducha. Widocznie zapach wina wzmocnił mnie. Nie czułem ni śladu złego działania, o którym opowiada

Cyryl. Przeciwnie, okazał się jak na dłoni jego wpływ dobroczynny. Im więcej rozmyślałem nad legendą o świętym Antonim, tym silniej dzwoniły mi w uszach słowa guwernera, tym większą miałem pewność, że jego objaśnienie było słuszne. Dopiero teraz zabłysło mi w głowie wspomnienie, że w owym dniu nieszczęśliwym, gdy wraża wizja stargała okrutnie powieść mojego kazania, sam właśnie zabierałem się do podobnego wytłumaczenia legendy, jako pomysłowej, pouczającej alegorii świętego człowieka. Do myśli tej dołączyła jeszcze inna; która się wkrótce tak rozpanoszyła we mnie, że wszystkie inne strawiła. Jak to?! - myślałem - więc ten czarowny trunek swoją duchową treścią wzmocnił twoje wnętrze i, rozpaliwszy na nowo przygaszony płomień, dał mu zajaśnieć zmartwychwstałym życiem? Więc już przez to samo widnem by się stało tajemnicze pokrewieństwo twojego ducha z żywiołowymi siłami, nurtującymi to wino, że ten sam zapach, który oszołamiał słabego Cyryla, w ciebie uderzył dobroczynną potęgą?

Lecz chociaż skłonny już byłem pójść za radą nieznajomego i wola pchała mnie do spełnienia czynu, wstrzymywał mnie jeszcze jakiś wewnętrzny, niejasny opór.

W chwili gdy miałem otworzyć szafę, przywidziała mi się w ozdobach snycerskich przeraźliwa twarz malarza o trupioszklanych, przeszywających oczach i porwany upiorną grozą uciekłem stamtąd, by w świętym miejscu wzbudzić w sobie skruchę za niewczesną ciekawość. Lecz coraz to bardziej, z coraz to większym naporem prześladowała mnie ta pewność natrętna, że tylko przez wypicie tajemniczego wina wzmocnię się i pokrzepię na duchu.

Postępowanie przeora i mnichów, którzy odnosili się do mnie z jakimś życzliwym, lecz upokarzającym oszczędzaniem, jako do chorego na duchu, przyprawiało mnie o rozpacz - i kiedy Leonard dał mi zupełną dyspensę od przepisanych ćwiczeń duchownych, abym mógł skupić siły, postanowiłem w bezsenną noc, torturowany głęboką zgryzotą, ważyć się na wszystko, choćby przyszło życiem przypłacić: odzyskać na powrót utracony geniusz lub zginąć.

Zerwałem się z łoża. Z lampą palącą się zwykle na korytarzu klasztornym przed obrazem Najświętszej Marii Panny powlokłem się jak upiór przez kościół do skarbca. Poświata lampy drgała, a święte obrazy w kościele zdawały się poruszać w jej niespokojnym złocie i patrzeć na mnie litośnie, stamtąd, z góry. Zdawało mi się, że w głuchym łoskocie burzy, co wdzierał się na chór przez rozbite okna, słyszę jakąś przestrogę łzawą, jakby to matka moja wołała z oddali: "Medardzie, co czynisz? Zaniechaj! Zaniechaj!". Wpadłem do skarbca - cisza i spokój... snuły się i snuły. Rozwarłem szafę, pochwyciłem puzdro, wyjąłem flaszę i wino zadrgało mi w ustach. Piłem, żar płynął przez żyły i wypełniał je rozkoszą bez granic... Piłem, a w ogniach rozbudzonych pulsów wschodziła zorza nowego, wspaniałego życia.

Szybko zamknąłem pustą skrzynkę w szafie, powróciłem wartko z dobroczynną flaszą do swojego pokoju i postawiłem ją w biurku. Lecz o dziwo, ręka namacała kluczyk ukryty śród papierów, ów kluczyk, który ongi odłączyłem z kółka,

aby uniknąć pokusy. Zadrżałem. Wszak ci to bez niego i wtenczas, przy tych obcych, i dzisiaj otworzyłem szafę. Zbadałem cały pęk kluczy. Znalazł się jakiś nieznany klucz, którym wtenczas i teraz, nie zwracając na w roztargnieniu uwagi, otworzyłem szafę. Zadrżałem mimo woli, lecz korowód nieznanych obrazów gnał niewstrzymanym huraganem poprzez moją duszę, wydartą mrokom długotrwałego snu. Nie mogłem sobie znaleźć miejsca ani zaznać spokoju póki nie zaświtał pogodny poranek. Wybiegłem na ścieżki klasztornych alei, by się wykąpać w promieniach słońca, zdobywającego ogniem spoza gór przez stwory niebieskie. Leonard i bracia spostrzegli odmianę. Już niemilczący i zamknięty w sobie, lecz pogodny i żywy stałem w ich gromadzie. Niby w obliczu zgromadzone tłumu wiernych tryskałem płomieniami wymowy, jak ongi. Gdy się znalazłem sam na sam z Leonard, spojrzał na mnie uważnie, jakby mnie chciał przeniknąć aż do szpiku kości, potem zaś rzekł, a ironiczny uśmiech zaigrał mu na twarzy:

- Czy też nie wizja jaka zlała na ojca Medarda nowe zapasy sił i odmłodzone życie ?

Uczułem, że czerwienieję od wstydu, bo w tej chwili moja egzaltacja, spowodowana łykiem starego wina, wydała mi się niegodną i mizerną. Stałem spuszczonymi oczami, pochyliwszy głowę. Leonard pozostawił mnie własnym rozmyślaniom. Dręczyła mnie nieznośna obawa, że napięcie spowodowane winem nie potrwa długo i, owszem, może ku mej rozpaczy pociągnie za sobą jeszcze większą bezsilność. Lecz trwoga była płonną. Przeciwnie, czułem dokładnie, jak z odzyskaną siłą powraca mi także młodzieńcza odwaga i owo nieznużone dążenie do zdobycia największych wpływów, na jakie pozwalał mi klasztor. Postanowiłem wygłosić kazanie w najbliższe święto i otrzymałem pozwolenie. Na chwilę przed wejściem na kazalnicę zażyłem cudownego wina. Nigdy nie mówiłem płomienniej, z większym namaszczeniem, bardziej przejmująco.

Szybko rozeszła się wiadomość o moim zupełnym odrodzeniu i kościół zapełniał się znowu aż po brzegi. Lecz im większy poklask tłumu zdobywałem, tym poważniejszym, tym powściągliwszym w stosunku do mnie stawał się Leonard i poczynałem nienawidzić go z całego serca, posądzając go o małostkową zazdrość i mniszą dumę.

Zbliżał się dzień świętego Bernarda. Płonąc żądzą ukazania się księżnej w całym blasku talentu, prosiłem przeora o stosowne zarządzenia, by mi pozwolono w dniu tym uroczystym wygłosić kazanie w kościele cystersek.

Leonarda zaskoczyła dziwna moja prośba. Wyznał mi bez obsłon, że właśnie tym razem miał zamiar sam przemawiać i że już nawet zarządzono wszystko, co należy, tym łatwiej przeto może być spełnioną moja prośba; usprawiedliwi się chorobą i pośle mnie w swoim zastępstwie. I tak się też rzeczywiście stało. Widziałem się z matką i z księżną w przededniu wieczorem, byłem jednak tak pochłonięty myślami o kazaniu, które miało osiągnąć najwyższy stopień wymowy, że to widzenie sprawiło na mnie bardzo małe wrażenie. Po mieście rozeszła się wiadomość, że będę mówił w zastępstwie chorego Leonarda, i to przyciągnęło jeszcze więcej wykształconej publiczności.

Nie zapisując nawet najmniejszego słowa, tylko w myśli porządkując mowę w jej składowych członach, liczyłem na głębokie natchnienie, jakie miało rozbudzić we mnie uroczyste nabożeństwo, zgromadzenie pobożnego ludu i nawet ten wspaniały kościół o wysokich sklepieniach. I nie przeliczyłem się w istocie. Rzeką ognistą płynęły moje słowa, zawierając prócz wspomnienia o świętym Bernardzie, najgłębsze obrazy i najpobożniejsze rozmyślania - a we wszystkich skierowanych na mnie spojrzeniach czytałem osłupienie i podziw.

Jakżeż czekałem na to, co powie księżna; jakżeż przygotowany byłem na słowa najwyższego zadowolenia; miałem pewność, że tego, który już dzieckiem wprawiał ją w zdumienie, musi teraz przyjąć z czci mimowolną,

wyczuwając w nim obecność wyższego ducha. Gdy chciałem z nią mówić, kazała mi oświadczyć, że wskutek nagłej słabości nie może mówić z nikim - nawet ze mną.

Dotknęło mnie to nieprzyjemnie, w czczej bowiem zarozumiałości uroiłem sobie, że ksieni, wiedziona serdeczną potrzebą, czekać będzie w najwyższej ekstazie na kilka słów moich, pełnych namaszczenia.

Matka moja zdawała się tłumić w sobie wewnętrzna zgryzotę, lecz nie badałem wcale powodów jej zmartwienia, bom czuł się winowajcą, choć żaden promień światła nie rozświecał mi tej zagadki, tej tajemnicy mej własnej, wpół wyczutej. Podała mi mały bilet księżnej z poleceniem, bym go otworzył dopiero w klasztorze. Zaledwie znalazłem się w swej celi, o czytałem z najwyższym zdumieniem te słowa:

Kochany synu - gdyż pragnę jeszcze nazywać cię tym imieniem - zmartwiłeś mnie tą mową twoją w kościele naszego klasztoru. Słowa twoje nie płynęły z serca pobożnego, zwróconego ku niebu; zapał twój nie jest z rzędu tych, które unoszą duszę pobożną w niebieskie królestwo. Nie czułam w nich poszumu seraficznych skrzydeł, nie było w nich świętego zachwytu. Ach, dumna ozdobność twej mowy, twoje widoczne staranie o blask i mamiący pozór - wskazały mi, że nie chodzi ci o pouczenie rzeszy wiernych ani o rozniecenie pobożnych rozmyślań, tylko o poklask, o nędzny szmer uwielbienia lekkomyślnego świata. Udawałeś uczucia, których nie było w twej duszy, przybierałeś nawet sztuczne, wyuczone miny i gesty - było to widoczne - jak próżny aktor, a wszystko dla wstrętnego poklasku. Opanował cię duch kłamstwa i zgubi cię, jeśli nie wejdziesz w siebie i nie wyrzekniesz się grzechu. Bo grzechem, wielkim grzechem jest całe twoje postępowanie, tym bardziej że zobowiązałeś się do życia pobożnego i do wyrzeczenia się ziemskiego błazeństwa w klasztorze, dla nieba. Oby ci święty Bernard, którego obraziłeś ohydnie swoją oszukańczą mową, przebaczył, oby cię oświecił, byś odnalazł drogi prawości, z których zbiegłeś, uwiedziony

przez szatana - oby się modlił za zbawienie twej duszy. Życzę ci spokoju.

Ogniem stu błyskawic przeszyły mnie słowa ksieni i zawrzałem gniewem, bo niczego nie byłem pewniejszym niż tego, że Leonard, jak na to wskazywały rozmaite uwagi jego o moich kazaniach, wyzyskał pobożność księżnej i podburzył ją przeciw mnie i mojemu talentowi mówcy. Wprost nie mogłem już patrzeć na niego bez wewnętrznej wściekłości. Nieraz nawet nachodziły mnie okropne, budzące najwyższą grozę myśli, by go zgubić. Jakże nieznośnymi były mi zarzuty ksieni i przeora, zwłaszcza że w głębi serca przyznawałem im zupełną słuszność. Lecz coraz to niezłomniej trwając w swym zamiarze, wzmacniając się kroplami wina z tajemniczej flaszy, wysilałem się na strojenie swych kazań wszystkimi sztukami retoryki. Doprowadziłem do doskonałości mimikę i gestykulację i zdobywałem coraz to większy podziw, coraz to większe uwielbienie.

***

Poranek wpadał barwnymi promieniami przez kolorowe szyby kościoła klasztornego. Samotny i pogrążony głęboko w rozmyślaniach siedziałem w konfesjonale. Tylko kroki służebnego braciszka, który zamiatał kościół, brzmiały popod sklepieniem. Wtem zaszeleściło coś w pobliżu i ujrzałem wysmukłą postać kobiecą, ubraną z cudzoziemska, za woalem, która weszła przez boczne drzwi i zbliżyła się ku mnie, aby się wyspowiadać. Poruszała się z nieopisanym wdziękiem. Uklękła. Głębokie westchnienie wydarło się jej z piersi. Uczułem jej palący oddech i było mi, jakby mnie otoczy czar odurzający, nim jeszcze przemówiła. Jakimiż słowami zdołałbym opisać szczególny, do głębi wzruszający ton jej głosu!

Każde jej słowo zapadało mi głęboko w serce, gdy wyznała, że żywi zakazaną miłość, którą zwalcza na próżno od dłuższego czasu i że ta miłość jest tym grzeszniejszą, że kochanek nie jest wolny, lecz krępują go wieczyste więzy, a ona w szale beznadziejnego zwątpienia przeklęła już te pęta. Zająknęła się i w potoku łez, który zalał i prawie zdławił jej słowa wybuchła:

- Ty sam, ty sam, Medardzie, jesteś tym którego tak niewypowiedzianie kocham!

Niby w śmiertelnej walce zadrgały we mnie wszystkie nerwy. Straciłem równowagę. Nigdy nieznane uczucie rozrywało mi piersi: patrzeć, patrzeć na nią, przycisnąć ją do serca, zginąć z rozkoszy i męki! Sekunda tego szczęścia za wieczne tortury piekła! Ona milczała, lecz słyszałem jej ciężki oddech. W dzikim zwątpieniu skupiłem się boleśnie i mówiłem - nie wiem już, co mówiłem do niej i do siebie. Spostrzegłem tylko, że w milczeniu powstała i odeszła, a ja, zaciskając oczy chustką, osłupiały, zostałem w konfesjonale jak nieprzytomny. Na szczęście nikt już więcej nie przyszedł i mogłem niepostrzeżenie wymknąć się do swojej celi.

Jakżeż innym wydawał mi się teraz cały świat jakże bezmyślnym, jak szalonym całe moje życie!

Nie widziałem twarzy nieznajomej, lecz ona żyła we mnie i patrzyła mi w twarz ślicznymi, ciemnoniebieskimi oczami, pełnymi łez, co padały mi w duszę trawiącym żarem i rozniecały płomienie potężniejsze nad modlitwę, nad ćwiczenia pokutne. Podjąłem te ćwiczenia, biczując się aż do krwi, aby uniknąć wiecznego potępienia: ogień bowiem, który wznieciła we mnie nieznajoma, budził we mnie najbardziej zmysłowe żądze, dotychczas zupełnie mi nieznane - i nie wiedziałem, gdziebym mógł uciec przed rozkoszną męką. Jeden z ołtarzy naszego kościoła był poświęcony świętej Rozalii. Wspaniały obraz tej świętej przedstawiał ją w chwili, gdy miała ulec męczeńskiej śmierci.

To była moja ukochana. Poznałem ją. Tak. Nawet jej szaty były zupełnie podobne do ubrania nieznajomej. Całymi godzinami - jakby pod obuchem zabójczego szału - leżałem rozciągnięty na stopniach ołtarza, a z piersi wydzierało mi się rozpaczliwe wycie, ohydne, beznadziejne. Strwożeni bracia uciekali ode mnie z odrazą. W chwilach spokojniejszych wybiegałem do ogrodu. Krążyłem tu i tam. Widziałem ją idącą w oddali w czarownej mgle. Wychylała się z zarośli, wyrastała ze źródeł, wstawała z poświaty kwiecistej łąki - wszędzie ona, wszędzie tylko ona...

Przeklinałem śluby zakonne, złorzeczyłem istnieniu.

Coś rwało mnie w świat. Iść w dal, biec i biec, biec naprzód bez wytchnienia, szukać, dopóki jej nie znajdę. Kupić ją za zbawienie wieczne.

W końcu udało mi się przynajmniej opanować usta i oczy i powściągnąć niezrozumiałe dla braci i przeora wybuchy szału. Umiałem zachowywać pozory i wydawać się spokojnym - ale coraz to głębiej i głębiej, aż do kości, wżerał mi się zabójczy ogień. Ni snu, ni spokoju. Prześladowany obrazem kochanki, tarzałem się na twardym łożu, wzywając świętych nie na pomoc przeciw kuszącemu widziadłu, które mnie nie odstępowało - nie po to, by bronili duszy przed potępieniem, nie! Wzywałem ich, wołałem ich, by mi dali tę kobietę, by mnie rozwiązali z przysięgi, by mi dali wolność przesłodkiego grzechu. W końcu przemogła wszystko myśl ucieczki z klasztoru. Zbiec i gwałtownie zakończyć tę męczarnię. Bo wydawało mi się, że konieczne jest tylko wyzwolenie, się od ślubów klasztornych, bym mógł ujrzeć w swych objęciach ukochaną postać i zaspokoić żądzę, co rozpaliła się w mych żyłach.

Postanowiłem w przebraniu, z ogoloną brodą, zmieniony nie do poznania, błądzić po mieście, dopóki jej nie znajdę. Nie liczyłem się z żadnymi trudnościami, z żadną niemożliwością ani z tym, że nie mając grosza przy duszy nie zdołam wyżyć ani dnia poza murami.

Nadszedł ostatni dzień, który miałem jeszcze spędzić w klasztorze. Szczęśliwym trafem otrzymałem przyzwoite ubranie świeckie. W nocy miałem opuścić klasztor, aby tam już więcej nie wrócić.

Już wieczór zapadał, gdy całkiem niespodziewanie zawezwał mnie przeor. Zadrżałem na myśl, że może spostrzegł moje tajemne przygotowania.

Leonard przyjął mnie z niezwykłą powagą, nawet z imponującą godnością, przed którą mimo woli zadrżałem.

- Ojcze Medardzie - rzekł - twoje nierozumne postępowanie - ja sam, osobiście, poczytuję je za wybuch duchowej egzaltacji, którą od dłuższego czasu w sobie wywołujesz, być może w nienajczystszych zamiarach - burzy nasze ciche życie, zakłóca pogodę i dobry nastrój, które dotychczas starałem się utrzymać śród braci, jako owoc cichej pobożności. Być może wchodzi tu w grę jakiś nieszczęśliwy wypadek, który zaciążył nad tobą. Byłbyś może znalazł pociechę u mnie, twojego opiekuna i ojca, któremu winien byłeś wszystko zwierzyć, lecz milczałeś, a ja sam tym mniej mogę wniknąć w ciebie, im bardziej twoja tajemnica mogłaby mnie pozbawić tej odrobiny spokoju, który na starość cenię ponad wszystko. Nieraz, zwłaszcza przed ołtarzem świętej Rozalii, wydawałeś ohydne, przeraźliwe krzyki, nacechowane obłędem - ku wielkiemu a zgubnemu zgorszeniu tak ojców, jak i ludzi obcych, przypadkowo obecnych w kościele. Reguła klasztorna pozwala mi ukarać cię najsurowiej, lecz nie skorzystam z danej mi władzy. Być może bowiem, że zła moc, sam szatan naszedł cię i, nie znajdując dostatecznego oporu, obłąkał cię. Wzywam cię tylko do modlitwy i do pokuty. Patrzę głęboko w twą duszę: ty chcesz na swobodę!

Spojrzał na mnie przenikliwie. Nie mogłem znieść tego spojrzenia. Łkając padłem w proch, w poczuciu złych zamiarów.

- Rozumiem cię - mówił dalej Leonard - i sam jestem przekonany, że lepiej niż samotność klasztorna uleczy cię z

twego obłąkania świat, uleczy, jeśli go przejdziesz z pobożnym sercem. Sprawy naszego klasztoru wymagają wysłania jednego z naszych ojców do Rzymu. Wybrałem do tego ciebie i już jutro, opatrzony potrzebnym pełnomocnictwem i wskazówkami, możesz wyruszyć w podróż. Nadajesz się tym lepiej do wykonania tego polecenia, że jesteś jeszcze młody, silny, zręczny w prowadzeniu interesów i władasz doskonale językiem włoskim. Powróć teraz do swojej celi i módl się gorąco o zbawienie swej duszy. I ja zrobię to samo. Zaniechaj jednak wszelkich biczowań, które by cię mogły osłabić i uczynić niezdolnym do drogi. Skoro świt czekam cię tu, w tej sali.

Jak promień z nieba rozjaśniły mnie słowa zacnego Leonarda. Nienawidziłem go, lecz teraz rozkosznym bólem przeniknęła mnie ta miłość, którą go zawsze darzyłem. Płakałem gorąco i przyciskałem do ust jego ręce.

Uścisnął mnie i miałem wrażenie, że zna moje najtajniejsze myśli i udziela mi teraz wolności, bym uległ przeznaczeniu, co, zyskując nade mną przewagę i władzę, mogło mnie po sekundzie rozkoszy strącić w okrutną wieczność potępienia.

Ucieczka więc stała się zbyteczną. Mogłem opuścić klasztor i szukać bez wytchnienia, szukać jej, tej nieznajomej, bez której nie było dla mnie spokoju ni zbawienia tu na ziemi. Podróż do Rzymu, polecenia, które tam miałem załatwić, zdawały mi się tylko wymysłem Leonarda. Widziałem w nich raczej zręczne i stosowne usunięcie mnie z klasztoru. Noc spędziłem na modlitwie i na przygotowaniach do drogi. Resztkę tajemniczego wina przelałem w gąsiorek zaopatrzony plecionką. Miało mi służyć jako wypróbowany środek wzmacniający. Tajemniczą flaszkę, która dotychczas zawierała eliksir, wstawiłem na powrót do skrzynki.

Niemało byłem zdziwiony, gdy z obszernych instrukcji przeora zrozumiałem, że moja podróż do Rzymu miała istotnie uzasadnienie i że sprawy, wymagające obecności

zaufanego człowieka w tym mieście, miały wielkie znaczenie dla klasztoru i mogły pociągnąć za sobą nieobliczalne skutki.

Nie ucieszyło mnie to wcale, bo co innego wiodło mnie za bramy. Zaraz za progiem klasztornym miałem się wyzbyć wszelkich więzów i oddać się swobodzie. Myśl o nieznajomej dodawała mi odwagi i postanowiłem wytrwać przy swoim zamiarze. Zeszli się ojcowie. Pożegnanie z nimi, zwłaszcza z Leonardem, napełniło mnie najgłębszą rzewnością. Wreszcie zawarła się za mną brama klasztorna i rozpocząłem wielką podróż po swobodzie.

ROZDZIAŁ II

WEJŚCIE W ŚWIAT

W oponach błękitnej mgły spoczywał klasztor pode mną, w dolinie. Zrywał się świeży powiew porannego wiatru niosąc ku mnie przez powietrzne koleje pobożne śpiewy braci. Mimo woli nuciłem do wtóru. Słońce wzeszło za miastem płomienną bryłą żaru. Świetlista pozłota lśniła na drzewach, z wesołym szmerem opadały brylanty rosy na tysiące pstrych owadów, co zrywały się z brzękiem i szelestem.

Zbudzone ptaki trzepotały skrzydłami, obrzucając się miłosnym śpiewem i pieszczotą w powietrzu i w lesie.

Gromada parobczaków i świątecznie wystrojonych dziewek przeszła przez wzgórze. - Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - zawołali przechodząc. Odpowiedziałem “na wieki wieków" i było mi, jakby nowe życie, pełne wesela i wolności, szło ku mnie z tysiącem rozkosznych zjawisk. Nigdy mi nie było tak lekko na sercu. Sam sobie wydałem się innym, bo jakaś nowo zbudzona siła rozpierała mi piersi. Szedłem szybko przez las, schodząc na dół po stoku góry. Chłopa napotkanego spytałem o miejscowość, którą plan podróży wyznaczał na pierwszą stację noclegową. Opisał mi dokładnie ścieżkę bliższą, zbaczającą z głównego gościńca, środkiem łańcucha górskiego.

Już uszedłem samotnie spory kawał drogi, gdy nagle ocknęła się we mnie myśl o nieznajomej i o fantastycznym planie odszukania jej.

Lecz obraz jej był jakby zamazany obcym, nieznanym tchnieniem i tylko z trudem mogłem rozpoznać blade, zmienione rysy. Im bardziej starałem się zatrzymać w pamięci widziadło, tym bardziej ginęło w mgle nieprzejrzanej. Tylko moje wyuzdane zachowanie się w

klasztorze po owym zdarzeniu stało mi jasno przed oczami. Nie mogłem wprost pojąć, jak mógł przeor cierpieć to wszystko tak pobłażliwie i dlaczego zamiast wymierzyć mi słusznie zasłużoną karę, wysłał mnie w podróż. Wkrótce doszedłem do przekonania, że owo zjawienie się nieznajomej było tylko wizją, następstwem zbytniego wytężenia umysłu. Zamiast, jak zwykle dotąd, przypisywać ten zgubny, kusicielski majak wytrwałemu prześladowaniu szatana, kładłem go na karb własnych wzburzonych zmysłów. Okoliczność, że nieznajoma była ubrana jak święta Rozalia, zdawała się dowodzić, że odgrywał tu rolę obraz tej świętej, który rzeczywiście mogłem był widzieć z konfesjonału, co prawda ze znacznej odległości i pod ostrym kątem.

Głęboko podziwiałem mądrość przeora, że wybrał stosowny środek do uzdrowienia mnie. Zamknięty bowiem w murach klasztornych, otoczony ciągle tymi samymi przedmiotami, śród ciągłych rozmyślań i zgryzot sumienia musiałbym ulec owej wizji, malowanej przez samotność coraz to płomienniejszymi, zuchwalszymi barwami, i przypłacić rozterkę obłędem.

Coraz bardziej oswajając się z tą myślą, że wszystko było tylko snem ułudnym, zaledwie mogłem powstrzymać się od śmiechu i z płochością, zresztą zupełnie u mnie nie na miejscu, żartowałem w głębi duszy z przypuszczeń, jakoby święta zakochała się we mnie przy czym pomyślałem, że przecież ja sam miałem już raz być świętym Antonim. Kilka dni przedzierałem się przez góry. W grozie złomów skalnych, śmiało sterczących w obłoki, szedłem po ścieżkach rytych nad rwącymi potokami. Coraz to puściej robiło się śród głazów; coraz to uciążliwsza stawała się droga. Było południe. Słońce prażyło mnie w odkrytą głowę. Upadałem z pragnienia, a źródła nie było w pobliżu, nie mogłem też dotrzeć do wsi, gdzie miałem się zatrzymać na nocleg. Zupełnie wyczerpany usiadłem na grani skalnej i mimo woli

przyłożyłem do ust gąsiorek z eliksirem, chociaż pragnąłem, o ile tylko można, oszczędzać tak rzadkiego trunku.

Nowa siła rozżarzyła mi żyły. Wzmocniony i odświeżony kroczyłem dalej, by stanąć u zamierzonego celu, który musiał być już w pobliżu. Coraz bardziej gęstniał i rudział sosnowy las; coś zaszumiało w zaroślach, a po chwili zarżał głośno koń i ujrzałem wierzchowca przywiązanego do drzewa. Postąpiłem kilka kroków naprzód i zdrętwiałem z przerażenia. U stóp rozwarła mi się nagle przeraźliwa przepaść. Syczący potok ciskał się z hukiem w otchłań śród spadzistych, ostrych skał. Jego to huk słyszałem z oddali. Tuż, tuż nad przepaścią siedział na złomie pochylonym w głębię jakiś młody człowiek w mundurze; kapelusz z bujnym pióropuszem, szpada i portefeuille leżały obok niego. Całym ciałem zwieszony nad przepaścią, zdawał się zasypiać i osuwać zwolna w otchłań. Upadek jego był nieunikniony. Podbiegłem i krzycząc: "Na miłość boską, zbudź się pan" chwyciłem go za rękę, aby go powstrzymać.

W tejże chwili zerwał się z głębokiego snu, lecz w okamgnieniu tracąc równowagę runął w przepaść i jakiś łoskot, jakby strąconych kamieni, zagruchotał po skałach. Przeszywający krzyk grozy przebrzmiał w niezmiernej głębi, a potem jęk jakiś głuchy wypłynął z otchłani i zamarł natychmiast.

Stałem skamieniały z przerażenia i grozy. W końcu pochwyciłem kapelusz, szpadę, portefeuille i chciałem oddalić się szybko z miejsca katastrofy, lecz zaszedł mi drogę jakiś młodzieniec w stroju myśliwskim. Zrazu spojrzał mi obojętnie w oczy, a potem zaczął się śmiać jak opętany, aż dreszcz lodowaty przeleciał mi po ciele.

- Wybornie, łaskawy panie hrabio, wybornie! - zawołał w końcu młody człowiek. - Przepyszna maskarada! Gdyby łaskawa pani baronowa z góry nie wiedziała o tym, zaprawdę nie poznałaby drogiego gościa. A gdzie mundur, łaskawy panie hrabio?

- Rzuciłem go w przepaść - odpowiedziało coś ze mnie bezdźwięcznie i głucho. Nie ja bowiem wypowiedziałem te słowa. Same zadrżały mi na ustach. Zatopiony w sobie, wpatrzony w przepaść - czy też nie wstanie z głębi krwawy trup hrabiego, czy nie podniesie ku mnie grożącej pięści - stałem bez ruchu. Zdawało mi się, że to ja sam zamordowałem tego człowieka. Ręką ściskałem kurczowo kapelusz, szpadę i portefeuille.

- Łaskawy panie! - zawołał młody człowiek kopnę się tedy konno gościńcem do miasteczka i ukryję w domku tuż przed bramą, po lewej ręce. Pan tymczasem podąży do zamku, gdzie już oczekują pana. Proszę. o kapelusz i szpadę.

Oddałem mu obie rzeczy.

- Żegnam pana hrabiego i życzę powodzenia w zamku... - zawołał młody człowiek i zniknął w zaroślach, z piosenką na ustach.

Gdy przeszło pierwsze oszołomienie i zastanowiłem się nad całym zdarzeniem, musiałem przyznać, żem uległ tylko grze przypadku, który jednym pociągnięciem wplątał mnie w najdziwniejszą intrygę. Zrozumiałem, że wielkie podobieństwo moich rysów i postaci do wyglądu nieszczęsnego hrabiego złudziło myśliwca.

Widocznie też hrabia wybrał habit kapucyna do jakiejś awantury w pobliżu zamku. Śmierć go ubiegła i w tejże chwili dziwne fatum podsunęło mnie na jego miejsce. Nieprzeparty pęd zmuszał mnie do odgrywania w dalszym ciągu roli hrabiego i zdawał się iść na rękę przeznaczeniu. Przemógł on wszelkie wątpliwości i zagłuszył wewnętrzny głos, oskarżający mnie o mord i zuchwałą zbrodnię. Otworzyłem zatrzymany portefeuille. Wpadła mi w ręce znaczna korespondencja. Chciałem przeglądać po kolei te papiery i zabierałem się do przeczytania listów, aby się zapoznać ze stosunkami nieboszczyka, lecz nie pozwalał mi wewnętrzny niepokój i korowód tysięcznych myśli, co szumiały mi po głowie złowieszczymi skrzydłami. Uszedłszy kilka kroków zatrzymałem się znowu w milczeniu, siadłem

na złomie granitu i próbowałem wywalczyć sobie jaki taki spokój. Wiedziałem, że grozi mi niebezpieczeństwo, jeżeli tak nie przygotowany rzucę się na łeb, na szyję w wir nieznanych stosunków. Wtem rozbrzmiało po lesie wesołe hukanie rogów. Ktoś polował. Pogwar głosów ludzkich rozlegał się coraz bliżej. Serce biło mi gwałtownie, oddech zamierał mi w piersi.

Oto świat nowy, życie jakieś nowe otwierało się przede mną.

Skręciłem w boczną wąską ścieżkę, wiodącą w dół po stromym urwisku. Gdym wyszedł z zarośli, zjawił się przede mną w dole jakiś wielki pięknie zbudowany zamek. Oto miejsce awantury, co się rozkosznie marzyła hrabiemu. Szedłem ku niemu odważnie.

Wkrótce znalazłem się u wejścia do parku otaczającego zamek. Ujrzałem, jak w cieniach bocznej alei przechadzali się dwaj mężczyźni. Jeden ubrany był w szaty świeckiego księdza. Zbliżyli się i nie spostrzegłszy mnie przeszli, pogrążeni głęboko w rozmowie. Ksiądz był młodzieńcem; na twarzy jego leżała śmiertelna bladość troski wżerającej się głęboko w duszę. Drugi mężczyzna, skromnie, lecz starannie ubrany, wydawał mi się człowiekiem w podeszłym wieku. Usiedli na kamiennej ławce, zwróceni do mnie plecami. Mogłem słyszeć każde słowo ich rozmowy.

- Hermogenie- rzekł starszy - twoje uparte milczenie wprawia w rozpacz całą twoją rodzinę. Twój ponury smutek rośnie z dnia na dzień; młodzieńcze siły są złamane. Chcesz się poświęcić stanowi duchownemu, lecz krok ten burzy wszystkie nadzieje, wszystkie pragnienia twojego ojca. Z pewnością jednak wyrzekłby się ich, gdyby twój zamiar był owocem prawdziwego, szczerego powołania, gdyby cechowała cię nieprzeparta skłonność do samotności, ujawniająca się już od dzieciństwa. Gwałtowna zmiana całej twej istoty, wskazuje zbyt jasno, że jakieś zdarzenie, które przemilczasz uparcie, wstrząsnęło gwałtownie twym sercem

i toczy cię robakiem zgryzoty. Byłeś zawsze swobodnym, wesołym, chciwym życia młodzieńcem. Cóż cię tak gwałtownie odwróciło od ludzi, że stoisz śród nich jak obcy i wątpisz, by w piersi bliźniego mogło się znaleźć lekarstwo na chorobę trawiącą ci serce? Milczysz? Patrzysz przed siebie nieruchomym okiem? Wzdychasz? Hermogenie! Pomnij na ojca! Skoro już nie możesz otworzyć mu serca, nie dręcz go przynajmniej widokiem tej szaty, która wskazuje na okrutne postanowienie. Zaklinam cię, Hermogenie, zrzuć ten strój znienawidzony. Wierz mi, że tajemnicza siła drzemie w tych zewnętrznych symbolach. Nie urazi cię to - bo wierzę, że mnie zrozumiesz - gdy właśnie teraz, być może na pozór dziwacznie, wspomnę o aktorach, którzy po wdzianiu kostiumu czują, iż jakiś duch obcy porusza nimi, i łatwiej wnikają w charakter swej roli. Wybacz, że zgodnie ze swą naturą mówię o tych rzeczach mniej poważnie, niżby przystało. Lecz pomyśl, czybyś nie stąpał szybciej i radośniej, czybyś nie zaczął znów biegać i skakać wesoło, gdyby ta długa suknia nie układała twych kroków do ponurej powagi. Srebrzysty połysk epoletów, które zwykle lśniły ci na ramionach, rzuciłby znowu młodzieńczy blask. na twe blade policzki, a dzwoniące ostrogi grałyby przesłodką muzyką rączemu rumakowi, co rży do ciebie j tańcząc z radości zgina dumny kark przed ukochanym panem. A więc, baronie, precz z tą czarną szatą, co ci nie przystoi! Czy Fryderyk ma przygotować twój uniform?

Starzec powstał i chciał już odejść. Młodzieniec rzucił mu się w objęcia.

- Ach, dręczysz mnie, Reinholdzie - zawołał przytłumionym głosem - dręczysz mnie niewypowiedzianie. Im bardziej się trudzisz, by potrącić struny mojego wnętrza, które tak harmonijnie rozbrzmiewały niegdyś, tym głębiej czuję, że spiżowa ręka przeznaczenia schwyciła mnie i zdusiła - i jak w pękniętej lutni tylko same fałszywe tony drgają w mej piersi.

- To tylko tak ci się zdaje, kochany baronie przerwał mu stary. - Mówisz o jakimś ogromnym nieszczęściu, które cię złamało, lecz co to za jedno, tego nie mówisz. Zresztą, niech będzie, jakie chce, taki młodzieniec jak ty, pełen wewnętrznej siły, wewnętrznego ognia, powinien umieć uzbroić się, przeciw spiżowe dłoni losu, co więcej, musi, natchniony boską naturą, wznieść się ponad wszelką dolę i budząc w sobie i rozdmuchując iskrę wyższego bytu, stać ponad cierpieniem tego marnego świata. Nie wiem, baronie, jaki los, jaka niedola mogłaby zburzyć tę silną, wewnętrzną wolę.

Młodzieniec odskoczył od starca i mierząc go ponuro ognistym, gniewnym spojrzeniem, spojrzeniem okrutnej męki - zawołał stłumionym, bezbarwnym głosem:

- Wiedz tedy, że sam jestem nieszczęściem, które mnie pożera. Ciąży na mnie przeklęty ogrom zbrodni, haniebny występek, za który pokutuję w nędzy i zwątpieniu. Zlituj się i proś ojca, niech mnie puści do klasztoru.

- Baronie - szepnął drżącym głosem starzec - co się z tobą dzieje? Co to znaczy, to usposobienie, ten szał, co to znaczy? Nie pójdziesz stąd, nie pójdziesz, ja nie mogę cię puścić. W tych dniach powraca baronowa z Aurelią. Musisz się widzieć z nimi.

Młodzieniec wybuchnął szyderczym śmiechem i krzyknął głosem, który wstrząsnął mną do głębi:

- Muszę?! Muszę pozostać?! Tak, tak, mój stary, masz słuszność. Muszę pozostać i moja pokuta będzie tu straszliwszą niż w głuchych murach.

To mówiąc skoczył w zarośla i zostawił starca, który ukrywszy twarz w dłoniach oddał się cały boleści.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - rzekłem przystępując do niego.

Wyprężył się i spojrzał na mnie zrazu zdziwiony. Wkrótce jednak rozjaśniła mu się twarz, jak na widok czegoś znajomego, i rzekł:

- A to z pewnością wy jesteście, wielebny ojcze, tym, którego przybycie dawno już zapowiedziała pani baronowa ku pociesze rodziny pogrążonej w rozpaczy.

Potwierdziłem. Reinhold wkrótce zupełnie się rozpogodził i odzyskał wrodzoną sobie wesołość. Przeszliśmy przez park i doszliśmy w końcu do leżącego tuż pod zamkiem gaiku, przed którym roztwierał się piękny widok na góry. Na wezwanie podbiegł służący który właśnie wychodził z portalu gmachu, i wkrótce podano obfite śniadanie. Podczas gdyśmy się trącał pełnymi szklankami, zdawało mi się, że Reinhold wpatruje się we mnie uważniej, jakby się starał z wysiłkiem odświeżyć wpół zagasłe wspomnienie. Wreszcie wykrzyknął:

- Mój Boże! Czyż ja się nie mylę, wielebny ojcze że jesteście ojcem Medardem z klasztoru kapucynów w B.? Ale jakżeby to było możliwe? A przecież to wy to wy jesteście na pewno - powiedzcie tylko!

Jakby mnie trafił grom z jasnego nieba, zadrżałem cały przy słowach Reinholda. Widziałem się zdemaskowanym, odkrytym, obwinionym o spełnienie mordu. Zwątpienie dodało mi siły: szło o życie lub śmierć...

- Istotnie, jestem ojcem Medardem z klasztoru kapucynów w B. I z polecenia klasztoru śpieszę jako pełnomocnik do Rzymu.

Wypowiedziałem to z całym spokojem i sztuczną swobodą, na jaką mogłem się zdobyć.

- To widocznie tylko przypadek - rzekł Reinhold. - Być może po drodze zbłądziliście z głównego gościńca i wstąpiliście tutaj - lecz jakże się stało, że pani baronowa poznała was i przysłała do zamku?

Bez zastanowienia, ślepo powtarzając, co mi wewnątrz podszeptywał głos jakiś obcy, odpowiedziałem:

- Po drodze zapoznałem się ze spowiednikiem baronowej i ten polecił mi spełnić tu miły rozkaz.

- To prawda - przerwał Reinhold - tak też pisała pani baronowa. Bogu niech będą dzięki, że was ku zbawieniu

tego domu poprowadził tą drogą i że taki pobożny, dzielny człowiek pozwolił zatrzymać się w podróży, aby powrócić spokój temu domowi. Byłem przypadkiem przed kilku laty w B. i słuchałem porywających słów, jakieście w niebiańskim natchnieniu mówili z kazalnicy. Ufając waszej gorliwej pobożności, waszemu szczeremu powołaniu do zwycięskiej walki o zbawienie dusz, znając waszą wspaniałą, z wewnętrznego - natchnienia płynącą wymowę, wierzę, że uda się wam to, czegośmy wszyscy nie zdołali dokonać. Cieszę się, żem was spotkał, zanim zobaczycie się z baronem, chcę skorzystać ze sposobności, by was zapoznać ze stosunkami panującymi w familii; uczynię to z całą szczerością, jaką winien jestem wam, wielebny ojcze, jako świętemu mężowi, którego niebo samo zesłało nam na pocieszenie. Muszę też, jeżeli praca wasza ma być celową i skuteczną, potrącić o niejedno, o czym chętnie bym zamilczał. Wszystko zresztą da się streścić w niewielu słowach. Wzrosłem razem z baronem, a jednakie usposobienie naszych dusz zmieniło nas w braci i przełamało szranki położone pomiędzy nami przez samo urodzenie. Nie rozłączałem się z nim nigdy i skorośmy tylko ukończyli akademickie studia, a on objął tu w górach, w posiadanie dobra po zmarłym ojcu, zostałem zaraz dóbr tych intendentem. Pozostałem jego najwierniejszym przyjacielem i bratem i jako taki byłem wtajemniczony w najskrytsze stosunki jego domu. Ojciec chciał go ożenić w pewnej zaprzyjaźnionej rodzinie. Tym chętniej spełnił życzenie rodziców, że w przeznaczonej na żonę pannie znalazł wspaniałą, bogato przez naturę wyposażoną istotę, do której uczuł nieprzeparty pociąg. Rzadko zgadza się wola rodziców tak doskonale z losem, jak w tym przypadku. Wszystko zdawało się łączyć te dzieci, jakby przeznaczone dla siebie. Hermogen i Aurelia byli owocem tego szczęśliwego małżeństwa. Często przepędzaliśmy zimę w pobliskiej stolicy, a gdy po urodzeniu Aurelii baronowa poczęła zapadać na zdrowiu, pozostaliśmy i przez lato w

mieście, ponieważ nieustannie potrzebowała pomocy biegłych lekarzy. Umarła, gdy z nadchodzącą wiosną pozorne polepszenie napełniło barona najweselszymi nadziejami. Uciekliśmy na wieś i tylko czas mógł złagodzić zgryzotę, co trawiła barona. Hermogen wyrósł na wspaniałego młodzieńca; Aurelia była podobną coraz więcej do matki i stała się żywym jej obrazem; troskliwe wychowywanie tych dzieci stało się naszym codziennym zajęciem i radością. Hermogen okazywał niezaprzeczoną skłonność do służby wojskowej i to skłoniło barona iż posłał go do sąsiedniego miasta, aby tam rozpoczął karierę pod okiem starego przyjaciela, gubernatora. Trzy lata temu udał się baron znowu na dłuższy pobyt do stolicy i spędził tam ze mną i z Aurelią całą zimę, już to aby przez dłuższy czas mieć syna w pobliżu, już to aby odwiedzić przyjaciół, którzy go nieustannie o to prosili. Wielkie wrażenie wywołało w tym czasie w stolicy pojawienie się kuzynki gubernatora, która przybyła z rezydencji. Była sierotą i pozostawała pod opieką wuja, chociaż, zajmując osobne skrzydło pałacu, sama dom prowadziła i gromadziła u siebie cały wykwintny świat. Nie będę opisywał Eufemii, zwłaszcza że to zbyteczne, bo wkrótce sam ją ujrzysz, wielebny ojcze. Poprzestanę tylko na wzmiance, że wszystko, co czyniła, co mówiła, było ożywione nieokreślonym powabem, a to potęgowało niesłychanie czar jej nieskazitelnej cielesnej urody.

Wszędzie, gdzie się zjawiła, zakwitało nowe, wspaniałe życie i hołdowano jej z płomiennym entuzjazmem. Najmarniejszego, najbardziej martwego człowieka umiała napełnić takim wewnętrznym ogniem, iż otrząsał się ze swej miernoty i wznosił w rozkosz nieznanego, wyższego życia. Oczywiście, nie brakło wielbicieli, którzy codziennie modlili się gorąco do bóstwa, nikt by jednak nie potrafił stwierdzić, że ona tego lub owego wyróżnia. Owszem, umiała przebiegłą ironią, która nie obrażając działała tylko pobudzająco, jak ostra, paląca przyprawa, umiała narzucić wszystkim nierozerwalne pęta, iż jak zaczarowani obracali

się w magicznym kole wesoło i radośnie. Na barona wywierała ta Cyrce wpływ nie do opisania.

Zaraz przy pierwszym spotkaniu obdarzyła go uwagą, która zdawała się płynąć z dziecięcego poszanowania. W każdej rozmowie z nim okazywała najsubtelniejszy rozum i głębokie uczucie, jakiego prawie nigdy nie spotkał był u kobiet. Z nieopisaną delikatnością starała się o przyjaźń Aurelii i zdobyła ją. Opiekowała się nią tak tkliwie, iż troszczyła się nawet o najdrobniejsze szczegóły jej garderoby i zajmowała się nią jak matka. Umiała ona nieśmiałym, niedoświadczonym dziewczęciem tak mistrzowsko pokierować w świetnym towarzystwie, że pomoc ta, nie rażąc, doskonale uwypuklała wrodzony rozsądek i głęboką wrażliwość Aurelii. Wkrótce też poczęto ją wyróżniać z najwyższym szacunkiem.

Baron unosił się pochwałami bez granic - i oto zdarzyło się po raz pierwszy w naszym życiu, żeśmy się najzupełniej różnili w sądach. Zwykle w każdym towarzystwie jestem raczej cichym, uważnym obserwatorem, niż bezpośrednim uczestnikiem ożywionej zabawy. Toteż Eufemię, która od czasu do czasu, jak to było jej zwyczajem, nie pomijając nikogo, zamieniała ze mną parę życzliwych słów, oceniłem jako istotę w najwyższym stopniu interesującą. Musiałem przyznać, że była najpiękniejszą i najwspanialszą ze wszystkich kobiet, że ze wszystkiego, co mówiła, bił rozsądek i serce; a jednak coś odpychało mnie od niej w niewyjaśniony sposób.

Wprost nie mogłem pokonać jakiegoś bardzo przykrego uczucia, które opanowywało mnie chwilowo, ilekroć zamieniła ze mną spojrzenie lub rozpoczęła rozmowę. W oczach jej płonął jakiś szczególny ogień, błyskający tajemniczo, ilekroć czuła się niewidzianą, jakiś tajemny, niszczycielski żar, ukrywany z trudem a przemocą. Na jej łagodnie zresztą zaokrąglonych ustach błądziła jakaś nienawistna ironia, budząca we mnie lodowate dreszcze, tyle w niej było nieraz ohydnego szyderstwa. Ilekroć

spojrzała tak na Hermogena, który zresztą wcale nią się nie zajmował lub tylko bardzo mało poświęcał jej uwagi, czułem, że poza tą maską kryje się niejedno, czego nikt nie przeczuwa. Oczywiście, nadmiernym pochwałom barona nie mogłem przeciwstawić nic prócz fizjonomicznych spostrzeżeń, z którymi nie liczył się zupełnie, tłumacząc moją wewnętrzną niechęć do Eufemii jakąś bezpodstawną podstawną idiosynkrazją. I zwierzył mi się, że prawdopodobnie Eufemia wejdzie do rodziny, bo on będzie się starał wszelkimi sposobami, aby ją połączyć z Hermogenem.

Właśnie gdyśmy zupełnie poważnie rozważali sprawę przyszłych związków, a ja wyszukiwałem wszelkie możliwe motywy, usprawiedliwiające mój sąd o Eufemii, wszedł Hermogen do izby.

Baron, przywykły działać zawsze szybko i otwarcie odkrył mu natychmiast wszystkie swoje plany i życzenia... Hermogen wysłuchał spokojnie wynurzeń barona i pełnych entuzjazmu pochwał Eufemii. Następnie odpowiedział, że nic go nie pociąga do Eufemii, w najmniejszym nawet stopniu nie czuje ku niej skłonności i z pewnością nigdy by nie mógł jej pokochać, dlatego serdecznie prosi, aby zaniechano planu wszelkiego bliższego łączenia go z tą kobietą. Baron stropił się niemało widząc, jak za pierwszym krokiem obróciły się wniwecz ukochane jego plany.

Mimo to nie usiłował wywierać żadnego przymusu, zwłaszcza że nie znał jeszcze stanowiska Eufemii w tej sprawie. Z właściwą sobie pogodą i dobrodusznością żartował wkrótce ze swych nieszczęśliwych swatów i podrwiwał ze mnie, że zaraziłem Hermogena swoją idiosynkrazją. Nie mógł tylko pojąć, jak w młodej, interesującej kobiecie może się ukrywać taki rys odstraszający.

Stosunek jego do Eufemii nie uległ, naturalnie, żadnej zmianie. Tak się przyzwyczaił do niej, że ani dnia nie mógł wytrwać bez jej widoku. Raz, będąc w dobrym humorze,

powiedział jej żartem, że w całym jej otoczeniu istnieje jeden tylko człowiek, który nie jest w niej zakochany, a tym dziwakiem jest Hermogen, który zuchwale odrzucił jej rękę, ofiarowaną mu w fantazji rozmarzonego ojca. Eufemia odpowiedziała, że przecież i ona miałaby tu coś do powiedzenia, jako druga strona; wprawdzie zależy jej na wszelkim bliższym stosunku z baronem, lecz nie za pośrednictwem Hermogena, który jest za poważny dla niej i zbyt kapryśny. Od czasu tej rozmowy, którą mi baron zaraz opowiedział, zwracała Eufemia podwójną uwagę na barona i Aurelię. Kilku ukrytymi aluzjami dała baronowi poznać, że połączenie z nim samym odpowiadałoby ideałowi szczęśliwego małżeństwa, jaki sobie wymarzyła. Wszystko, co można by nadmienić o różnicy wieku lub innych względach, umiała zbagatelizować w przekonywający sposób, a wszystko to czyniła tak nieznacznie, tak subtelnie, tak zręcznie postępując krok za krokiem naprzód, iż baron uwierzył, jakoby wszystkie myśli, wszystkie życzenia, którymi niejako natchnęła go Eufemia, wykiełkowały w jego własnym sercu.

Człowiek jak on, o usposobieniu bujnym i pełnym życia, uczuł się wkrótce porwany płomienną namiętnością młodzieńca. Nie mogłem już okiełznać dzikiego lotu jego żądzy - było już za późno. W krótkim czasie została Eufemia żoną barona, ku zdumieniu stolicy. Uczułem, że ta groźna, budząca trwogę istota, która mnie dotąd niepokoiła z oddali, weszła teraz w zakres mojego życia i że muszę czuwać jak najtroskliwiej nad przyjacielem i nad sobą samym.

Hermogen przyjął małżeństwo ojca z zimną obojętnością. Aurelia, to kochane, przeczulone dziecko, zapłakała gorzko.

Wkrótce po ślubie zatęskniła Aurelia do gór; przybyła tutaj i muszę przyznać, że jej sposób bycia, pełen wdzięku, odznaczał się taką dystynkcją, że mimo woli musiałem ją podziwiać. Tak minęło dwa lata spokojnego, niczym niezmąconego życia. Obie zimy przepędziliśmy w stolicy, lecz i tu okazywała baronowa tyle nieskończonej czci dla

męża, tyle zrozumienia dla jego najcichszych życzeń, że jadowita zawiść musiała ucichnąć i żaden z młodych panów, którzy w wyobraźni wiele sobie obiecywali za swą galanterię względem baronowej, nie ważył się na najmniejszą uwagę. Ostatniej zimy byłem znowu jedynym, który jej nie ufał bo opanowany znowu dawną, ledwie zabliźnioną idiosynkrazja począłem żywić ku niej ciężkie podejrzenia.

Przed ślubem Eufemii z baronem należał hrabia Wiktoryn, młody, piękny mężczyzna, major gwardii honorowej, bawiący tylko dorywczo w stolicy, do najgorliwszych czcicieli Eufemii, a zarazem był to jedyny człowiek, którego ona często, jakby mimo woli, porwana wrażeniem chwili, wyróżniała przed innymi. Mówiono nawet coś o tym, jakoby pomiędzy nim a Eufemią istniał stosunek bliższy, niżby się mogło zdawać z zewnętrznych pozorów, lecz wieść ta ucichła równie szybko, jak powstała. Hrabia Wiktoryn bawił znowu tej zimy w stolicy i naturalnie obracał się w kołach znajomych Eufemii, zdawał się jednak zupełnie nią nie zajmować, a nawet wyraźnie i z rozmysłem unikać. Mimo to zdawało mi się nieraz, że spotykały się ich spojrzenia, ilekroć przypuszczali, że nie są widziani, a wzrok płonął tęsknotą żarliwą i jątrzył się pożerającym ogniem lubieżnego, gorącego pożądania. Pewnego razu zeszło się u gubernatora doborowe towarzystwo. Stałem wciśnięty we framugę okna, prawie zupełnie zakryty sutą draperią ciężko spływającej zasłony. O dwa lub trzy kroki ode mnie stał hrabia Wiktoryn. Wtem przeszła Eufemia, ubrana powabniej niż zwykle jaśniejąca całą potęgą urody; przesunęła się tuż koło niego, a on ujął ją za ramię z namiętną gwałtownością. Nikt nie mógł widzieć tego, prócz mnie. Zadrżała widocznie i niedającym się opisać spojrzeniem odpowiedziała oczom jego zakochanym - a wyraz jej twarzy był samą miłością, rozpaloną do białości żarami stęsknionej żądzy i rozkoszy. Wymienili szeptem kilka słów, których nie zrozumiałem. Eufemia dostrzegła mnie nagle i odwróciła się szybko, lecz dokładnie posłyszałem słowa: "mogą nas spostrzec!"

Struchlałem z podziwu, grozy i boleści. Jakże wam, wielebny ojcze, potrafię opisać swoje uczucia. Pomyśl o mojej miłości, o wierności niezłomnej, z jaką byłem oddany baronowi. Spełniły się tedy moje złe przeczucia; kilka słów otworzyło mi zupełnie oczy na stosunek, jaki istniał pomiędzy baronową a hrabią. Musiałem wprawdzie tymczasowo milczeć, lecz postanowiłem śledzić baronową oczami Argusa i po uzyskaniu niezbitych dowodów jej zbrodni stargać haniebne więzy, którymi spętała mojego nieszczęśliwego przyjaciela. Lecz któż może się mierzyć z diabelską chytrością? Daremnymi, zupełnie daremnymi były wszystkie moje zabiegi, a byłoby rzeczą śmieszną wyjawić baronowi to, co widziałem i słyszałem; ta podstępna umiałaby wynaleźć tysiące wykrętów, aby mnie przedstawić jako niesmacznego, ulegającego przywidzeniom głupca. Śnieg jeszcze bielał na górach, gdyśmy tu powrócili z początkiem zeszłej wiosny. Mimo to robiłem wiele wycieczek w góry; w pobliskiej wsi natrafiłem na chłopa, który miał coś niezwykłego w sposobie chodzenia i w postawie; gdy odwrócił głowę, poznałem hrabiego Wiktoryna, ale w tejże chwili zniknął mi poza chałupami i nie mogłem go odnaleźć. Cóż innego mogło go skłonić do przebrania, jeżeli nie stosunek z baronową! I teraz także wiem na pewno, że się tu znowu znajduje, bo widziałem jego strzelca w przelocie - chociaż, co prawda, nie pojmuję, dlaczego nie szukał baronowej w mieście.

Przed trzema miesiącami zdarzyło się, że gubernator zachorował i pragnął widzieć się z Eufemią; pojechała natychmiast z Aurelią, bez barona, bowiem z powodu niedyspozycji nie mógł jej towarzyszyć.

Tymczasem nieszczęście i smutek zapukały do naszego domu. Eufemia napisała wkrótce do barona donosząc mu, że Hermogen popadł w melancholię, graniczącą często z szałem, że błądzi samotny, przeklina siebie i swoją dolę, wszystkie zaś starania przyjaciół i lekarzy pozostają bez skutku.

Łatwo pojmiecie, wielebny ojcze, jakie wrażenie wywarła ta wiadomość na baronie. Ponieważ nie zniósłby opłakanego widoku syna, wybrałem się sam do miasta. Wprawdzie silne środki, zastosowane natychmiast, zapobiegły dzikim atakom gwałtownego szału, ale wystąpiła cicha melancholia, którą lekarze uznali za nieuleczalną. Hemlogen, ujrzawszy mnie, wzruszył się głęboko, i wyznał mi, że wielkie nieszczęście zmusza go do porzucenia stanu wojskowego i tylko w sukni zakonnika zdoła się wydrzeć ogniom wiecznego potępienia. Zastałem go już w sutannie, w której widzieliście przed chwilą, wielebny ojcze. W końcu mimo oporu udało mi się sprowadzić go tutaj. Zachowuje się spokojnie, lecz trwa uparcie przy swym zamiarze i w żaden sposób nie mogę wybadać, co go wprawiło w ten stan nieszczęsny, a przecież dopiero po zbadaniu tej tajemnicy można by pomyśleć o właściwych środkach i sposobach leczenia.

Niedawno pisała baronowa, że z porady swego spowiednika przyśle tu jakiegoś zakonnika, by pociechą i towarzystwem wpływał kojąco na Hermogena; może jemu poszczęści się lepiej niż wszystkim, zwłaszcza że szał Hermogena ma zabarwienie religijne. Cieszę się niewymownie, że wybór padł właśnie na was, wielebny ojcze. Może wam uda się powrócić spokój znękanej rodzinie, jeżeli wytężycie uwagę w dwu kierunkach. Wybadajcie straszną tajemnicę Hermogena. Ulży mu takie wyznanie, choćby tylko na świętej spowiedzi - a tak Kościół powróci go do życia i świata, zamiast pogrzebać go w murach. Lecz zbliżcie się także do Eufemii. Wiecie już o wszystkim, a musicie mi przyznać, że spostrzeżenia moje są tego rodzaju; że chociaż nie można na nich oprzeć żadnego oskarżenia przeciw baronowej, wykluczoną jest pomyłka lub niesprawiedliwe podejrzenie. Zgodzicie się ze mną, gdy ujrzycie i poznacie Eufemię. Baronowa jest religijną już z samego usposobienia. Być może uda się waszej niezwykłej wymowie przeniknąć do jej serca, wstrząsnąć nią i skłonić ją do poprawy, by zaniechała zdrady przyjaciela, wiodącej ją

na wieczne zatracenie. I jeszcze jedno - baron, jak mi się zdaje, ukrywa w sercu jakieś ciężkie zmartwienie, bo oprócz troski o Hermogena walczy z jakąś myślą, która go nieustannie nęka. Kto wie, czy przypadek nie naprowadził go jeszcze wyraźniej niż mnie na ślady zbrodniczego stosunku baronowej z przeklętym hrabią. I jego, najdroższego przyjaciela, polecam, ojcze, waszej opiece.

Tymi słowami zakończył Reinhold opowiadanie nad zwyczaj męczące i nieprzyjemne dla mnie, bo prawdziwe sprzeczności ścierały się w mym łonie. Moje własne "ja" stało się igraszką w ręku kapryśnego przypadku i wcielone w cudze postaci tonęło w morzu wszystkich tych zdarzeń, bijących we mnie jak wzburzone fale.

Nie mogłem już odnaleźć samego siebie. Oto Wiktoryn został strącony w przepaść z woli przypadku, który kierował moją ręką, nie wolą. Ja staję za niego na posterunku, lecz Reinhold zna ojca Medarda, kaznodzieję z klasztoru kapucynów, i jestem dla niego istotnie tym czym jestem. Ale stosunek Wiktoryna z baronową przechodzi na mnie, bo ja jestem Wiktorynem, istotnym Wiktorynem. Jestem tym, czym się wydaję, i nie wydaję się tym, czym jestem; sam sobie będąc niewyjaśnioną zagadką, jestem rozdwojony i przeciwstawiony własnemu "ja"!

Mimo wewnętrznego wzburzenia umiałem udać spokój właściwy kapłanowi i tak stanąłem przed baronem. Był to już człowiek podeszły, lecz w przygasłych rysach widniały jeszcze ślady niezwykłej żywotności i siły. Nie wiek to, lecz troska zorała mu szerokie otwarte czoło głębokimi zmarszczkami i pobieliła bujne włosy. Pomimo to z każdego jego słowa i z całego zachowania biła jakaś żywość i pogoda, pociągając każdego nieprzepartą mocą. Reinhold przedstawił mnie jako tego, którego przybycie zapowiedziała baronowa. Utopił we mnie wzrok przenikliwy, a twarz nabierała coraz życzliwszego wyrazu, w miarę jak Reinhold opowiadał, że przed kilku laty słyszał moje kazanie i przekonał się o moim niezwykłym talencie i darze wymowy.

Baron podał mi z ufnością rękę i rzekł zwracając się do Reinholda:

- Wiesz co, kochany Reinholdzie? Dziwnie mnie uderzyły rysy wielebnego ojca, zaraz od pierwszego wejrzenia. Wzbudziły we mnie jakieś niejasne, niedające się uchwycić wspomnienie. Ale na próżno, nic sobie nie mogę przypomnieć.

Czekałem, rychło zawoła: "Toż to hrabia Wiktoryn!", bo dziwnym sposobem uważałem się sam za Wiktoryna i czułem, jak krew napływa mi do głowy i rumieniec rozpala mi policzki. Liczyłem na Reinholda, który miał mnie przecież jako ojca Medarda, mimo że uważałem to za kłamstwo. Nic nie mogło uciszyć stanu zamieszania w mojej duszy.

Baron życzył sobie, bym zaraz zapoznał się z Hermogenem. Posłano po niego, lecz nie był obecny i nie można go było znaleźć. Ktoś widział go, jak szedł w kierunku gór. Nie obawiano się o niego, bo już nie raz znikał śród skał na kilka dni i bawił gdzieś na szczytach.

Dzień cały spędziłem w towarzystwie Reinholda i barona i zwolna tak się opanowałem, że wieczorem, pełen odwagi i siły, byłem już zdecydowany zupełnie świadomie podjąć rękawicę rzuconą mi przez dziwaczne zrządzenie losu, czyhającego na mnie podstępnie. W nocy otworzyłem portfel i stwierdziłem, że istotnie hrabia Wiktoryn był owym nieszczęśliwcem rozbitym w przepaści, zresztą listy były obojętnej treści i żaden z nich nie naprowadzał mnie na jakieś bliższe wskazówki, dotyczące jego spraw osobistych. Nie troszcząc się więcej o to, postanowiłem trzymać się tylko tego, co przyniesie nam los, z chwilą gdy spotkam się z baronową.

Już nazajutrz przybyły niespodzianie baronowa z Aurelią. Widziałem je obie, jak wyszły z powozu, przywitały się z baronem i Reinholdem i weszły w bramę zamku. Niespokojnie chodziłem po pokoju, miotany różnymi przeczuciami. Wkrótce wezwano mnie. Wyszła ku mnie baronowa, piękna, wspaniała kobieta w pełni rozkwitu.

Ujrzawszy mnie wzruszyła się, dziwnie, głos jej zadrżał i zaledwie mogła wypowiedzieć słowo. Widoczne to zakłopotanie jej dodało mi odwagi, spojrzałem jej zuchwale w oczy i udzieliłem zwyczajnego błogosławieństwa. Ona pobladła, lecz musiała się pochylić. Reinhold patrzył na mnie z radością i życzliwym uśmiechem. W tejże chwili otworzyły się drzwi i wszedł baron z Aurelią.

Ujrzałem więc Aurelię. Ujrzałem i jakiś promień wrył mi się w piersi i rozpalił wszystkie najtajniejsze marzenia, najrozkoszniejszą tęsknotę, zachwyt najgorętszej miłości i ożywił nagle wszystko, co dotychczas śpiewało we mnie głosem dalekich, dalekich przeczuć; tak więc życie samo zbudziło ten przemożny promień; po raz pierwszy wschodziło mi życie barwnie i świetlanie, bo dotychczas wszystko leżało poza mną zimne i martwe, struchlałe w pustej nocy.

Ona to była, ona, którą widziałem w owej cudownej wizji przy konfesjonale. Tęskny, a dziecięcy wzrok ciemnoniebieskich oczu, miękko zarysowane wargi, łagodnie, jakby do modlitwy pochylony kark, wysoka, wysmukła postać - nie! nie Aurelia - to była sama święta Rozalia.

Nawet lazurowy szal, który Aurelia zarzuciła na ciemnoczerwoną suknię, opadał w fantastycznych fałdach i na podobieństwo szaty, którą miała święta na obrazie a nieznajoma w wizji. Czymże była bujna piękność baronowej wobec niebiańskiego czaru Aurelii! Ją tylko, ją jedną widziałem; wszystko inne znikło mi z oczu. Moje wewnętrzne wzruszenie nie uszło uwagi obecnych.

- Co wam to, wielebny ojcze? - zapytał baron - jesteście dziwnie wzruszeni... Słowa te przywiodły mnie do opamiętania i natychmiast poczułem w sobie nadludzką moc i odwagę do stawienia czoła wszystkiemu: wszak ona miała być nagrodą walki.

- Ciesz się, baronie - zawołałem, jakby porwany nagle wzniosłym natchnieniem - ciesz się, oto święta przebywa z

nami wśród tych murów; wkrótce otworzy się przejasne niebo i ona sama, święta Rozalia w orszaku aniołów, udzieli pociechy i błogosławieństwa sługom swoim pobożnym i wiernym. Słyszę hymny świetlanych duchów, co tęskniąc za świętą wzywają ją pieśniami i wychylają się z gęstwy obłoków. Widzę jej głowę, jak lśniąca w glorii niebiańskiego przemienienia podnosi się ku chórowi świętych i ogląda go twarzą w twarz. Sancta Rozalia, ora pro nobis!

Padłem na kolana, wznosząc oczy do góry i składając ręce do modlitwy. Wszyscy poszli za moim przykładem. Nie pytano mnie już o nic więcej. Gwałtowny wybuch mojego natchnienia przypisywano jakiejś inspiracji i baron postanowił zamówić kilka mszy przed ołtarzem świętej Rozalii w parafii miejskiej.

Tym sposobem wybrnąłem z opresji i coraz bardziej zdecydowany byłem ważyć się na wszystko, gdyż szło o posiadanie Aurelii, a za to oddałbym życie bez wahania. Baronowa popadła w jakiś dziwny nastrój. Wzrok jej ścigał mnie i śledził, lecz ilekroć spojrzałem jej swobodnie w oczy, zbaczały jej spojrzenia i błądziły w przestrzeni. Cała rodzina przeszła do drugiego pokoju, ja zaś pośpieszyłem do ogrodu i przebiegałem aleje, mocując się z tysiącem postanowień, idei, planów, dotyczących mojego przyszłego życia na zamku.

Już wieczór zapadł, gdy nadszedł Reinhold z oznajmieniem, że baronowa, wzruszona moim natchnieniem, prosi mnie do swego pokoju na rozmowę.

Gdy wszedłem do pokoju baronowej, postąpiła ku mnie, ujęła mnie za ramiona, spojrzała z przerażeniem w oczy i krzyknęła:

- Czy to możliwe, czy to możliwe! Jesteś ty Medardem, mnichem? Ale głos, postać, oczy i włosy twoje! Mów, bo zginę z trwogi i zwątpienia.

- Wiktoryn - szepnąłem cicho, a wtedy porwała mnie w objęcia w dzikim porywie nieokiełznanej żądzy. Potoki żaru zahuczały mi w żyłach, krew zawrzała bezimienną rozkoszą i

zapadła w przepaściach obłędnych zachwytów. Lecz stając się łupem grzechu myślałem tylko o Aurelii, widziałem tylko odnalezioną nieznajomą. Jej tylko składałem w ofierze zbawienie swej duszy, staczając się w otchłań zatraty w chwili złamania ślubów zakonnych.

Tak. Tylko Aurelia żyła we mnie, nią tylko byłem wypełniony. A jednak... drętwiałem od grozy na myśl, że ujrzę ją znowu, i to niebawem, przy wieczerzy. Strachem napełniała mnie myśl, że gdy stanę przed nią, pobożny wzrok dziewczęcia oskarży mnie o winę śmiertelną, zedrze mi z twarzy maskę i zniszczy mnie, przekazując hańbie i zatracie. Nie chciałem też widzieć się z baronową zaraz po tym, co zaszło między nami. Gdy więc zaproszono mnie do stołu, wymówiłem się ćwiczeniami duchownymi i pozostałem w wyznaczonym mi pokoju. W przeciągu kilku dni przezwyciężyłem wszystek lęk i niepewność.

Baronowa była wcieloną rozkoszą. Im bardziej zacieśniał, się nasz stosunek, im bogatszy się stawał w zdrożne rozkosze, tym troskliwiej Eufemia zajmowała się baronem. Wyznała mi, że moja tonsura, broda i ruchy zakonnika wprawiły ją zrazu w niewymowną trwogę, a gdy w nagłym porywie natchnienia wezwałem świętej Rozalii, była przekonaną, że zaszła jakaś pomyłka, że jakiś nieszczęsny przypadek udaremnił jej tajemną zmowę z Wiktorynem, podsuwając na jego miejsce jakiegoś przeklętego prawdziwego kapucyna. Podziwiała moją przezorność, że kazałem sobie wystrzyc tonsurę i zapuściłem brodę, zwłaszcza zaś mój chód i postawę tak dobrze przystosowałem do przybranej roli, że sama nieraz myli się i musi mi dobrze patrzeć w oczy, aby nie popaść w zwątpienie. Od czasu do czasu zjawiał się na skraju parku strzelec Wiktoryna, przebrany za chłopa, i nigdy nie omieszkałem rozmówić się z nim potajemnie i wezwać go do czujności i pogotowia, aby mógł pomóc mi w ucieczce na wypadek jakiegoś niebezpieczeństwa. Baron i Reinhold nie mieli słów na wyrażenie zadowolenia z mej obecności i

prosili natarczywie, bym zajął się melancholijnym Hermogenem serdecznie i wedle sił swego umysłu i wiedzy. Dotychczas jednak nie wymieniłem z nim ni słowa, bo wyraźnie mnie unikał, ilekroć zaś spotkał mnie w towarzystwie barona lub Reinholda, obrzucał mnie tak dziwnym spojrzeniem, że tylko z trudem mogłem zachować spokój. Miałem wrażenie, że on głęboko wnika mi w duszę i przegląda moje najtajniejsze myśli. Nieprzezwyciężona, głęboka nienawiść, tłumiona zawziętość, z trudem powściągany gniew widniały na jego bladej twarzy, ilekroć spojrzał na mnie. Raz, w parku, gdy przechadzałem się Swobodnie w cieniu drzew, spotkał się ze mną całkiem niespodziewanie. Chciałem skorzystać z chwili, by wyjaśnić nasz nieznośny stosunek. Ująłem go szybko za rękę, gdy mijał mnie, i dzięki swemu talentowi udało mi się prze mówić do niego tak przejmująco, z takim namaszczeniem, że istotnie zaczął słuchać z uwagą i nie mógł opanować wewnętrznego wzruszenia.

Usiedliśmy na kamiennej ławce na końcu ścieżki wiodącej do zamku. Zapał mój wzbierał w miarę mówienia. Rozwodziłem się nad tym, jakim to grzechem jest, gdy człowiek oddany zgryzocie gardzi pociechą i pomocą Kościoła, zdolną podnieść upadłego - i tak mija się z celem życia wytkniętym mu ręką Przedwiecznej Mocy. Nawet zbrodniarz nie powinien wątpić o łasce nieba, bo tym zwątpieniem pozbawia się zbawienia, które mógłby zdobyć rozgrzeszony pokutą i pobożnością. W końcu wezwałem go aby się natychmiast wyspowiadał przede mną i otworzył swe serce jak przed Bogiem, a przyrzekam mu odpuszczenie wszelkiego grzechu, jaki popełnił. Zerwał się i ściągnął brwi, oczy trysnęły ogniem; rumieniec przemknął się po trupio bladej twarzy. Nagle krzyknął głosem obłędnego szyderstwa:

- Jesteś ty sam bez winy i tak czysty, że na kształt najczystszego ważysz się, niby sam Bóg, z którego drwisz, patrzeć mi w serce i śmiesz przyrzekać odpuszczenie

grzechów, ty, który sam na próżno będziesz wołał o odpuszczenie i wył o łaskę niebiosów, co już na wieczność zawarły się dla ciebie. Nędzny oszuście, przyjdzie czas zapłaty. Wijąc się w prochu, jak robak przebrzydły, odpychać będziesz śmierć rękami wyciągniętymi z prośbą o pomoc, o wybawienie z niewypowiedzianej męki - ale na próżno: scześniesz w szale i zwątpieniu! -

Odszedł pośpiesznie, zostawiając mnie w osłupieniu. Byłem zdruzgotany, zniszczony. W proch się rozwiała moja przytomność, moja odwaga.

Ujrzałem Eufemię. Szła z zamku, w kapeluszu i szału, ubrana jak do spaceru. U niej tylko mogłem znaleźć pociechę i pomoc. Rzuciłem się więc naprzeciw. Przestraszyła się na widok mojego pomieszania i spytała o przyczynę niepokoju. Opowiedziałem jej wiernie całe zajście z szalonym Hermogenem, zwierzając się równocześnie z obawą i podejrzeniem, czy też jakiś przypadek nie zdradził Hermogenowi naszego stosunku. Eufemia nie stropiła się tym wcale, owszem, uśmiechnęła się tak dziwnie, że przejęła mnie groza, i rzekła:

- Chodźmy głębiej w park, bo tu mogliby spostrzec, że wielebny ojciec Medard coś za żywo rozprawia ze mną.

Dotarliśmy do odległego gaiku. Eufemia objęła mnie namiętnie i poczęła całować gorącymi, płomiennymi ustami.

- Spokojnie, Wiktorynie - rzekła - spokojnie! Drwij sobie z tego wszystkiego, co cię napełnia taką obawą i zwątpieniem. Cieszy mnie to zajście z Hermogenem, bo teraz mogę i muszę ci powiedzieć coś, o czym długo milczałam. Wiesz, że umiem sobie zdobywać dziwną duchową władzę nad wszystkim, co mnie w życiu otacza. Mniemam, że łatwiej o to kobiecie niż mężczyźnie; potrzeba jej do tego tylko drobnostki: oprócz niewypowiedzianego, nieprzepartego czaru, jakim obdarzyła kobietę sama natura, trzeba mieć jeszcze w sobie owego wyższego ducha, co spaja w jedno powab urody z bogactwem umysłu i potem

rządzi do woli. Jest to cudowne wynijście z siebie samej, pozwalające spojrzeć z innego punktu na swoje własne “ja", które potem staje się uległym narzędziem w ręku wyższej woli, nadającym się do spełnienia celu uznanego przez nią za najwyższy w życiu. Jestże coś wyższego niż opanowanie samego życia w życiu, wszystkich jego przejawów, wszystkich bogatych odcieni użycia, zawładnięcie magicznym zaklęciem samowoli danej dumnemu władcy? Ty, Wiktorynie, należałeś od dawna do tych niewielu, którzy mnie zupełnie rozumieli. I ty zdobyłeś sobie moc panowania nad sobą samym i, podobne mojemu, stanowisko w stosunku do siebie samego. Dlatego nie wahałam się podnieść cię na tron moich wyżyn, niby królewskiego małżonka. Tajemnica podwajała czar tego związku, a nasza pozorna rozłąka miała tylko dać ujście fantazji naszego kaprysu, co igra dla naszej zabawy z mizernymi stosunkami powszedniego życia. Nie jestże nasze obecne pożycie najzuchwalszym czynem, co pomyślany przez wyższego ducha szydzi z bezsilności konwencjonalnych ograniczeń? Nawet twój wygląd niezwykły - a nie zależy on od samego przebrania - budzi we mnie wrażenie, jakoby duch ugiął się tu pod warunkującą go zasadą i taką siłą promieniuje na zewnątrz, że nawet ciało odkształca i formuje w sposób najlepiej odpowiadający przeznaczeniu. Widzisz więc, jak z wyżyn tego głęboko z mej istoty płynącego poglądu na rzeczy serdecznie gardzę wszelkim przepisem i nakazem, igrając z nim swobodnie. Baron jest dla mnie wstrętną, nie do zniesienia maszyną; zużyta w służbie mych celów, leży martwo u mych stóp, jak stojący zegar. Reinhold jest zbyt ograniczony, bym na niego zwracała uwagę. Aurelia to dobre dziecko. Pozostaje więc tylko Hermogen, Wyznałam ci już, że przy pierwszym spotkaniu zrobił on na mnie jakieś dziwne wrażenie. Mówiłam sobie: oto człowiek zdolny do wyższego życia, jakie mu ukażę - i pomyliłam się po raz pierwszy. Było w nim coś wrogiego mi i stającego do walki z mą wolą. Nawet czar, którym mimo woli pętałam innych,

odpychał go ode mnie. Zimny, ponury, zamknięty w sobie, opierał mi się z niezwykłą siłą, podniecając we mnie wrażliwość i ochotę do walki, w której miał zostać pokonany. Rzuciłam mu wyzwanie w chwili, gdy mi baron opowiedział, jak to Hermogen odrzucił propozycję związku ze mną. W owej to chwili pomyślałam o zaślubieniu barona, by jednym zamachem usunąć sobie z drogi wszelkie krępujące mnie względy towarzyskie. Lecz mówiłam już dosyć z tobą o tym małżeństwie i wątpliwości twej przeciwstawiłam czyn, bo w ciągu kilku dni udało mi się zmienić tego starca w tak zaślepionego i czułego kochanka, że wszystkie moje życzenia musiał odtąd uważać za spełnienie swych własnych najgłębszych pragnień, o których nawet nie śmiałby mówić głośno. Ale głęboko na dnie drzemała we mnie myśl o zemście na Hermogenie, o tyle łatwiejszej teraz i przyjemniejszej. Odłożyłam cios na potem, aby tym lepiej i śmiertelniej utrafić. Gdybym cię mniej znała, gdybym nie wiedziała, że potrafisz wznieść się na wyżyny mych myśli, zawahałabym się, czy ci mówić dalej o tym, co się stało. Postanowiłam sobie dobrać się do samego wnętrza Hermogena, pojawiłam się w stolicy i ponura, zamknięta w sobie, stałam się zupełnie kontrastem Hermogena, który śród licznych zajęć służby wojskowej poruszał się teraz pogodnie i wesoło. Choroba wuja nie pozwalała na oddawanie się życiu towarzyskiemu; a ja umiałam uniknąć wizyt nawet najbliższego otoczenia. Hermogen odwiedził mnie prawdopodobnie z obowiązku względem matki i znalazł mnie pogrążoną w ponurych rozmyślaniach. A kiedy zdziwiony moją uderzającą zmianą począł natarczywie pytać o przyczynę, wyznałam mu ze łzami, że groźny stan zdrowia barona, który on tylko z trudem ukrywa, napełnia mnie obawą, iż wkrótce go utracę, a myśl o tym jest dla mnie okrutną i nie do zniesienia. Był wzruszony, a gdy z wyrazem najgłębszego uczucia kreśliłam mu szczęście swego małżeństwa z baronem, gdy subtelnie a żywo wchodziłam w najdrobniejsze szczegóły naszego pożycia na wsi, gdy w

coraz to świetniejszych barwach przedstawiałam wspaniały umysł barona i całą jego istotę, w miarę jak coraz to wyraźniej okazywało się, że bezgranicznie czczę swego męża i w nim tylko żyję, wzmagał się i rósł podziw i zdumienie Hermogena. Walczył sam z sobą, ale wpływ, który teraz, niby moje własne ja, przeniknął go do głębi, odniósł zwycięstwo nad jego wrogim stosunkiem do mnie. Tryumf mój był zapewniony, gdy już następnego wieczora przyszedł mnie odwiedzić. Zastał mnie samotną, jeszcze bardziej ponurą, jeszcze bardziej wzburzoną niż wczoraj. Mówiłam o baronie i o swej niewymownej tęsknocie za mężem. Hermogen stracił wkrótce równowagę, był jakby nie ten sam, nie odrywał wzroku od moich oczu, a ich niebezpieczny ogień wzniecał pożar w jego sercu. Ilekroć ręka moja znalazła się w pobliżu jego ręki, wzdrygał się konwulsyjnie, a głębokie westchnienia wyrywał mu się z piersi. Obliczyłam dokładnie chwilę najwyższego napięcia tej bezwiednej egzaltacji. Tego decydującego wieczoru nie pogardziłam owymi sztuczkami, których tak często się używa i zawsze od nowa stosuje z powodzeniem. Udało się! Skutki były straszniejsze, niż przypuszczałam, tym bardziej jednak tryumfowałam na widok swej potęgi. Moc, z jaką pokonałam w nim nieprzyjaciela, złamała go na duchu. Popadł w obłęd, jak wiesz, choć dotychczas nie znałeś właściwej przyczyny. Rzecz dziwna: nieraz ma się wrażenie, że wariaci pozostają w ściślejszym związku z duchem świata a za to w luźniejszym ze swoim własnym wnętrzem i chociaż na kształt bezprzytomnych głupców są poruszani obcą swej istocie zasadą, mogą przeglądać skryte w nas tajemnice i wypowiadają je w jakimś przedziwnym brzmieniu, tak że nieraz zdajemy się słyszeć upiorny głos własnego sobowtóra i drżymy zdjęci grozą. Być może więc, że Hermogen przenika cię tajemniczym sposobem, o ile chodzi o wzajemny stosunek nas trojga: mnie, ciebie i jego - i dlatego tak cię nienawidzi. Bądź jednak spokojny - nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo. Pomyśl tylko, chociażby nawet

wyrwał się ze swoją nieprzyjaźnią przeciw tobie, choćby nawet zawołał: “Nie wierzcie przebranemu mnichowi!", któż weźmie to za coś innego, jak nie za ideę szaleńca, zwłaszcza że Reinhold raczył łaskawie rozpoznać w tobie ojca Medarda. Na razie jest tylko pewnym, że, wbrew mym zamysłom, nie możesz już wpływać na Hermogena. Zemsta moja już jest dokonana. Hermogen stał mi się już niepotrzebnym niby zepsuta zabawka. Ciąży mi tylko, tym bardziej że, jak mi się zdaje, poczytuje sobie za pokutę patrzeć na mnie i dręczy mnie swymi nieruchomymi, na wpół martwymi spojrzeniami. Trzeba go usunąć i mam nadzieję, że mi w tym pomożesz. Należy go umocnić w zamiarze wstąpienia do klasztoru, a równocześnie, twierdząc usilnie, że stan duszy Hermogena wymaga koniecznie klasztoru, usposobić barona i jego doradcę, Reinholda, życzliwie dla tych zamiarów obłąkańca. Nie mogę już ścierpieć Hermogena. Jego spojrzenia wstrząsają mną. Należy go usunąć! Jedyną osobą, do której odnosi się inaczej, jest Aurelia, pobożne, naiwne dziecko. Jedynie przez nią możesz wywrzeć wpływ na Hermogena. Postaram się o to, byś mógł wejść w bliższe z nią stosunki. O ile sposobność się zdarzy, mógłbyś zdradzić się przed Reinholdem i baronem z tym, że Hermogen wyznał ci na spowiedzi ciężką zbrodnię, o której jednak nie pozwala ci mówić obowiązek spowiednika. Lecz o tym jeszcze pomówimy w przyszłości! Teraz już wiesz wszystko, Wiktorynie. Działaj i bądź moim. Panuj wraz ze mną nad tym marnym światem kukiełek. Bierzmy od życia, co ma najwspanialszego, nie krępując się niczym!

W oddali ukazał się baron. Ruszyliśmy ku niemu niby zatopieni w pobożnej rozmowie. Być może słowa Eufemii o zasadach jej życia wystarczyły, by wzbudzić we mnie poczucie jakiejś niezłomnej siły, co poruszała mnie niby wpływ wyższych zasad. Coś nadludzkiego wstąpiło we mnie i podniosło mnie nagle na stanowisko, z wyżyn którego jawiło mi się wszystko w innych niż dotychczas stosunkach i w innych barwach. To, czym się tak chlubiła Eufemia, owa

siła ducha, owa władza nad życiem, wydało mi się czymś godnym gorzkiego szyderstwa. W chwili gdy nieszczęsna, rozpoczynała swą pustą, nieopatrzną grę z niebezpiecznymi zawikłaniami życia, padła ofiarą przypadku i złego przeznaczenia, kierującego mą ręką. To moja siła, rozpalona przez tajemnicze potęgi, kazała jej widzieć przyjaciela i sojusznika w tym właśnie człowieku, który przypadkiem, jedynie na jej zgubę miał postać jej kochanka i niby moc wraża pochwycił ją w szpony niwecząc wszystką wolność. Gardził on Eufemią i jej czczym, samolubnym szałem. Stosunek z nią był mi tym wstrętniejszy, że jedynie Aurelia żyła w moim wnętrzu i tylko ona ponosiła winę za me grzechy, o ile mogłem poczytać za zbrodnię to, co mi się teraz wydawało najwyższym szczytem wszelkiej rozkoszy świata. Postanowiłem skorzystać jak najzupełniej z wypełniającej mnie potęgi i pochwyciwszy magiczną laskę zakreślić nią kręgi, w których by wszystko obracało się koło mnie, ku mojemu zadowoleniu i zabawie. Baron i Reinhold ubiegali się wzajemnie w uprzyjemnianiu mi pobytu na zamku.

Nie powstało w nich nawet najmniejsze przeczucie stosunku mojego z Eufemią, owszem, nieraz w mimowolnym przypływie szczerości dał mi baron do poznania, że dopiero przeze mnie Eufemia należy znowu zupełnie do niego, a to zdawało się potwierdzać przypuszczenie Reinholda, że jakiś przypadek naprowadził barona na ślady tej zakazanej drogi, po której stąpała jego żona. Hermogena widywałem rzadko. Unikał mnie z widoczną trwogą i niepokojem. Baron i Reinhold przypisywali to lękowi przed moją świątobliwą, pobożną postacią i tą duchową siłą, co przeglądała na wskroś umysł jego pomieszany. Lecz i Aurelia unikała mnie widocznie i schodziła mi z drogi. Ilekroć przemówiłem do niej, trwoga i zakłopotanie widniały w całej postaci dziewczęcia. Zupełnie jak Hermogen...

Byłem pewny, że szalony Hermogen zwierzył Aurelii owe straszne przeczucia, które mną wstrząsnęły, a mimo to

wydawało mi się możliwym przezwyciężyć to złe wrażenie. Prawdopodobnie na życzenie baronowej, która chciała ułatwić mi zbliżenie z Aurelią, dla uzyskania wpływu na Hermogena, poprosił mnie baron, bym zaczął wprowadzać Aurelię w wyższe tajniki wiary. Tak więc Eufemia sama dawała mi w ręce środek do osiągnięcia najwspanialszego szczęścia, o jakim śniłem w wyobraźni, w tysiącach najbujniejszych obrazów. Czymże było owo widzenie w kościele, jak nie obietnicą wyższej potęgi, że daną mi będzie ona, której posiadanie jedynie mogło śmierzyć burzę szalejącą mi w łonie, uspokoić gwałtowne fale tęsknot, miotających mnie po wybrzeżu nieszczęścia. Spojrzenie Aurelii, jej bliskość, dotknięcie jej szat wzniecało we mnie płomienie. Krew podminowała tajemniczy warsztat myśli i płomiennymi marzeniami mówiła ze mną o cudownych tajemnicach wiary, podstawiając pod wyrazy rozkoszne szaleństwo pożądliwej miłości. Żar moich słów miał zapadać zarazą miłosną w łono Aurelii, a ona - miała się bronić daremnie. Obrazy ciskane w jej wnętrze miały prowadzić dzieło moich pragnień: rozwijać się czarownie, coraz to promienniej, w coraz to większych płomieniach, pękać i wyrzucać ze siebie nasiona żądzy miłosnej, zasiewać jej łono przeczuciami nieznanej rozkoszy, dopóki sama, parta i rozdzierana niewymowną tęsknotą, nie rzuci mi się dobrowolnie w objęcia.

Przygotowywałem się jak najtroskliwiej na tak zwane lekcje z Aurelią i umiejętnie stopniowałem wrażenie swych przemówień. Nabożnie, ze splecionymi rękami, spuściwszy oczy, słuchało mnie pobożne dziecko, lecz żaden ruch, żadne westchnienie nie zdradzało jakiegoś głębszego wpływu mojej miłosnej presji. Trudy i wysiłki nie doprowadzały mnie do niczego. Zamiast wieść ją na pokuszenie, paliłem się sam coraz to boleśniej, coraz to krwawiej. Pijany bólem i żądzą knułem plany zgubienia Aurelii. A kiedy przed Eufemią kłamałem zachwyt i pożądanie, wzbierała mi w sercu żrąca nienawiść ku niej, a

ta dziwna sprzeczność i rozdwojenie nadawały mojemu zachowaniu się wobec baronowej coś dzikiego, coś odrażającego, przed czym mimo woli drżała. Obcym i nieznanym było jej wszystko, co działo się w mej piersi. Iż umiałem zatrzeć najmniejszy ślad tajemnicy, musiała mimo woli uginać się pod władzą, którą coraz to bardziej nad nią zdobywałem.

Często przychodziło mi na myśl, by jakimś dobrze obmyślonym gwałtem, spełnionym na Aurelii, zakończyć swe męczarnie, lecz ilekroć spojrzałem na nią, czułem poza nią anioła obrońcę, stojącego na straży z mieczem wymierzonym przeciw nieprzyjacielowi. Mróz przebiegał mi po członkach obracając w ohydny lód złe zamiary. Wreszcie postanowiłem odmawiać z nią modlitwy; w modlitwie bowiem wyłania się sam ogień nabożeństwa, budzą się ze snu najtajniejsze drgania naszej istoty, falują burzliwie ku górze i wyciągają ramiona polipa, aby pochwycić i posiąść to Nieznane, to, co jedynie jest zdolne uciszyć bezimienną tęsknotę rozdzierającą piersi. W onej to chwili może podmuch ziemski w masce niebiańskich porywów najść wzburzony umysł i w najwyższym użyciu obiecać już tu na ziemi spełnienie niesłychanego; nieświadoma namiętność ulegnie złudzie, a pęd ku rzeczom świętym i nadziemskim załamie się w bezimiennych, nieznanych jeszcze zachwytach ziemskiej żądzy. Już w tym, że musiała powtarzać za mną stworzone przeze mnie modlitwy, widziałem korzyść dla swych zdradnych zamysłów.

I rzeczywiście! Gdy tak klęczała przy mnie ze wzrokiem zwróconym ku niebu, gdy tak powtarzała za mną słowa modlitwy, zabarwiły się żywiej jej policzki i rozfalowało się łono. Niby w zapale modlitwy ująłem jej ręce i przycisnąłem je do piersi. Byłem tak blisko jej łona, iż czułem ciepło jej ciała. Rozpuszczone włosy spłynęły mi na ramiona. Porwany żądzą nie władnąłem już sobą. Objąłem ją wpół w dzikim pragnieniu i usta moje przywarły do jej ust, do jej piersi...

Nagle z przeszywającym krzykiem wydarła mi się z objęć. Nie miałem siły, by ją zatrzymać. Stałem jak raniony piorunem. Uciekła szybko do sąsiedniego pokoju. Drzwi otworzyły się i na progu ukazał się Hermogen. Stanął bijąc we mnie pociskami zohydzonych, upiornych obłędem spojrzeń. Wówczas, skupiając wszystkie siły, przystąpiłem ku niemu zuchwale, i krzyknąłem gromkim, rozkazującym głosem:

- Czego tu chcesz? Precz, szaleńcze!

Ale Hermogen wyciągnął prawicę i rzekł okrutnie a głucho:

- Chciałem cię wyzwać do walki, lecz nie mam miecza; a ty jesteś mordem, krew cieknie ci z oczu i zasycha na brodzie! Zniknął zatrzaskując gwałtownie drzwi. Zostałem sam, wściekły na siebie, że dałem się porwać przemocy chwili. Zdradziłem się, czeka mnie zguba. Nikt nie nadchodził. Miałem więc dosyć czasu do uspokojenia się, a panoszący się we mnie duch podsuwał mi zaraz sposoby uniknięcia złych następstw nieszczęsnego zajścia.

Pośpieszyłem do Eufemii i z zuchwałą bezczelnością opowiedziałem jej całe zdarzenie z Aurelią. Eufemia nie przyjęła tego tak lekko, jak sobie życzyłem, i widocznym było, że mimo osławionej siły ducha, mimo wyższości swych poglądów na te rzeczy, odezwała się w niej małostkowa zazdrość; być może jednak obawiała się, że Aurelia poskarży się na mnie, a przez to pryśnie nimb mej świętości i niebezpieczeństwo zagrozi naszej tajemnicy. Z jakiejś niejasnej obawy przemilczałem wystąpienie Hermogena i jego straszliwe, przeszywające słowa. Eufemia milczała przez kilka minut. Patrząc mi uważnie w oczy, zdawała się pogrążoną w głębokiej zadumie.

- Wiktorynie - rzekła w końcu - czyżbyś nie pojął moich wspaniałych myśli? Rozwiń skrzydła i leć za mną tam, gdzie pójść zamierzam. Dziwi mnie bardzo, że ty, który jak władca masz bujać nad zjawiskami życia, nie możesz klęczeć przy ładnej dziewczynie, żeby jej nie objąć i nie pocałować. Nie

biorę ci za złe żądzy, co cię ogarnęła, nie, dziwię się tylko. O ile znam Aurelię, wstyd zamknie jej usta. Nie powie nikomu o całym wypadku. Postara się tylko pod jakimkolwiek pozorem przerwać te twoje zbyt namiętne lekcje. Nie obawiam się więc bynajmniej przykrych następstw, jakie mogła ściągnąć twoja lekkomyślność i niepohamowany temperament. Nie czuję nienawiści ku Aurelii. Złości mnie tylko jej brak wymagań, jej cicha pobożność, poza którą kryje się nieznośna duma. Nie udało mi się nigdy zdobyć jej zaufania. Pomimo wszelkich zabiegów z mej strony, pozostała płochliwą i zamkniętą w sobie. Ta oporność, ta niechęć zbliżenia się ku mnie z zupełnym oddaniem, to unikanie mnie pobudza mnie do gniewu. Szczytna to myśl ujrzeć złamanym i zwiędłym ten kwiat, tak dumny z piękna swych błyszczących barw! Pozwalam ci spełnić tę szczytną myśl. Nie powinno braknąć środków, wiodących łatwo i pewnie do celu. Na głowę Hermogena powinna spaść wina i zniszczyć go!

Eufemia mówiła jeszcze dalej o swoim planie, a z każdym słowem stawała mi się bardziej nienawistną, bo widziałem w niej tylko zwyczajną zbrodniarkę. Chociaż bardzo pragnąłem zguby Aurelii, bo tylko w jej zniszczeniu widziałem nadzieję uwolnienia się od bezgranicznej męki szalonej miłości, to przecież wstrętnym mi było współdziałanie Eufemii. Odrzuciłem natychmiast ofiarowaną mi pomoc i propozycję. Zdziwiła się, lecz nie dbałem o to, zdecydowany stanowczo o własnych siłach spełnić zadanie, w którym chciała mnie wspierać Eufemia.

Zgodnie z przypuszczeniem baronowej nie opuszczała Aurelia swojego pokoju i, wymawiając się słabością, przerwała na kilka dni naukę. Hermogen, wbrew swemu zwyczajowi, przebywał teraz więcej w towarzystwie barona i Reinholda. Mniej skupiony w sobie, wydawał się dzikszym i gniewniejszym. Często mówił głośno i dosadnie i zauważyłem, że patrzył na mnie oczami pełnymi tłumionej zapalczywości, ilekroć spotkaliśmy się przypadkiem.

Zachowanie barona i Reinholda zmieniło się jakoś dziwnie w przeciągu kilku dni. Nie obniżając w niczym owego szacunku i poważania, z jakim zwykle zwracali się do mnie, nie umieli już powrócić do swobodnego, szczerego tonu, który dotąd ożywiał nasze rozmowy. Coś jakby dziwne przeczucie krępowało ich słowa i ruchy. Każda rozmowa, każde zdanie było tak wymuszone, tak zimne, że tknięty różnymi przypuszczeniami musiałem dobrze panować nad sobą, aby przynajmniej wydać się niezmieszanym. Spojrzenia Eufemii mówiły mi, że zaszło coś, czym się czuła niezwykle wzburzoną. Lecz przez cały dzień nie było okazji do rozmowy na osobności.

Późno w nocy, gdy wszyscy w zamku posnęli, otworzyły się nagle tapetowe drzwi w ścianie mojej izby których dotychczas nie zauważyłem, i weszła Eufemia dziwnie wzburzona, w nastroju, w jakim nigdy jeszcze jej nie widziałem.

- Wiktorynie - rzekła - grozi nam zdrada. To Hermogen, ten szalony Hermogen, wiedziony dziwnymi przeczuciami, odkrył naszą tajemnicę.

W różnych przytykach, brzmiących potwornie, jak upiorne wyrocznie ciemnego przeznaczenia, co nami włada, wzbudził w baronie podejrzenie, które mnie prześladuje piekielnie, choć nie zostało wyraźnie wypowiedziane. O tym, kim jesteś, o tym, że pod tą świętą szatą ukrywa się hrabia Wiktoryn, zdaje się, nic nie wie Hermogen. Twierdzi tylko, że wszystka zdrada wszystek podstęp, wszystkie nieszczęścia, jakie zawisły nad nami kryją się w tobie, że niby sam szatan wcisnął się do naszego domu mnich ożywiony diabelską mocą, knujący przeklętą zdradę. Nie mogę już wytrzymać. Męczy mię, obmierzle gwałt, zadawany mi przez zdziecinniałego starca. Szarpany zazdrością śledzi trwożliwie me kroki. Trzeba mi precz odrzucić tę nudną zabawkę. Wiktorynie, musisz mi pomóc i to tym chętniej, że od razu uwolnisz się od niebezpieczeństwa. Inaczej przyłapią cię i zedrą maskę z twarzy i ujrzysz, jak nasz genialny stosunek

spadnie do rzędu zwykłych zużytych maskarad, zwykłych historii małżeńskich. Trzeba usunąć nieznośnego starca. Lecz jak? Musimy się zastanowić, lecz wprzódy posłuchaj, co myślę. Wiesz, że baron codziennie rano wychodzi sam w, góry, aby się pokrzepić widokiem okolicy. Wymknij się wcześniej od niego i staraj się spotkać go u wyjścia z parku. W pobliżu leży dzika, straszliwa grupa skał a pod nią czarna, bezdenna otchłań. Tam sterczy "diabli szczyt".

Mówią, że trujące opary wznoszą się z przepaści i ponoć tak odurzają śmiałka, patrzącego w głębię, iż pada bez ratunku w bezdeń; Baron, śmiejąc się z tej bajki, staje często na tym urwisku ponad przepaścią, by się nacieszyć widokiem. Nic łatwiejszego, jak nakłonić go, by cię tam poprowadził na to niebezpieczne miejsce. A gdy już stanie tam i wpatrzy się w głębię - jedno silne pchnięcie twej ręki uwolni nas na zawsze od bezsilnego głupca.

- Nigdy! - krzyknąłem gwałtownie - znam tę przepaść; znam ten “diabli szczyt". Nigdy! Precz z tobą i z twoją zbrodnią!

Eufemia zerwała się i dzikie płomienie zamigotały w jej oczach. Z twarzą wykrzywioną z wściekłości, blada i wrząca gniewem krzyknęła:

- Tchórzu! Śmiesz mi się sprzeciwiać nikczemnie? Wolisz więc jarzmo niż panowanie ze mną? Ale trzymam cię w ręce. Nie wymkniesz się, władzy, co trzyma cię, u mych stóp! Musisz spełnić mój rozkaz. Jutro zginie ten którego widok mnie męczy!

Ledwie wymówiła te słowa, wybuchnąłem szyderskim śmiechem. Gorycz paliła mi usta; dusił mnie wstręt i pogarda dla nędznej przechwałki. Eufemia zadrżała. Trupia bladość trwogi i głębokiego przerażenia pokryła jej twarz.

- Szalona - wrzasnąłem - co ci się, marzy? Chcesz władać życiem? Chcesz igrać z przeznaczeniem? Strzeż się, by ta zabawka nie skołczała ci w ręku w miecz obosieczny, w ostry miecz na ciebie! Zginiesz! Wiedz, nieszczęsna, że nie masz władzy nade mną. Ja to mam cię w swej mocy, jak

przeznaczenie. Twoja zbrodnicza gra to tylko konwulsja zwierza zakutego w klatce. Nędznico! Twój kochanek leży rozbity tam, pod “diablim szczytem", a ty zamiast niego brałaś w ramiona strasznego ducha zemsty. Idź i rozpaczaj!

Eufemia zachwiała się. Drżąc konwulsyjnie chyliła się, ku ziemi. Podtrzymałem ją i wyprowadziłem z pokoju przez drzwi tapetowe.

"Zabij ją!" - mówiło coś we mnie, ale bezwiednie zaniechałem tego, bo w pierwszej chwili, gdy otwierałem drzwi, byłem przekonany, że już ją zabiłem. Usłyszałem przeszywający krzyk i zatrzaśnięcie drzwi.

Więc stało się... Zająłem stanowisko, które zająć musiałem. Cios miał iść za ciosem. Niby zły duch zemsty miałem dokonać okropności. Zguba Eufemii była postanowiona, a płomienna nienawiść wraz z najwyższym zapałem miłości miały upoić mnie rozkoszą godną nieśmiertelnego ducha mej piersi. Z chwilą zaś śmierci Eufemii Aurelia miała zostać moją. Zdumiałem się nad wewnętrzną siłą Eufemii. Następnego dnia ukazała się niezakłopotana i pogodna. Sama mówiła o tym, że poprzedniej nocy popadła w pewnego rodzaju somnambulizm i że potem gwałtownie spazmowała. Baron wypytywał się troskliwie o objawy słabości; spojrzenia Reinholda były niepewne i niedowierzające. Aurelia została w swym pokoju, a ja, pozbawiony jej widoku, tym gwałtowniejszą płonąłem wściekłością. Eufemia poleciła mi, bym znaną drogą wkradł się do jej pokoju, skoro już wszystko uciszy się w zamku.

Przystałem. Nadeszła chwila jej ostatnia. Los miał się wypełnić. Mały spiczasty nóż, który od młodości nosiłem przy sobie i którym zręcznie umiałem wyrzynać w drzewie, ukryłem w habicie i tak, zdecydowany na morderstwo, poszedłem do niej.

- A więc tak... - zaczęła - mieliśmy wczoraj ciężkie, straszne sny. Jakieś przepaści, wiele przepaści... ale to już minęło.

Oddała się następnie, jak zwykle, moim występnym pieszczotom, a we mnie chichotało szatańskie szyderstwo i bawiło się wstrętnie rozkoszą wzbudzaną nadużyciem jej własnej bezecności. A gdy tak leżała w mych ramionach, wypadł mi nóż. Zadrżała, jakby zdjęta śmiertelną trwogą. Szybko podniosłem nóż, odwlekając jeszcze morderstwo. Samo zresztą szło mi w ręce, posłuszne, niespodziewane. Eufemia postawiła na stole włoskie wino i smażone w cukrze owoce. "Och, zawsze tak samo i zawsze niezręcznie!" - pomyślałem i przestawiłem zwinnie szklanki. Udając, że jem, wpuszczałem owoce do szerokiego rękawa. Wypiłem kilka szklanek wina, ale ze szklanki, którą dla siebie postawiła; gdy wtem Eufemia udała, że słyszy jakiś szelest w zamku, i prosiła, bym ją opuścił. Według jej zamysłu miałem skończyć w swoim pokoju. Sunąłem się przez długie, słabo oświecone korytarze.

Przechodząc koło pokoju Aurelii zatrzymałem się jak urzeczony. Widziałem ją, jak gdyby unosiła się w powietrzu, spoglądając na mnie wzrokiem pełnym miłości, jak ongi, w owej wizji, i dając mi znaki, bym za nią szedł. Pod naciskiem mej ręki ustąpiły drzwi. Stałem w pokoju, tylko przymknięte były drzwi gabinetu. Duszne powietrze płynęło ku mnie jak upajający narkotyk. Żar miłości trząsł mną, jak rzeka gałęzią. Byłem ogłuszony. Zaledwie mogłem oddychać. Z gabinetu płynęły głębokie, pełne trwogi westchnienia śniącej - może o zdradzie i zabójstwie. Słyszałem, jak się we śnie modliła. "Do czynu, do czynu! Dlaczego się wzdrygasz? Chwila ucieka!" - tak popędzała mnie nieznana moc, zaczajona w duszy.

Już zrobiłem jeden krok do gabinetu, gdy wtem krzyknął ktoś poza mną:

- Tuś mi, łotrze przeklęty! Teraz do mnie należysz! - i chwycił mnie z tyłu z ogromną siłą,

Był to Hermogen. Wytężyłem wszystkie siły i wydarłem się napastnej kunie wariackich palców. Postąpiłem naprzód, w wymarzonym kierunku, jakby nikt mnie nie ścigał, jakby nikt

nie śledził tuż za mną, ale na nowo chwycił mnie za ramię napastniczy wariat i począł szarpać mi grzbiet wściekłymi ukąszeniami. Na próżno walczyłem z nim długo, nieprzytomny z bólu i wściekłości. Wreszcie silne uderzenie zmusiło go do odczepienia się ode mnie, a gdy po raz trzeci rzucił się na mnie, wyciągnąłem swój nóż. Dwa pchnięcia i rzężąc upadł na ziemię, aż głucho odbiło się echo w korytarzu. W walce rozpaczy wysunęliśmy się z pokoju. Teraz, skoro Hermogen upadł, rzuciłem się do ucieczki. W dzikim szale zbiegłem po schodach na dół. Przeraźliwe głosy wołały po całym zamku: "Zabójstwo! Zabójstwo!"

Światła migały tu i tam, a kroki nadbiegających rozbrzmiewały po długich chodnikach. Trwoga mieszała mnie. Wpadłem na odległe schody boczne. Coraz głośniej, coraz jaśniej robiło się w zamku, coraz bliżej i bliżej rozlegało się straszliwe: "Zabójstwo! Zabójstwo!" Rozróżniałem głos barona i Reinholda, którzy gwałtownie rozmawiali ze służącymi. Dokąd uciekać? Gdzie się ukryć? Jeszcze przed kilku chwilami, gdy chciałem zamordować Eufemię tym samym nożem, którym zabiłem szalonego Hermogena, zdawało mi się, że mógłbym z krwawym narzędziem śmierci w ręce wystąpić zuchwale, ufny w swą siłę, gdyż nikt nie ważyłby się zatrzymać mnie, nikt nie zdołałby oprzeć przeraźliwej trwodze. Teraz ja sam trawiłem się śmiertelną trwogą i niszczałem w objęciach bladego lęku. Wreszcie, wreszcie znalazłem się na głównych schodach. Zamieszanie zbliżało się ku pokojom baronówny. Zrobiło się ciszej. W trzech gwałtownych skokach byłem na dole. Jeszcze kilka kroków dzieliło mnie od głównych drzwi.

Wtem rozległ się przeraźliwy krzyk rozdzierający, podobny temu, jaki słyszałem poprzedniej nocy.

- Padła nieżywa, zabita trucizną, którą przygotowała dla mnie... - szepnąłem głucho sam do siebie. Ale znowu buchnęło jasne światło z pokoju Eufemii. Aurelia krzyczała o pomoc. Na nowo rozległo się straszliwe: "Zabójstwo! Zabójstwo!" Przynieśli zwłoki Hermogena.

- Biegnijcie za mordercą - zawołał głos Reinholda. Wówczas roześmiałem się straszliwie, aż zahuczało po sali, po korytarzach - i zawołałem głosem strasznym:

- Szaleni, chcecie schwytać przeznaczenie, które osądziło występnych grzeszników! Stanęli jak wryci na schodach. Nie o ucieczce już myślałem. Nie! Oto chciałem wystąpić naprzeciw nich, zwiastując piorunującymi słowy zemstę na przestępcach. Ale o zgrozo, przede mną straszny widok, przede mną stanęła krwawa postać Wiktoryna. On to, on, nie ja, wyrzekł te słowa przed chwilą. Przerażenie najeżyło mi włosy. W szalonej trwodze wypadłem przez park w pole. Wkrótce usłyszałem tętent konia. A gdy zbierałem siły, by ujść przed pogonią, upadłem na ziemię, potknąwszy się o korzeń drzewa. Wkrótce stanęły przy mnie dwa konie. Był to myśliwy Wiktoryna.

- Na Boga, łaskawy panie - zawołał zdyszany - co zaszło w zamku?! Krzyczą o morderstwie. Już wieś całą zbudzono. Cokolwiek się stało, dobry duch natchnął mnie... i przywiódł tu z miasteczka. Wszystko spakowane, tu w tłumoczku na pańskim koniu. Oczywiście, musimy się rozjechać. Stało się cos niebezpiecznego... nieprawdaż?

Zerwałem się i wskoczyłem na konia.

- Wracaj do miasta - krzyknąłem - i czekaj na moje rozkazy.

Skoro tylko oddalił się w ciemności, zszedłem na powrót z konia i wprowadziłem go ostrożnie do jodłowego lasu, który rozciągał się przede mną.

ROZDZIAŁ III

PRZYGODY PODRÓŻY

Promienie słońca wdarły się w gęstwę szpilkowych gałęzi. Stałem nad strumieniem, nad wodą uciekającą po gładkich kamieniach. Koń, z trudem przeprowadzony przez zarośla, stał spokojnie w pobliżu. Chwyciłem za tłumoczek. Wpadła mi w ręce bielizna, ubranie, sakiewka dobrze napełniona złotem. Postanowiłem przebrać się natychmiast. Przy pomocy małych nożyczek i grzebienia, znalezionych w torebce, obciąłem brodę i uczesałem włosy, o ile się dało. Zrzuciłem habit, wyjąwszy z kieszeni fatalny nóż, portefeuille Wiktoryna i gąsiorek z resztką diablego eliksiru. Po chwili stałem w świeckim ubraniu, w czapce podróżnej na głowie, tak że sam zaledwie mogłem, się rozpoznać w zwierciadle strumyka. Ruszyłem w drogę i dotarłem wkrótce do krańca lasu. Dym, wznoszący się z oddali, i jasny dźwięk dzwonów wskazywały na wioskę w pobliżu. Zaledwie wyszedłem na wzgórze, ujrzałem miłą i piękną dolinę i wielką wieś w jej okolu. Zszedłem na szeroką drogę, wijącą się w skrętach na dół, a gdy tylko zbocze stało się mniej strome, dosiadłem konia, aby się o ile możności przyzwyczaić do całkiem obcej mi jazdy konnej.

Habit ukryłem w szerokiej dziupli drzewa, a z nim razem zrzuciłem w ciemnym lesie wraże wspomnienie świeżych zajść na zamku. Czułem się wesołym i ochoczym. Ową krwawą, straszną zjawę Wiktoryna przy pisywałem tylko wzburzonej wyobraźni. A te słowa ostatnie, które krzyknąłem ku ścigającej mię gromadzie? Wmawiałem w siebie, że wyrwały się z mego wnętrza nieświadomie, niby w wielkim natchnieniu, związane tajemną nicią z przypadkiem, który mnie przywiódł na zamek; wypowiedziały one wyraźnie cel mojego przybycia. Wszak niby potężne

przeznaczenie wszedłem na zamek, karząc złośliwą zbrodnię i rozgrzeszając grzesznika w zgotowanej mu zgubie.

Tylko uroczy obraz Aurelii żył jeszcze we mnie jak dawniej i nie mogłem myśleć o niej bez bolesnego ściśnięcia się piersi i jakiegoś iście fizycznego bólu ducha. Lecz czułem, że może kiedyś ujrzę ją jeszcze, w dalekiej krainie, i czułem, że ona musi zostać moją, porwana nieprzepartym popędem, przykuta do mnie nierozwiązalnymi więzami. Zauważyłem, że ludzie we wsi zatrzymywali się i spoglądali za mną z podziwieniem, a gospodarz zajazdu tak zdumiał się na mój widok, że nie mógł zrazu przemówić ni słowa. Stropiło mnie to niemało. Podczas gdy spożywałem śniadanie, a koń mój się popasał, zgromadziło się kilku wieśniaków w izbie karczemnej i obrzucając mnie spode łba bojaźliwym spojrzeniem, szeptali coś między sobą. Coraz więcej pchało się ludzi i tłumnie otaczając gapiło się natrętnie.

Siląc się na spokój, kazałem gospodarzowi osiodłać konia i spakować tłumoczek. Wyszedł, uśmiechając się dwuznacznie i powrócił wkrótce z jakimś wysokim mężczyzną. Nieznajomy dryblas zbliżył się do mnie z marsową miną, z urzędową a komiczną powagi i zmierzył mnie ostro oczami. Powstałem, wytrzymałem spojrzenie i nacierając nań piersiami, zawołałem:

- Czego!?

To, zdaje się, zbiło go nieco z tropu, gdyż obejrzał się na zgromadzonych wieśniaków. Nabrawszy nieco otuchy odchrząknął i rzekł z powagą:

- Panie, nie wyjdzie pan stąd, dopóki pan nam, tutejszemu sędziemu miejscowemu, dokładnie nie powie, coś pan za jeden, i to ze wszystkimi rubrykami urodzenia, stanu i godności; skąd pan przyszedłeś i dokąd podróżujesz, ze wszystkimi rubrykami miejsca, nazwy prowincji i miasta, no i wszystko, jeżeli jest jeszcze co do zaznaczenia, nadto musi pan nam, sędziemu, przedstawić paszport napisany, podpisany, przypieczętowany, ze wszystkimi rubrykami, jak się należy i jak jest w zwyczaju.

Jeszcze o tym wcale nie pomyślałem, że trzeba by przybrać jakieś nazwisko. Nie przypuszczałem też, że mój dziwny, nietutejszy wygląd wprawiać mnie będzie w kłopot i ściągnie uwagę władzy.

Swoją drogą odzież nie bardzo pasowała do mojej mniszej postawy, a źle ucięta broda pozostawiała wiele do życzenia. Pytanie sędziego wiejskiego zaskoczyło mnie tak niespodziewanie, że na razie nie umiałem znaleźć stosownej odpowiedzi. Zdecydowałem się spróbować, co zdziałać może rozmyślna zuchwałość, i rzekłem podniesionym głosem:

- Kim jestem? Mam powód do zamilczenia. Na próżno więc żądacie mojego paszportu. Zresztą strzeżcie się osobę wysokiego stanu zatrzymywać choć tylko na chwilę swoimi niedorzecznymi korowodami!

- Ho, ho! - zawołał sędzia, sięgając do tabakiery i biorąc w palce szczyptę tabaki, ruch ten powtórzyło pięć rąk stojących za nim ławników sądowych. - Ho, ho, tylko nie tak ostro, łaskawy panie! Wasza ekscelencja musi się zgodzić na to że nam, sędziemu, złoży zeznanie i pokaże paszport, no, bo po prostu powiedziawszy, tu, w gminie, znajdują się od pewnego czasu różne podejrzane postaci, które od czasu do czasu wyzierają z lasu i znowu znikają; jest to hałastra złodziei i rabusiów, którzy zasadzają się na podróżnych, a przez mord i pożogę rozmaite wyrządzają szkody. Wy zaś łaskawy panie, wyglądacie tak szczególnie, że całkiem jesteście podobni do tej postaci, którą prześwietna władza kraju opisała jako wielkiego rozbójnika i głównego rabusia, a opisawszy we wszystkich szczegółach przysłała rysopis nam, sędziemu. Więc bez wszelkich dalszych zachodów i ceremonialnych słów: paszport albo do wieży!

Zrozumiałem, że z nim w ten sposób nie dojdę do ładu. Uciekłem się do innej próby.

- Surowy panie sędzio - rzekłem - chciejcie wyświadczyć mi łaskę i pomówić ze mną na osobności. Rozjaśnię wszystkie wątpliwości i, ufny w waszą roztropność, wyjawię

wam tajemnicę, co sprowadza mnie tutaj w tak uderzającym was ubiorze.

- Cha, cha! wyjawić tajemnicę! - rzekł sędzia - już miarkuję, co to będzie. No, ludzie, wyjdźcie no stąd, a strzec mi tam okien i drzwi, nie wpuszczać ani nie wypuszczać nikogo!

Skoro tylko zostaliśmy sami, zacząłem:

- Widzicie mnie, panie sędzio, nieszczęśliwego zbiega, któremu ostatecznie, przy pomocy przyjaciół, udało się uciec z haniebnego więzienia i zamknięcia na wieki w klasztorze. Pozwólcie mi na bliższe szczegóły historii, która jest tkaniną podstępów i złośliwości mściwej rodziny. Przyczyną moich cierpień była miłość do dziewczyny niższego stanu. W więzieniu wyrosła mi broda i kazano już wystrzyc mi tonsurę, jak możecie zauważyć; w więzieniu też, targany tęsknotą, musiałem cierpieć w kapturze mnicha. Dopiero po ucieczce, w lesie, wziąłem na odwagę i przebrałem się - wszak mogliby mię dopędzić i poznać. Widzicie więc sami, skąd się wzięła dziwaczność mojego wyglądu, budząca takie podejrzenie. Paszportu, jak widzicie, teraz pokazać wam nie mogę, ale na obronę swych twierdzeń mam pewne dowody, które z pewnością uznacie za odpowiednie.

To mówiąc wyciągnąłem sakiewkę ze złotem i położyłem na stole trzy błyszczące dukaty. Surowa powaga pana sędziego zmieniła się we wdzięczny uśmiech.

- Dowody pańskie - rzekł - są zapewne dostatecznie jasne, ale, mój panie, nie bierzcie mi za złe: brakuje jeszcze pewnego przekonywającego wyrównania szczegółów. Jeżeli pan chce, abym niepodobne wziął za podobne, to i pańskie dowody takimi byt muszą.

Zrozumiałem szelmę i dołożyłem jeszcze jeden dukat.

- Teraz widzę - rzekł sędzia - że podejrzenie moje wyrządziło panu krzywdę; podróżuj pan dalej, ale zejdź pan szybko na boczne drogi i trzymaj się z dala od bitego gościńca, dopóki się pan całkowicie nie pozbędzie tego

podejrzanego wyglądu. Następnie otworzył drzwi i zawołał głośno do zgromadzonego tłumu:

- Ten pan tutaj jest znakomitym panem, ze wszystkimi rubrykami, dał się nam, sędziemu, poznać w tajnej audiencji. Podróżuje incognito, to znaczy, że nic wam do tego, uszy nie słyszały, oczy nie widziały; rozumiecie, chłystki! A teraz, szczęśliwej drogi, łaskawy panie!

Wieśniacy zdjęli z poszanowaniem czapki i w milczeniu przypatrywali się, gdy wsiadałem na konia. Szybko chciałem przejechać przez bramę, ale koń zaczął stawać dęba w miejscu. Nie mając pojęcia o jeździe konnej nie umiałem sobie poradzić. Rumak kręcił się ze mną w kółko i zrzucił mnie wreszcie wśród grzmiącego śmiechu wieśniaków - w ramiona nadbiegającego sędziego i gospodarza.

- To zły koń - rzekł sędzia tłumiąc śmiech warcholski.

- Zły koń! - powtórzyłem otrzepując proch. Pomogli mi na nowo dosiąść wierzchowca, ale niespokojny zwierz na nowo stawał dęba, parskając w powietrze - i wcale nie można było przeprowadzić go przez bramę.

- Patrzcie ino - krzyknął jakiś staruszek - tam przy bramie siedzi Kostrzewa, ta krzykaczka, i nie puszcza łaskawego pana ze złości, że to jej nie dał ni grosza...

Teraz dopiero wpadła mi w oko stara, obszarpana żebraczka, co przykucnąwszy sobie tuż przy drodze wiodącej ku bramie, szczerzyła ku mnie obmierzłe dziąsła i opętańcze gałki roześmianych oczu.

- Z drogi, wiedźmo! - krzyknął sędzia, ale starucha zaskrzeczała piskliwie:

- Nie widzicie? U mych stóp... A niechże was... umrzyk, trup... A braciszek pędzi w cwał, cacko z dziurką babce dał... Ho, ho, filut! Hop! A juści! Umrzyk zadkiem nie przepuści... dzisz braciszku, próżny skok... toć grosiki w kabzie dzwonią... rzuć grosika babce w krok... Pięścią palców, szóstą dłonią, prasnę trupa w łeb i w coś... Przejedziecie ty i łoś...

Sędzia chwycił konia za lejce i, nie zważając na opętańczy krzyk staruchy, chciał go gwałtem przeprowadzić przez bramę. Ale na próżno się silił i mordował. Wiedźma krzyczała jak kura nad zniesionym jajem:

- Dusigrosik... daj mi grosik... dam ci cosik - grosik, grosik!

Sięgnąłem do kieszeni i rzuciłem wiedźmie wymuszone myto. Zwarła rozkraczone kolana i, pochwyciwszy z podołka pieniądz, zerwała się na równe nogi z krzykiem:

- A co; dał?.. he? Niechby ino nie!

Koń zarżał głośno i puszczony wolno przez sędziego wypadł prosto za bramę.

- No, teraz idzie całkiem dobrze i wspaniale, łaskawy panie, ze wszystkimi rubrykami - zawołał sędzia, a wieśniacy, którzy za mną wybiegli przez bramę, śmiali się znowu do rozpuku, widząc, jak w podskokach dzielnego konia podlatuję do góry i na dół, tłukąc siedzeniem po siodle, i wołali:

- Patrzcie no, patrzcie, ten jedzie jak kapucyn.

Całe to zajście, przede wszystkim fatalne słowa szalonej kobiety, wzburzyło mnie niemało. Postanowiłem Chwycić się teraz najznakomitszych środków, by zatrzeć w sobie wszystko, co rażące, i wymyślić jakieś imię, a następnie wmieszać się w tłum niepostrzeżenie. Życie leżało przede mną jak ciemne, nieprzejrzyste przeznaczenie. Cóż mi pozostawało, tułaczowi - tylko zdać się na łaskę falom prądu, co porywał mnie w dal niepowstrzymanie. Wszystkie nici, jakie mnie kiedykolwiek wiązały z określonymi stosunkami życiowymi, były przecięte i nie było już dla mnie spoczynku. Gościniec główny ożywiał się coraz to bardziej i zaludniał. Wszystko zapowiadało już z oddali bogate, ludne miasto handlowe. W przeciągu kilku dni dotarłem do przedmieścia i niewypytywany nawet ani razu bliżej, nie obserwowany jechałem przez ulice. Wpadł mi w oczy wielki dom z jasnymi, lustrzanymi szybami. Nad bramą błyszczał złoty skrzydlaty lew, tłum ludzki wchodził i wychodził, wozy podjeżdżały i odjeżdżały. Z dolnych pokoi dolatywał mnie

śmiech i brzęk szklanek. Zaledwie stanąłem u progu, przyskoczył uniżony służący i ujął mego konia za lejce. Zsiadłem. Wzięto konia do stajni.

Wystrojony kelner wyszedł z pękiem brzęczących kluczy i poprowadził mnie po schodach na górę. Na drugim piętrze zatrzymał się, przypatrzył mi się jeszcze raz pobieżnie i ruszył na trzecie, o jedną kondygnację wyżej. Tu otworzył mi skromny pokoik i spytał uprzejmie, co rozkażę. Dodał też, że o drugiej godzinie będzie obiad w sali Nr 10, pierwsze piętro.

- Proszę mi przynieść flaszkę wina.

To było istotnie pierwsze słowo, jakie mogłem powiedzieć śród usłużnej krzątaniny tych ludzi. Zaledwie znalazłem się sam, zapukano i wściubiła się przez drzwi jakaś twarz... Twarz, podobna całkiem do komicznej maski, jaką niegdyś widziałem. Spiczasty, czerwony nos, dwoje małych, błyszczących oczu, długi podbródek, a do tego spiętrzony, upudrowany czub włosów, który, jak później zauważyłem, niespodzianie kończył się z tyłu fryzurą à la Titus - wielkie żaboty u koszuli, płomiennoczerwona kamizelka, pod którą zwieszały się dwa modne łańcuszki od zegarka, spodnie, frak, który w jednym miejscu był za wąski, w drugim znowu za szeroki, który, krótko mówiąc, konsekwentnie wszędzie nie pasował, jednym słowem, wkroczyła dziwaczna postać, skrzywiona w ukłonie zaczętym już w drzwiach, z kapeluszem w ręce, z nożycami i grzebieniem i rzekła:

- Jestem fryzjerem domowym, do usług łaskawego pana, do nieporównanych usług... Mała ta, wyschła figurka miała w sobie coś tak zabawnego, że zaledwie mogłem powstrzymać się od śmiechu. Jednak pożądanym był mi ten człowiek, tylko nie wypadało mi zapytać go, czyby się nie odważył (horror!) uczesać mych włosów, całkiem poplątanych, dzięki długiej podróży, i do tego jeszcze fatalnie obciętych. Popatrzył na mą głowę okiem krytyka i przykładając do piersi rękę, zgiętą romansowo a z gracją, rzekł jakby lekko zgorszony:

- Uczesać? O Boże! Pietro Belcampo, ty, którego niegodziwi zazdrośnicy nazywają fałszywie Piotrem Schönfeldem, jak boskiego piszczka pułkowego i trębacza Giacomo Punto Jakubem Stichem, ty jesteś zapoznany! Ale czyż ty sam nie stawiasz swej świecy pod korcem, zamiast kazać jej świecić przed światem? Czyż ta budowa ręki, ta iskra geniusza, co promieniuje z tego oka i niby zorza poranna bawi w przechodzie nas, czyż cała twa postawa nie zdradziłaby znawcy zaraz przy pierwszym spojrzeniu, że w tobie mieszka duch dążący do ideału!? Uczesać! Zimne słowo, mój panie!...

Prosiłem dziwnego człowieczka, by się tak nie rozpalał, gdyż we wszystkim ufam jego zręczności.

- Zręczność? - zawołał z zapałem - cóż to jest zręczność? Któż to był zręcznym? Czy ów, co sobie odmierzył na oko pięć długości, a potem skacząc na trzydzieści łokci wpadał daleko w rów? Czy ten, co ziarnko soczewicy rzucał przez dziurkę od igły z odległości dwudziestu kroków? Czy ten, co zawiesił na szpadzie pięć cetnarów żelaza i tak ją chwiał na czubku nosa sześć godzin, sześć minut, sześć sekund i jedno okamgnienie? Ha, cóż to jest zręczność? Obcą jest ona Pietrowi Belcampo i jego świętej sztuce. Sztuka. Sztuka, mój panie, sztuka! Moja wyobraźnia błądzi w dziwnej budowie włosów, w sztucznym ułożeniu, co tworzy się i psuje pod podmuchem wiatru, niby koła fal. Tutaj ona tworzy, działa i pracuje. Ha, coś boskiego łączy się ze sztuką, bo sztuka, mój panie, nie jest właściwie sztuką, o której tak wiele się mówi - o nie! Ona powstaje raczej z tego wszystkiego, czemu daje się miano sztuki! Pan mnie rozumie, mój panie, bo pan zdaje mi się być myślącą głową, jak wnioskuję z loczka, który się ułożył po prawej stronie pańskiego czcigodnego czoła.

Zapewniałem, że rozumiem go zupełnie, a ponieważ oryginalna głupkowatość tego człowieka bawiła mnie i pociągała, postanowiłem w niczym nie powściągać jego patosu i pozwoliłem mu gadać z zapałem, bez końca.

- Co też pan zdziała z moich pomierzwionych włosów? - spytałem przyjaźnie.

- Wszystko, co pan rozkaże - odpowiedział mały - lecz jeżeli rada Pietra Belcampo, artysty, ma mieć jakie znaczenie, pozwól mi pan z odpowiedniej długości, szerokości, odległości przypatrzyć się pańskiej szanownej głowie, pańskiej całej postaci, pańskiemu chodowi, pańskim minom, pańskiej gestykulacji, a wtedy powiem, czy pan nadaje się więcej do czegoś staroświeckiego, czy romantycznego, do heroicznego, wielkiego, wzniosłego, do czegoś sielankowego, szyderskiego lub humorystycznego i potem wywiodą zaklęciem duchy Karakalli, Tytusa, Karola Wielkiego, Henryka IV, Gustawa Adolfa albo Wergilego, Tassa, i Boccaccia. Natchnione panem drgają muskuły mych palców, a spod dźwięcznie szczękających nożyczek wychodzi arcydzieło. Ja będę tym, mój panie, który wykończy pańską charakteryzację, tak jak powinna prezentować się w życiu. A teraz proszę przejść się kilka razy po pokoju tam i na powrót. Chcę obserwować, podpatrywać, widzieć... Proszę!

Musiałem tedy ulec dziwnemu człowieczkowi; chodziłem, jak sobie życzył, tam i na powrót, starając się wszelkimi sposobami ukryć pewną układność mniszą, której całkowicie nie można się pozbyć, choćby wiele czasu minęło od chwili opuszczenia klasztoru. Mały przypatrywał mi się uważnie, dreptał to tu, to tam, wzdychał i stękał, a potem stanął, wyciągnął chusteczkę i otarł sobie krople potu z czoła. Zapytałem go, czy już zdecydował się, co ma zrobić z moimi włosami.

Westchnął i rzekł:

- Ach, mój panie, cóż to ma znaczyć? Nie zachowałeś pan naturalnej swej postawy, bo był przymus w tych ruchach i walka sprzecznych natur. Jeszcze kilka kroków, mój panie!

Stanowczo odmówiłem i nie stanąłem do ponownych oględzin, oświadczając, że wolę zrezygnować z jego usług i

sztuki, skoro nie może postanowić czegoś pewnego i nie zabiera się do obcięcia włosów.

- Połóż się do grobu, Pietro! - zawołał z urazą - jesteś zapoznany na tym świecie, gdzie nie ma wiary i szczerości. Ale podziwiaj pan mój wzrok patrzący do głębi. Tak, niech pan czci we mnie geniusza, mój panie! Na próżno starałem się złożyć najbardziej sprzeczne rzeczy, nurtujące całą pańską postać, drgające w twych ruchach. W pańskim chodzie jest coś, co zdradza duchownego. Ex profundis clamavi ad te Domina. Oremus. Et in omnia saecula saeculorum. Amen! Słowa te śpiewał dziwak ochrypłym, skrzeczącym głosem, naśladując z najwierniejszą prawdziwością postawę i miny mnichów. Kręcił się jak przed ołtarzem, klękał i znowu wstawał.

Nagle zmarszczył brwi, wyprężył się zuchwale i podnosząc w górę oczy, krzyknął:

- Moim jest świat! Jestem bogatszym, roztropniejszym, rozumniejszym niż wy wszyscy, o krety! Na kolana przede mną! - A potem, zniżając głos, rzekł uprzejmie: - Takie to są główne ingrediencje pańskiego zewnętrznego wyglądu, a jeżeli pan sobie życzy, to ja, biorąc pod uwagę pańskie rysy, pańską postawę i pański sposób myślenia, mogę ot tak stopić razem Karakallę, Abelarda i Boccaccia - i tak tworząc, rozpocząć w kształcie i duchu cudowną, antyczno-romantyczną budowę eterycznych loków i loczków.

Zbyt wiele prawdy było w spostrzeżeniu małego, więc nie przeczyłem. Owszem, przyznałem się, że istotnie byłem niegdyś duchownym i otrzymałem nawet tonsurę, którą, jeżeli to możliwe, należałoby ukryć.

W dziwacznych podskokach, z nieprzebraną grą grymasów, z osobliwą gadaniną, przyprowadzał mały do porządku moje włosy. Już to mroczniał ponuro i mruczał, już to uśmiechał się, już to przybierał atletyczną postawę, już to podnosił się na końcach palców. Zaledwie miałem tyle siły, by nie śmiać się więcej, niż śmiałem się już i tak wbrew woli. Gdy wykończył fryzurę, pośpieszyłem co prędzej uprzedzić

nowy wybuch paplaniny i poprosiłem dziwaka, by mi przysłał kogoś, kto, podobnie jak on włosami, zająłby się moją brodą. Uśmiechnął się znacząco, podszedł na palcach ku drzwiom pokoju i zamknął je. Potem przydreptał powoli aż na środek pokoju i rzekł:

- Złoty to czas, kiedy broda i włosy w pełni loków zlewały się na ozdobę mężczyzny i były przedmiotem słodkiej troskliwości mistrza. Ale ten czas przeminął. Mężczyzna zarzucił swą najpiękniejszą ozdobę, znalazła się haniebna klasa ludzi, co podjęła się niszczyć brodę aż do skóry straszliwym narzędziem. O, wy niegodziwe, haniebne drapibrody i golibrody, wyostrzajcie sobie wasze noże na czarnych, śmierdzącą oliwą napuszczonych rzemieniach na hańbę sztuce, wywijając sakiewkami z kutasem, kołatajcie swymi miednicami, rozrabiajcie mydło i pianę, pryskajcie gorącą, niebezpieczną wodą, pytajcie z bezczelnym łotrostwem, pytajcie swych pacjentów, jak ich namydlić: palcami czy pędzlem? Istnieją Pietrowie, istnieją jeszcze pogromcy waszej nędznej pracy. Oni to, zniżając się do waszego hańbiącego obcinania brody, starają się ocalić to jeszcze, co się unosi nad falami czasu. Czymże są owe tysiączne wariacje bokobrodów wijące się w zwojach i zakrętach, które już to towarzyszą łagodnie linii owalu, już to smutnie spadają w zagłębienie szyi, już to śmiało sterczą nad kątami ust, już to skromnie się zwężają wąskim szlakiem, już to rozszerzają się śmiałym końcem - czymże innym są one, jak nie wynalazkiem naszej sztuki, wyrazem górnej dążności do piękna, do świetności? Ha, Pietro, jaki to duch mieszka w tobie; tak jest, czegoś ty gotów podjąć się, zstępując ,do nieznośnego rzemiosła golibrodów?

To rzekłszy, wyciągnął narzędzie do golenia i zaczął usuwać mi brodę lekką, wyćwiczoną ręką. Rzeczywiście wyszedłem spod jego rąk jakby nie ten sam. Potrzeba było tylko zmienić jeszcze ubranie, aby się pozbyć rozbudzającego ciekawość wyglądu. Mały człowieczek stał sobie z wewnętrznym zadowoleniem, uśmiechając się do

mnie. Powiedziałem mu, że jestem całkiem obcy w mieście i byłoby mi przyjemnie ubrać się według miejscowego zwyczaju. Wywdzięczając mu się za jego trudy i dla zachęty do dalszych usług wcisnąłem mu w rękę dukata. Stał jakby przemieniony i chuchał na dukat leżący na wyprężonej dłoni.

- Najczcigodniejszy opiekunie i mecenasie - zawołał - nie zawiodłem się na panu. Duch kierował moją ręką, a w orlim locie bokobrodów jasno jest wyrażony wysoki poziom twojego myślenia. Mam przyjaciela Damona, Orestesa, który dokończy na ciele, co ja zacząłem na głowie - z taką samą głęboką myślą, z tym samym geniuszem. Niech pan pamięta, że to jest artysta kostiumowy, bo takim nazywam go mianem, zamiast zwykłego, trywialnego wyrazu: krawiec. Chętnie zatapia się w tym, co idealne, i tworząc w fantazji piękne postaci i formy, założył magazyn wszelakich części ubioru. Ujrzy pan młodego eleganta we wszystkich możliwych odcieniach, który chce okazać się już to butnym i śmiałym, wszystko przyćmiewającym, już to zatopionym w sobie i niezważającym na nic i nikogo, już to naiwnie rozbawiony, już to ironicznym, dowcipnym, źle usposobionym, melancholijnym, osobliwym, swawolnym, strojnym, dziecinnym. Młodzieniec, który kazał sobie zrobić surdut po raz pierwszy bez krępującej rady mamusi albo ochmistrza; mężczyzna z czterdziestką, który musi się pudrować ze względu na białe włosy, rzeźwy staruszek, uczony, bogaty kupiec, zamożny mieszczanin - wszystko to wisi w sklepie mojego Damona i za chwilę rozwinie się przed oczami szanownego pana. Za chwilę będzie tu Damon i jego mistrzowskie kreacje.

Wybiegł pospiesznie i zjawił się wkrótce z wielkim, silnym, przystojnie ubranym mężczyzną, który dziwnie odbijał od jego małej figurki. Był to krawiec Damon. Zmierzył mnie oczami i wyszukał z pakietu ubranie odpowiadające całkowicie moim życzeniom. Dopiero później przekonałem się o wybornym takcie artysty kostiumowego, jak go

szumnie nazywał mały Belcampo. Istotnie, wybrał on tak odpowiednio, że mogłem podróżować, nie wpadając wcale w oko, niepostrzeżenie i bez wzbudzania ciekawych pytań o stan, zatrudnienie i tym podobne rzeczy. W istocie trudno jest ubrać się tak, by pewien ogólniejszy charakter ubrania nie wskazywał na to lub owo zajęcie, co więcej, żeby nie ściągał niczyjej uwagi. Ubranie kosmopolity polega głównie na cechach negatywnych i odpowiada mniej więcej temu, co nazywamy dobrym zachowaniem, polegającym więcej na zaniechaniu, niż działaniu. Przedziwny fryzjer rozgadał się na dobre, piętrząc ustami piramidy dowcipów, a ponieważ mało kto użyczyłby mu tak chętnego ucha jak ja, czuł się szczęśliwym, że może się przed kimś popisać. Ale Damon, poważny i jak mi się zdawało, rozumny człowiek, przerwał nagle zabawę i ujmując go za ramiona rzekł:- Schönfeld, czyś ty znowu zażył na gadanie? Założę się, że pana uszy już bolą od tej paplaniny, jaką się popisujesz.

Belcampo spuścił smutnie głowę, potem pochwycił kapelusz i krzyknął wybiegając:

- Tak mnie to prostytuują najlepsi przyjaciele!

I Damon zabrał się do odejścia. Pożegnał mnie słowami:

- To tchórz szczególnego gatunku, ten Schönfeld! Długie rozczytywanie się w książkach zrobiło go na pół wariatem. Ale zresztą jest to dobroduszny człeczyna i w swoim fachu zręczny, dlatego można go cierpieć.

Gdy wyszedł, stanąłem przed wielkim zwierciadłem i rozpocząłem formalne ćwiczenie w chodzeniu. Mały fryzjer zrobił mi słuszną uwagę. Mnichom właściwy jest pewien ociężały, sztywny pośpiech w chodzie, wywołany długą suknią hamującą kroki i staraniem się o szybki ruch wedle przepisu reguły.

I w ciele przegiętym ku tyłowi i w noszeniu rąk, które nigdy nie powinny zwisać w dół, gdyż mnich, o ile nie składa rąk, ukrywa je w szerokich rękawach habitu - jest coś tak charakterystycznego, że nie łatwo uchodzi uwagi. Starałem się pozbyć tego wszystkiego, aby zatrzeć wszelki

ślad zakonnego stanu. Tylko w tym znajdowałem pociechę, że na całe swe życie patrzyłem jakby na przeżyte, a raczej przecierpiane niepowrotnie; rozpoczynałem nowe istnienie, jakby w nowej, nowym duchem ożywionej postaci, co zacierała coraz to silniej wszystkie wspomnienia przeszłości, aż znikły bez echa. Natłok ludzi, ustawiczny hałas wypełniający ulice, wszystko to uderzało mnie nowością i podtrzymywało wesołe usposobienie, w jakie wprawił mnie ów mały komik. W nowym, przyzwoitym ubraniu zeszedłem na dół, do jadalni i wszelka obawa pierzchła, gdy zauważyłem, że nikt na mnie nie zwraca uwagi, że nawet najbliższy mój sąsiad przy stole nie zadał sobie trudu, by na mnie popatrzeć. Na liście gości zapisałem się jako Leonard, na pamiątkę swego wyzwolenia z łaski przeora, i jako osoba prywatna, podróżująca dla przyjemności. Podróżnych tego rodzaju mogło być w mieście wcale dużo i tym łatwiej mogłem uniknąć jakichś wypytywań. Szczególnie cieszyło mnie chodzenie po ulicach i widok bogatych wystaw sklepowych, wywieszonych obrazów i miedziorytów.

Wieczorem odwiedzałem miejsca publicznej przechadzki, lecz gryzła mnie i napełniała goryczą samotność śród bardzo ożywionego tłumu ludzi. Nie być znajomym nikomu, nie móc przypuścić w niczyjej piersi nawet najmniejszego przeczucia, kim jestem, jak dziwna, osobliwa gra przypadku rzuciła mnie w te strony i co zamykam w swym łonie; wszystko to, choćby nie wiem jak dobroczynnym było dla mnie w obecnym położeniu, było jednak strasznym, ponieważ sam sobie wydawałem się wygnańcem- duchem, tułającym się na ziemi po śmierci wszystkiego, co przyjazne. Gdy sobie pomyślałem o tym, jak to dawniej sławnego kaznodzieję wszystko uprzejmie i z poszanowaniem pozdrawiało, jak wszystko ubiegało się o rozmowę z nim, nawet o kilka słów, opanowywało mnie gorzkie zniechęcenie.

Ale owym kaznodzieją był mnich Medardus, a ten umarł i został pochowany w przepaściach górskich: ja nim nie jestem, bo ja żyję, bo nowe promienne życie zaświtało mi w piersiach, niosąc nowe zabawy i nowe koleje. Ilekroć sen odnawiał zajścia w zamku, mówiło mi coś głucho, że one wydarzyły się komuś innemu, a nie mnie; tym innym bywał znowu kapucyn, a nie ja sam. Tylko myśl o Aurelii wiązała jeszcze minioną przeszłość z życiem teraźniejszym, ale ta myśl właśnie wiła się w sumieniu głębokim bólem, bólem beznadziejnym, zabijała ochotę do wszystkiego i wyrywała mnie okrutnie z różnobarwnych kół zalewającego mnie życia.

Odwiedzałem często lokale publiczne, gdzie pito, grano, bawiono się wesoło. Szczególnie spodobał mi się pewien hotel, w którym każdego wieczora gromadziło się liczne towarzystwo - ze względu na dobre wino. Przy jednym stole, w bocznym pokoju, widywałem stale te same osoby. Rozmowa ich była wesoła i ożywiona. Udało mi się zbliżyć do nich i wejść w zamknięte koło, a to tak, że z początku siedziałem cicho w kącie pokoju i skromnie piłem swoje wino, potem udzieliłem im jakiejś interesującej informacji literackiej, o którą im chodziło. W ten sposób zdobyłem sobie miejsce przy stole. Chętnie mi je zrobili, bo spodobał się im mój wykład, zwłaszcza zaś bogate wiadomości, którymi popisywałem się chętnie, z dnia na dzień uzupełniałem braki w dziedzinach wiedzy niedostępnych dla mnie w klasztorze. Tak zdobyłem sobie znajomości przyjemne i korzystne i przyzwyczajałem się coraz więcej do życia w świecie. Nastrój mój stawał się z każdym dniem weselszy i pogodniejszy i zwolna ocierałem się i zdobywałem nową ogładę, obcą i niedozwoloną mnichowi.

Od kilku dni mówiono w towarzystwie o jakimś obcym malarzu i wystawie jego obrazów. Wszyscy, z wyjątkiem mnie jednego, widzieli już obrazy i sławili ich nadzwyczajne piękno. Postanowiłem pójść tam i zobaczyć. Nie zastałem malarza, tylko jakiś staruszek wprowadził mnie do sali.

Bawiąc się w cicerone, wymieniał twórców obrazów, które malarz wystawił równocześnie ze swoimi.

Były to wspaniałe rzeczy, po większej części oryginały sławnych mistrzów. Przy niektórych malowidłach, które staruszek nazywał pobieżnymi kopiami ogromnych fresków, zamajaczyły mi w duszy wspomnienia najwcześniejszej młodości. Coraz to wyraźniej, z coraz to większą mocą przemawiały do mnie cudną mową barw. Były to widocznie kopie ze Świętej Lipki. Oto obraz “Święta Rodzina": w rysach Józefa poznałem natychmiast owego pielgrzyma, który przywiódł do mnie cudownego chłopca. Uczułem dziwny smutek. Wtem krzyknąłem głośno. Wzrok mój padł na portret naturalnej wielkości. Była to podobizna ksieni, mojej drugiej matki, pełna przedziwnego, w najwyższym znaczeniu pojętego podobieństwa, jakby spod pędzla van Dycka.

Artysta wymalował ksienię w stroju, w jakim zwykła była przodować mniszkom podczas procesji w dzień świętego Bernarda; uchwycił właśnie chwilę, gdy ksieni po skończonej modlitwie gotuje się do wyjścia ze swego pokoju, w celu rozpoczęcia procesji, na którą czeka lud zgromadzony w kościele, otwierającym się w perspektywie tła. W spojrzeniu wspaniałym matrony skupił się cały pęd zwróconego ku niebu umysłu; rzekłbyś, że ta twarz anielska i te ręce przeczyste błagają o przebaczenie dla występnego grzesznika, co wydarłszy się gwałtem z jej matczynego serca, znikczemniał. A tym grzesznikiem byłem ja sam! Uczucia dawno zapomniane odżyły mi w piersiach przemożnym upiorem. Tęsknota niewypowiedziana porwała mnie w objęcia i poniosła w dal. Znalazłem się znowu u dobrego proboszcza, we wsi klasztoru cystersek, żwawy, swobodny, swawolny chłopak, radujący się głośno z dnia świętego Bernarda. Ujrzałem ją, "Czy byłeś pobożny i dobry, Franciszku?" - spytała mnie głosem rozedrganym tłumioną miłością, głosem przemiłej miękkości. "Czy byłeś pobożny i dobry?" Cóż miałem odpowiedzieć! Zbrodnia na zbrodni,

oto moje życie; złamanie ślubów, morderstwo... Szarpany zgryzotą, pijany żalem, padłem bezwładnie na kolana a łzy trysnęły mi z oczu. Przerażony starzec przyskoczył ku mnie pytając gwałtownie:

- Co panu, co panu?!

- Obraz ksieni jest tak podobny do mej nieboszczki matki, zmarłej gwałtowną śmiercią! -

rzekłem głucho, jakby sam do siebie, i, powstawszy, starałem się uspokoić.

- Chodź pan, mój panie - rzekł starzec - takie wspomnienia zbyt są bolesne; należy ich unikać.

Tu jest jeszcze jeden portret, który mój pan uważa za najlepszy. Obraz malowany jest z życia

i niedawno został ukończony. Zasłoniliśmy go przed działaniem słońca, bo farby jeszcze nie

wyschły.

To mówiąc ustawił mnie troskliwie w odpowiednim świetle, a potem szybko ściągnął

zasłonę.

Była to Aurelia. Opanowało mnie przerażenie bez granic. Daremnie zmagałem się z

lękiem. Poznałem: nieprzyjaciel był blisko, biegł i ciągnął mnie w przepaść spiętrzonej fali,

by zniszczyć mnie nieszczęściem, któremu zaledwie umknąłem. Nie! Odwagi!

Oprzeć się poczwarze, zdeptać tajemnicze ciemności, zwalczyć wściekłą napaść!

Muszę, muszę. Chciwymi spojrzeniami chłonąłem powaby Aurelii, bijące z obrazu nieokiełznanym życiem. Dziecinne, miłe spojrzenia powabnej dziewczyny zdawały się oskarżać przeklętego mordercę brata. Cierpiałem. Ale uczucie żalu zamierało w gorzkim szyderstwie wroga, co panosząc się w duszy, uwziął się jadowitymi żądłami wypędzić mnie na zawsze z krainy przyjaźni i szczęścia. Tylko to jedno mnie dręczyło, że owej fatalnej nocy na zamku Aurelia nie została

moją. Zjawienie się Hermogena udaremniło moje zamiary, ale odpokutował to śmiercią. Aurelia żyje, a to wystarcza, aby się wysilić na nadzieję jej posiadania! Tak, to pewna, że jeszcze będzie moją, bo tak chce przeznaczenie, przed którym ujść nie może. A czyż nie ja sam jestem tym przeznaczeniem?!

Nabrałem odwagi do zbrodni, patrząc na obraz. Starzec stał zdziwiony. Opowiadał dużo o kolorycie, tonie, rysunku. Nie słuchałem go. Myśl o Aurelii, nadzieja dokonania niegodziwego czynu, który tylko został odwleczony, napełniała mnie tak całkowicie, że oddaliłem się śpiesznie. Nie pytałem już o malarza i nie starałem się wybadać, co znaczą te obrazy zawierające, jakby w jednym cyklu, ilustrację do mojego życia. Byłem zdecydowany podjąć się wszystkiego, by tylko posiąść Aurelię.

Co więcej! Zdawało mi się, jakoby m stał nad zjawiskami własnego swego życia i przeglądając je od końca do końca, nie mógł przenigdy czuć obawy, a przez to i nigdy zdobyć się na odwagę: ni lękać się, ni śmiać! W głowie huczało mi od tysiąca planów i pomysłów mających prowadzić do celu. Przede wszystkim sądziłem, że dowiem się czegoś od obcego malarza i wybadam jakiś nieznany mi stosunek, którego poznanie mogło mi być potrzebnym jako przygotowanie. Mianowicie nie miałem nic innego na myśli, jak powrócić na zamek w swej teraźniejszej, nowej postaci, i nie wydało mi się to wcale tak nadzwyczaj śmiałym przedsięwzięciem.

Wieczorem znalazłem się w zwykłym towarzystwie. Z trudem i wysiłkiem starałem się utrzymać w karbach coraz to bardziej wzrastające napięcie umysłowe i nieokiełznane twory wzburzonej wyobraźni. Mówiono wiele o malowidłach obcego malarza, a zwłaszcza o szczególnym wyrazie, jaki umiał nadać swoim portretom. Zgadzałem się na tę pochwałę i ze szczególną wyrazistością, która była tylko refleksją szyderczej ironii, płonącej w mej duszy na kształt pożerającego ognia, usiłowałem oddać powaby pobożnego,

anielsko pięknego oblicza Aurelii. Ktoś zapowiedział, że nazajutrz wieczorem przyprowadzi z sobą malarza, który zatrzymał się w mieście dla wykończenia kilku portretów. Ma to być interesujący, znakomity artysta, jakkolwiek już w dość podeszłym wieku. Niepokojony niezwykłymi uczuciami, pełen nieznanych przeczuć, przyszedłem następnego wieczoru później niż zazwyczaj. Obcy siedział przy stole, obrócony do mnie tyłem. Gdy usiadłem, gdy go zobaczyłem, wżarły mi się w oczy rysy owego strasznego nieznajomego, który w dniu świętego Antoniego stał we fiolecie, wsparty o słup narożny, i napełniał mnie trwogą i przerażeniem. Patrzył na mnie długo, z wielką powagą, ale nastrój, w jaki zapadłem, od chwili gdy ujrzałem obraz Aurelii, użyczył mi odwagi i siły do zniesienia tego spojrzenia. Oto widomie wkraczał w moje życie wróg, a to znaczyło rozpoczęcie walki na śmierć. Postanowiłem czekać na zaczepkę i odeprzeć ją bronią niezawodną. Obcy zdawał się nie zwracać na mnie szczególniejszej uwagi, lecz odwrócony ode mnie prowadził dalej rozmowę o sztuce. Potrącono o jego malowidła i chwalono najbardziej portret Aurelii. Każdy twierdził, że obraz, chociaż na pierwszy rzut oka wydaje się portretem, może służyć jako studium jakiejś świętej.

Zapytano mnie o zdanie. Opisałem obraz wspaniale i ze wszystkimi zaletami i mimo woli wyrwało mi się, że w istocie nie mogę sobie inaczej wyobrazić świętej Rozalii, jak właśnie pod postacią owej nieznajomej. Zdawało się, że malarz zaledwie zauważył moje słowa. Lecz spostrzegł, bo zaraz przerwał mi:

- Istotnie, panienka, którą ten portret wiernie przedstawia, jest pobożną świętą, wznoszącą się w walce ku niebu. Malowałem ją właśnie w chwili, gdy przejęta straszną niedolą spodziewała się pociechy w religii, a pomocy od wieczystego przeznaczenia. Starałem się oddać w obrazie tę nadzieję, właściwą tylko umysłom wzniesionym wysoko nad rzeczy ziemskie. Zapuszczono się w inną rozmowę.

Wino, które dziś na cześć malarza podano w lepszym gatunku i obficiej niż zwykle, rozweseliło umysły. Każdy umiał opowiedzieć coś zabawnego, a chociaż zdawało się, że obcy tylko w duszy się śmieje, a wewnętrzny ten śmiech tylko połyskiem odzwierciedla się w oku, umiał on jednak jakimś zręcznie wtrąconym zdaniem lub dosadnym słowem utrzymać wszystkich w napięciu.

Jakkolwiek nie mogłem stłumić strasznie niemiłego uczucia, ilekroć obcy zwrócił ku mnie oczy, przezwyciężałem coraz bardziej i bardziej straszliwy nastrój, który mnie opanował na jego widok. Opowiadałem o komicznym Belcampo i starałem się, ku ogólnej uciesze, w tak jaskrawym świetle przedstawić jego fantastyczność, że pewien dobroduszny, gruby kupiec, siadający zwykle naprzeciw mnie, zapewniał z zapłakanymi od śmiechu oczami, iż nigdy jeszcze tak świetnie się nie bawił, jak tego wieczoru.

Kiedy wreszcie śmiech zaczął głuchnąć, zapytał nagle malarz:

- Moi panowie, czy widzieliście już diabła?

Wzięto zapytanie za wstęp do jakiejś opowieści. Wszyscy zapewniali, że jeszcze nie mieli tego zaszczytu.

- Niewiele brakowało - rzekł obcy - a byłbym miał ten zaszczyt, mianowicie na zamku barona

F. w górach.

Zadrżałem, a biesiadnicy wołali niecierpliwie: "I co... I co...?"

Lecz obcy nie czekał zachęty i mówił monotonnie:

- Jest dzika, straszna okolica. Z gęstego jodłowego lasu wychodzi się na wysokie olbrzymy skał, prosto nad przepaść... Głęboka, czarna przepaść... tak zwana "diabla przepaść". Tam sterczy skalny złom, tak zwany "diabli szczyt". Tam miał raz siąść młody hrabia Wiktoryn, a że siadł z sercem pełnym nędznych zamiarów, naszedł go nagle diabeł i strącił w przepaść, biorąc na siebie spełnienie jego zamysłów. Diabeł zjawił się potem jako kapucyn na zamku

barona. Nacieszywszy się baronową wysłał ją do piekła i udusił szalonego syna barona, który w żaden sposób nie mógł ścierpieć diabelskiego incognito, lecz głośno przestrzegał: "To diabeł!". Udusił go ze złości, ale właśnie przez to jedna pobożna dusza wymknęła się z ognia zastawionego na nią przez czarnego chytronia. Następnie zniknął kapucyn w niepojęty sposób i mówią, że uciekł tchórzliwie przed krwawym widmem Wiktoryna, co wyszło z kamiennego grobu.

Lecz mniejsza o to. Mogę tylko panów zapewnić, że baronowa zginęła od trucizny, Hermogen zdradnie został zamordowany, baron umarł wkrótce ze zmartwienia. Aurelia zaś, właśnie ta pobożna święta, którą w czasie tych okropności malowałem na zamku, uciekła w daleki kraj, do przyjaciółki swego ojca, ksieni klasztoru cystersek. Widzieliście obraz tej wspaniałej damy w mojej galerii. Ale to wszystko opowie panom o wiele lepiej i ze szczegółami ten pan (tu wskazał na mnie), bo w czasie tych wypadków przebywał na zamku. Wszystkie spojrzenia skierowały się na mnie. Oburzony zerwałem się i krzyknąłem gromkim głosem:

- Ejże! Mój panie! Cóż mię obchodzi pański diabeł i jakieś tam morderstwo? Pan się myli.

Nie znam pana, Wypraszam sobie podobne zaczepki!

Wzburzenie wewnętrzne nie pozwalało mi nadać tym słowom pozoru obojętności.

Wrażenie tajemniczej mowy malarza, gwałtowny niepokój, który na próżno starałem się ukryć, były już zbyt widoczne. Wesoły nastrój zniknął, a goście, przypominając sobie, jak to ja, zupełnie nieznany przybysz, powoli wcisnąłem się w ich towarzystwo, spoglądali na mnie wzrokiem nieufnym i podejrzliwym.

Obcy malarz powstał i prześwidrował mnie oczami żywego trupa, jak niegdyś w

kościele kapucynów. Nie mówił ni słowa. Stał, jakby zdrętwiały i bez życia, ale jego

potworne spojrzenie jeżyło mi włosy. Zimny pot wystąpił mi na czoło, a nerwy wszystkie

drżały w gwałtownym przestrachu.

- Precz stąd - krzyknąłem nieprzytomnie - tyś sam szatanem, tyś sam zuchwałym mordem; nie

masz nade mną władzy!

Wszyscy podnieśli się z krzeseł.

- Co to jest, co to jest? - wołano na przemian. Z sali cisnęli się ludzie, porzucając grę,

przerażeni straszliwym tonem mojego głosu.

- Pijany, szalony! Usuńcie go, usuńcie go! - wołali niektórzy. Ale obcy malarz stał nieporuszony, przeszywając mnie wzrokiem. Oszalały z wściekłości i zwątpienia porwałem za nóż, którym zabiłem Hermogena i który stale zwykłem był nosić przy sobie, i rzuciłem się na malarza, ale jedno uderzenie wwaliło mnie na ziemię, a malarz śmiał się w straszliwym szyderstwie, że aż rozbrzmiewało po pokoju:

- Bracie Medardzie, bracie Medardzie, fałszywą twoja gra, idź i rozpaczaj w żalu i wstydzie.

Czułem, że mnie ujęli goście. Wtedy nabrałem odwagi.

Uderzyłem w tłum, jak rozszalały byk, i parłem tak, że kilka osób runęło na ziemię.

Utorowałem sobie drogę ku drzwiom. Szybko biegłem przez korytarz. Wtem otworzyły się małe, boczne drzwi i wciągnięto mnie do bocznego pokoiku. Nie opierałem się, gdyż motłoch hałasował tuż za mną. Gdy zamęt minął, sprowadzono mnie na dół bocznymi schodami, na podwórze a potem przez tylne zabudowania na ulicę.

Przy jasnym świetle latarni poznałem w moim wybawcy komicznego Pietra Belcampa.

- Zdaje się, że ci tam i ten obcy malarz mają coś fatalnego... - zaczął mój dobroczyńca. - Piłem sobie, ciągnąłem ze szklaneczki w bocznym pokoju, gdy wszczął się hałas. Znam rozkład domu i postanowiłem ocalić pana, zwłaszcza że to ja tylko jestem winien tej całej - awanturze.

- Jak to? - zawołałem zdziwiony.

- Kto rozkazuje chwili? Kto przeciwdziała pędowi wyższego ducha? - odpowiedział malec z patosem. - Kiedym układał włosy na twej głowie, szanowny panie, zapłonęły we mnie, commeà l'ordinaire, najwznioślejsze idee. Oddając się dzikiemu wybuchowi nieokiełznanej fantazji, nie tylko zapomniałem zaokrąglić miękko pukiel gniewu na czubku głowy, lecz nawet pozwoliłem stać nad czołem dwudziestu siedmiu włosom trwogi i przerażenia. Te wyprostowały się pod drętwym spojrzeniem malarza, właściwie upiora, i jęcząc schyliły się ku puklowi gniewu, który wybuchnął z sykiem i trzaskiem.

Patrzyłem na wszystko. Wtedy pan, rozpalony wściekłością, wyciągnąłeś nóż, na którym już tu i ówdzie wisiały krople krwi, ale daremny to był trud posłać do piekła kogoś, kto już do piekła należy, bo ten malarz to Ahasverus, Żyd wieczny tułacz albo Bertram de Bornis, albo Mefistofeles, albo Benvenuto Cellini, albo święty Piotr, krótko mówiąc wstrętny upiór, niedający się niczym innym wygnać, jak tylko rozżarzonym żelazkiem do włosów, zakrzywiającym i zakręcającym ideę - wszak on jest ideą - albo zręcznym, elektrycznymi grzebieniami uskutecznianym trefieniem myśli, które on musi wessać, aby żywić ideę. Widzi pan tedy, łaskawy panie, że dla mnie, artysty i fantasty z profesji, tego rodzaju rzeczy są bagatelą - "das ist mir Pomade", które to przysłowie, wzięte z mej sztuki, o wiele większe ma znaczenie, niż się w istocie sądzi, gdy tylko pomada zawiera prawdziwy olejek goździkowy.

Głupia gadanina małego dziwaka, który tymczasem biegł za mną przez ulice, miała w tej chwili dla mnie coś strasznego, a gdy od czasu do czasu spojrzałem na śmieszne jego skoki i na twarz komiczną, musiałem się śmiać głośno, jakby w konwulsyjnym skurczu: Wreszcie dobiegliśmy do mojego pokoju, Belcampo pomógł mi pakować. Wkrótce było wszystko gotowe do podróży.

Wcisnąłem małemu kilka dukatów w rękę. Aż skoczył z radości.

- Hej, ha! - krzyknął z uniesieniem - mam złoto czcigodne, mam złoto błyszczące, złociutkie

krwawniki z czerwonym płomieniem. To pomysł! Tak, panie, to pomysł... i do tego wesoły...

Nic więcej.

Ostatni dodatek mógł być odpowiedzią na wyraz zdziwienia, z jakim słuchałem jego wrzasków. Natrętny karzeł poprosił, bym mu pozwolił zaokrąglić odpowiednio pukiel gniewu, przystrzyc nieco włosy przestrachu i zabrać na pamiątkę loczek miłości. Nie opierałem się, a on dokonał wszystkiego ze stu, grymasami i komicznymi minami. Nagle pochwycił nóż, który przy przebieraniu położyłem na stole, przybrał postawę szermierza i pchnął w powietrze.

- Zabijam pańskiego wroga - zawołał - a ponieważ jest on tylko czystą ideą, umiera tylko na ideę, musi więc dać się zabić tą moją ideą, której ja dla wzmocnienia ekspresji towarzyszę zręcznymi ruchami ciała.

Apage, satanas, apage, apage, Ahasverus, allez-vous-en! Otóż byłoby to już zrobione... - rzekł odkładając nóż i ocierając sobie czoło, jak człowiek strudzony ciężką jakąś, mozolną prącą. Pochwyciłem nóż i wsunąłem go szybko w rękaw, jak dawniej, gdy jeszcze nosiłem habit. Belcampo zauważył to i chytrze się uśmiechnął.

Odezwała się trąbka pocztyliona. Towarzysz mój zmienił nagle ton i postawę, wydobył małą chusteczkę i począł udawać, że ociera sobie łzy. Raz po raz zginał się w ukłonie z najwyższym uszanowaniem, raz po raz całował mnie w rękę i w płaszcz i błagał:

- Dwie msze za moją babkę zmarłą na niestrawność; cztery msze za mego ojca zmarłego na przymusowy post - wielebny panie. A za mnie co tydzień jedną - gdy pomrę. Na razie przebaczenia dla moich mnogich grzechów. Ach, wielebny...!

Bezecny, grzeszny człowiek tkwi we mnie i mówi: "Piotrze Schönfeld, nie bądź małpą i wierz, że ty jesteś; zresztą właściwie ja jestem tobą, nazywam się Belcampo i jestem genialną ideą, a jeśli temu nie wierzysz, pobiję cię spiczastą, ostrą jak włos myślą.

Ten wrogi człowiek, zwany Belcampo, dopuszcza się, o wielebny, wszystkich możliwych występków, na przykład wątpi w teraźniejszość, upija się bez miary, wywija nieokrzesanie rękami i popełnia bezeceństwa z pięknymi dziewiczymi myślami; ten Belcampo wprawił mnie, Piotra Schönfelda, w takie zamieszanie i w taką rozterkę, że często skaczę nieprzyzwoicie, szargam barwę niewinności i, śpiewając in dulci jubilo, w białych jedwabnych pończochach wchodzę najspokojniej w kał... Przebaczenia dla obu, dla Pietra Belcampo i dla Piotra Schönfelda."

Przy ostatnich słowach uklęknął przede mną i udał gwałtowne łkanie.

Błaznowanie tego człowieka zaczynało mi już ciążyć. - Ależ zachowuj się pan, jak przystało na rozsądnego człowieka - rzekłem zniecierpliwiony.

Wszedł kelner, aby zabrać mój bagaż. -Belcempo zerwał się i, powracając znowu do swego wesołego humoru, począł pomagać kelnerowi.

- Człeczyna ten jest skończonym tchórzem i nie można się wcale z nim zadawać - zawołał kelner, zamykając drzwi powozu. Belcampo machał kapeluszem a gdy ze znaczącym spojrzeniem położyłem palec na usta, krzyknął kilkakrotnie:

- Do ostatniego tchnienia, do ostatniego tchnienia...

***

Gdy ranek zaczął szarzeć, leżało miasto już daleko za mną i znikła postać strasznego, przerażającego człowieka, co stanął był przede mną niby niezbadana tajemnica i raził mnie piorunem trupiego spojrzenia.

Pytanie poczmistrza: "dokąd?" przypomniało mi znowu dotkliwie, że wytrącony z wszelkich stosunków społecznych i oddany na pastwę burzliwym falom przypadku błąkałem się po świecie. Lecz czyż nie po to tylko wyrwała mnie niezmożona siła z koła przyjaznych duchów, czyż nie po to tylko, bym z niepohamowaną potęgą rozwinął skrzydła i rozpoczął loty?!

Podróżowałem, jechałem bez spoczynku, bez przerwy, przesuwał mi się przed oczami wspaniały kraj, mijany może bezpowrotnie, lecz nigdzie nie znalazłem spokoju. Coś pędziło mnie naprzód, coś gnało mnie niepowstrzymanie na południe. Dziwna rzecz. Zaledwie nieznacznie zboczyłem z linii podróży wyznaczonej mi przez Leonarda. Lecz na razie nie zdawałem sobie z tego sprawy. Tak to działało popchnięcie, którym on wypędził mnie w świat - i parło mnie magiczną mocą naprzód, w prostym kierunku.

Noc była ciemna. Wjechałem w gęsty las, który miał się ciągnąć aż za najbliższą stację. Poczmistrz radził przeczekać do rana i ofiarował mi nocleg. Odrzuciłem, aby jak najspieszniej zdążyć do celu, do celu - tajemnicy... Już na wyjezdnym błyskawice zapalały się na niebie. Wkrótce nadciągnęła burza, na chmurach skłębionych, i ż szumem otwarła piorunowe sądy. Grzmot rozbrzmiewał strasznie tysiącznym echem, a czerwone błyskawice przelatywały przez horyzont, jak daleko sięgało oko. Wysokie jodły trzaskały, wstrząśnięte aż de korzeni.

Deszcz lał strumieniami. W każdej chwili groziło niebezpieczeństwo, w każdej chwili mogły nas zdruzgotać walące się drzewa. Konie stawały dęba i płoszyły się światłem błyskawic. Z trudem posuwaliśmy się naprzód. Nagle wóz podskoczył gwałtownie i pochylił się, grzmotnąwszy o ziemię. Złamało się tylne koło. Musieliśmy więc zostać na miejscu i czekać, aż burza ustanie i księżyc przedrze się przez chmury. Dopiero teraz zauważył pocztylion, że w ciemności całkowicie zboczył z gościńca i dostał się na leśną drogę. Nie było innej rady, jak iść tą

drogą, o ile się da, i dostać się z brzaskiem dnia może do wsi. Wóz podparło się gałęziami i tak szliśmy krok za krokiem naprzód. Wkrótce zauważyłem błysk światła w oddali wydawało mi się, że usłyszałem szczekanie. Nie pomyliłem się. Po kilku minutach słychać było już zupełnie dokładnie ujadanie psów. Podeszliśmy pod jakiś okazały dom stojący na środku podwórza, otoczony murem. Pocztylion zapukał do bramy, psy rozwścieczone przypadły do drzwi ze szczekaniem, ale w samym domu było cicho i martwo. Pocztylion zadął w róg. Zabłysło jakieś światełko i na górnym piętrze otwarło się okno. Niski, szorstki głos zawołał:

- Chrystian! Chrystian!

- Jestem, panie dobrodzieju! odpowiedziano z dołu.

- Ktoś puka i trąbi przy naszej bramie - ciągnął dalej głos z góry - psy rozwścieczone; wziąć latarnię i strzelbę Nr 3 i popatrzeć, co tam jest!

Wkrótce potem usłyszeliśmy, jak Chrystian odwoływał psy, a potem sam zjawił się z latarnią.

Byliśmy przy leśniczówce odległej od ostatniej stacji o godzinę. Z narzekaniem opowiedzieliśmy wypadek. Chrystian otworzył oba skrzydła bramy i pomógł wtoczyć wóz.

Psy uspokojone łasiły się i obwąchiwały nas, a mężczyzna stojący w oknie wołał bez ustanku:

- Co tam, co tam? Co za karawana?

Nie dawaliśmy żadnych wyjaśnień. Wszedłem do domu. Naprzeciw mnie, wyszedł duży, silny mężczyzna o twarzy, opalonej od słońca, w wielkim kapeluszu z pękiem zielonych piór, w koszuli i w pantoflach, z gołym kordelasem w ręce, i huknął na mnie po grubiańsku:

- Skąd to? Niepokoić ludzi po nocy! Tu nie żadna gospoda ani stacja pocztowa. Tu mieszka leśniczy - ja! Chrystian osioł, że otworzył bramę.

Zmieszany i niepewny opowiedziałem przygodę. Zapewniłem, że tylko bieda zapędziła mnie w te strony.

Grubianin zmiękł.

- No - rzekł - burza była gwałtowna. Ale to hultaj z tego pocztyliona - jechał tak źle i połamał wóz. Taki dryblas powinien uwijać się po lesie z zawiązanymi oczami, jak w domu, jak każdy z nas. Poszliśmy wyżej. Gospodarz odstawił kordelas, zdjął kapelusz i narzucił na siebie płaszcz. Następnie począł przepraszać za szorstkie powitanie. Tłumaczył, że tu, w swym odległym domu tym bardziej musi mieć się na baczności. że wszelakie łajdactwo włóczy się po lesie, a on przede wszystkim z tak zwanymi kłusownikami, którzy już nieraz godzili na jego życie, otwartą prowadzi wojnę.

- Ale - ciągnął dalej - hultaje nic mi nie zrobią, bo z pomocą boską sprawuję swój urząd

wiernie i uczciwie, a z wiarą i ufnością w Bogu i swym karabinie stawiam im czoło.

Mimo woli, idąc za dawnym przyzwyczajeniem, wtrąciłem z namaszczeniem kilka słów o ufności w Boga. Myśliwy nabierał coraz to lepszego humoru. Mimo mego protestu zbudził żonę, podstarzałą, ale żwawą i ruchliwą matronę. Aczkolwiek zbudzona ze snu, uprzejmie powitała gościa i zaczęła natychmiast przyrządzać kolację. Pocztylion miał jeszcze tej samej nocy wyruszyć z powrotem do stacji - i to ze złamanym wozem - taką bowiem karę, nałożył mu leśniczy. Mnie zaś miał sam gospodarz odwieźć swymi końmi do najbliższej stacji. Było mi to na rękę, bo istotnie potrzebowałem spoczynku. Oświadczyłem, że chętnie przeczekam do jutra, nawet do południa, zwłaszcza że zmęczyła mnie kilkudniowa jazda bez przerwy.

- A ja panu radzę - rzekł leśniczy - zostań pan u nas przez cały dzień jutro i poczekaj aż do pojutrza; wtedy odwiezie pana aż do następnej stacji mój najstarszy syn, jadący do książęcej stolicy.

I z tego także byłem zadowolony. Począłem wysławiać pociągającą samotność

miejsca.

- Otóż, mój panie - rzekł leśniczy - samotnie nie jest tu wcale. Pan z miasta, to i każde mieszkanie w lesie wydaje mu się samotnym. Wszystko zależy od tego, kto mieszka. Prawda, niech tu, w tym starym zamku strzeleckim, mieszka jeszcze, jak niegdyś, taki stary, zgryźliwy pan, co to zamknął się, w czterech ścianach i nie gustował w lesie ni w polowaniu - no, to oczywiście życie będzie samotne. Ale odkąd on pomarł, a łaskawy książę pan zamienił budynek w leśniczówkę, wszystko się, zmieniło. Pan z miasta, oczywiście, nic nie wie o lesie i przyjemnościach polowania. Strzelcy żyją sobie wspaniale i wesoło. Ja i moje strzelczyki to jedna rodzina, a do tego zaliczam także moje roztropne zgrabne psy; pan może się śmieje, ale tak, rozumieją mnie, uważają na moje słowo, na skinienie, wierne są aż do śmierci. Patrz pan jak mój Leśniak mądrze na mnie patrzy; wie, że o nim mowa. Mój panie, w lesie zawsze się znajdzie robota. Wieczorem przygotowania, gospodarka, a skoro świt wstawaj, bracie, z łóżka i dalej w pole. Dmę w róg. Wszystko otrzepuje się i zrywa ze snu; psy ujadają, szczekają z uciechy, rwą się do polowania. Chłopaki zarzucają ubrania i torby myśliwskie. Z karabinem na ramieniu wchodzą do izby. Moja stara zastawia myśliwskie śniadanie. A potem - na stanowiska. Przychodzimy, gdzie chowa się dziczyzna. Każdy zajmuje swe miejsce. Psy wietrzą, spuściwszy głowy ku ziemi, wąchają, węszą, spoglądają na pana jakby roztropnymi ludzkimi oczami, a myśliwy stoi zaledwie oddychając, z naciągniętym kurkiem, bez ruchu, jakby w ziemię wrosły. A niech dziki zwierz wyskoczy z gęstwiny, niech rozlegną się strzały, a psy wpadną z tyłu, wtedy bije ci serce, jużeś jak nie ten sam... Zresztą polowanie jest zawsze czymś nowym; zawsze tam coś ciekawego, co się jeszcze nie przytrafiło. Dziczyzna także, zależnie od czasu, to taka, to owaka - to ten zwierz, to tamten. Wspaniała rzecz. Nigdy dość, nigdy dość. A sam las? Czy to nie wesele? Żadna samotność. Znam każde miejsce. Znam się z każdym

drzewem, bo prawdę mówiąc - każde wyrosło pod mym okiem i teraz rozszerzają w przestworzu swe jasne, ruchliwe wierzchołki. Muszą mię znać i lubić, toć ja je wyhodowałem, pod moją to pielęgnacją... Tak jest. Wierzę mocno, że gdy czasem które tak dziwnie szumi i szepce, to mówi do mnie właściwym sobie głosem. Krótko mówiąc, poczciwy, pobożny myśliwy ma wspaniałe życie. Zostało mu naprawdę jeszcze coś ze starej pięknej wolności, kiedy to ludzie żyli tak całkiem w przyrodzie i nic nie wiedzieli o wszelkim łaszeniu i udawaniu dzisiejszych ludzisków w murowanych więzieniach. Tak, mój panie. Panowie z miasta zapomnieli całkiem o tych wszystkich wspaniałościach, jakie Bóg rozsiał dokoła, aby się człek zachwycał na podobieństwo onych wolnych, którzy żyli w miłości i przyjaźni z całą naturą, jak się to czyta w starych historiach. Wszystko to wypowiedział starzec z takim naciskiem, że widać było jak na dłoni, jak on to głęboko nosi w piersiach i czuje. Zazdrościłem mu jego szczęścia, jego spokojnego, w głębi sumienia tkwiącego nastroju, tak niepodobnego mojemu. W drugiej części dość obszernego, jak teraz zauważyłem, domu leżał pokoik gościnny. Czysto tam było i schludnie. Tam złożono moje rzeczy. Gospodarz zaprowadził mnie na nocleg i pożegnał zapewnieniem, że będę mógł sobie wypocząć, jak długo zechcę, gdyż żaden hałas tu nie doleci, bo izba jest odosobniona od całego mieszkania. Gdy zawołam, przyniosą mi śniadanie. Zobaczymy się dopiero przy obiedzie, wyrusza bowiem zaraz rano na łowy i przed południem nie wróci.

Rzuciłem się na posłanie i zasnąłem zmęczony. Zapadłem w głęboki sen, ale straszna trapiła mnie mara. Dziwna rzecz: sen zaczął się świadomością snu; sam sobie powiedziałem: "Wspaniale, nareszcie zasnąłem i śpię spokojnie i mocno; jakże mnie to orzeźwi, tylko nie należy otwierać oczu... Mimo to czułem, że powiek nie przemogę, że się rozwierają, a sen trwa nieprzerwany. Otworzyły się drzwi i weszła jakaś czarna postać, w której, ku przerażeniu,

poznałem siebie samego, w habicie kapucyńskim, z brodą i tonsurą. Postać zbliżała się zwolna. Leżałem bez ruchu. Głos zamarł mi w piersiach.

Postać usiadła na łóżku i wykrzywiona szyderstwem poczęła się złośliwie uśmiechać.

- Pójdziemy - szeptała - pójdziemy na dach; tam furczy chorągiew: weselnie, weselnie: pan puchacz ślub bierze; tam staniem do walki. Kto kogo pchnie w dół? Królestwo zwycięzcy!... I krwi, pełno krwi!...

Czułem, że chwyta mnie za piersi i ciągnie do góry. Rozpacz wróciła mi siły.

- Nie jesteś ty mną, nie jesteś, jesteś diabłem! - krzyknąłem i jakby szponami chwyciłem groźnego upiora za twarz, lecz palce wpiły się w oczy, jak w głębokie jamy, a postać zaśmiała się na nowo przejmującym głosem. I zbudziłem się, jakby podrzucony do - góry nagłym szarpnięciem. Ale śmiech trwał dalej... Zerwałem się na równe nogi. Och! poranek kołatał do okna, poranek! Ktoś stał przy stole zwrócony do mnie tyłem. Jakaś postać w habicie kapucyna. Zdrętwiałem z przerażenia: sen, jawa! Kapucyn szperał między rzeczami leżącymi na stole. Nagle odwrócił się. Odetchnąłem i nabrałem odwagi. Ujrzałem twarz obcą, z czarną, rozwichrzoną brodą, z oczu jej śmiało się bezmyślne obłąkanie; pewne rysy przypominały z daleka Hermogena.

Postanowiłem czekać, co pocznie nieznajomy, i przeszkodzić tylko jakiemuś niebezpiecznemu ruchowi. Sztylet leżał tuż przy mnie; ufny w swoją fizyczną niezawodną siłę czekałem, nie wołając obcej pomocy. Nieznajomy bawił się jak dziecko moimi rzeczami, zwłaszcza cieszył się bardzo moim czerwonym portfelem, zwracał go ku światłu, obracał na wszystkie strony i podskakiwał dziwacznie do góry. W końcu znalazł flaszkę z resztką tajemniczego wina, otworzył i powąchał; dreszcz gwałtowny wstrząsnął nim niespodzianie, a z ust i gardła trysnął rozdzierający śmiech, niby echo śmiechu, który słyszałem

we śnie. Począł skakać i chwiać się, napił się wina i, odrzuciwszy flaszkę, wybiegł za drzwi. Pobiegłem za nim, lecz zginął mi już z oczu. Słyszałem tylko, jak zbiegł ze stukiem na dół po oddalonych schodach. Wszystko zakończył głuchy huk, jakby silnie zatrzaśniętych drzwi. Zasunąłem rygle, aby uniknąć ponownych odwiedzin, i na nowo rzuciłem się na łóżko. Wyczerpany zasnąłem natychmiast i nie zbudziłem się, aż dopiero w słońcu. Rzeźwy i wzmocniony poprosiłem o śniadanie. Przyniosła je zdrowa, kwitnąca dziewczynka, młodsza córka leśniczego. Ponieważ starsza siostra i matka były zajęte w kuchni, zabawiła mnie moja szafarka. Dziewczątko umiało wcale przyjemnie opowiadać o życiu zacisznym, wesołym, o tym, jak zwykłą ciszę powszedniego dnia przerywa czasem przyjazd księcia, który poluje w kniei i potem nocuje w domu, a przyprowadza ze sobą całą gromadę ludzi.

Na takich rozmowach minęło kilka godzin. Nadeszło południe. Wesoła wrzawa i odgłos rogów zapowiedziały leśniczego i jego czterech synów, okazałych, kwitnących młodzieńców, i trzech strzelczyków.

Zapytano mnie, jak spałem i czy ranny hałas nie zbudził mnie przed czasem. Nie mogłem opowiedzieć przygody, bo zjawienie się na jawie strasznego mnicha tak ściśle wiązało się z ciemną opowieścią snu, żem ledwie rozróżniał, gdzie sen, a gdzie rzeczywistość.

Nakryto stół i podano rosół. Gospodarz zdjął czapkę i zaczął odmawiać modlitwę. Wtem otworzyły się drzwi i wszedł kapucyn, którego widziałem w nocy.

- Witajcie, wielebny ojcze - powitał go leśniczy - zmówcie "Gratias" i pożywajcie z nami.

Kapucyn spojrzał iskrzącymi się od gniewu oczami i krzyknął straszliwie:

- Idź do czarta razem z twym wielebnym... i przeklętą modlitwą. Przywabiłeś mnie, bym był trzynasty. Masz mnie stracić rękami obcego mordercy! Tuś mi - wepchałeś mnie w

ten habit, aby nikt nie poznał hrabiego, twego pana i władcy?! Strzeż się, przeklęty!

To mówiąc pochwycił ciężki dzban ze stołu i rzucił prosto w głowę starego. Zręczne uchylenie ocaliło gospodarza. Pocisk mógł był zdruzgotać mu czaszkę. Dzban uderzył w ścianę i prysnął w tysiące kawałków. W tejże chwili chłopcy rzucili się na szaleńca i obezwładnili go.

- A łotrze! - krzyknął leśniczy - jakim czołem?! Jak śmiesz godzić na mnie? Byłeś jak bydlę... wyrwałem cię z zatraty... a ty!? Marsz do wieży!

Mnich runął na kolana i począł wyć o litość.

- Precz! Do wieży! - wrzasnął stary - nie puszczę, dopóki cię czart nie opuści. Jak nie, umrzesz...

Mnich począł krzyczeć i zawodzić nieutulonym narzekaniem, jak w agonii. W końcu usunięto nieszczęśnika. Wyprowadzili go chłopcy.

Powróciwszy oznajmili, że mnich uspokoił się, skoro tylko znalazł się w celi na wieży.

Chrystian, który, go strzeże, opowiadał ponadto, że mnich przez całą noc tłukł się po korytarzach domu i podobno o świcie domagał się od kogoś wina. "Wina, wina!" - krzyczał jak opętany. - "Jeszcze, jeszcze, choć kroplę, dawaj, dawaj, jam twój, masz, bierz mnie za kroplę wina!" I podobno rzeczywiście zataczał się, jak pijany. Nie wiadomo tylko, skąd dostał jakiegoś mocnego oszołamiającego napoju. Opowiedziałem całą przygodę i wspomniałem o wypróżnionym gąsiorku.

- Ach, to źle... - zawołał leśniczy - ale stało się. Musisz pan być odważnym i pobożnymczłowiekiem. Kto inny mógłby skonać ze strachu.

Zapytałem o szalonego mnicha i bliższe szczegóły dotyczące jego osoby.

- Awantura! - odpowiedział stary - długa, długa awantura; nie ma co mówić przy jedzeniu.

Już i tak ten łajdak popsuł nam cały obiad. Ale siadajmy!

To rzekłszy, odmówił ze skupieniem i nabożnie "Gratias" i zabraliśmy się do jedzenia.

Żwawa, wesoła rozmowa ożywiała wiejski, posilny, smacznie przyrządzony obiad. Na cześć gościa kazał stary dostać dobrego wina i przypił do mnie, patriarchalnym zwyczajem, z pięknego kubka. Następnie sprzątnięto ze stołu. Chłopcy zdjęli ze ściany kilka rogów i zagrali pieśń myśliwską. Zawtórowały im dziewczęta i ostatnią zwrotkę odśpiewali wszyscy chórem.

Oddychałem rozkosznie, całą piersią - od dawna już nie było mi tak błogo, jak pomiędzy tymi prostymi, pobożnymi ludźmi.

- Teraz, mój panie - rzekł leśniczy powstając od stołu prześpię się z pół godzinki, a potem pójdziemy do lasu. Opowiem panu o mnichu. Gdy zaś mrok zapadnie, pójdziemy na stanowisko. Są kuropatwy - widział Franciszek. Damy i panu strzelbę. Spróbuje pan szczęścia.

Zgodziłem się z ochotą, nowość pociągała mnie; wprawdzie w seminarium strzelałem niekiedy do tarczy, ale do zwierzyny nigdy... Leśniczy bardzo był ucieszony i wyłożył mi krótko niezbędne zasady strzelania; czynił to serdecznie, ale z pośpiechem, widocznie nie chciał pozbawić się poobiedniej drzemki.

Dano mi strzelbę. Poszliśmy do lasu.

- Mniej więcej dwa lata temu - zaczął leśniczy - dało się słyszeć w lesie jakieś przeraźliwe wycie. Powtarzało się często, ku wielkiemu przerażeniu moich chłopców. Nie wyglądało to na ludzkie, ale Franciszek, mój świeży uczeń, sądził, że to jednak człowiek. Wyjący potwór upodobał sobie szczególnie Franciszka i jego placówki i wybuchami gwałtownego wrzasku płoszył mu zwierzęta. Ilekroć chłopiec mierzył do zwierzyny, wyskakiwała z krzaków jakaś nieznana postać z najeżonymi włosami i udaremniała strzał. Franciszek miał głowę nabitą strasznymi legendami myśliwskimi, które słyszał od swego ojca, starego myśliwego. Toteż uwierzył, że to sam szatan nachodzi go w

lesie, by mu obrzydzić rzemiosło, a może nawet zwabić go na bezdroża. Inni chłopcy, nawet moi synowie, którym także nawinął się był potwór, zaczęli podzielać tę obawę. Tym bardziej więc chciałem wpaść na ślad zjawiska; zwłaszcza że dopatrywałem się w tym wszystkim podstępu kłusowników. Domyślałem się, że chodzi tu o spłoszenie myśliwych ze stanowiska. Rozkazałem synom, by zaraz przy pierwszym spotkaniu z dziwadłem krzyknęli nań i kazali mu stanąć. Jeżeli nie stanie lub nie odpowie, strzelać bez ceremonii, według prawa myśliwskiego. Trafiło znowu na Franciszka.

Potwór zaszedł mu drogę na placówce. Chłopiec zawołał na niego, składając się gwerem.

Widmo skoczyło w krzaki. Franciszek pociągnął za cyngiel i chybił. Teraz już był pewien, że to sam diabeł czaruje mu strzelbę i płoszy na przekór zwierzynę. Przestraszony przybiegł do domu i opowiedział, co zaszło. I w rzeczy samej, odkąd potwór zaczął go prześladować, nie trafił ani razu do upatrzonego celu, jakkolwiek dobrze strzelał. Pogłoska o straszydle w lesie rozeszła się po całej okolicy. We wsi opowiadano już, jak to diabeł zaszedł Franciszkowi drogę i ofiarował mu zaklęte kule - i tym podobne historie. Postanowiłem raz skończyć z tym wszystkim i począłem sam śledzić potwora w miejscach, gdzie się najczęściej miał pojawiać. Długo nie miałem szczęścia. Aż raz, wieczorem, w listopadzie, zaszeleściło coś w krzakach.

Cichutko podniosłem broń, a z gąszczu wypadło straszydło. Czerwone błyszczące oczy, wstrętnie zjeżone włosy, strzępy łachmanów...

Potwór wybałuszył ślepia i jak nie zacznie wyć! Panie! Nie jestem tchórzem, a pobladłem śmiertelnie z przestrachu. Pot oblał mnie - uwierzyłem że to szatan. Począłem się modlić głośno dla nabrania odwagi. A gdym wymówił imię Jezus, zawył potwór jeszcze wściekłej i wybuchnął straszliwymi bluźnierstwami. "Łotrze przeklęty - krzyknąłem - stul pysk, nie bluźnij. Poddaj się lub strzelam." I cóż się pokazało? Potwór upadł na ziemię i zaczął prosić o litość.

Nadeszli moi chłopcy i wzięli go. Sprowadziliśmy go tu, do domu, i kazałem go zamknąć w wieży. Chciałem nazajutrz zawiadomić zwierzchność o wypadku. O świcie odwiedziłem więźnia. Siedział na legowisku ze słomy i gwałtownie płakał. Upadł mi do nóg i błagał o miłosierdzie. Wyznał, że już od kilku tygodni żył w lesie o głodzie i chłodzie i nie miał nic w ustach, jak tylko zioła i dzikie owoce. Jest biednym kapucynem z odległego klasztoru i uciekł z więzienia, w którym zamknięto go z powodu szaleństwa.

Istotnie litość brała patrzeć... Stan jego był okropny. Kazałem mu podać wina ł coś do zjedzenia. To pokrzepiło go nieco. Zaczął prosić, bym go nie wypędzał od razu. Błagał o jakiś nowy habit, bo chciałby powrócić do klasztoru. Przyrzekłem spełnić jego życzenie. Szaleństwo zaczęło ustawać i paroksyzmy, rzadsze, występowały coraz to łagodniej. Zauważyłem, że działa na niego ostry krzyk i zagrożenie śmiercią, bo zaraz pokorniał, zaczynał się modlić, wzywać Boga na ratunek i błagać o wyzwolenie z mąk piekielnych. W przystępach szału zapewniał, że jest świętym Antonim, to znowu mienił się hrabią i groził nam, że każe nas pomordować, gdy tylko przyjdzie jego służba. W chwilach jaśniejszych zaklinał się na wszystko, bym go nie odpychał, bo czuje, że tylko pobyt u mnie może go wyleczyć. Istotnie zwolna zaczął powracać mu spokój. Raz tylko jeszcze przyszło do silniejszego starcia, a mianowicie, gdy właśnie książę polował w kniei i przybył tu na nocleg.

Widok księcia i jego wspaniałego otoczenia dziwnie podziałał na mnicha. Wariat zaciął się w sobie i uciekał, ilekroć zabieraliśmy się do modlitwy. Każde podobne słowo wstrząsało go gwałtownym dreszczem, a przy tym patrzył na moją córkę, Annę, tak pożądliwym okiem, że postanowiłem go usunąć, aby zapobiec nieszczęściu. Ale ubiegł mnie. W nocy zbudził mnie przejmujący krzyk na korytarzu. Wyskoczyłem z łóżka i pobiegłem szybko ku pokojowi, gdzie spały moje córki. Mnich wyłamał się z wieży, gdzie się go zawsze na noc zamykało, i w bydlęcym

rozpasaniu pobiegł ku izbie mych córek. Wyważył drzwi nogą. Na szczęście szedł tamtędy Franciszek po wodę do kuchni; chciało mu się strasznie pić, więc opuścił pokój, w którym spali chłopcy, i wszedł na korytarz. Usłyszawszy hałasowanie mnicha, przybiegł i pochwycił napastnika z tyłu. Zaczęło się szamotanie we drzwiach śród krzyku zbudzonych dziewcząt. Nadszedłem w chwili, gdy mnich rzucił chłopca na ziemię i zbójecko chwycił go za gardło. Bez namysłu rzuciłem się na niego i oderwałem go od Franciszka. Ale nagle, nie wiem nawet, jak się to stało, zabłysnął w ręku mnicha nóż. Szaleniec pchnął nim w stronę mych piersi, ale Franciszek, zerwawszy się, schwycił go za ramię, a że nie jestem ułomkiem, udało mi się wkrótce tak silnie przycisnąć szaleńca do muru, że prawie dech mu zaparło. Hałas pobudził chłopców. Nadbiegli. Związaliśmy mnicha i wrzuciliśmy do wieży. Ja zaś przyniosłem harap i obiłem gałgana, aby mu się na przyszłość odechciało podobnych zamachów. Jęczał, kwilił, wył. Wówczas rzekłem: "Łajdaku, to jeszcze za mało; chciałeś mi zgwałcić córkę, godziłeś na mnie nożem - powinieneś umrzeć!" Zawył z trwogi i przerażenia.

Strach przed śmiercią zdawał się unicestwiać go całkowicie. Nazajutrz nie można było odesłać go, bo leżał jak nieżywy, w całkowitym rozprężeniu i budził we mnie prawdziwe współczucie. Kazałem przenieść go do lepszego pokoju i posłać mu lepsze łoże. Moja stara pielęgnowała go, gotując mu posilne zupy i podając mu z domowej apteczki różne pomocne leki.

Moja stara ma dobry zwyczaj, że gdy siedzi sama, śpiewa pobożne pieśni, a jeśli jej taką pieśń zaintonuje Anna swoim czystym głosem, wtedy już nic jej nie brakuje do szczęścia. Tak też bywało i teraz, przy łóżku chorego. Biedak słuchał i wzdychał ciężko, i patrzył rzewnie na moją starą i na Annę, a łzy płynęły mu po twarzy. Czasem poruszał ręką i palcami, jak gdyby, chciał się przeżegnać, ale to mu się nie udawało; ręka opadała bezsilnie.

Czasem usiłował wtórować śpiewającym. Tymczasem ustępowała choroba i chory odzyskiwał władzę w mięśniach. Począł się żegnać zwyczajem mnichów i modlić po cichu.

Nagle, niespodziewanie zaczął śpiewać łacińskie pieśni. Moja stara i Anna wzruszyły się do głębi, choć nic nie rozumiały. Nie miały słów na wyrażenie, jak bardzo zbudował je swoim śpiewem i dziwną świętością tonu.

Mnich tak już wyzdrowiał, że mógł wstać i chodzić po domu.

Dziwnie się zmienił. Oczy patrzały łagodnie, a zły ogień zniknął z nich zupełnie wraz ze wszelkimi śladami obłąkania. Chód klasztorny, cichy i pobożny, ręce skrzyżowane na piersiach - wszystko to robiło podniosłe wrażenie.

Nie jadł nic, tylko jarzynę, chleb i wodę. Rzadko tylko w ostatnich czasach dał się nakłonić, by zasiąść z nami przy stole, zjeść coś i wypić choć łyk wina. Wtedy zwykle odmawiał "Gratias" i zachwycał nas swoją dziwną wymową. Często chodził samotnie do lasu, na przechadzkę. Raz spotkałem go i zapytałem bez ogródek, kiedy powróci do klasztoru.

Wzruszył się bardzo, ujął mnie za rękę i rzekł: "Przyjacielu, zawdzięczam ci zbawienie duszy.

Wyratowałeś mnie z wiecznego zatracenia. Jeszcze nie mogę, rozstać się z tobą, pozwól mi pozostać. Ach, miej litość nade mną, którego uwiódł szatan. Czekała mnie bezpowrotnie zguba. Ocalił mnie święty, do którego modliłem się gorąco w godzinach utrapienia. On to przywiódł mnie do lasu. Znalazłeś mnie pan w stanie całkowitego zwyrodnienia i z pewnością nie przeczuwasz, że niegdyś byłem młodzieńcem bogato wyposażonym przez naturę, i że tylko marzycielska skłonność do samotności i do głębokich studiów przywiodła mnie do klasztoru. Dobrze mi było w klasztorze. Bracia lubili mnie serdecznie. Pobożnością i wzorowym zachowaniem zwróciłem na siebie uwagę. Widziano we mnie przyszłego przeora.

Zdarzyło się, że jeden z braci powrócił z dalekiej podróży i przywiózł rozmaite relikwie, nabyte po drodze dla klasztoru, między innymi zamkniętą flaszkę, którą święty Antoni miał odebrać diabłu przechowującemu w niej uwodzicielskie eliksiry. Relikwię tę przechowywano troskliwie. Ja jednak widziałem w tym pewną niedorzeczność. Rzecz ta wydawała mi się sprzeczna z duchem pobożności. Opanowała mnie nieopisana żądza zbadania, co właściwie zawiera ta flaszka. Udało mi się usunąć ją na bok. Otworzyłem ją i znalazłem słodki, silny napój o wspaniałym zapachu. Wypiłem go do ostatniej kropli.

Co się stało nagle z moim rozumem, nie zdołam wypowiedzieć. Jakże opiszę owo palące pragnienie uciech świata, ów czar przedziwny grzechu, co jawił mi się w łunach najwyższego szczęścia. Życie moje stało się jednym pasmem haniebnych występków. Lecz mimo diabelskiej przebiegłości, nie zdołałem ukryć się przed okiem świata. Przeor dowiedział się o wszystkim i skazał mnie na wieczne więzienie. Przepędziłem kilka tygodni w głuchym, wilgotnym zamknięciu, przeklinałem siebie i los swój nieszczęsny, bluźniłem Bogu i świętym. Aż stała się rzecz niespodziewana. W czerwonym, żarzącym się świetle stanął przede mną szatan. Przynosił mi obietnicę wolności, żądał, bym oddał mu duszę i służył mu wiernie, wyparłszy się Najwyższego. Z wyciem rzuciłem się na kolana i zawołałem: "Nie ma Boga, ty jesteś panem moim, z twojego żaru płynie żądza życia!". Zaszumiało, zerwała się zawierucha, mury drżały, jakby trzęsienie ziemi poruszyło nimi. Przeraźliwy gwizd wypełnił więzienie, sztaby żelazne w oknie pękły na kawałki i wypadły. Jakaś niewidzialna siła wyrzuciła mnie na podwórze klasztorne. Księżyc świecił jasno przez chmury. W blasku zielonego światła stała statua świętego Antoniego. Stała na środku dziedzińca, przy szeleszczącej fontannie. Nieopisana trwoga rozdzierała mi serce. Skruszony rzuciłem się na kolana i podnosząc ku świętemu zatrwożone ręce, odwołałem przysięgę daną złemu i błagałem o litość. Ale

nadciągnęły czarne chmury i na nowo rozszalał się orkan powietrzny. Straciłem zmysły. Gdym otworzył oczy, ujrzałem się w gęstym lesie. Porwał mnie szał. Począłem hałasować z głodu i z rozpaczy. Dopiero pan wyratowałeś mnie z nieszczęścia".

Tyle mnich. Historia jego zrobiła na mnie tak głębokie, wrażenie, że nigdy jej nie zapomnę i nie uronię ani jednego słowa. Polubiliśmy tego mnicha. Od czasu owej choroby zachowywał się pobożnie i dobrodusznie. Tym bardziej więc nie mogę pojąć, co mu się nagle stało i skąd się wzięło to nowe szaleństwo.

- A z jakiego klasztoru uciekł ten nieszczęśliwiec? - spytałem posępnie.

- Nie wiem. Nie powiedział - odrzekł leśniczy - ale po co pytać?.. Jestem prawie pewny, że to ten sam, o którym niedawno mówiono na dworze. Oczywiście, nikt nie przeczuwa, że on tu siedzi, a ja właśnie bacząc na bezpieczeństwo mnicha, nie mam ochoty rozgłaszać swoich przypuszczeń...

- Nawet mnie? - rzekłem natrętnie. - Wszak jestem cudzoziemcem. Przysięgam, że nie powiem nikomu.

- Trzeba panu wiedzieć - odparł leśniczy - że siostra naszej księżnej jest ksienią klasztorną cystersek. Ta ulitowała się nad synem ubogiej kobiety, której męża łączyły z naszym dworem pewne tajemnicze stosunki - i kazała go wychować. Chłopiec wyrósł na pobożnego młodzieńca i został kapucynem. Znany był szeroko i daleko jako kaznodzieja. Ksieni pisała często do swej siostry o wychowanku. Niestety zawiodła się. Niedawno gorzko opłakiwała jego stratę. Miał on sprofanować jakąś relikwię i został wypędzony z klasztoru. Byłem przy rozmowie nadwornego lekarza księcia z jakimś dworzaninem. Wspominali o kilku nader ciekawych szczegółach, lecz że nie znam gruntownie całej historii, uleciały mi z pamięci. Wprawdzie mnich inaczej teraz opowiada i miesza diabła w całą tę sprawę, ale uważamy to za fantazję i za resztki szału. Jestem przekonany, że to nie

kto inny tylko ojciec Medard, wychowanek ksieni. Nieszczęśliwy wpadł w szatańskie sidła. Szatan skusił go do grzechu, a sąd boży ukarał go zwierzęcym szałem.

Zadrżałem. Imię Medard przejęło mnie wewnętrznym dreszczem. Opowiadanie całe zmieniło się w okropną torturę i wpiło się w duszę śmiertelnym ukąszeniem. Byłem przekonany, że mnich powiedział prawdę, bo właśnie taki napój piekielny, wypity z mej flaszki, wtrącił go na nowo w przeklęty, bluźnierczy szał. Ha! I na cóż mi przyszło? Otom ci jest nędzną igraszką złej, fatalnej siły, co trzyma mnie w żelaznych kleszczach przemożnych zatrzasków. Uważam się za wolnego, a poruszam się tylko w obrębie klatki, w której zostałem zamknięty bez ratunku. Dobre nauki Cyryla, puszczone mimo uszu, zjawienie się hrabiego i jego lekkomyślnego ochmistrza - wszystko przyszło mi na myśl. Wiedziałem już teraz, skąd powstało to nagłe zaburzenie ducha, skąd wzięła się u mnie ta zmiana umysłu.

Wstydziłem się łotrowskich postępków, a wstyd ten w tej chwili miał dla mnie znaczenie głębokiego żalu i skruchy, jak na spowiedzi.

Zamyśliłem się głęboko. Nie słuchałem już opowiadań starego o walkach z kłusownikami.

Już zmierzch zapadał. Doszliśmy do krzaków, w których spodziewano się ptactwa.

Myśliwi rozeszli się na stanowiska. I ja dostałem swoje. Kazano mi milczeć, stać bez ruchu i nadsłuchiwać z odwiedzionym kurkiem.

Zostałem sam, samotny - ja i posępna ciemność.

Cisza... milczenie... ponury las... i one... Przyszły... przyszły... Matka i ksieni, we wzroku ich malowało się oskarżenie i nagana.

Przypadła z szelestem Eufemia, z martwymi oczami, śmiertelnie blada; patrzyła we mnie żarzącym płomieniem i grożąc podniosła zakrwawione ręce. Ach, były to krople krwi, co wypłynęły z śmiertelnej rany Hermogena. Krzyknąłem. Wtem zaświstało coś w powietrzui łopot

skrzydeł przemknął mi nad głową. Strzeliłem na oślep i dwie kurki trafione spadły naziemię...

- Brawo! - zawołał ktoś w pobliżu i zestrzelił trzecią. Był to chłopak z orszaku leśniczego.

Dzielny ten wyrostek nie omieszkał obmówić mnie przed swoim panem. Zaledwie tylko zeszli się wszyscy z łupami, począł opowiadać złośliwie, rzucając na mnie z boku chytre spojrzenia, jak to krzyknąłem głośno z przerażenia, gdy kurki przeciągały mi nad głową, i jak potem, nawet nie złożywszy się dobrze, strzeliłem i trafiłem dwie kurki; chociaż, jak mu się zdawało, w zupełnie innym kierunku zwróciłem był lufę. Stary myśliwy roześmiał się serdecznie i pytał z uciechą czemu to przestraszyłem się kurek i strzelałem jakby dla obrony.

- Hm, hm! - żartował - taki to z pana kłusownik; zapewne w zmowie ze złym; jakże to można tak strzelać na chybił-trafił, a trafić? No, no... tylko niech się pan nie obrazi. Ja tylko tak żartuję. Przecie wiem, że pan jesteś uczciwym i pobożnym człowiekiem.

Poczciwy stary nie wiedział nawet, jak strasznie trafił mnie w serce. Szczęśliwy strzał w podnieconym nastroju, ów strzał przypadkowy, napełniał mnie przerażeniem. Rozdwojony w samym sobie, sam dla siebie stałem się dwuznacznym. Wewnętrzna groza trawiła mnie z niszczącą siłą.

Gdyśmy wrócili do domu, oznajmił nam Chrystian, że mnich zachowywał się spokojnie, nic nie mówił, nic nie jadł, nic nie pił.

- Nie mogę trzymać go dłużej - rzekł leśniczy - któż mi zaręczy, że jego, jak się zdaje, nieuleczalne szaleństwo nie wybuchnie na nowo i że nie spowoduje tu, w domu, jakiegoś strasznego nieszczęścia. Jutro rano pojedzie z Chrystianem i z Franciszkiem do miasta. Tam mogą go umieścić w zakładzie dla wariatów. Już przygotowałem sprawozdanie.

Poszedłem na spoczynek. Otoczyła mnie samotność. Przed oczyma stawała mi postać

Hermogena i zmieniała się w szalonego mnicha. Obaj zlewali się w jedno. Czułem, że to ostrzeżenie, jakby tuż nad przepaścią.

Potknąłem się o gąsiorek, który jeszcze leżał na podłodze; mnich wypróżnił go do ostatniej kropli; byłem więc uwolniony od nowej pokusy picia fatalnego trunku. Z flaszki wydobywała się silna, odurzająca woń.

Bez namysłu wyrzuciłem przeklęte naczynie przez otwarte okno poza mur dziedzińca, aby w ten sposób zniszczyć wszelkie możliwe działanie fatalnego eliksiru. Powoli uspokajałem się. Dodawała mi odwagi myśl, że w każdym razie muszę stać wyżej pod względem duchowym niż mnich, którego taki sam napój wtrącił w dzikie obłąkanie. Tak to straszliwe nieszczęście, jakim jest obłęd, przemknęło koło mnie.

Że stary leśniczy uważał mnicha właśnie za nieszczęśliwego Medarda, za mnie samego, było to dla mnie wskazówką wyższej, świętej mocy, co nie chciała, bym popadł w rozpaczliwą nędzę. Czyż obłąkanie, stające mi wszędzie na drodze, nie było jedyną potęgą, mogącą przeniknąć mnie do głębi serca i coraz natarczywiej ostrzegać przed złym duchem, zjawiającym się, jak sądziłem, w postaci groźnego, upiornego malarza?

Niepowstrzymanie ciągnęło mnie coś do stolicy. Mówiłem sobie, że siostra mojej opiekunki, która, jak sobie przypominałem z obrazu, była całkiem podobna do ksieni, powróci mnie znowu zaciszu pobożnego, niewinnego życia; w obecnym położeniu potrzeba mi tylko jej spojrzenia i związanych z nim wspomnień. Ale to rzecz przypadku, niechże on sam powiedzie mnie do niej.

Już świt zaróżowił chmury, gdy usłyszałem głos leśniczego w podwórzu. Zarzuciłem prędko ubranie i zeszedłem na dół.

Miałem odjechać z najstarszym synem gospodarza. Wóz drabiniasty ze słomianymi siedzeniami stał przed bramą domu, gotowy do odjazdu. Przyprowadzono mnicha. Dał się spokojnie prowadzić. Twarz miał śmiertelnie bladą i

pomieszaną. Nie odpowiadał na żadne pytania, nic nie chciał jeść, zdawało się, że zaledwie zauważa ludzi koło siebie.

Wsadzono go na wóz i związano silnie powrozami, bo stan jego wydawał się w każdym razie groźnym i żadną miarą nie można było czuć się zabezpieczonym przed nagłym wybuchem jego stłumionej wściekłości. Gdy mu krępowano ramiona, wykrzywił twarz kurczowo i jęknął cicho. Stan jego ranił mi serce. Ten biedny mnich był mi pokrewny i bliski; kto wie, czy nie jego zatraceniu zawdzięczałem swój ratunek. Chrystian i jeden z chłopców usiedli obok niego na wozie. Dopiero przy odjeździe padło na mnie jego spojrzenie i nagle odmalowało się w nim gwałtowne zdumienie. Wóz ruszył. Szliśmy za nim aż ku murowi.

Nieszczęśliwy wariat jechał z odwróconą głową, zatopiony we mnie struchlałym spojrzeniem.

- Patrz pan - rzekł leśniczy - jak uważnie spogląda na pana. Zdaje się, że pańska niespodziewana obecność w jadalni przyczyniła się także wiele do jego wariackiego zachowania się; w jaśniejszych chwilach bywał niezwykle bojaźliwy i miał zawsze podejrzenie, że przyjdzie ktoś obcy i zabije go. Zwłaszcza przed śmiercią czuł strach niezmierny; groźbą, że każę go zastrzelić, poskramiałem nieraz wybuchy jego szaleństwa.

Odetchnąłem po odjeździe mnicha; jego straszne, wyniszczone rysy odzwierciedlały moje

własne "ja", a to było dla mnie męczarnią nie do zniesienia. Cieszyłem się nadzieją ujrzenia

stolicy. Coś mówiło mi, że tam spadnie ze mnie brzemię ciężkiego, ciemnego głosu, tam

odzyskam siły i pozbędę się złej mocy, co zatruła mi życie.

Po śniadaniu zajechała bryczka zaprzęgnięta w rącze konie. Z trudem udało mi się

wcisnąć gospodyni trochę pieniędzy za gościnność, z jaką mnie podejmowano, jako też

ofiarować obu dorodnym dziewczętom kilka ozdobnych drobiazgów, które przypadkowo

miałem przy sobie. Cała rodzina żegnała mnie serdecznie, jakby dawnego, dobrego

znajomego, a stary żartował z moich talentów strzeleckich. Odjechałem pogodnie i wesoło.

ROZDZIAŁ IV

ŻYCIE NA KSIĄŻĘCYM DWORZE

Stolica była przeciwieństwem miasta handlowego: w obwodzie znacznie mniejsza,
zbudowana regularniej i piękniej, dość bezludna. Kilka ulic, będących właściwie alejami,
wyglądało raczej na części parku niż na miasto.
Wszystko poruszało się cicho i uroczyście; rzadko tylko słychać było łoskot toczącego
się wozu. Nawet w ubraniu i zachowaniu mieszkańców, aż do najzwyklejszego człowieka,
panowała pewna wytworność i dążność do okazania zewnętrznej ogłady.
Pałac książęcy nie był wcale wielki ani w wielkim stylu, lecz elegancja i proporcje
stawiały go w rzędzie najpiękniejszych budynków, jakie widziałem. Piękność jego podnosił
jeszcze i uwydatniał obszerny, ładny park otwarty przez liberalnego księcia dla mieszkańców.
- Książęca rodzina ma zwyczaj przechadzać się wieczorem po parku, a mieszkańcy nie
pomijają nigdy tej sposobności widzenia dobrego pana kraju. - Cenną tą wiadomością uraczył
mnie gospodarz zajezdnego domu.
Pośpieszyłem do parku w oznaczonym czasie. Istotnie ujrzałem księcia z żoną i
małym orszakiem. Ach, wkrótce nie widziałem nic i nikogo, tylko księżnę, ją, tak podobną do
mojej drugiej matki. Ta sama wyniosłość, ten sam powab ruchów, to samo duszą
zaczarowane spojrzenie i czoło istoty wolnej, ten sam uśmiech niebiański. Tylko nieco

wyższa i młodsza niż ksieni. Rozmawiała uprzejmie z kilku panienkami, obecnymi właśnie w

alei, gdy tymczasem książę zabawiał się gorliwie widocznie zajmującą rozmową z jakimś

poważnym mężczyzną. Ubiór, zachowanie się książęcej rodziny; otoczenie - wszystko to łączyło się zgodnie w jeden ton całości. Widać było, że przystojna postawa spokoju i wytworności, odznaczająca stolicę, wzorowała się na dworze. Stałem przy jakimś nadzwyczaj żywym jegomościu. Zadałem kilka pytań. Odpowiedział na wszystkie chętnie, z wesołymi uwagami.

Gdy rodzina książęca przeszła, zaprosił mnie na przechadzkę po parku i obiecał pokazać ciekawostki, rozsiane bogato po całym, pełnym smaku ogrodzie. Zgodziłem się chętnie i przekonałem się, że wszędzie rozlał się duch powabu i wytrawnego, opanowanego smaku. Nie wszystko jednak było bez zarzutu. Widocznie dążność do antycznej formy, cierpiącej tylko największe proporcje, uwiodła budowniczego na bezdroża małostkowości.

Stare kolumny o kapitelach dostępnych dla ręki wysokiego mężczyzny - są przecież trochę śmieszne. W innej części parku panował gotyk. Niestety, wydawał mi się za drobnym - budynki były za małe. Naśladowanie form gotyckich nastręcza więcej niebezpieczeństwa niż owa dążność do antyczności. Jakkolwiek bowiem styl ten wydaje się wygodnym przy stawianiu małych kapliczek, zwłaszcza gdy budowniczy musi się liczyć z rozmiarami budynku i kosztami, wielką jednak trudność nasuwają ostre łuki, niezwykłe kolumny, floresy, które naśladuje się z tego lub owego kościoła, i tylko ten budowniczy może zrobić coś prawdziwego w tej architekturze, który czuje się ożywiony tym głębokim duchem, jaki ożywiał starych mistrzów, umiejących wszystko to, co wydaje się samowolnym i różnorodnym, złączyć wspaniale w jedną zmysłową, pełną znaczenia całość. Jednym słowem, rzadko się trafia zmysł do romantyzmu, a przecież on to właśnie powinien kierować

gotyckim budowniczym, albowiem tutaj nie ma mowy o szkolarstwie, dozwolonym przy formie antycznej. Towarzysz wysłuchał mnie cierpliwie i przyznał mi zupełną słuszność. Tym tylko usprawiedliwiał te drobnostki, że one są w parku potrzebną, a nawet konieczną odmianą, jako miejsce schronienia w czasie deszczu i burzy; wiele też robi się dla wytchnienia i spoczynku, a to samo z siebie sprowadza usterki.

Ja zaś byłem zdania, że najprostsze, najmniej pretensjonalne altanki, słomiane poszycia oparte o pnie drzew, wstawione w piękne krzaki, spełniłyby lepiej to zadanie, a byłyby milsze dla oka niż owe świątynie i kapliczki; a jeśli ma się już stawiać i budować, toć dowcipnemu budowniczemu, zmuszonemu liczyć się z oznaczoną wielkością i kosztami, pozostaje przecież do wyboru styl, który skłaniając się czy to do starożytnej formy, czy do gotyku, bez drobiazgowego naśladownictwa, bez pretensji dorównania pod względem wielkich rozmiarów staremu wzorowi, tylko to ma na celu, co jest powabne, co na widza dobre wywiera wrażenie.

- Zgadzam się z panem całkowicie - odrzekł mój towarzysz - lecz wszystkie te budowle, nawet założenie całego parku to pomysł samego księcia, a ta okoliczność usuwa wszelką naganę przynajmniej u nas, tubylców.

Książę jest najlepszym w świecie człowiekiem; praktykuje szczerze ojcowską zasadę, że nie poddani dla niego, lecz on istnieje dla poddanych. Wolność objawiania swych myśli, niskość podatków i pochodząca stąd taniość wszystkiego, całkowite usuwanie się policji, która bez hałasu ogranicza jedynie złośliwą swawolę i nie dręczy obywatela lub obcego przybysza nieznośną gorliwością urzędową; usunięcie wszelkiego nieporządku żołnierskiego, wygodny spokój ożywiający handel i rzemiosła, to wszystko uprzyjemni panu pobyt w naszym kraiku. Mógłbym się założyć, że dotychczas nie pytano się jeszcze o pańskie nazwisko i stan, a gospodarz hotelu nie zbliżył się uroczyście zaraz po

pierwszym kwadransie i nie wyjął spod pachy owej przykrej książki, w którą należy wgryzmolić swoją wizytówkę, stępionym piórem i wyblakłym atramentem. Krótko mówiąc, całe urządzenie naszego państewka, w którym panuje prawdziwa mądrość życiowa, jest zasługą naszego wspaniałego księcia. Dawniej, jak mi mówiono, byli tu ludzie dręczeni głupim pedantyzmem, kieszonkowym wydaniem wielkiego dworu sąsiadów. Książę lubi sztuki i naukę. Dlatego jest mu miłym każdy zręczny artysta, każdy pomysłowy uczony, a stopień wiedzy tych ludzi jest jedyną miarą (powiedzmy próbą przeczucia) określającą, czy mogą się zjawić w najbliższym otoczeniu księcia. Ale właśnie do sztuki i nauki wielostronnie wykształconego księcia wkradło się coś, co można by nazwać pedanterią, coś, co mu zostało z troskliwego wychowania, a przejawia się w niewolniczym trzymaniu się jakiegoś wzoru. Pracował on z budowniczymi i z bojaźliwą ścisłością rysował każdy plan domu, a wszelkie, nawet najmniejsze zboczenie od wzoru, wyszukanego mozolnie w starych antycznych dziełach, napełniało go obawą; cóż dopiero, gdy to lub owo nie chciało się nagiąć do mniejszej podziałki, którą narzucały mu zmniejszone rozmiary. Z powodu tego właśnie trzymania się tej lub owej formy, którą polubił, cierpi także nasz teatr, nieodstępujący od raz opisanej maniery, splatającej gwałtem najróżnorodniejsze elementy.

Książę zmienia często upodobania, lecz to z pewnością nigdy nikomu nie szkodzi.

Gdy założono ogród, był namiętnym budowniczym i ogrodnikiem, potem zachwycał go rozwój muzyki, a temu zachwytowi zawdzięczamy utworzenie całkiem wspaniałej orkiestry.

Potem zajmowało go malarstwo, zwłaszcza ze sam jest tęgim malarzem. Nawet codzienne zabawy dworu odbiegają tej zmianie. Przedtem wiele tańczono, teraz grają w faro, a książę, nie będąc bynajmniej graczem, unosi się nad

dziwnym zbiegiem przypadku. Poczekajmy, a nowa jakaś podnieta przyniesie znowu coś nowego.

Ta szybka zmiana upodobań ściągnęła na księcia zarzut, że brakuje mu tej głębi ducha, co podobna jasnemu jak słońce jezioru, odbija w niezłomnym zwierciadle bez zmiany - wzorzysty obraz życia. Ale to bajka, i to dość krzywdząca. Szczególna żywość umysłu sprawia, że - czuły na podnietę - podaje namiętną rękę każdej nowości, ale nie tak, by szło w zapomnienie lub tylko w zaniedbanie to również, co szlachetne. Stąd to pochodzi, że park jest dobrze utrzymany, że nasza orkiestra, nasz teatr nadal istnieją i wszelkim sposobem są wspierane i podnoszone, że nasz zbiór obrazów w miarę sił bywa wzbogacany. Co się zaś tyczy zabaw na dworze, jest to zaiste tylko wesoła gra, na którą każdy z serca może pozwolić ruchliwemu księciu dla wypoczynku po poważnym, często mozolnym zajęciu.

Szliśmy właśnie koło wspaniałych, malowniczo ugrupowanych krzaków i drzew.

Uderzony wytwornością, wyjawiłem zdziwienie, a mój towarzysz rzekł: - Wszystkie te klomby, te plantacje, te grupy kwiatów są dziełem księżnej. Ona sama jest skończoną malarką krajobrazów i oprócz tego przyrodniczką. Znajdzie pan zagraniczne drzewa, rzadkie kwiaty i rośliny, ale nie jakby wystawione na widowisko, lecz tak uporządkowane z głębokim zmysłem i tak swobodnie podzielone na działy, jak gdyby wyrosły z ojczystej ziemi bez wszelkiej pomocy sztuki. Księżna okazała wstręt ku tym wszystkim nieudolnie z piaskowca wyciosanym bogom i boginiom, najadom i driadom, od których przedtem roiło się w parku. Dlatego usunięto te posągi, prócz kilku dobrych kopii zabytków starożytności, które książę z powodu pewnych, drogich mu wspomnień, chciał zatrzymać w parku; lecz i te umiała księżna tak zręcznie poumieszczać, że nic nie rażą.

Już wieczór zapadał. Opuściliśmy park. Mój towarzysz przyjął zaproszenie na kolację w hotelu i przedstawił mi się

wreszcie, jako inspektor książęcej galerii obrazów. Gdyśmy się nieco przy kolacji spoufalili, oświadczyłem mu serdeczne życzenie zbliżenia się do książęcej rodziny. Zapewnił mnie, że każdy wykształcony, dowcipny cudzoziemiec chętnie jest widziany w kole dworskim. Wystarczy złożyć wizytę, marszałkowi dworu i prosić o przedstawienie księciu.

Ten dyplomatyczny sposób dostania się do księcia nie przypadł mi wcale do smaku, tym bardziej że zaledwie mogłem się spodziewać, czy uniknę pewnych uciążliwych pytań marszałka dworu, dotyczących pochodzenia, stanu i charakteru. Postanowiłem tedy zaufać przypadkowi i krótszą jakąś drogą dojść do upragnionego celu. Niedługo czekałem. Gdy mianowicie pewnego poranka chodziłem sobie po parku, o tej godzinie prawie całkiem pustym, spotkał mnie książę; był w zwyczajnym płaszczu. Pozdrowiłem go swobodnie, niby nieznajomego. Zatrzymał się i rozpoczął rozmowę pytaniem, czy jestem obcy. Potwierdziłem dodając, że przybyłem tu przed paru dniami i zrazu chciałem tylko przejechać, ale urok miejscowości, a zwłaszcza serdeczność i spokój, jakie tu wszędy panują, zatrzymały mnie dłużej. Jestem człowiekiem całkiem niezależnym, oddanym tylko nauce i sztuce, zamyślam pozostać tu dłużej, ponieważ całe otoczenie nęci mnie i pociąga.

Książę nie umiał ukryć zadowolenia. Oświadczył gotowość zostania moim przewodnikiem po parku. Nie zdradzając się, że to wszystko już widziałem, pozwoliłem się oprowadzać po wszystkich grotach, świątyniach, gotyckich kaplicach i pawilonach i przysłuchiwałem się cierpliwie górnolotnym komentarzom, dodawanym do każdej rzeczy.

Wszędzie wymieniał wzory, zwracał uwagę na dokładne wykończenie postawionych zadań, rozwodził się nad myślą całego parku i w ogóle nad tendencją, która powinna się zaznaczać w urządzeniu każdego wielkiego ogrodu. Spytał mnie o zdanie. Chwaliłem powab miejsca, bujną, wspaniałą roślinność, rzuciłem parę uwag na temat błędów budowli, podobnie jak przed inspektorem galerii. Przysłuchiwał mi się

uważnie i zdawało się, że niektórych sądów wcale nie odrzuca; tymczasem przerwał wszelką dalszą dyskusję o tym przedmiocie oświadczeniem, że wprawdzie pod względem teoretycznym mógłbym mieć słuszność, lecz, jak się zdaje, brakuje mi znajomości strony praktycznej i prawdziwego sposobu wprowadzania pomysłów w życie. Rozmowa zwróciła się ku sztuce. Okazywałem się dobrym znawcą malarstwa i wytrawnym muzykiem, poważyłem się na kilka zdań przeciwnych orzeczeniom, które sprytnie i dokładnie wypowiadały jego wewnętrzne przekonanie.

Spostrzegłem, że wprawdzie jego wykształcenie estetyczne o wiele przewyższało to, jakie zwykle otrzymują książęta, było jednak jeszcze zbyt powierzchowne, by człowiek ten mógł choćby przeczuć głębię, z której dla prawdziwego artysty wyłania się wspaniała sztuka i boska iskra dążności do tego, co istotne. Moje przeciwne zdania, moje poglądy przypisywał tylko dyletantyzmowi, który zwykłe nie bywa oświecony prawdziwym, praktycznym rozsądkiem.

Pouczył mnie o prawdziwych tendencjach malarstwa i muzyki, o warunkach malowidła, opery. Dowiedziałem się wiele o kolorycie, draperii, piramidalnych grupach, o poważnej i komicznej muzyce, o scenach dla primadonny, o chórach, o efekcie, o półcieniu, oświetleniu itd. Przysłuchiwałem się wszystkiemu, nie przerywając księciu, który, jak się zdawało, znajdował upodobanie w tej rozmowie.

Wreszcie sam przerwał swe wywody szybkim pytaniem:

- Czy pan gra w faraona?

Odrzekłem, że nie.

- Wspaniała to gra - ciągnął dalej - i nadzwyczaj prosta, prawdziwa gra dla sprytnych łudzi.

Wychodzi się jakby z siebie samego albo lepiej: staje się na takim stanowisku, z którego widzi się - przypadek, ową tajemną moc, co plącze i przędzie niewidzialne nici zysków i strat. Wygrana i przegrana, to dwie zawiasy, na których się

porusza tajemnicza machina; trącamy ją, a ona pędzi dalej, niesiona swawolnie duchem zamkniętym w swoim rdzeniu. Gry tej musi się pan nauczyć. Ja sam będę pańskim nauczycielem.

Zapewniałem, że nie czuję bynajmniej ochoty do gry, która podobno ma być bardzo niebezpieczną i zgubną. Książę uśmiechnął się i spoglądając bystro żywymi, jasnymi oczami, rzekł, jakby półgębkiem:

- Ech, dziecinne bajki. Ale, nie! Proszę mnie nie brać za jakiegoś gracza; nie ma tu żadnych wabików ni sieci. Jestem książę. Jeżeli się panu podoba w stolicy, proszę pozostać i przyłączyć się do naszego grona. Ale tam - o zgrozo! - gramy w faro... Dodam atoli, że nie pozwalam nikomu krępować się obowiązkiem grania. Gra musi być znaczną, aby zainteresować. Przypadek jest leniwy, gdy mu się rzuca niewiele.

Przyszło do pożegnania. W ostatniej chwili zapytał mnie książę o nazwisko.

Odrzekłem, że nazywam się Leonard, oddaję się studiom, żyję niezależnie, zresztą wcale ze stanu szlacheckiego nie pochodzę, może więc nie będę mógł skorzystać z ofiarowanego mi łaskawie pozwolenia zjawienia się w kołach dworskich.

- Co tam szlachectwo! - zawołał książę - szlachectwo! Pan jesteś, jak się przekonałem, bardzo uczonym, inteligentnym człowiekiem. Nauka uszlachca pana i daje możność zjawienia się w moim orszaku. Adieu, panie Leonard, do widzenia!

Tak tedy spełniło się moje życzenie wcześniej i łatwiej, niż przypuszczałem.

Pierwszy raz w życiu miałem się zjawić na dworze, a nawet do pewnego stopnia rozpocząć życie na dworze. Winszowały mi tłumnie duchy przemyślnych autorów romansów i komediopisarzy, nie omieszkując przypomnieć wszystkich znanych mi awanturniczych historii o zawikłaniach, zamachach i intrygach dworskich. Według

nich musi książę być otoczony i zaślepiony przez łajdaków wszelkiego rodzaju, zwłaszcza zaś marszałek dworu musi być dumnym, niedorzecznym głupcem, pierwszy minister pełnym zasadzek, chciwym niegodziwcem, a pokojowcy rozwiązłymi ludźmi i uwodzicielami dziewcząt. Każda twarz jest artystycznie ułożona w przyjazne miny, ale w sercu kłamstwo i oszukaństwo; rozpływają się z przyjaźni i delikatności, kłaniają się i zginają, ale jeden jest nieprzejednanym wrogiem drugiego i stara się podstępnie podstawić mu nogę, by rozbił się bez ratunku; na miejsce pokonanego wstępuje ten z tyłu, dopóki go to samo nie spotka, damy dworu są szkaradne, dumne, podstępne, przy tym zakochane, a zastawiają sieci i pułapki, których trzeba się strzec jak ognia. Takie miałem wyobrażenie o dworze. W seminarium wiele o tym czytałem.

Miałem zawsze wrażenie, że diabeł uprawia tam całkiem bez przeszkody swoją grę. Chociaż Leonard opowiadał mi o dworach różne rzeczy niezgodne z moimi pojęciami, nabytymi z książek, została mi przecież pewna trwoga przed wszystkim co dworskie i odezwała się na dobre nawet jeszcze teraz, przed zbliżeniem się do książęcego koła.

Żądza poznania księżnej, wewnętrzny głos, co jakby ciemnymi słowami wołał na mnie, że tutaj los mój się rozstrzygnie, Pędził mnie niepowstrzymanie naprzód. O oznaczonej godzinie znalazłem się w książęcym przedpokoju. Dość długi pobyt w wolnym i handlowym mieście pozwolił mi zatrzeć wszelką niezgrabną sztywność zachowania i ułożenia klasztornego. Z natury przystojny, dobrze zbudowany, przyzwyczaiłem się łatwo do niewymuszonej swobody ruchów, właściwej człowiekowi światowemu. Bladość szpecąca młodego mnicha, nawet przy pięknej twarzy, zginęła mi z oblicza, znajdowałem się w latach największej siły, co różowi policzki i jaśnieje z oczu, ciemnobrunatne włosy zakrywały wszelkie ślady tonsury. Nosiłem wykwintne, piękne ubranie najnowszej mody, kupione w mieście handlowym. Wygląd mój zewnętrzny

musiał podziałać korzystnie na zgromadzonych już gości; okazywali to uprzedzającym zachowaniem się w granicach najwyższej wykwintności, bez uprzykrzenia. Niemało się zdziwiłem na widok prostych, pełnych smaku ubiorów. Podobnie jak - według mojej z romansów i komedii wyciągniętej teorii - powinien był książę wówczas, w parku, przy słowach: “jestem książę", rozpiąć szybko surdut i pokazać wielką, błyszczącą gwiazdę, tak i wszyscy ci panowie, którzy otaczali księcia, powinni byli chodzić w wyszywanych strojach, ze sztywnymi fryzurami. Doznałem miłego rozczarowania.

Zauważyłem, że moje pojęcie o życiu na dworze składa się z dziecinnych przesądów.

Opuściło mnie zakłopotanie, a już całkiem ośmielił mnie książę, gdy przystąpił do mnie ze słowami:

- Co widzę, pan Leonard!

Zaczął potem żartować z surowości estetycznego oka, jakim patrzyłem na jego park.

W końcu otworzyły się podwoje i weszła księżna z dwoma damami dworu.

Zadrżałem. W świetle świec stojąca, jakże dziś była podobną do ksieni, jakże podobniejszą niż tam, w ogrodzie, w słońcu.

Otoczyły ją damy. Przedstawiono mnie. Spojrzała. Zadziwienie przebiegło po twarzy wspaniałej kobiety, usta zadrgały wzruszeniem. Przemówiła coś niewyraźnie odwróciła się do jakiejś starej damy, szepnęła jej coś na ucho. Dama zaniepokoiła się i spojrzała na mnie bystro. Wszystko to stało się w jednej chwili. Towarzystwo rozbiło się na grupy, mniejsze i większe; i rozpoczęły się ożywione rozmowy. Ton niewymuszonej swobody unosił się dokoła, a mimo to wyczuwało się, że się jest w kole dworskim, w bliskości księcia. Uczucie to bynajmniej nie przygniatało.

Nie znalazłem ni jednej postaci odpowiadającej dworowi, o jakim niegdyś myślałem.

Marszałek dworu był starcem wesołym a rześkim, pokojowcy żwawymi młodzieńcami i nie wyglądali wcale na nicponiów. Obie damy dworu robiły wrażenie sióstr; młodość biła im z twarzy i z podobnych kształtów, odzianych strojnie, a skromnie. Znakomity był niski mężczyzna o zadartym nosie i żywo iskrzących oczach; ubrany na czarno, z długą szpadą przy boku, przewijał się i przemykał przez towarzystwo to tu, to tam z niezmierną szybkością; nigdzie nie zatrzymując się, nikomu nie odpowiadając, sypał naokoło tysiącami dowcipnych, sarkastycznych konceptów, zapalał wszędzie ruchliwe życie. Był to przyboczny lekarz księcia.

Stara dama, której księżna szepnęła coś na ucho, umiała tak zręcznie mnie osaczyć, że zanim się opatrzyłem, znalazłem się z nią sam na sam przy oknie. Rozpoczęła ze mną rozmowę, a jakkolwiek chytrze i wprawnie kierowała zdaniami, spostrzegłem, że mnie wypytuje o moje stosunki życiowe. Byłem na to przygotowany. W przekonaniu, że najprostsze, najmniej pretensjonalne opowiadanie jest zarazem najlepszym i najmniej niebezpiecznym, oświadczyłem jej, że niegdyś studiowałem teologię, teraz zaś, objąwszy dziedzictwo po bogatym ojcu, podróżuję z ochoty i zamiłowania. Miejsce urodzenia przeniosłem do Prus polskich i nadałem mu taką barbarzyńską, język i zęby łamiącą nazwę, że stara dama chwyciła się za ucho, jakby zraniona, i straciła ochotę do dalszej rozmowy.

- Aj, aj! - rzekła odchodząc - twarz pańska budzi pewne smutne wspomnienia. Być może, jest pan czymś więcej niż... Taki przystojny mężczyzna żadną miarą nie wygląda na studenta teologii.

Po posiłku wszedłem do sali, gdzie w pogotowiu stał stół do faro. Marszałek dworu był bankierem; zawarł on podobno z księciem taką dziwną spółkę, że cały zysk zatrzymywał dla siebie książę, jemu zaś nagradzał wszelką stratę, ilekroć z bankiem było krucho. Panowie zgromadzili się około stolika, damy i lekarz nie brali w grze udziału. Książę pociągnął mnie

ku sobie i biorąc w ręce moje karty, wyjaśniał mi zasady gry, ale zawiodło go szczęście, a ja także, chociaż ściśle stosowałem się do jego rady, stale przegrywałem. Strata stawała się dość znaczną, gdyż luidor uchodzi za najniższą stawkę; martwiło mnie to nieco, bo kasa moja goniła ostatkami i często już nad tym myślałem, co to będzie, gdy ostatnie luidory wysuną mi się z ręki. Tym fatalniejszą więc była dla mnie gra, która mnie naraz mogła zrobić biednym. Rozpoczęła się nowa partia. Poprosiłem księcia, by mnie raczył zostawić własnemu losowi, bo wszystko wygląda na to, jakobym ja, z zasady zawsze nieszczęśliwy gracz, i jego także przyprawiał o stratę. Książę odparł z uśmiechem, że strata da się zamienić w wygraną, jeżeli nadal będę, postępował za radą doświadczonego gracza; chce tedy widzieć, jak sobie pocznę z tą ufnością w siebie samego. Nie patrząc na karty, wyciągnąłem jedną na ślepo. Była to dama. Może to wyda się śmiesznym, gdy powiem, że w tej bladej, martwej twarzy karcianej malowanki przywidziały mi się rysy Aurelii. Osłupiałym wzrokiem spoglądałem na kartę i zaledwie mogłem ukryć wewnętrzne wzruszenie. Wezwanie bankiera wyrwało mnie z oszołomienia. Nie namyślając się, wyciągnąłem z kieszeni ostatnie pięć luidorów, jakie jeszcze miałem przy duszy, i postawiłem je na damę. Wygrała. Postawiłem powtórnie na tę samą damę - wygrała powtórnie. I po raz trzeci rzuciłem na nią wszystko - wygrała po raz trzeci. Stawiałem coraz to dalej i dalej, a zawsze na damę, zwiększając stawki w miarę wygranej. Wygrywała... wygrywała.

- Nie, niemożliwe, teraz już zawiedzie! - wołali gracze, ilekroć posiniałą wargą wymieniałem damę - i przegrywali.

- Niesłychane! Niezwykłe! - wołano zewsząd z najwyższym zdumieniem. Ale cichy, niemy, zatopiony w sobie, śniłem o Aurelii, nie zważając na złoto, co się urocznie zlatywało do mnie.

W ostatnich czterech partiach wygrywała dama bez przestanku. Wygrałem około dwu tysięcy luidorów. Wziąłem

je z rąk szczęścia za pośrednictwem damy, a chociaż wyzwoliłem się z wszelkiego zakłopotania, nie mogłem się obronić przed wewnętrznym nieprzyjemnym uczuciem lęku i wyczekiwania. W dziwny sposób ujawniła się tajemna łączność pomiędzy owym szczęśliwym strzałem na chybił-trafił, a dzisiejszym szczęściem. Stało się jasnym, że nie ja, lecz nieznana potęga, zaklęta we mnie, wywołuje to wszystko, a ja jestem tylko powolnym jej narzędziem do nieznanego celu. Świadomość tego rozdwojenia, co wrogo rozłupało mą wewnętrzną istotę, napawała mnie jednak pociechą, bo świadczyła o powolnym kiełkowaniu mej własnej siły i siała tajemne przeczucia przyszłego zwycięstwa nad nieprzyjacielem. Ów obraz Aurelii, powracający wiecznie nieomylnym rytmem, nie mógł być niczym innym, jak tylko przeklętą pokusą do złego, a właśnie to zbrodnicze nadużycie pobożnego, drogiego oblicza napełniało mnie zgrozą i wstrętem.

W najchmurniejszym usposobieniu chodziłem rano po parku. Zastąpił mi drogę książę, zwykle o tej godzinie używający przechadzki.

- No, cóż, panie Leonardzie - zawołał - jakże się panu podoba gra w faro? Cóż pan powiesz o fantazji przypadku, który panu wybaczał fatalny system grania i jeszcze złota nasypał do kieszeni? Szczęśliwie trafiłeś pan na kartę-faworytę; swoją drogą zanadto jej zaufałeś - a to nie zawsze popłaca.

Rozwodził się szeroko nad pojęciem takiej karty, dawał mi dobrze obmyślane reguły, jak się powinno grać wykorzystując przypadek, i zakończył przypuszczeniem, że zapewne odtąd będę należał do najgorliwszych graczy. Śmiało zapewniłem go, że postanowiłem nigdy już nie brać kart do ręki. Popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

- Właśnie moje wczorajsze dziwne szczęście rzekłem posępnie - ono to przywiodło mnie do tego postanowienia. W nim bowiem znalazło potwierdzenie wszystko, co słyszałem o zgubności. i niebezpieczeństwie gry . A przy

tym: na ślepo wyciągnięta karta budziła we mnie bolesne, rozdzierające wspomnienie - aż groza brała. Opanowała mnie nieznana potęga, co przynosiła mi szczęście i wielką wygraną, jakby to pochodziło z mojej własnej duszy, jak gdybym ja sam, myśląc o tej istocie, która z martwej karty błyszczała ku mnie żarzącymi się barwami, mógł rozkazywać przypadkowi, rozpoznając jego najtajniejsze zawikłania.

- Rozumiem - przerwał mi książę - pan kochałeś nieszczęśliwie, a karta przywiodła na pamięć obraz straconej kochanki. Niech się pan nie obrazi, lecz wyznam, że to śmieszne - przynajmniej dla mnie, zwłaszcza gdy sobie żywo wyobrażę szeroką, bladą komiczną twarz karowej damy. Pan jednak myślałeś o kochance, a ona była dla pana wierniejszą i łaskawszą w grze niż może w życiu. Nie widzę w tym nic przerażającego i żadnej grozy doszukać się nie mogę. Raczej cieszę się, że panu szczęście sprzyjało. A zresztą, o ile chodzi o związek szczęścia w grze z pańską kochanką, tak przykry dla pana i złowieszczy, winy nie ponosi gra, lecz tylko pański osobisty nastrój.

- Być może, najłaskawszy panie - odparłem - ale czuję zbyt żywo, że to nie tyle niebezpieczeństwo znacznej straty i przykrych jej skutków czyni tę grę tak zgubną, ile raczej śmiałość potykania się prawie jak w otwartej wojnie z tajemniczą mocą, co jaśniejąc wychodzi z ciemności i zwabia nas, niby zwodnicze mamidło, by nas pochwycić i zmiażdżyć szyderczo. Właśnie ta walka z ową potęgą wydaje mi się nęcącym hazardem, na który człowiek się puszcza, ufając dziecinnie w swe siły, a którego, raz zacząwszy, już się nie pozbędzie, ustawicznie, nawet jeszcze w walce śmiertelnej, spodziewając się zwycięstwa.

Stąd to, moim zdaniem, pochodzi szalony, niszczący nałóg graczy w faro i wewnętrzne rozprzężenie ducha, niewywołane samą tylko stratą pieniędzy. Ale nawet już z mniej ważnego względu może taka strata nawet nienamiętnego gracza, nie przeżartego złowrogim ogniem, wmieszać w tysiące nieprzyjemności, nawet w zupełną

nędzę, ponieważ gra skłoniony tylko okolicznościami. Śmiem się przyznać, najłaskawszy panie, że ja sam wczoraj omal nie pożegnałem się z ostatnim groszem swej podróżnej kasy.

- O tym byłbym się dowiedział - wtrącił szybko książę - i byłbym powetował pańską stratę w trójnasób, bo nie chcę, by ktoś dla mojej przyjemności się rujnował; zgoła nie może się to zdarzyć u mnie, ponieważ znam swych graczy i nie spuszczam ich z oczu.

- Ale właśnie to ograniczenie, najłaskawszy panie - odrzekłem - znosi wolność gry i stawia granice owym ciekawym połączeniom przypadku, których obserwowanie czyni panu, najłaskawszy panie, grę tak zajmującą. Czyż ten lub ów, opanowany żądzą gry niepohamowanie, nie znajdzie środków, by usunąć się spod nadzoru - na własną zgubę, i w życie swe wprowadzić zamieszanie, które go zniszczy? Najłaskawszy panie, proszę mi wybaczyć otwartość. Sądzę nadto, że wszelkie ograniczenie wolności, chociażby nawet nadużytej, przygniata, co więcej, jako wprost przeciwne ludzkiej istocie, jest nie do zniesienia.

- Pan tedy, jak się zdaje, we wszystkim nie podziela mego zdania ? - ozwał się książę i śpiesznie się oddalił, rzucając mi lekkie "adieu". Ledwie sam wiedziałem, jak się to stać mogło, że się tak szczerze wywnętrzyłem. Nigdy - jakkolwiek w mieście handlowym stawałem nieraz jako widz przy znacznych bankach - nie zastanawiałem się na tyle dostatecznie nad grą, by swe przekonania tak porządkować, jak mi teraz mimo woli popłynęły z ust. Przykro mi było, że tak lekkomyślnie straciłem łaskę księcia, prawo jawienia się w gronie dworu i zbliżania się do księżnej.

Na szczęście pomyliłem się. Jeszcze tego samego wieczoru otrzymałem kartę z zaproszeniem na koncert dworski. Pośpieszyłem. Książę przywitał mnie z uprzejmym humorem:

- Oby nieba dały popisać się mojej kapeli; może moja muzyka bardziej się panu spodoba niż mój park... Muzyka była istotnie dobra, wszystko szło znakomicie, tylko wybór

utworów wydawał mi się nieszczęśliwy, gdyż jeden psuł wrażenie drugiego; zwłaszcza pewna długa scena była skomponowana jakby podług nałożonej formuły i znudziła mnie serdecznie.

Oczywiście, uwagi te zachowałem dla siebie, a tym roztropniej postąpiłem, że owa scena, jak mi potem powiedziano, była kompozycją księcia. Bez namysłu skierowałem kroki w kierunku sali gry. Chciałem zagrać w faro, by udobruchać księcia. Jakże się zdziwiłem, gdy nie znalazłem ani śladu banku, tylko kilka zwykłych stolików do gry. Panowie i damy, ugrupowawszy się dokoła księcia, rozpoczęli żywą, dowcipną rozmowę. Raczono się wzajemnie opowiadaniami, nie gardzono nawet rubasznymi anegdotami. Talent oratorski świadczył mi usługi; opowiedziałem kilka wspomnień z własnego życia w sposób ujmujący, pod osłoną poezji romantycznej. Zdobyłem poklask całego grona; książę jednak lubował się w pogodnej humorystyce, a w tym nie przewyższał nikt lekarza przybocznego. Istotnie, człowiek ten był niewyczerpaną studnią komicznych pomysłów i złośliwych żartów.

Ten rodzaj zabawy zapanował obecnie niepodzielnie. Często ten lub ów napisał coś i odczytywał w towarzystwie. Zebrania robiły wrażenie dobrze zorganizowanego związku literacko-estetycznego pod egidą prezydującego księcia.

Raz zaciekawił mnie pewien uczony, głęboko myślący fizyk, nowymi, interesującymi odkryciami w dziedzinie fizyki. Niestety, mało kto słuchał go z zajęciem, bo odczyt ten wymagał od słuchacza nieprzeciętnej wiedzy. Znacznie większa część towarzystwa, dla której wszystko to było obce i nieznane, nudziła się piekielnie. Sam książę, jak się zdawało, nie bardzo rozumiał myśli profesora i z tęsknotą oczekiwał końca odczytu.

Wreszcie skończył profesor. Lekarz szczególnie był ucieszony i wybuchnął tysiącem pochwał pełnych podziwu. Dodał jednak w końcu, że po głębokich wywodach uczonego należy dać z kolei folgę czemuś wesołemu, co rozwesela

umysł bez pretensji do czegoś innego, jak sama zabawa. Słabe głowy, które potęga obcej im nauki pochyliła ku ziemi, podniosły się z radością, a nawet twarz księcia powlókł uśmiech dowodzący, jak bardzo był mu na rękę powrót do codziennego życia.

- Wiesz, najłaskawszy panie - zaczął lekarz - że w moim dzienniku podróży roi się od notatek o wszelakich wesołych zdarzeniach, a przede wszystkim od portretów komicznych oryginałów, spotykanych w przelocie. Ośmielę się opowiedzieć pewną wesołą przygodę. W czasie zeszłorocznej podróży przybyłem późną nocą do pewnej pięknej, wielkiej wsi odległej o cztery godziny od B. Zapukałem do okazałej gospody i znużony, po prostu rozbity jazdą po wyboistej drodze, rzuciłem się zaraz na łóżko, aby się dobrze wyspać. Nagle, może o pierwszej, zbudził mnie piekielny pisk fletu. Jak żyję, nie słyszałem takiego dęcia. Ten człowiek, najwidoczniej sąsiad z przyległego pokoju musiał mieć końskie płuca, bo przeraźliwym zgrzytem, piskiem, w którym ginął ze szczętem charakter instrumentu, wygrywał jakieś bezsensowne pasaże, i to w kółko to samo. Nic wstrętniejszego, nic głupszego nie można sobie wymyślić. Klątem jak najęty, obrzucając wyzwiskami przeklętego durnia, tego diabelskiego muzykanta, co skradł mi bez ceremonii sen i zmieniał uszy w jedno dziurawe sito. Ale jak z naciągniętej pozytywki szło dalej granie, i już zabierałem się do laski, gdy wtem uderzyło coś z hukiem o ścianę i nastała cisza zapraszająca mnie w objęcia snu.

Nad ranem usłyszałem gwałtowną sprzeczkę. Ktoś wyklinał na dole. Rozróżniałem głos gospodarza i jakiegoś mężczyzny, który krzyczał bez przestanku: "Niech piorun trzaśnie!

Przeklęta buda! Przeklęta godzina, w której przestąpiłem te progi. Diabli mnie tu przywiedli, do jaskini, w której nie można ni zjeść, ni wypić! Samo świństwo, a ceny! Noga moja tu więcej nie postoi. Zabierz pan sobie te pieniądze!"

Równocześnie wyskoczył z domu jakiś mały, suchy jak kość człowieczek w brunatnokawowym surducie i okrągłej rudej peruce, na której sterczała krzywo i marsowo szara podobizna kapelusza. Mężczyzna pobiegł szybko do stajni i wyjechał wkrótce na podwórze na dość nieruchawej kobyle. Ociężały galop biednej klaczy dziwnie odbijał od zaciekłości śpieszącego się, jeźdźca. Byłem przekonany, że to jakiś cudzoziemiec poróżnił się z gospodarzem i odjechał. Jakże się, zdziwiłem, gdy w południe w izbie gościnnej spostrzegłem tę samą brunatnokawową figurkę, tę samą rudą perukę i tę samą kość, która rano wyjechała. Była to szkaradna a przy tym najkomiczniejsza twarz, jaką kiedykolwiek widziałem. Z całego wyglądu pokraki biła jakaś komiczna powaga, tak że niepodobna było wstrzymać się od śmiechu na widok tego skarbu śmieszności.

Siedzieliśmy przy wspólnym stole. Rozmowa kapała skąpo urywanymi zdaniami; rozmawiałem jedynie z gospodarzem, bo przedziwny cudak zajadał się gwałtownie i nie raczył podzielić buzi pomiędzy nas a potrawy. Gospodarz, jak to później zauważyłem, skierował rozmowę złośliwie a zręcznie na różne narodowe właściwości i wprost mnie zapytał, czy nie znam Irlandczyków, a zwłaszcza ich osławionych "bulls".

- A któż by ich nie znał - odrzekłem, a przez głowę przeszły mi całe szeregi takich zabawnych "bulls". I opowiedziałem mu o pewnym Irlandczyku, który na lewą stronę wkładał pończochy, a zapytany, dlaczego to robi, odpowiedział całkiem dobrodusznie: "Na prawej stronie jest dziura". Język nie sługa... pozwolił sobie na dalsze powieści, a mianowicie o Irlandczyku, co spał w jednym łóżku z pewnym zapalczywym Szkotem i gołą nogę wystawił spod kołdry. Otóż zauważył to pewien Anglik i śpiesznie, zdjąwszy ze swego buta ostrogę, przypiął ją do wystającej nogi. Irlandczyk wciągnął znowu we śnie nogę pod kołdrę i zadrasnął ostrogą Szkota. Szkot obudził się i wymierzył Irlandczykowi policzek. Potem rozpoczęła się między nimi

następująca rozmowa: "Co cię napadło, dlaczego mnie bijesz?" - "Zadrasnąłeś mnie ostrogą".

- "Jakże to możliwe? Przecież z bosymi nogami leżę przy tobie w łóżku". - "A przecież tak jest. Przypatrz się tylko!" - "Niech mnie Bóg skarze, masz słuszność; przeklęty niedołęga ten służący, zdjął mi but, a ostrogę zostawił!"

Gospodarz wybuchnął śmiechem, a cudaczny cudzoziemiec, odsunąwszy puste talerze i wypróżniwszy wielką szklankę piwa, popatrzył na mnie poważnie rzekł:

- Masz pan zupełną słuszność. Irlandczykom przytrafiają się często podobne "bulls", ale to nie leży wcale w naturze ludu, który jest ruchliwy i dowcipny. Raczej wieje tam takie przeklęte powietrze, które niejednego przyprawia o tego rodzaju szaleństwa jakby o katar.

Proszę pana, ja sam jestem wprawdzie Anglikiem, ale że urodziłem się i wychowałem w Irlandii, podlegam nieraz owej przeklętej chorobie.

Gospodarz śmiał się jeszcze bardziej, a ja nie mogłem nie wtórować mu serdecznie, boć było to bardzo uciesznym, gdy Irlandczyk, tylko o "bulls" mówiąc, zaraz sam wybornie je zaprodukował.

Obcy nie czuł się wcale obrażony. Rozwarł szeroko oczy, przyłożył palec do nosa i rzekł:

- W Anglii soli się towarzystwo Irlandczykami, aby uczynić je smacznym. Na przykład ja - czyż nie jestem podobnym do Falstaffa, choćby pod tym względem, że chociaż sam nie jestem dowcipny, pobudzam innych do dowcipkowania - a to już niemała zasługa w dzisiejszych trzeźwych czasach. Pomyśl pan, że i w pustej, nudnej duszy tego oberżysty poruszy się nieraz coś podobnego tylko z mojej przyczyny. Ale ten zacny gospodarz jest dobrym kupcem - nie rusza on nigdy kapitału swych marnych dowcipów - o nie! uchowaj

Boże, wybiera troskliwie jeden, i tylko jeden, i obnosząc go w towarzystwie ludzi bogatych, wypożycza go na wysoki procent. Jeśli zaś nie jest pewien procentu, pokazuje, jak właśnie teraz, co najwyżej okładkę swej głównej księgi, a tą

jest śmiech bezczelny i bez miary , w którym uwikłał cały swój dowcip. Szczęśliwej drogi, panowie!

I kiwnąwszy głową, wyszedł. Spytałem gospodarza o nazwisko tego oryginała.

- Ten Irlandczyk - rzekł gospodarz - nazywa się Ewson. Uważa się za Anglika, bo podobno rodzina jego tkwi korzeniami w Anglii. Przybył tu niedawno, mniej więcej przed dwudziestu laty. Byłem młodym chłopcem i dopiero co kupiłem tę gospodę, gdy pan Ewson, również jeszcze młodzieniec, ale już wtenczas z rudą jak lis peruką, w szarym kapeluszu i w brunatnokawowym surducie tego samego kroju co dzisiejszy, przejeżdżał tędy z powrotem do ojczyzny. Właśnie odbywało się moje wesele. Muzyka grała, więc pan Ewson,, znużony długą podróżą, dał się zwabić do środka. Przysięgał; że tylko na okręcie umieją tańczyć, że nie ma to jak taniec marynarski, którego wyuczył się już od dzieciństwa, na dowód począł hałasować, gwiżdżąc przeraźliwie przez zęby, przy głównym jednak skoku tak sobie wywichnął nogę, że musiał u mnie pozostać i szukać porady lekarskiej. Od tego czasu już mnie nie opuścił. Z dziwactwami jego mam prawdziwą biedę. Co dzień, przez cały rok, kłóci się ze mną o wikt, zarzuca mi ceny zbyt słone, zaklina się, że bez rostbefu i porteru już dłużej żyć nie może, pakuje kuferek, nasadza trzy peruki, jedna na drugą, żegna się ze mną i odjeżdża na starej kobyle. Ale to tylko przejażdżka spacerowa. W południe powraca znowu inną bramą, siada, jak pan dziś widział, spokojnie do stołu i je za trzech potrawy "nie do jedzenia". Co rok przechodzi dziwną przemianę; mówi mi całkiem żałośnie "do widzenia", nazywa mnie najlepszym przyjacielem i rozpływa się we łzach, przy czym i mnie także spływają łzy po policzkach, ale z tłumionego śmiechu. Zrobiwszy jeszcze na wypadek śmierci testament i zapisawszy, jak mówi, mej najstarszej córce swój majątek, odjeżdża powoli, powoluteńku i posępnie. Trzeciego, najwyżej czwartego dnia już jest z powrotem, przynosi dwa kawowobrunatne surduty, trzy lisiorude

peruki, jedna bardziej lśniąca od drugiej, sześć koszul, nowy kapelusz i inne części ubioru, no i mojej najstarszej córce, swej ulubienicy, torebkę cukierków, jak małemu dziecku, choć ma już lat osiemnaście!

Nie myśli potem ani o mieście, ani o podróży z powrotem. Zapłatę za jadło i trunki uiszcza każdego wieczoru, a pieniądze za śniadanie rzuca mi co rano w gniewie, z zapowiedzią odjazdu na zawsze. Zresztą jest to dobroduszny człowiek, obdarowuje moje dzieci przy każdej sposobności i świadczy wiele dobrodziejstw ubogim wieśniakom. Tylko proboszcza nie może ścierpieć, ten bowiem, według doniesienia nauczyciela, zamienił złotą monetę, rzuconą przez Ewsona do skarbonki dla biednych - i to zamienił na same tylko miedziaki. Od tego czasu obrażony ofiarodawca unika go wszędzie i nie chodzi do kościoła.

Oczywiście, proboszcz ogłasza go ateistą. Jak powiedziałem, mam często prawdziwą biedę z tym zabawnym gościem; jest bowiem popędliwy i ma szalone pomysły. Na przykład wczoraj - wracam do domu i słyszę już z daleka gwałtowny krzyk pana Ewsona. Wchodzę i zastaję go w strasznie wojowniczej postawie naprzeciw rozzłoszczonej dziewki. Kłótnia, najgwałtowniejsza kłótnia.

Bez peruki zawsze w gniewie zrzuca ją na ziemię, bez surduta, w koszuli przyskakiwał do dziewki i wywijając wielką książką, pokazywał coś zamaszyście palcem. Przekleństwa i przezwiska śmigały mu z ust jak jaskółki. Dziewka podparła się w boki rękami i wrzeszczała, że może sobie kogo innego poszukać do swych figlów, że jest złym człowiekiem, i tak dalej.

Z trudem udało mi się rozłączyć kłócących się i zbadać przyczynę zajścia. Cóż się okazało?

Pan Ewson zażądał opłatka do zalepienia listu; dziewka nie zrozumiała go z początku, wreszcie doszła do wniosku, że ma przynieść opłatek, a więc to, czego się używa przy mszy.

Podejrzewając Ewsona o zdrożne praktyki i jakieś kpinki z hostii, zwłaszcza że słyszała od księdza, że on jest ateuszem, wręcz odmówiła. Pan Ewson sądził, że tylko z powodu niewłaściwej wymowy nie został zrozumiany; przyniósł więc natychmiast swój angielsko- niemiecki słownik i począł pokazywać dziewce, czego mu potrzeba. Dziewka nie umie czytać, a do tego pan Ewson mówił tylko po angielsku. Dziewczysko tak się rozsierdziło, że tylko moje wdanie się w tę kłótnię zapobiegło bójce, z której pan Ewson nie wyszedłby cało.

Przerwałem gospodarzowi opowiadanie o pociesznym człowieku zapytując, czy to nie pan Ewson wygrywał w nocy na flecie, ku mojej najwyższej złości.

- A, mój panie! - odpowiedział gospodarz - otóż jest to także jedna z wielu fantazji Irlandczyka. Przed trzema laty powrócił mój syn z miasta; chłopak gra dobrze na flecie i codziennie zabawiał się grą na tym instrumencie. Pan Ewson przypomniał sobie, że i on także grał niegdyś na flecie, i tak energicznie zabrał się do Fryca, że chłopak sprzedał mu za grube pieniądze swój flet i jeden utwór koncertowy. Zaczął tedy pan Ewson wygrywać koncert z największą gorliwością. Nie posiada jednak żadnego zmysłu muzycznego i żadnego poczucia taktu. Doszedł tylko do drugiego solo pierwszego allegro; natrafił na pasaż, którego zagrać nie mógł, i ten jedyny pasaż gra już od trzech lat, prawie codziennie, prawie po sto razy, aż wreszcie w największym gniewie rzuca najpierw flet, a potem perukę, grzmocąc nimi o ścianę. Ponieważ żaden flet nie wytrzyma takiej poniewierki, kupuje pan Ewson co pewien czas nowy.

Teraz na przykład ma ich coś trzy czy cztery w użyciu. Jeżeli tylko jedna śrubka się złamie albo klapka przekrzywi, wyrzuca flet przez okno ze słowami: "Niech mnie Bóg skarze, tylko w Anglii robią instrumenty do czegoś zdatne." Ale straszna rzecz, ilekroć w nocy opadnie go ta pasja do fletu; no, wtedy wyrywa gości z najgłębszego snu i wypłasza ich z gospody.

Ale czy pan uwierzy, że w domu burmistrza mieszka drugi Anglik - i to nie krócej, niż pan Ewson u mnie. Jest to doktor. Nazywa się Green. Również oryginalny i również pełen humoru. Kłócą się bez ustanku, a przecież nie mogą żyć bez siebie. Właśnie dzisiaj wieczorem zejdą się u mnie. Pan Ewson zamówił poncz i zaprosił doktora wraz z burmistrzem. Jeżeli pan zechce zatrzymać się do jutra, zobaczy pan nadzwyczaj komiczną i dobraną parę.

Pojmujesz, najłaskawszy panie, że zostałem. Istotnie wieczorem wszedł pan Ewson do pokoju i zaprosił mnie grzecznie na ucztę. Dodał też, że mu niezmiernie przykro częstować mnie lada jakim trunkiem, który tutaj zowią niesłusznie ponczem; tylko w Anglii pije się poncz; wkrótce tam powróci i spodziewa się, że jeżeli kiedy spotkamy się w jego ojczyźnie, udowodni mi, iż umie przyrządzić wyborny poncz. Wiedziałem, co o tym myśleć. Wkrótce przybyli zaproszeni goście. Burmistrz był sobie małym, okrągłym jak kulka, bardzo uprzejmym człowieczkiem, o zadowolonych ślepkach nad czerwonym noskiem. Doktor Green był to silny, średnich lat mężczyzna, o typowej twarzy Anglika, z okularami na nosie, ubrany modnie, ale niestarannie.

- Dajcie mym ustom zdrój szampańskiej fali, niech krwawa łuna w oczach się zapali... - zawołał patetycznie, przystępując do gospodarza i chwytając go za pierś. - Gdzie są księżniczki, łotrze Kambizesie - krzyknął, trzęsąc nim gwałtownie. - Kawę czuć tutaj, a nie trunek boski!

- Odstąp ode mnie, rozgniewany woju, żebra mi złamiesz! Zostaw mnie w: spokoju! - zawołał gospodarz.

- Nie pierwej puszczę cię, do diaska, aż poncz przesłodki nozdrza mnie pogłaska, nie pierwej pięść ta puści cię z prawicy, ty gospodarzu... godny... szubienicy...

- Green - krzyknął rozgniewany Ewson - grynszpan ci wyżre te złośliwe oczy, jeżeli nie zaniechasz haniebnego czynu!

Myślałem, że przyjdzie do bitki. Ale doktor rzekł rozlewnym głosem:

- Otóż przebaczam, niech się cieszy tchórz. Bracie Ewsonie, daj mi w ręce kruż... - Puścił gospodarza, który spiesznie wybiegł, a sam z miną Katona zasiadł przy stole, chwycił nabitą fajkę i wypuścił przed siebie chmury dymu.

- Czy to nie trąci teatrem? - rzekł do mnie uprzejmy burmistrz. - Doktor, który zresztą żadnej niemieckiej książki nie bierze do ręki, znalazł u mnie przypadkiem "Szekspira" Schlegla i od tego czasu wygrywa - jak się sam wyraził - prastare znane melodie na obcym instrumencie.

Czy pan zauważył, że nawet gospodarz mówi rymami? Doktor to wprawił go, że się tak wyrażę, w ten jambiczny nastrój.

Popijaliśmy poncz. Green siedział w milczeniu, czasem tylko rzucając, jakby od niechcenia, jakieś komiczne zdanie, i to prawie zawsze dla opozycji. Gdy na przykład w rozmowie o teatrze miejskim zapewniałem burmistrza, że pierwszy bohater gra wyśmienicie, doktor zawołał:

- Wcale tego nie widzę, przyzna pan przecie, że gdyby ten człowiek grał sześć razy lepiej, stałby się o wiele godniejszym poklasku.

Przyciśnięty koniecznością nie mogłem zaprzeczyć, pomyślałem tylko, że ten sześć razy lepiej grający aktor doprowadziłby do rozpaczy delikatnych ojców.

- Tak jest, wcale tego nie widzę - powtórzył Green - ten człowiek daję ze siebie wszystko.

Czyż to jego wina, że ma skłonności do fuszerki? Ale w tej fuszerce doszedł ,do tak chwalebnej doskonałości, że musimy go chwalić!

Burmistrz dogadywał obu oryginałom i pobudzał ich raz po raz do różnych szalonych facecji.

I tak dalej, i dalej, aż mocny poncz zrobił swoje. Ewson stał się nadzwyczaj wesołym, śpiewał ochrypłym głosem pieśni narodowe, wyrzucił przez okno perukę i surdut i zaczął tańczyć z tak cudacznymi minami i w tak pocieszny sposób, żem o mało nie pękł ze śmiechu.

Doktor spoważniał i oddawał się najprzedziwniejszym wizjom. Czarę ponczu brał za basy i pociągając po niej łyżką, od czego nie mogły go powstrzymać najsilniejsze protesty gospodarza, akompaniował pieśniom Ewsona. Burmistrz stawał się coraz cichszym, w końcu potoczył się w kąt pokoju, usiadł pod ścianą i zaczął gwałtownie płakać. Zrozumiałem gest gospodarza i zapytałem o przyczynę głębokiego bólu.

- Ach, ach! - wybuchnął z łkaniem - książę Eugeniusz był wielkim wodzem, a jednak ten bohaterski książę musiał umierać. Ach, ach!"- i zapłakał jeszcze gwałtowniej, zalewając się rzęsistymi łzami. Próbowałem pocieszyć go po stracie dzielnego księcia, zmarłego w zeszłym stuleciu, ale na próżno. Tymczasem doktor Green pochwycił wielkie szczypce i począł nimi wywijać przed otwartym oknem. Nie chodziło mu o nic innego, jak o oczyszczenie księżyca, którego jasne światło wpadało do izby. Ewson skakał i krzyczał jak opętany. W końcu zjawił się parobek z wielką latarnią i krzyknął głośno:

- Jestem, moi panowie! Komu w drogę, temu czas!

Nawiasem wspomnę, że latarnia była zbyteczna wobec wspaniałej pełni. Doktor stanął tuż przed parobkiem i rzekł, puszczając mu w nos gęste chmury dymu:

- Witaj, przyjacielu! Tyżeś to ów Squenz z księżycem, psem i cierniami? Wyczyściłem cię, hultaju, dlatego świecisz tak jasno! Dobranoc tedy. Wypiłem dużo haniebnego trunku. Dobranoc, gospodarzu! Dobranoc, mój drogi Piladesie! - Ewson przysięgał, że złamie kark każdemu, kto pójdzie do domu, ale nikt na to nie zważał.

Parobek podał jedno ramię doktorowi, drugie burmistrzowi, który ciągle jeszcze lamentował nad stratą księcia Eugeniusza, i tak powlekli się przez ulicę ku domowi burmistrza. Z trudem wprowadziliśmy błaznującego Ewsona do jego pokoju. Jeszcze przez połowę nocy wyprawiał wrzaski i grał przeraźliwie na flecie, tak iż nie mogłem

zmrużyć oka - i dopiero na wozie pokrzepiłem się snem po szalonym wieczorze w gospodzie.

Opowiadanie lekarza przybocznego przerywano często głośnym śmiechem. Książę nie posiadał się z radości.

- Tylko jedną postać - rzekł do lekarza - ukryłeś pan zanadto w cieniu, a to siebie samego, i założę się, że pański dowcip wprawiał błazeńskiego Ewsona i patetycznego doktora w natchnienie, skłaniając ich do szalonych wybryków, i że to pan właściwie byłeś tym spiritus movens całego komizmu, a ów pan burmistrz to tylko maska z twojej garderoby.

- Zapewniam, najłaskawszy panie - odrzekł lekarz - że ten klub osobliwej głupoty tak był zgrany, że wszelki obcy dodatek sprowadzałby dysonans, muzyk powiedziałby, że ci trzej bohaterowie to czysty trójdźwięk - jeden do drugiego niepodobny, ale w tonie harmonijnie współbrzmiący; gospodarzowi przypadła rola septimy.

Rozmowa potoczyła się swobodnie, humor z wykwintem wzięły się za ręce. Wreszcie książęca rodzina powróciła na swoje pokoje, a towarzystwo rozeszło się rozbawione.

Poruszałem się wesoło i swobodnie w nowym świecie. Im bardziej przechodziłem do spokojnego, wygodnego tempa życia w stolicy i na dworze, im poczestniejsze robiono mi miejsce, im większym darzono poklaskiem, tym mniej myślałem o przeszłości i o tym, że obecny mój sposób życia mógłby się kiedykolwiek zmienić.

Książę, jak się zdawało, miał szczególne do mnie upodobanie, a z różnych drobnych przesłanek mogłem wnioskować, że chętnie by mnie zatrzymał na stałe w swym otoczeniu.

Niewątpliwie pewna jednostronność wykształcenia, pewna jednostajna maniera całej naukowej i artystycznej działalności, wiejąca z dworu na całą stolicę, musiałaby się wkrótce uprzykrzyć człowiekowi zdolnemu i przyzwyczajonemu do bezwarunkowej wolności. A jednak cały ten krępujący tryb dworskiego życia nie był mi nazbyt

nieznośnym: wszak życie zakonne zostawiło na mnie niezatarte ślady - przywykłem był już od dawna do określonej reguły i do określonej formy, przynajmniej co do zewnętrznego wyglądu. Niestety... jedna osoba nie zaczęła zbliżać się do mnie, a mianowicie księżna. Daremnie starałem się zwrócić jej uwagę. Pozostała zimna i zamknięta. Owszem, było widocznym, że moja obecność dziwnie ją niepokoi, że tylko z trudem przymusza się do kilku słów zdawkowej uprzejmości.

U dam, które ją otaczały, miałem większe powodzenie. Zewnętrzny mój wygląd robił dodatnie wrażenie, a ponieważ często obracałem się w ich gronie, udało mi się wkrótce nabyć owej światowej ogłady, zwanej galanterią, która nie na czym innym polega, jak na przenoszeniu w każdą sytuację, nawet w zabawę, owej zewnętrznej układności ciała, dzięki której człowiek, gdziekolwiek się znajdzie, zdaje się być na właściwym miejscu.

Jest to szczególny dar mówienia o niczym pełnymi znaczenia słowami; budzi on w kobietach pewne upodobanie, z którego same nie zdają sobie sprawy. Oczywiście, ta wyższa i właściwa galanteria nie może się przejawiać w niezgrabnych pochlebstwach, ucieka się jednak chętnie do interesujących rozmów z odcieniami hymnu na cześć uwielbianej. Chodzi tu o to, by dotrzeć do najskrytszej istoty kobiety i zabarwiać tym odkryciem ulotną wymianę słów i tym sposobem stawia się kobiecie przed oczami jej własne, żywe, ukochane wnętrze i budzi w niej pociąg i zadowolenie podobne do przyjemności przeglądania się w lustrze.

Któż by jeszcze teraz rozpoznał we mnie mnicha! Jedynym niebezpiecznym dla mnie miejscem był może tylko kościół, bo ciężko mi było zapanować nad owym szczególnym nawykiem, charakteryzującym zachowaniem się zakonnika przy ćwiczeniach duchownych.

Lekarz przyboczny był jedynym człowiekiem, na którym życie dworskie nie wybiło swego piętna, niby na monecie.

Lgnąłem do niego, zwłaszcza że i on odpłacał mi się wzajemnością. Podobała mu się moja opozycja i swoboda w wypowiadaniu uwag, które dotykały księcia, czułego na śmiałą prawdę, i na przykład wypędziły znienawidzoną grę w faro.

Często więc schodziliśmy się razem i rozprawialiśmy już to o nauce i sztuce, już to o życiu... Cenił on wysoko księżnę; zapewniał, że tylko ona jedna umie poskramiać w księciu niejeden rys niesmaczny i, dając mu w ręce coraz to inną, nieszkodliwą zabawkę, ratuje go od owej dziwnej nudy, co miota człowiekiem po powierzchni życia. Przy sposobności poskarżyłem mu się na księżnę, na jej widoczną niechęć do mnie i nieprzezwyciężony wstręt, na który nie zasłużyłem. Lekarz powstał i wziął z biurka jakąś miniaturę.

- Przypatrz się pan uważnie - rzekł dając mi ją do ręki. Jakże się zdziwiłem, gdy w miniaturze mężczyzny poznałem swoje własne rysy. Wystarczało zmienić fryzurę i staroświeckie ubranie, dodać arcydzieło Belcampa: mój silny zarost bokobrodów, aby otrzymać z obrazu całkowity mój portret. Otwarcie powiedziałem to lekarzowi.

- I właśnie to podobieństwo - rzekł z uśmiechem - jest powodem przestrachu i zaniepokojenia księżnej. Twarz pańska odnawia wspomnienie strasznego zdarzenia sprzed wielu lat, co niby cios druzgocący wstrząsnęło dworem. Mój poprzednik, a zarazem profesor, powierzył mi w zaufaniu tajemnicę i dał tę oto podobiznę Francesca, dawnego ulubieńca księcia. Prawdziwe to arcydzieło roboty tajemniczego malarza, cudzoziemca, który bawił wtedy na dworze i właśnie w owej tragedii odegrał główną rolę.

Wpatrując się w obraz spojrzałem w niepochwytne oczy jakichś niepewnych i zawiłych przeczuć, mówiących mi głucho, że stoję w obliczu tajemnicy, w którą sam jestem wpleciony. Tym bardziej więc nalegałem na lekarza, by mi w zaufaniu wyjawił to, do poznania czego upoważnia mnie przypadkowe podobieństwo do Francesca.

- Nie dziwota - rzekł w końcu - że pana zaciekawia owa tajemnica. Jakkolwiek nie mam ochoty rozwijać jej i niechętnie zajmuję się tym nadzwyczajnym zdarzeniem - powiem panu wszystko, co tylko o nim słyszałem. Wiele już lat minęło i wiele głównych osób zeszło ze sceny. Tylko wspomnienie działa nienawistnie. Lecz chciej pan wszystko, co usłyszysz, zachować dla siebie.

Przyrzekłem solennie, a lekarz zaczął opowiadać:

- Podówczas właśnie, gdy książę nasz się ożenił, powrócił brat jego z dalekiej podróży w towarzystwie dwóch nieznanych ludzi, Jednego z nich nazywał Francesco, chociaż wiedziano, że to Niemiec, a drugi był malarzem. Brat książęcy należał do najpiękniejszych mężczyzn i przewyższał urodą naszego księcia; zresztą stali na równi tak pełnią życia, jak i zdolnościami.

Zrobił on niezwykłe wrażenie na młodej księżnej, która wtenczas była zbyt żywą, by nie czuć się skrępowaną przy boku zimnego formalisty, jakim był książę. I bratu księcia podobała się nad wyraz młoda, piękna jak malowanie bratowa. Nie myśląc o karygodnym stosunku, ulegli niezmożonej potędze, co parła ich ku wzajemnemu zespoleniu się płomieniem. Ogień, co ich pożerał, stapiał ich w jedno, w jeden sen miłości. Uczucie jest zaraźliwe.

Francesco, nieustępujący w niczym swojemu przyjacielowi, wywarł głębokie wrażenie na starszej siostrze księżnej, zauważył wkrótce swoje powodzenie i wykorzystał je z obmyśloną chytrością; skłonność księżniczki doszła wkrótce do szczytu najgwałtowniejszej, palącej miłości. Książę był zanadto przekonany o cnocie swej żony, by nie pogardzać oszczerczymi pogłoskami, chociaż przygniatał go naprężony stosunek z bratem. Tylko Francesco, którego polubił dla zdolności i mądrości życiowej, zdołał utrzymać go w jakiej takiej równowadze umysłu. Książę chciał go wynieść na pierwsze stanowiska dworskie, ale Francesco zadowalał się tajnymi przywilejami i miłością księżniczki. Śród takich stosunków osłabło tętno dworskiego życia; tylko te cztery

tajemnymi więzami złączone osoby używały szczęścia w eldorado miłości, wytworzonym przez siebie i tylko dla siebie. Być może za sprawą księcia przybyła ha dwór z okazałym orszakiem księżniczka włoska, w której upatrywano dawniej kandydatkę na małżonkę książęcego brata, zwłaszcza że wstępując w czasie podróży na dwór jej ojca, okazywał jej widoczną sympatię. Miała ona być uosobieniem gracji i wdzięku - i jaśniała niezwykłą urodą, jak świadczy o tym wspaniały portret, wiszący w galerii. Obecność jej ożywiła dwór, pogrążony w ponurej nudzie, i opromieniła wszystko, nie wyłączając księżnej i jej siostry. Zachowanie się Francesca zmieniło się wkrótce po przybyciu Włoszki w uderzający sposób. Jakaś tajemna troska przygniatała go ku ziemi, stał się mrukliwym, zamkniętym, zaniedbywał swą książęcą kochankę. I brat książęcy stał się również głęboko zamyślonym, i giął się przed potęgą nowych, przemożnych uczuć. Księżnej przybycie Włoszki wbiło sztylet w serce. I księżniczce, skłonnej do marzycielstwa, uleciało z miłością Francesca całe szczęście życia. Tak czworo szczęśliwych i zazdrości godnych pogrążyło się w zgryzocie i smutku. Brat książęcy przemógł się pierwszy; wobec surowej cnoty swej bratowej nie mógł się oprzeć pokusom pięknej, zwodniczej kobiety. Ów dziecinny, prawdziwie z głębi duszy płynący stosunek z księżną zniknął w niewypowiedzianej rozkoszy, jaką przyrzekała mu Włoszka. Doszło do tego, że wkrótce książę z powrotem wpadł w dawne więzy, z których dopiero co się uwolnił. Im więcej zwracał się ku tej miłości, tym dziwniejszym stawało się zachowanie Francesca; zaniedbywał dwór, błąkał się samotnie i całymi tygodniami nie był obecny w stolicy. Natomiast wystąpił na widownię dziwny, unikający ludzi malarz i pracował bardzo chętnie w pracowni, którą urządziła mu Włoszka w swym domu. Malował ją kilka razy i nadawał portretom wyraz niezrównany. Względem księżnej okazywał się nieprzychylnym i wcale nie chciał jej malować, natomiast

wykończył wspaniały portret księżniczki, nad wyraz podobny, chociaż nigdy mu nie pozowała. Włoszka okazywała malarzowi tyle przyjaźni, a on zwracał się do niej z taką poufałą galanterią, że brat książęcy stał się zazdrosnym. Aż wreszcie raz, gdy malarz, wpatrując się bystro w twarz Włoszki, przenosił ją czarodziejskim sposobem na płótno, wpadł do pracowni. Malarz zajęty pracą nie zauważył jego wejścia i nie powstał; rozgniewany zazdrośnik krzyknął na niego, by się wyniósł z pracowni i poszukał sobie innej.

Malarz wytarł spokojnie pędzel i zdjął w milczeniu obraz ze sztalugi. Z najwyższym gniewem wyrwał mu go brat książęcy oświadczając, że zatrzyma go dla siebie.

Malarz, nie tracąc spokoju ni swobody, prosił tylko, by mógł uzupełnić obraz kilku pociągnięciami pędzla. Brat książęcy umieścił znowu obraz na sztaludze. Po kilku minutach oddał mu go malarz i zaśmiał się szyderczo, gdy książę przeraził się straszliwie wyniszczoną twarzą, w którą zamienił się portret. Następnie odszedł malarz powoli, ale w drzwiach obrócił się, popatrzył na księcia poważnym, przejmującym wzrokiem i rzekł głucho i uroczyście: "Teraz jesteś zgubiony"...

Całe to zajście miało miejsce na kilka dni przed ślubem brata książęcego z Włoszką, po ogłoszeniu zaręczyn.

Na złowrogie słowa malarza nie zważał książę zupełnie, zwłaszcza że krążyła powszechnie pogłoska, jakoby czasem nawiedzał go pewnego rodzaju obłęd. Opowiadano, że wyszukał sobie nową pracownię i że patrzy osłupiałym wzrokiem na wielkie rozpięte płótno.

Tak mijają całe dni, lecz on zapewnia, że właśnie teraz pracuje nad wspaniałymi obrazami.

Zapomniał o dworze, wzajemnie zapomniany.

Ślub brata książęcego z Włoszką odbył się jak najwspanialej w pałacu książęcym.

Księżna pogodziła się z losem i wyrzekła się bezcelowej skłonności. Księżniczka była jakby wniebowzięta, bo jej

ukochany Francesco znowu się pokazał, bardziej kwitnący i weselszy niż zazwyczaj. Młoda para miała zamieszkać skrzydło zamku, świeżo urządzone w tym celu przez brata. Przy tej budowie czuł się książę prawdziwie w swoim żywiole, widziano go w towarzystwie architektów, malarzy, tapicerów, szperającego w wielkich księgach i rozwijającego przed sobą plany, kontury, szkice, częściowo własnej roboty, więc też niekiedy nie najbardziej udane.

Ni młody książę, ni jego małżonka nie znali wewnętrznego urządzenia swoich przyszłych apartamentów. Ujrzeli je po raz pierwszy wieczorem w dniu ślubu, kiedy to książę oprowadził ich w długim, uroczystym pochodzie po pokojach udekorowanych z przepychem pełnym prawdziwego smaku; uroczystość zakończyła się balem we wspaniałej sali, podobnej całkiem do kwitnącego ogrodu. W nocy powstał w mieszkaniu nowożeńców jakiś głuchy łoskot. Hałas stawał się coraz głośniejszy, aż zbudził ze snu i samego księcia. Przeczuwając nieszczęście, zerwał się i pobiegł w towarzystwie straży ku odległemu skrzydłu. Dostał się na szeroki korytarz, gdzie właśnie niesiono brata, którego znaleziono przed drzwiami małżeńskiej komnaty zamordowanego uderzeniem noża w szyję. Można sobie wyobrazić przerażenie księcia, rozpacz księżniczki, głęboki, serce targający smutek księżnej. Gdy książę trochę się uspokoił, rozpoczął śledztwo. Jak dokonano morderstwa? Jak morderca mógł uciec przez obsadzone strażą korytarze?

Przeszukano wszystkie kryjówki, ale na próżno.

Paź, który obsługiwał zamordowanego, opowiadał, że pan jego, tknięty złym przeczuciem, chodził długo po pokoju tam i na powrót, a potem kazał się rozebrać; paź wykonał rozkaz pański, a następnie ze świecznikiem w ręku świecił mu aż do przedpokoju komnaty małżeńskiej; brat książęcy wziął od niego świecznik i kazał mu wrócić; ale zaledwie wyszedł z pokoju, usłyszał głuchy krzyk, uderzenie i brzęk upadającego świecznika; zaraz pobiegł z powrotem i przy świetle świecy, płonącej jeszcze na ziemi, zobaczył księcia

leżącego przed drzwiami komnaty małżeńskiej, a obok niego mały, okrwawiony nóż; więc zaraz począł krzyczeć. Według opowiadania małżonki zamordowanego księcia, wszedł on zaraz, gdy oddaliła panny służebne, śpiesznie, bez światła do jej pokoju, zgasił szybko wszystkie świece, pozostał u niej z pół godziny i szybko się oddalił. W kilka minut potem dokonano mordu.

Gdy gubiono się w przypuszczeniach, kto mógłby być mordercą, gdy stracono wszelką nadzieję wykrycia sprawcy, stanęła przed księciem jedna garderobiana Włoszki i opowiedziała ową kłótnię księcia z malarzem i całe zajście, które widziała była przez otwarte drzwi ze swego bocznego pokoiku. Nikt nie wątpił, że malarz umiał się wśliznąć w niepojęty sposób do pałacu i zamordował księcia. Miano natychmiast uwięzić malarza, ale już od dwu dni zniknął z domu i nikt nie wiedział, gdzie się znajduje. Wszystkie poszukiwania były daremne.

Dwór pogrążył się w najgłębszym smutku, a z nim cała stolica. Tylko Francesco, który znowu ustawicznie przebywał na dworze, umiał w małym kole rodzinnym wydobyć w czarodziejski sposób niejedno spostrzeżenie słoneczne z ponurych chmur rozpaczy. Włoszka czuła się brzemienną, a ponieważ wydawało się rzeczą jasną, że morderca małżonka nadużył podobnej postaci dla przeklętego oszustwa, odjechała na odległy zamek księcia, by ukryć połóg i aby w ten sposób owoc piekielnej zbrodni nie hańbił nieszczęśliwego małżonka przynajmniej przed światem, przed którym lekkomyślność służby zdradziła zajście z poślubnej nocy.

Stosunek Francesca do siostry księżnej stał się w tym czasie żałoby jeszcze serdeczniejszym; bardzo też zacieśnił się związek przyjaźni łączący go z książęcą parą.

Książę, dawno już wtajemniczony w sprawy Francesca, nie mógł dłużej opierać się naleganiu księżnej i zezwolił na tajny ślub Francesca z księżniczką. Francesco miał sobie zdobyć

jakiś wysoki stopień wojskowy na sąsiednim dworze, a potem miało nastąpić publiczne ogłoszenie tajemnicy.

Nadszedł dzień ślubu. Książę, księżna i dwaj zaufani mężowie (mój poprzednik był jednym z nich) byli jedynymi świadkami związku w małej pałacowej kaplicy. Jeden jedyny paź, wtajemniczony we wszystko, strzegł drzwi. Para stała przed ołtarzem. Spowiednik księcia, stary, czcigodny kapłan, odprawił cichą mszę i rozpoczął wygłaszać formułkę. Wtem pobladł Francesco i krzyknął głuchym głosem przerażenia: “Czego chcesz ode mnie!"

Wsparty o słup narożny stał malarz w cudzoziemskim stroju, w fioletowym płaszczu zarzuconym na ramiona, i przewiercał Francesca upiornym spojrzeniem trupioszklanych, czarnych oczu. Księżniczka bliską była omdlenia.

Wszystko zadrżało z przerażenia, tylko ksiądz zachował spokój i rzekł do Francesca:

"Dlaczego przestrasza cię postać tego człowieka, gdy masz czyste sumienie?" Wtedy zerwał się Francesco i rzucił się na malarza, mierząc weń krótkim nożem, lecz nie dosięgnął go i z głuchym wyciem runął bezwładnie na ziemią. Malarz zniknął.

Wtedy dopiero zbudzili się wszyscy, jakby ze snu, i rzucili się na pomoc Francescowi.

Leżał jak martwy. Aby uniknąć rozgłosu, zanieśli go dwaj zaufani mężowie na pokoje księcia. Gdy przyszedł do siebie, odmówił wszelkich odpowiedzi na pytania księcia, dotyczące tajemniczego zajścia w kościele, i domagał się gwałtownie, by go puszczono do jego mieszkania.

Nazajutrz uciekł ze stolicy, z kosztownościami, które otrzymał od obu książąt. Książę nie zaniedbał niczego, aby wpaść na ślad tajemnicy i upiornego pojawienia i zniknięcia malarza. Kaplica miała tylko dwa wejścia, z których jedno, obok głównego ołtarza, prowadziło od środkowych pokoi pałacu ku lożom, drugie zaś z szerokiego głównego korytarza do nowej kaplicy. Tego wejścia strzegł paź, drugie

zaś było zamknięte; niepokojącym tedy było, jak malarz mógł się zjawić w kaplicy i znów zniknąć. Paź (ten sam, który w nieszczęśliwy wieczór zaślubin rozbierał brata książęcego, a teraz strzegł kaplicy) twierdził, że nóż Francesca, dobyty przeciw malarzowi, był tym samym, który leżał obok zamordowanego brata książęcego; poznał go po srebrnej błyszczącej oprawie. Wkrótce po tych tajemniczych zajściach przyszły wiadomości od włoskiej księżniczki, właśnie w tym dniu, kiedy miał się odbyć ślub Francesca, porodziła syna i po rozwiązaniu umarła. Książę nosił żałobę po jej stracie, chociaż ciążyła na niej tajemnica nocy poślubnej i rzucała na nią może niesłuszne podejrzenia. Syn, owoc zbrodniczego, przeklętego czynu, wychowywał się w odległych krajach pod imieniem hrabiego Wiktoryna. Księżniczka (mam na myśli siostrę księżnej), wstrząśnięta do głębi duszy strasznymi zajściami, które w tak krótkim czasie na nią się zwaliły, wybrała klasztor. Jest ona, jak panu wiadomo, ksienią klasztoru cystersek w B. Z owymi zajściami na dworze łączy się dziwnie i tajemniczo zdarzenie, które zaszło niedawno na dworze barona F. i tę rodzinę, tak jak wtedy nasz dwór, rozproszyło na wszystkie strony.

Mianowicie ksieni, wzruszona nędzą jakiejś ubogiej kobiety, która w powrocie z pielgrzymki do Świętej Lipki przybyła z małym dzieckiem do klasztoru, wzięła jej...

Na tym słowie przerwało się opowiadanie; jakaś wizyta odwołała lekarza. Z trudem udało mi się ukryć burzę rozszalałą w sercu. Było mi jasnym, że Francesco był moim ojcem i że zamordował książęcego brata tym samym nożem, którym ja zabiłem Hermogena.

Postanowiłem za kilka dni wyjechać do Włoch i tak ostatecznie wydobyć się z koła, w które zaklęła mnie złość nieprzyjaznej potęgi.

Tego samego wieczoru zjawiłem się w gronie dworu.

Opowiadano wiele o jakiejś wspaniałej, pięknej jak malowanie pannie, która dopiero wczoraj przyjechała i

dzisiaj po raz pierwszy miała się zjawić przy boku księżnej jako dama dworu.

Drzwi otworzyły się: weszła księżna a z nią nieznajoma. Poznałem Aurelię.

CZĘŚĆ II

ROZDZIAŁ I

PUNKT ZWROTNY

W czyimże sercu nie wzeszła raz w życiu cudowna, głęboka tajemnica miłości?

Czytelniku tych kart bolesnych, oddaj wspomnieniu rozmarzoną głowę, spójrz w oczy słońcu minionej rozkoszy, spójrz w twarz kobiety: w twarz ducha miłości... kochaną... utraconą.

Uczujesz w niej siebie... i szepniesz w zachwycie: oto, co we mnie najwyższe! Czy pamiętasz te poszumy fal, te szelesty drzew i granie wieczornego powiewu... Czy wiesz, co ci mówiły o kochaniu twoim? Gdzież są te kwiaty o jasnych oczach serdecznych przyjaciół, niosące pozdrowienia i pocałunki od kochanki? Pamiętasz? Przyszła Ona i chciała być twoją na zawsze i zupełnie. Objąłeś Ją ramieniem płomiennych pożądań i rwałeś się w błękity na skrzydłach wielkiego pożaru tęsknot.

Ale misterium zostało niespełnione. Ciemne moce przyparły cię do ziemi w chwili odlotu w dalekie zaświaty... Zanim odważyłeś się na nadzieję, musiałeś Ją utracić, przebrzmiała pieśń zachwytu, a życie zaniosło się beznadziejną skargą samotnika i ponowny lament wzbił się w posępnej samotni. O mój nieznany, mój ty obcy człeku! Jeżeliś legł, zmiażdżony, pod ręką bezimiennego bólu, zawtóruj przepastnym zawodzeniom starego mnicha, co w ciemnej celi, wspominając zmarłe słońce swej miłości, krwawymi łzami zlewa twarde łoże i westchnieniami śmierci wypełnia w noc ciemną posępne korytarze klasztoru.

Ale i ty, ty krewny mój po mieczu boleści, i ty wiesz o tym, że najwyższa szczęśliwość miłości, że spełnienie tajemnicy przejawia się w śmierci.

Tak szemrzą nam ciemne, wróżbami brzemienne głosy, płynące z praczasu, niezmierzonego miarą ni człowieczą, ni ziemską, i niby w misteriach święconych przez dzieci natury, staje przed nami zgon, jako święto miłości!

Błyskawica rozdarła mi wnętrze i urzekła oddech; tętna skoczyły jak spłoszone ptaki i w jeden skurcz boleści zmieniło się serce, pierś pękała! Kocham! Kocham!

Porwać ją w szale miłości!.... Nieszczęsna, czemu opierasz się potędze, co cię przykuła do mnie nierozłącznie? Czyż nie jesteś moją, moją na zawsze? Lecz lepiej niż wówczas, gdy po raz pierwszy ujrzałem Aurelię na zamku barona, poskromiłem wybuch obłędnej namiętności. Zresztą oczy wszystkich były zwrócone na Aurelię i mogłem swobodnie poruszać się w kole obojętnych ludzi, niedręczony niczyim spojrzeniem lub słowem. Całym sercem byłem przy Aurelii, ją tylko widzieć chciałem, ją tylko słyszeć, o niej tylko myśleć!

Niechaj nikt nie mówi, że zwykła domowa sukienka najlepiej stroi prawdziwie piękną dziewczynę: strój kobiety wywiera dziwny czar, któremu nie łatwo możemy się oprzeć.

Wypływa to z ich najgłębszej istoty, że dzięki strojowi całe ich wnętrze promienniej świeci pięknością, na podobieństwo kwiatów, które tylko wtedy osiągają szczyt rozwoju, gdy wytryskują bujnie w blasku prześwietnych kolorów. Gdy po raz pierwszy ujrzałeś kochankę w strojniejszej szacie, czyż nie przebiegło ci po nerwach jakieś nieokreślone uczucie?

Wydawała ci się jakąś obcą, ale właśnie to dodawało jej niewymownego powabu.

Jakże drżałeś z rozkoszy i bezimiennej żądzy, ilekroć skrycie mogłeś uściskać jej rękę!

Aurelię widywałem tylko w jednej codziennej sukni. Dzisiaj zjawiła się, stosownie do obyczaju dworskiego w toalecie balowej. Jakże jej było pięknie!

Jakiż zachwyt bez granic, jakaż słodycz rozkoszy przeniknęła mnie na jej widok czarowny! Ale oto duch złego wziął górę w mym sercu i podniósł głos, któremu chętnie dałem posłuch. "Widzisz więc, widzisz! Medardzie - mówił mi szept bestialski - widzisz, jat rozkazujesz losowi, jak ślepy przypadek słucha cię pokornie i przędzie nić, zaczętą twymi własnymi rękami?"

Było na dworze dość kobiet mogących uchodzić za skończone piękności, lecz w obliczu chwytającego za serce czaru prześlicznej Aurelii bladły jak niepozorne malowanki. I najleniwsi dali się porwać zachwytowi, a nawet starszym zerwała się nić zwyczajnej konwersacji, i był to widok wesoły, gdy każdy z nich przybierał odświętną minę i starał się choć słowo wymienić z nieznajomą. Aurelia przyjmowała te hołdy ze spuszczonymi oczami, rumieniąc się powabnie. Lecz gdy książę skupił starszych panów około siebie, a niejeden piękny jak posąg młodzieniec zbliżył się do niej nieśmiało z przyjaznymi słowy, stała się weselszą i śmielszą. Zwłaszcza udało się jakiemuś majorowi przybocznej gwardii książęcej zwrócić na siebie jej uwagę, tak że wkrótce oddali się ożywionej rozmowie. Słyszałem o majorze jako o szczęśliwym ulubieńcu kobiet. Umiał on małym nakładem na pozór niewinnych środków poruszyć umysł i duszę niewiasty i zręcznie je uwikłać.

Wyczuwając subtelnym uchem nawet najsłabszy współdźwięk, wprawiał natychmiast dowolnie w drganie wszystkie pokrewne akordy, niby zręczny muzyk, tak że złudzona brała cudze słowa za swoją własną, wewnętrzną muzykę. Stałem w pobliżu Aurelii, zdawało się, iż nie spostrzega mnie wcale. Chciałem się zbliżyć do niej, lecz jakby spętany żelazem, nie mogłem ruszyć się z miejsca.

Gdym spojrzał bystrzej na majora, wydało mi się nagłe, że to Wiktoryn stoi przy Aurelii.

Wtedy wybuchnąłem śmiechem gniewu i szyderstwa: "Hejże, ty, przeklęty, także to miękko ległeś w «diablej

przepaści», że ci się zachciewa w szalonym porywie kochanki mnicha?!"

Nie wiem, czy istotnie wypowiedziałem te słowa, Usłyszałem tylko swój własny

śmiech i zerwałem się, jakby z głębokiego snu, gdy stary marszałek dworu ujął mnie za rękę, pytając:

- Z czego się pan tak cieszysz, kochany panie Leonard?

Mróz przebiegł mi po ciele.

Czyż to nie były słowa pobożnego ojca Cyryla, który tak samo zapytał mnie, gdy w czasie obłóczyn zuchwale się uśmiechnąłem?

Zaledwie zdołałem wyjąkać kilka słów bez związku. Wyczułem, że Aurelii nie było już w pobliżu, lecz nie śmiałem spojrzeć w tę stronę. Wybiegłem szybko z jaśniejącej sali.

Musiałem jakoś dziwnie i nienaturalnie wyglądać, bo spostrzegłem, że usuwano mi się trwożnie z drogi, gdy mijałem szerokie schody, raczej skacząc niż schodząc.

Unikałem dworu, bo ujrzeć Aurelię bez niebezpieczeństwa zdradzenia najgłębszej swej tajemnicy zdawało mi się niemożliwym. Samotny przebiegałem pola j lasy, o niej tylko myśląc, na nią tylko patrząc oczyma tęsknoty. Coraz to silniej wzrastała we mnie pewność, że jakieś ciemne przeznaczenie splątało los tej dziewczyny z moim i że to, co mi się zjawiło w obliczu sumienia jako zbrodnia i grzech; jest tylko spełnieniem wiecznego, niedającego się odmienić wyroku. Tak się krzepiąc śmiałem się do niebezpieczeństwa, grożącego mi w przyszłości, w wypadku gdyby Aurelia rozpoznała we mnie mordercę Hermogena. Lecz to zdawało mi się zupełnie niemożliwym. Jakże śmiesznymi wydali mi się ci młodzieńcy, którzy w czczym szale ubiegali się o nią, o nią, która zupełnie należała do mnie, na wieczność, tak że najcichsze jej tchnienie istniało tylko we mnie i przeze mnie. Cóż mnie obchodzą ci hrabiowie, baronowie, szambelanowie, ci oficerowie w kolorowych bluzach, w lśniącym złocie, błyszczących orderach, czymże różnili się od bezsilnych, mieniących się ozdobnie owadów, które

mógłbym zdruzgotać silną dłonią, gdy wyczerpią cierpliwość moją. Wejdę pomiędzy nich w habicie, z Aurelią przybraną do ślubu w ramionach tych tryumfujących - a ta dumna, wroga mi księżna sama rozściele ślubny kobierzec zwycięskiemu mnichowi, którym gardziła.

Pogrążony w takich myślach wykrzykiwałem nieraz głośno imię Aurelii i śmiałem się, i wyłem jak obłąkaniec. Lecz wkrótce uśmierzyła się burza. Uspokoiłem się i stałem się zdolny rozmyślać nad sposobami zbliżenia się do Aurelii. Właśnie pewnego dnia przemknąłem się przez park, rozmyślając, czy jest wskazanym wziąć udział w wieczornej pogawędce towarzystwa, gdy ktoś klasnął poza moimi plecami. Obejrzałem się: był to lekarz przyboczny księcia.

- Pozwoli pan, że zbadam szanowny puls - rzekł do mnie z osłupiałym spojrzeniem, chwytając mnie silnie za rękę.

- Co to ma znaczyć? - zapytałem zdumiony.

- Drobnostka - odparł - w powietrzu błądzi cichaczem i tajemniczo jakieś szaleństwo, które po bandycku napada ludzi i tak im dokucza, że wykrzykują głośno, choć co prawda, wygląda to bardziej na śmiech bezrozumny. Tymczasem jednak może to tylko fantazje, a może ten dziki diabeł - to tylko słaba febra ze stale rosnącą gorączką, dlatego podaj mi rękę, mój drogi, zbadamy tętno...

- Ależ zapewniam pana, że nie rozumiem ani słowa - odpowiedziałem, ale doktor ujął mnie za ramię i zwróciwszy oczy ku niebu liczył puls... raz, dwa, trzy... Całe to zachowanie się jego było mi zupełnie zagadkowymi domagałem się więc, aby mi wyjaśnił, o co mu chodzi.

- Nie wiesz więc, kochany panie Leonardzie, że niedawno cały dwór wprawiłeś w przestrach i zakłopotanie? Wielka ochmistrzyni jeszcze dotąd nie pozbyła się konwulsji, a prezydent konsystorza opuszcza najważniejsze posiedzenia, ponieważ podobało się panu przegalopować po jego podagrycznych nogach, tak że siedząc w krześle, jeszcze teraz piekielnie syczy z dotkliwych ataków bólu. Stało się to mianowicie, gdy pan, porwany jakąś wściekłością,

wyrwałeś się z sali i tak dziko wybuchnąłeś śmiechem bez przyczyny, że wszystkim dreszcz grozy przeleciał po sercu, a włosy stanęły dęba.

- Przyszedł mi na myśl marszałek dworu i jakieś mgliste wspomnienie, że zaśmiałem się głośno w myśli, tym więcej zaś nie mogło to robić tak piorunującego wrażenia, że marszałek zapytał mnie najspokojniej w świecie, z czego się tak cieszę.

- Cha, cha! - przerwał mi lekarz - to nic nie znaczy. Marszałek... i cóż marszałek - taki homo impavidus, który kpi sobie z samego diabła. Pozostał wierny swej spokojnej dolcezzy, chociaż równocześnie wymieniony prezydent konsystorza istotnie mniemał, że to diabeł, mój drogi, tak zaśmiał się z ciebie; a naszą piękną Aurelię zdjęła taka groza i przerażenie, że te wszelkie wysiłki towarzystwa, by ją uspokoić, były daremnymi i wkrótce musiała opuścić zebranie ku rozpaczy wszystkich panów, którym parował z egzaltowanych czubów ogień miłości w sposób najjaśniejszy w świecie... W chwili gdy pan, czcigodny Leonardzie, tak przyjemnie się zaśmiałeś, wydarł się z piersi Aurelii ostry, przejmujący aż do serca krzyk - wiesz pan - krzyknęła “Hermogen!". Co to ma znaczyć? Być może, pan to rozumiesz...

Pan w ogóle jesteś kochanym, lotnym, rozsądnym człowiekiem, panie Leonardzie, i wcale nie żałuję, żem panu zwierzył ową przedziwną historię Francesca... to musiało dla pana być bardzo pouczającym... na przyszłość...

Nie puszczając z rąk mojego ramienia, patrzał mi nieruchomo w oczy.

- Nie wiem - odpowiedziałem uwalniając się dość szorstko z jego ręki - nie wiem, co mam począć z dziwnymi słowami pana; muszę jednak wyznać, że gdym tak ujrzał Aurelię, otoczoną murem tych strojnych panów, którym, jak to pan dowcipnie zauważyłeś, dymiła miłość z egzaltowanych czubów, ścisnęło mnie za serce gorzkie wspomnienie z dawnych czasów mojego życia i porwany szyderczą ironią

na widok jak głupio poczynają sobie niektórzy ludzie, musiałem mimo woli wybuchnąć głośnym śmiechem. Boli mnie to bardzo, że wbrew woli narobiłem tyle złego i odpokutuję to sam, wypędzając się na jakiś czas z dworu. Oby mi wybaczyła księżna i Aurelia.

- Ej, kochany panie Leonardzie - odpowiedział doktor - wiele jest napaści, które doskonale odpieramy, jeżeli serce jest czyste.

- Któż może się tym poszczycić tu na ziemi? - zapytałem głucho... jakby sam siebie.

Doktor zmienił nagle wyraz twarzy i ton głosu.

- Wyglądasz pan jednak - rzekł łagodnie i poważnie - wyglądasz pan istotnie na chorego.

Twarz blada i wzburzona... oczy zapadłe, pełne gorączkowych blasków... Puls nieregularny... głos przyćmiony... czy co zapisać?

- Trucizny! - rzekłem bezwiednie, ledwie dosłyszalnie.

- Ho, ho! - zawołał doktor - to już tak źle z panem? No, no, zamiast trucizny poskutkuje przeczyszczający środek wesołego towarzystwa... Zdarzyć się jednak może - w istocie, dziwna sprawa - ha, kto wie?

- Wypraszam sobie, mój panie - krzyknąłem rozgniewany - wypraszam sobie tę nierozumną, urywaną paplaninę. Dręczy mnie to, lepiej już wprost powiedzieć wszystko!

- Stój! - przerwał mi doktor - stój, kochany panie Leonardzie... Są dziwne sprawy ... złudzenia... po prostu pewny jestem, że zbudowano hipotezę na chwilowym wrażeniu - i wszystko rozwieje się wniwecz po kilku minutach. Oto tam nadchodzi księżna z Aurelią.

Wyzyskaj pan to przypadkowe spotkanie, staraj się usprawiedliwić swoje postępowanie.

Chociaż - mój Boże! - właściwie zaśmiałeś pan się tylko - w sposób co prawda dziwny, lecz któż może odpowiadać za to, że osoby o słabych nerwach się przelękły. Adieu!

Doktor oddalił się w podskokach, z wrodzoną sobie żywością. Księżna z Aurelią zbliżały się aleją... Zadrżałem.

Skupiłem wszystkie siły. Czułem po tajemniczych wzmiankach doktora, że idzie tu o utrzymanie się na placu boju. Zuchwale poszedłem naprzeciw idących. Ujrzawszy mnie Aurelia krzyknęła przeraźliwie i padła jak martwa.

Skoczyłem na pomoc. Ze wstrętem i obrzydzeniem powstrzymała mnie księżna, głośno wołając ratunku. Puściłem się w park jakby gnany przez furie i szatany. Zamknąłem się w swym mieszkaniu i rzuciłem się na łóżko, zgrzytając zębami z wściekłości i zwątpienia.

Nadszedł wieczór. Zapadła noc. Zaskrzypiała brama. Rozszedł się szept kilku głosów... Ktoś stąpał z tupotem po schodach. W końcu ktoś zapukał do drzwi i rozkazał mi je otworzyć w imieniu prawa. Bez jasnej świadomości, co mi właściwie grozi, uczułem, że jestem zgubiony. Myśl niespokojna zwróciła się do ucieczki - rozwarłem okno. Przed domem stali ludzie uzbrojeni. Jeden spostrzegł mnie natychmiast. Dokąd! - krzyknął i w tejże chwili prysły drzwi mojej sypialni. Kilku ludzi weszło do środka, przy blasku latarni trzymanej przez jednego poznałem, ze była to policja...

Pokazano mi rozkaz sądu karnego - miałem być aresztowany; wszelki opór byłby szaleństwem. Rzucono mnie na wóz, stojący przed domem, a kiedym przybył do miejsca przeznaczenia i zapytałem, gdzie się znajduję, odpowiedziano mi: "W więzieniu górnego zamku". Wiedziałem, że tu umieszczano niebezpiecznych zbrodniarzy na czas procesu.

Wkrótce przyniesiono mi łóżko, a dozorca więzienny zapytał mnie czy nie mam jeszcze jakich życzeń lub potrzeb. Odpowiedziałem przecząco i w końcu zostałem sam. Długie, echem podwojone kroki, otwieranie i zamykanie wielu drzwi dało mi poznać, że się znajduję w jednej z najgłębszych cel zamku.

W sposób niejasny mi zupełnie zachowałem się całkiem spokojnie w czasie nieco przydługiej jazdy - w jakimś oszołomieniu zmysłów widziałem przelatujące mi przed

oczami obrazy, a wszystko w bladych, półzagasłych barwach. Nie usnąłem, lecz uległem bezwładowi myśli i fantazji. Gdym ocknął się z jasną jutrzenką, leżało tylko na sercu wspomnienie o czymś, co się stało... i o tym, że mnie tu przywieziono.

Sklepiona, podobna do celi izba, w której leżałem, zaledwie mogłaby zdawać mi się więzieniem, gdyby nie małe okienko, silnie zakratowane żelaznymi sztabami i tak wysoko umieszczone w ścianie, że nawet wyciągniętą do góry ręką nie mogłem go dosięgnąć, a tym mniej wyglądać przez nie. Kilka tylko promieni słońca, wpadało skąpo do wnętrza; zdjęła mnie chęć zbadać otoczenie mojego więzienia; w tym celu przysunąłem do ściany łóżko i postawiłem na nim stół. Już miałem stanąć u szczytu, gdy wszedł dozorca więzienny. Zdawał się zdziwiony moim postępowaniem i zapytał mnie, co robię. Odpowiedziałem, że chciałem tylko wyjrzeć; w milczeniu wyniósł stół, leże i stołek i zamknął mnie na powrót. Nie upłynęła nawet godzina, gdy zjawił się znowu w towarzystwie dwóch innych mężczyzn i począł mnie prowadzić przez długie schody, do góry i na dół, aż nareszcie wszedłem do małej salki, gdzie na mnie oczekiwał sędzia śledczy. Obok siedział jakiś młody człowiek, któremu dyktował po kolei wszystko, co odpowiedziałem na zadane mi pytania. Moim dawnym stosunkom na dworze i ogólnemu szacunkowi, którym w istocie tak długo się cieszyłem, miałem do zawdzięczenia ten grzeczny sposób, w jaki obchodzono się ze mną. Budowałem na tym przeświadczenie, że tylko przypuszczenia, które mogły opierać się na przeczuciu Aurelii, spowodowały moje uwięzienie. Sędzia śledczy wezwał mnie, abym podał dokładne szczegóły całego mojego życia. Prosiłem go, aby mi wyjaśnił przyczynę mojego niespodziewanego uwięzienia. Odpowiedział, że w stosownym czasie dowiem się dostatecznie o zarzucanej mi zbrodni. Teraz chodzi tylko o to, aby jak najdokładniej dać poznać cały przebieg swojego życia, aż do przybycia do

stolicy; musi mi też przypomnieć, że sądowi karnemu nie zbywa na środkach zbadania nawet najmniejszych podanych przeze mnie okoliczności, dlatego powinienem pozostać jak najwierniejszym prawdzie. Napomnienie, którego mi sędzia, mały chudy człowieczek o rudych włosach, udzielił zachrypłym, śmiesznie skrzeczącym głosem, padło na grunt urodzajny; przypomniałem sobie bowiem, że w uchwyceniu i prowadzeniu nici mojego opowiadania muszę się liczyć z tym, co już o sobie powiedziałem na dworze, więc z imieniem i miejscem urodzenia.

Było też koniecznym, unikając rzeczy nadzwyczajnych, oprzeć swe życie o tło codzienne, lecz bardzo oddalone i niepewne, by na wszelki wypadek wszystkie potem badania i dochodzenia musiały bardzo daleko sięgać i posuwać się z trudnością. W tejże chwili przypomniał mi się młody Polak, z którym kończyłem seminarium w B. Tak przygotowany, rozpocząłem mniej więcej w ten sposób:

- Być może, iż jestem obwiniony o jakąś ciężką zbrodnię; żyłem w tych czasach pod okiem księcia i całego miasta i w czasie mojego tu pobytu nie zaszłe żadna zbrodnia, za której sprawcę lub tylko wspólnika mógłbym uchodzić. Zapewne więc jakiś cudzoziemiec oskarża mnie o czyn popełniony w przeszłości. a ponieważ mam zupełnie czyste sumienie i nie poczuwam się do żadnej winy, muszę przypuszczać, że prawdopodobnie nieszczęśliwe podobieństwo obciąża mnie podejrzeniem o zbrodnię. Tym większą przykrość sprawia mi to postępowanie ze mną, że mnie dla czczych przypuszczeń i uprzedzeń wtrącono do ciężkiego więzienia, na równi z pochwyconym na gorącym uczynku złoczyńcą.

Czemuż mi nie stawiano przed oczy mojego lekkomyślnego i - jak przypuszczam - złośliwego oskarżyciela? Zapewne to jakiś wartogłów bez mózgu, który...

- Powoli, powoli, panie Leonardzie - żachnął się sędzia - miarkuj się pan, bo możesz grubo zgrzeszyć przeciw

wysokim osobistościom, a ta obca osoba, która pana, panie Leonardzie, a raczej panie... (tu przygryzł szybko wargi), poznała, nie jest ani lekkomyślną, ani głupią, lecz... a zresztą mamy dobre wiadomości z...

Wymienił okolicę, w której leżały dobra barona F. - i natychmiast zrozumiałem wszystko dokładnie. Bez wątpienia Aurelia rozpoznawała we mnie mnicha, który zamordował jej brata. Lecz mnichem tym był Medardus, sławny kaznodzieja z klasztoru kapucynów w B. Wszak poznał go Reinhold; zresztą sam przedstawił się jako taki. Że Francesco był ojcem tego Medarda, wiedziała ksieni; z pewnością moje podobieństwo do niego, które zaraz z początku tak przykro uderzyło księżnę, wzbudziło podejrzenie; po wymianie korespondencji pomiędzy księżną a ksienią podejrzenie zmieniło się prawie w pewność. Być może nadeszły też wiadomości z samego klasztoru kapucynów w B.; a kto wie, czy nie śledzono moich kroków dokładnie i nie stwierdzono tożsamości mojej z mnichem Medardem. Wszystko to przemyślałem szybko i ujrzałem krytyczne położenie. Sędzia prawił coś dalej, i było mi to na rękę, bo wypadło mi z pamięci długo szukane w myślach imię polskiego miasteczka, które wymieniłem starej damie dworskiej jako miejsce mojego urodzenia. Zaledwie skończył sędzia swoje kazanie szorstką uwagą, abym bez ogródek i niepotrzebnych zwrotów skreślił curiculum vitae, począłem mówić:

- Nazywam się Leonard Krzyński i jestem jedynym synem szlachcica, który sprzedał swój majątek i osiadł w Kwieciszewie.

- Co? Jak?... - zawołał sędzia trudząc się daremnie, aby powtórzyć moje nazwisko i nazwę miejscowości. Protokolant nie wiedział, jak ma napisać te wyrazy; musiałem więc sam wypisać te nazwy i ciągnąłem dalej:

- Widzisz pan sam, jak trudno jest niemieckiemu językowi wymówić moje przeładowane spółgłoskami nazwisko; w tym właśnie leży przyczyna, dlaczego odrzuciłem je zaraz po

przybyciu do Niemiec i występowałem tylko pod imieniem chrzestnym.

Zresztą życie moje należy do najprostszych w świecie. Mój ojciec, sam uczony człowiek, podsycał jeszcze mój wrodzony pociąg do nauki i chciał mnie właśnie posłać do Krakowa, do krewnego księdza, Stanisława Krzyńskiego, gdy nagle umarł. Nikt nie troszczył się o mnie, sprzedałem małe mienie, zaciągnąłem nieco długów i udałem się rzeczywiście z całym pozostawionym mi przez ojca majątkiem do Krakowa, gdzie przez kilka lat oddawałem się studiom, pod okiem mojego krewnego. Potem udałem się do Gdańska i do Królewca. W końcu zdjęła mnie nieprzeparta ochota puścić się w podróż na południe; miałem nadzieję, że dam sobie radę z resztą majątku i potem znajdę zajęcie przy uniwersytecie; lecz byłoby ze mną krucho, gdyby nie znaczna wygrana w karty na książęcym dworze, która mi pozwoliła wygodnie żyć w tym mieście, a następnie - jak to zamierzałem - puścić się w dalszą podróż po Włoszech. Coś nadzwyczajnego, godnego wyjawienia, nie spotykało mnie nigdy w życiu.

Muszę jeszcze nadmienić, że mógłbym bez trudu poprzeć dowodami niewątpliwymi niniejsze opowiadanie szczególny wypadek, który pozbawił mnie mej torby, a z nią paszportu i innych notatek, które mogłyby mi się obecnie przydać.

Sędzia uniósł się widocznie, spojrzał na mnie surowo i zapytał szyderczo, jakiemu to wypadkowi mam do zawdzięczenia niemożność wylegitymowania się tak koniecznego.

- Przed kilku miesiącami wędrowałem przez góry W tym kierunku. Śliczna, wiosenna pora, romantyczna okolica skłoniły mnie, iż podróżowałem pieszo. Pewnego dnia usiadłem znużony w zajeździe pewnej małej wioski; kazałem sobie podać coś do pokrzepienia i wyjąłem z torby kawałek papieru, by odrysować jakiś widoczek. Torba leżała przede mną na stole. Wkrótce potem przygalopował jakiś jeździec, którego dziwne ubranie i dziki wygląd zwróciły moją uwagę. Wszedł do izby, zażądał trunku i mierząc mnie

ponurym, a wystraszonym spojrzeniem, usiadł naprzeciw mnie przy stole. Nie mogłem znieść jego widoku - wyszedłem więc na dwór. Wkrótce potem ujrzałem jeźdźca, jak przegalopował tuż obok mnie, rzucając mi przelotne pożegnanie. Już miałem zamiar iść dalej, gdy przypomniałem sobie torbę, którą zostawiłem w izbie na stole; wróciłem do pokoju i znalazłem ją na dawnym miejscu. Dopiero na drugi dzień, gdym ją otworzył, spostrzegłem, że to nie moja torba, lecz widocznie owego dziwacznego cudzoziemca, który zapewne przez pomyłkę zamienił ją na moją. W środku znajdowały się różne niejasne mi notatki i kilka listów adresowanych do hrabiego Wiktoryna. Pugilares ten wraz z jego zawartością można jeszcze odnaleźć wśród moich rzeczy; w moim własnym, jak już wspomniałem, miałem paszport, plan drogi i, jak sobie to dopiero teraz przypominam metrykę chrztu; wszystko straciłem przez tę przymusową zamianę.

Sędzia kazał sobie opisać owego nieznajomego jeźdźca od stóp do głowy, a ja, oczywiście, nie zaniedbałem złożyć go w najdrobniejszych szczegółach z postaci hrabiego Wiktoryna i z mojej własnej podczas ucieczki z zamku barona F. Z nieskończoną cierpliwością wypytywał mnie sędzia o najdrobniejsze szczegóły tego zdarzenia, a dzięki tym wyczerpującym odpowiedziom tak mi się zaokrąglił w duszy ten sfingowany obraz, że sam w niego uwierzyłem i już mi nie groziło, że popadnę w sprzeczności. Słusznie zresztą uważałem to za szczęśliwy pomysł, że usprawiedliwiając się z posiadania listów pisanych do hrabiego

Wiktoryna, które istotnie jeszcze się znajdowały w pugilaresie, stworzyłem do nich fikcyjną postać, która w przyszłości, stosownie do okoliczności, mogła ujść za hrabiego Wiktoryna lub za zbiegłego Medarda. Przy tym przyszło mi na myśl, że śród papierów Eufemii mogły się znaleźć listy wskazujące na plan Wiktoryna co do owego zjawienia się w zamku w przebraniu mnicha i że to mogło

na nowo bieg całej sprawy zaciemnić i poplątać. Fantazja moja pracowała bez przerwy podczas pytań sędziego i nasuwały mi się coraz to nowe środki zabezpieczenia się przed odkryciem, tak iż zdawałem się być przygotowanym na wszystko. Wobec tego, że już, ogółem biorąc, dostatecznie omówiliśmy moją przeszłość, mniemałem, że sędzia przystąpi do wyjawienia zarzucanej mi zbrodni, lecz tak się nie stało; niespodziewanie zapytał mnie, dlaczego chciałem uciec z więzienia. Zapewniałem go, że zupełnie nie miałem takiego zamiaru. Świadectwo jednak dozorcy więziennego, który mnie złapał przy wspinaniu się na okno, zdawało się mówić przeciwko mnie. Sędzia zagroził mi, że przy drugiej podobnej próbie zostanę przykuty do ściany. Następnie odprowadzono mnie do izby więziennej.

Odebrano mi łóżko i rozesłano na ziemi snopek słomy stół przyśrubowano do podłogi, a krzesło zastąpiono niziutką ławką. Minęły trzy dni bez wzywań i bez śledztwa. Widywałem tylko chmurną twarz starego drągala, który przynosił mi jedzenie, a wieczorem zapalał lampę. Opuściło mnie to dziwne napięcie nerwowe, w którym zdawało mi się, że toczę wesołą walkę na śmierć i życie, z zupełną pewnością zwycięstwa. Popadłem w posępne i ponure rozmyślania, wszystko zdawało mi się obojętnym, nawet obraz Aurelii zatarł się w pamięci. Wkrótce jednak znowu otrząsnął się duch, ale tylko po to, by mu bardziej zaciążył jakiś chorobliwy nastrój i niepokój, jaki budzi samotność i duszne powietrze więzienia. Sen odbiegł mnie. W dziwnych refleksach lampy, chwiejących się ponuro po ścianach i powale, szczerzyły ku mnie zęby jakieś wychudłe oblicza. Zgasiłem lampę, ukryłem twarz w słomie, ale tym ohydniej brzmiało jakieś głuche stękanie i szczęk łańcuchów więziennych, snując się zabójczo przez groźną ciszę nocy. Od czasu do czasu dochodziło mnie jakby śmiertelne rzężenie Eufemii, Wiktoryna.

- Czyż jestem winien waszej zatraty? Czyż nie wy sami, przeklęci, oddaliście się mojej karzącej ręce? - krzyknąłem

głośno. Lecz oto rozległo się długie, głębokie westchnienie śmierci i rozbiło się śród sklepień. W dzikiej rozpaczy zawyłem:

- Tyś to, Hermogenie! Bliską jest zemsta! Już nie ma ratunku!

Była to noc dziewiąta... Leżałem nieprzytomny z przerażenia i wstrętu na zimnej podłodze więzienia. Wtem posłyszałem wyraźnie pod sobą jakieś ciche, miarowe pukanie.

Nadsłuchiwałem. Stuk trwał i trwał... a równocześnie ktoś zaśmiał się przedziwnie spod podłogi! Skoczyłem na równe nogi i runąłem na słomę, ale stuk nie ustał. Śmiało się coś i stękało... W końcu krzyknęło cicho, cichutko, lecz jakby ohydnymi ochrypłym, jąkającym się głosem, zgłoska po zgłosce:

- Me-dar-dzie! Me-dar-dzie!

Strumień lodowy oblał mi członki. Nabrałem odwagi i odchrząknąłem:

- Kto tu! Kto tu jest!?

Śmiech wzmógł się - zaśmiało się głośno, zastękało znów, jękło, zaszemrał stukot i chrypliwe jąkanie:

- Me-dar-dzie! Medardzie!

Podniosłem się z leża:

- Ktokolwiek jesteś, ty, który tu broisz, ukaż mi się przed oczy, bym ujrzał cię - lub przestań, przerwij ten pusty śmiech i to stukanie.

Tak wrzasnąłem w wielką ciemność, lecz tuż spod moich stóp stukało coraz głośniej i jęczało:

- Hi, hi, hi... bra-cisz-ku, bra-cisz-ku... Me..dar..dzie... jam tu... jam tu... o-twórz o-twórz... cho-chodz w la-las w la-las...

I oto brzmiał mi ten głos, dobrze znany - brzmiał ciemno, a mętnie w moim wnętrzu - słyszałem go już gdzieś, lecz inny wówczas był, jak mi się zdało, nie tak złamany i nie jąkał się... Przywidziało mi się z przestrachu, że słyszę swój własny głos. Mimo woli, jakby dla stwierdzenia, czyli tak jest

w istocie, dla próby, dla porównania, począłem jąkać jak echo:

- Me-dar-dzie! Me-dar-dzie!

Ryknęło śmiechem, szyderczo, zajadle i krzyknęło:

- Bra-bra-cisz-ku, bra-cisz-ku, po-pozna-łeś mnie. O-o-twórz, o-o-twórz... cho-chodź w las... w la-las...

- Biedny szaleńcze - odparło coś we mnie głucho i przeraźliwie - biedny szaleńcze, jakże ci otworzę, jakże w las pójdę, w cudowną wiosnę, w dal, co jest poza murami; jakże... gdy jestem, jak ty, zamknięty w dusznym, w ponurym więzieniu, jak ty...

Wtedy zajękło coś w niepocieszonym żalu i coraz ciszej, coraz to niepochwytniej snuł się tajny stuk, aż zmilknął, ścichł zupełnie. Poranek włamywał się w okna. Klucz zazgrzytał w zamku i do izby wszedł dawno nie widziany dozorca więzienny.

- Słyszano - rzekł - tej nocy hałasy w pańskiej celi i głośne rozmowy. Co to ma znaczyć?

- Mam zwyczaj - odparłem spokojnie, z wysiłkiem - mówić i krzyczeć przez sen, a choćbym nawet rozmawiał sam ze sobą głośno, sądzę, że nikt nie może zabronić...

- Prawdopodobnie - odpowiedział dozorca - wiesz pan, że wszelkie usiłowania ucieczki, wszelkie porozumiewanie się ze współwięźniami podlega surowej karze.

Zapewniłem go uroczyście, że nic podobnego nie przyszło mi na myśl.

W kilka godzin potem poprowadzono mnie do sądu karnego. Nie był to już ten sam sędzia, który mnie po raz pierwszy badał, lecz jakiś inny, dość młody mężczyzna i zaraz od pierwszego spojrzenia spostrzegłem, że musi przewyższać tamtego zręcznością i przenikliwym umysłem. Przystąpił ku mnie uprzejmie i wskazał mi grzecznie krzesło.

Usiadłem. Widzę go jeszcze, jakby dzisiaj. Dosyć zniszczony, jak na swój wiek - prawie że łysy, w okularach. W całej postaci widniała jakaś dobroć i dobroduszność i mimo woli wyczułem, że właśnie dlatego z trudnością mu się

oprze każdy niezupełnie zatwardziały zbrodniarz. Pytania swoje rzucał lekko, prawie w tonie pobieżnej rozmowy, lecz tak przemyślane i tak dokładnie postawione, że wymagały ściśle określonych odpowiedzi.

- Przede wszystkim muszę pana zapytać - rzekł na początku - czy wszystko to, co pan tu podał, odpowiada rzeczywistości pańskiego życia, czyli też po dokładniejszej rozwadze nie przypomni pan sobie jakiego szczegółu jeszcze?

- Powiedziałem wszystko, co miałem do powiedzenia o moim prostym życiu.

- Nie miałeś pan nigdy stosunków z duchownymi? - Tak, w Krakowie... Gdańsku... Frauenburgu... Królewcu. W tym ostatnim z księżmi świeckimi: z proboszczami i kapelanami.

- Nie wspomniałeś pan nic przedtem, że pan byłeś we Frauenburgu.

- Nie uważałem za godne wzmianki i krótki to, bo ośmiodniowy pobyt w czasie podróży z Gdańska do Królewca.

- Więc urodziłeś się pan w Kwieciszewie? - pytanie to rzucił sędzia po polsku i to najczystszą polszczyzną i zupełnie biegle. Zmieszałem się na chwilę - skupiłem się jednak natychmiast i rzuciłem się myślami po ratunek do tej odrobiny polszczyzny, której mnie wyuczył w seminarium mój przyjaciel Krzyński, i odpowiedziałem:

- W małej wiosce mojego ojca obok Kwieciszewa. - Jak się nazywa ta wieś?

- Kuziniewo, rodowy nasz majątek.

- Jak na rodowitego Polaka, mówisz pan nieszczególnie po polsku, a raczej, ściśle rzecz biorąc, z niemiecka...

- Od wielu już lat mówię tylko po niemiecku. Nawet w Krakowie obcowałem wiele z Niemcami, którzy chcieli się wyuczyć ode mnie po polsku i być może tedy, że niepostrzeżenie przyswoiłem sobie ich sposób wymawiania - podobnie jak się nabiera prowincjonalizmów, a zapomina zwrotów właściwych.

Sędzia spojrzał mi w oczy; lekki uśmiech przebiegł mu po twarzy i potem zwrócił się do protokolanta i podyktował mu coś szeptem.

Dosłyszałem dokładnie wyrazy: "widoczne zakłopotanie", i chciałem w dalszym ciągu rozwodzić się o swojej złej polszczyźnie, lecz sędzia zapytał:

- Nie byłeś pan nigdy w B.?

- Nigdy.

- Droga z Królewca w te strony mogła prowadzić przez tę miejscowość.

- Szedłem inną drogą.

- Czy nie znałeś pan jakiego mnicha z klasztoru kapucynów w B.?

- Nie!

Sędzia zadzwonił i dał woźnemu ciche polecenie. Wkrótce potem roztwarły się drzwi i jakże zadrżałem ze strachu i z przerażenia, gdy w drzwiach stanął brat Cyryl. Sędzia zapytał mnie:

- Znasz pan tego człowieka?

- Nie!... Nigdy go przedtem nie widziałem!

Wtedy Cyryl wpił we mnie nieruchome oczy, a potem przystąpił bliżej; załamał ręce i krzyknął głośno wybuchając rzęsistymi łzami:

- Medardzie, bracie Medardzie! Na Chrystusa Pana! W jakim to stanie odnajduję cię - pogrążonego w szatańskiej zbrodni! Bracie Medardzie, zastanów się, wyznaj, żałuj... Boskie miłosierdzie jest nieskończone! Sędzia, widocznie niezadowolony z przemowy Cyryla, przerwał mu pytaniem:

- Poznajecie w tym człowieku mnicha Medarda z klasztoru kapucynów?

- Na zbawienie duszy - odpowiedział Cyryl - ten człowiek, chociaż nosi ubranie świeckie, to ów Medard, który pod moim okiem odbył nowicjat w naszym klasztorze i otrzymał święcenia. Lecz Medard miał czerwony znak krzyża na lewej stronie szyi i jeżeli ten człowiek...

- Zrozumiałeś pan - przerwał mu sędzia zwracając się do mnie - że biorą pana za kapucyna Medarda z klasztoru w B. i że właśnie ten Medard stoi pod zarzutem ciężkiej zbrodni. Lecz właśnie to, że tenże Medard ma szczególne znamię na szyi, którego pan, jeżeli mówisz prawdę, mieć nie możesz, daje panu najlepszą sposobność wykazania swej niewinności.

Odsłoń pan szyję.

- Nie potrzeba - odpowiedziałem z zimną krwią. - Zdaje się, że szczególne nieszczęście nadało mi najwierniejsze podobieństwo do owego oskarżonego, zupełnie mi nie znanego mnicha, bo nawet ów czerwony krzyżyk mam na lewej stronie szyi.

Było tak w istocie. Rana, którą mi zadała przypadkiem ksieni swym diamentowym krzyżem, pozostawiła czerwoną bliznę w kształcie krzyża, której czas nie mógł usunąć.

- Odsłoń pan szyję - powtórzył sędzia. Obnażyłem, a Cyryl krzyknął głośno:

- Panno Najświętsza, toć to ów krzyżyk czerwony! Medardzie, ach Medardzie; czyż zupełnie wyrzekłeś się zbawienia?!

Z płaczem, półprzytomny, opadł na krzesło.

- I cóż pan powiesz na twierdzenia tego czcigodnego ojca? - zapytał sędzia.

W tejże chwili przeleciało mnie coś jak błyskawica; wszelka trwożliwość, która już miała mnie zwyciężyć, znikła; ach, był to sam szatan, który mi szeptał: "Cóż ci mogą zrobić? Cóż; mogą zrobić te słabe istoty tobie, mocarzowi ducha? Czyżby Aurelia nie miała być twoją?"

Wybuchłem z prawie dzikim, szyderskim zuchwalstwem:

- Ten tu mnich, leżący bezwładnie na krześle jest tępym, zidiociałym starcem, który w szalonym przewidzeniu bierze mnie za jakiegoś tam zbiegłego ze swego klasztoru, z którym wiąże mnie, być może, jakieś powierzchowne podobieństwo.

Sędzia dotychczas zachowywał się spokojnie, nie zmieniając wyrazu twarzy ni głosu; po raz pierwszy ściągnęła mu się twarz ponuro i powlekła się przeszywającą powagą; powstał i spojrzał mi ostro w oczy. Muszę przyznać, że już samo błyskotanie jego szkieł działało na mnie tak odtrącająco i nieznośnie, że nie mogłem mówić, rozżarty wewnętrzną rozpaczliwą, wściekłością, podnosząc zaciśnięte pięści, krzyknąłem głośno:

- Aurelio!

- Co to? Co znaczy to imię? - spytał sędzia gwałtownie.

- Nieszczęście rzuca mnie śmierci - rzekłem głucho - lecz jestem niewinny, z pewnością... zupełnie niewinny... puśćcie mnie... miejcie litość... czuję, że szał idzie mi przez nerwy, przez krew... puśćcie!

Sędzia, znowu zupełnie spokojnie, dyktował coś długo protokolantowi, w końcu odczytał mi jakiś elaborat, w którym spisane były wszystkie jego pytania, moje odpowiedzi i słowa Cyryla. Musiałem się podpisać, a następnie zażądał sędzia, bym coś napisał po polsku i po niemiecku. Spełniłem rozkaz. Sędzia wziął do ręki papier z pismem niemieckim i podał go ojcu Cyrylowi, który już przyszedł do siebie, z zapytaniem: - Czy charakter tego pisma odpowiada pismu waszego brata Medarda?

- Ależ jak najdokładniej, aż do najmniejszych właściwości - odpowiedział Cyryl i zwrócił się znowu do mnie. Chciał coś mówić, lecz sędzia powstrzymał go spojrzeniem i przejrzawszy uważnie papier zapisany po polsku, powstał, stanął tuż przy mnie, twarzą w twarz, i rzekł poważnym, stanowczym głosem:

- Nie jesteś pan Polakiem. To pismo jest z gruntu złe, pełne gramatycznych i ortograficznych błędów. Żaden rodowity Polak nie pisze tak, choćby nawet miał o wiele mniejsze wykształcenie niż pan.

- Urodziłem się w Kwieciszewie i jestem Polakiem. Lecz przypuśćmy, że nim nie jestem i tylko tajemnicze okoliczności zmuszają mnie do ukrywania nazwiska i stanu,

czyż z tego musi wynikać, że jestem kapucynem Medardem, który, jak przypuszczam, uciekł z klasztoru...

- Ach, bracie Medardzie - przerwał mi Cyryl - czyż nie wysłał cię nasz wielebny przeor Leonard do Rzymu, ufny w twą wierność i pobożność! Bracie Medardzie, na rany Chrystusa, nie zapieraj się bezbożnie świętego stanu, który porzuciłeś!

- Proszę nam nie przerywać - rzekł sędzi - a panu przypominam, że wiarygodne zeznanie tego wielebnego ojca nasuwa konieczne przypuszczenie, że pan istotnie jesteś tym Medardem, za którego pana uważają. Nie będę też ukrywał, że postawię tu więcej osób, które bez cienia wątpliwości poznają w panu owego mnicha.

Śród nich znajduje się jedna, przed którą zadrżysz pan z pewnością, jeżeli przypuszczenia odpowiadają prawdzie. I pomiędzy pańskimi rzeczami znaleziono niejedno, co przemawia przeciw panu. W końcu przyjdą też z Poznania wiadomości o pańskich stosunkach familijnych. Wszystko to mówię panu szczerzej, niż pozwala mój urząd, lecz czynię to, by pana przekonać jak mało liczę na jakąś sztuczkę, starając się nakłonić pana do wyznania prawdy, jeżeliby przypuszczenia miały podstawę. Przygotuj się pan, jak się panu żywnie podoba. Jeżeli pan jesteś rzeczywiście owym oskarżonym Medardem, proszę mi wierzyć, że wzrok sędziego przeniknie najgrubsze obsłony; poznasz pan wtedy sam najdokładniej, o jakiej zbrodni mówi podejrzenie. Gdybyś pan jednak był naprawdę tym Leonardem Krzyńskim, za którego się pan podajesz, i tylko igraszka przyrody uczyniła pana podobnym, nawet w szczególnych znakach, do owego Medarda, znajdziesz pan łatwo możność wyświetlenia prawdy.

Zdaje mi się, ze kieruje panem jakaś egzaltacja - i dlatego przerywam na razie dalsze postępowanie; mam nadzieję, ze da to panu sposobność do głębszych rozmyślań; po tym, co dzisiaj zaszło, nie powinno panu zabraknąć materiału...

- Uważasz pan więc moje zeznanie za zupełnie fałszywe? Widzisz pan we mnie zbiegłego mnicha Medarda? - spytałem.

- Adieu, panie Krzyński - odpowiedział sędzia z lekkim ukłonem i odprowadzono mnie z powrotem do więzienia. Słowa sędziego przeszyły mnie jak rozpalone żelazo. Wszystko, co powiedziałem, wydało mi się płytkim i niesmacznym. Że osobą, przed którą miałem być postawiony i której miałem się szczególnie lękać, to Aurelia, było mi zupełnie jasnym. Jakżeż to zniosę! Zadumałem się, co mogło być podejrzanym śród moich rzeczy, i ze ściśniętym sercem przypomniałem sobie, ze z czasów pobytu na zamku barona von F. pozostał mi pierścień z imieniem Eufemii i że skórzana torba Wiktoryna, zabrana w ucieczce, była przewiązana powrozem kapucyńskim! Uważałem się za zgubionego. W zwątpieniu biegałem po więzieniu.

Nagle jakby zaszeleściło mi coś do ucha: “Głupcze, czemu rozpaczasz? Czy nie pamiętasz o Wiktorynie?" Krzyknąłem głośno: - Ha! Jeszcze nie przegrałem zwycięstwa!

Burzyło się i wrzało mi w duszy. Już przedtem myślałem o tym, ze wśród papierów Eufemii musiało się coś znaleźć, co by wskazywało na pojawienie się Wiktoryna na zamku w przebraniu mnicha. Licząc na to postanowiłem w jakikolwiek sposób zmyślić spotkanie swoje z Wiktorynem, a nawet z samym Medardem, za którego mnie brano. Chodziło więc o to, by ową awanturę na zamku, skończoną tak tragicznie, opowiedzieć jako rzecz znaną ze słyszenia, i siebie samego, przede wszystkim zaś podobieństwo moje do tych dwóch, wmieszać zręcznie, a nieszkodliwie w intrygę. Każdy szczegół musiał być gruntownie przemyślany. Postanowiłem więc napisać romans, który miał mnie uratować. Zażądałem przyborów do pisania, nadmieniając, ze chcę piśmiennie opowiedzieć niejedną zamilczaną okoliczność z przeszłości.

Pracowałem z natężeniem aż do późnej nocy; rozgrzewała mnie fantazja; wszystko składało się w zaokrągloną całość

poematu i coraz to wspanialej snuła się przędza nieskończonych kłamstw, którymi miałem nadzieję przesłonić sędziemu prawdę.

Zegar zamkowy wydzwonił dwunastą, gdy znowu dał się słyszeć cichy, oddalony stuk, ten sam stuk, słyszany wczoraj. Chciałem nie zwracać uwagi, lecz coraz głośniej biły odmierzone razy kołatki i raz po raz począł rozlegać się śmiech i wzdychanie. Uderzając pięścią w stół wrzasnąłem:

- Cicho tam na dole! - a uczyniłem to dla odpędzenia grozy, co mnie opadła znienacka. Ale natychmiast rozbił się pod sklepieniem śmiech ostry i przenikliwy i coś zająkało:

- Bra-bra-ciszku... braciszku... do-do-cie-bie... do-do gó-ry!... o-o-twórz... o-o-twórz!

Tuż pode mną w podłodze poczęło coś skrobać łoskotać i drapać śród rosnącego śmiechu i jęczenia. Silniej, coraz to silniej snuło się tarcie i chrzęst i szelesty, a śród tego głucho jęczące uderzenia, jakby turkot ciężkich spadających mas. Powstałem z lamp w ręku.

Wtedy poruszyła mi się pod nogami posadzka. Zrobiłem krok i ujrzałem, jak w miejscu, gdzie stałem, pękł kamień posadzki. Porwałem go i wyważyłem bez trudu. Ponury blask wdarł się przez otwór; nagie ramię z połyskującym nożem w ręku wyciągnęło się ku mnie. Dreszcz grozy odtrącił mnie wstecz. Tam z dołu wyjąkał czyjś głos:

- Bra-cisz-ku... bra-cisz-ku! Me-me-dard... jest... tu! W górę! We-weź... tam... tam... w la-las, tam... w las!...

Szybko pomyślałem o ucieczce i o ratunku. Zbywszy się wszelkiej grozy schwyciłem za nóż, który chętnie puściła dłoń - i począłem skrzętnie wyłamywać zaprawę spomiędzy kamieni podłogi. Ten tam z dołu naciskał potężnie ku górze. Już kilka głazów padło precz i legło na boku, gdy z otworu wynurzył się nagle aż po biodra jakiś nagi człowiek i wpił we mnie nieruchome, upiorne oczy, wybuchając szyderczo przeraźliwym śmiechem obłędu.

Pełne światło lampy padło mu na twarz - ujrzałem siebie samego i padłem bez zmysłów.

Dotkliwy ból w ramionach zbudził mnie z głębokiego omdlenia. Jasno było dokoła.

Dozorca więzienny stał przede mną z oślepiającym światłem; szczęk łańcuchów i uderzenia młota brzmiały pod sklepieniem. Zakuwano mnie w kajdany. Prócz oków na ręce i nogi otoczono mnie w pasie żelazną obręczą przytwierdzoną łańcuchem do ściany.

- No, teraz to już kwita z nożami. Odechce się panu uciekania - rzekł dozorca.

- A cóż takiego zrobiło to chłopisko ? - zapytał kowal.

- Ejże, Józefie, nic o tym nie wiecie? - odparł dozorca. - Wróble już śpiewają o tym na dachu.

Zamordował troje, przeklęty kapucyn. Już wykryto, złapano. Za kilka dni czeka nas wielka gala i pójdą koła w ruch...

Nie słyszałem słów dalszych, bo na nowo straciłem przytomność.

Z wielkim trudem podniosłem się z omdlenia. Ciemność panowała dokoła. W końcu nadeszło i światło; kilka wyblakłych promieni wsunęło się przez okno do wnętrza niskiego, zaledwie sześć stóp wysokiego sklepu, do którego, jak to spostrzegłem ku wielkiemu przerażeniu, przerzucono mnie z dotychczasowego więzienia. Pragnienie dręczyło mnie.

Schwyciłem za dzban z wodą, stojący w pobliżu. Coś mokrego i zimnego przemknęło mi się po ręce; to z wnętrza naczynia wyskoczyła obrzękła, przebrzydła ropucha. Pełen obrzydzeniu i wstrętu odrzuciłem dzbanek. - Aurelio! - jęknąłem w poczuciu bezimiennej nędzy, co roztoczyła się nade mną dławiąca. I na cóż te nędzne wykręty i kłamstwa przed sądem? Na cóż te zbrodnicze sztuczki szatańskiego obłudnika? Czy na to, by przedłużyć o kilka godzin to marne, rozdarte życie? Czegóż ty pragniesz? Posiadać Aurelię? Lecz ona tylko przez niesłychaną zbrodnię mogłaby być twoją.

Choćbyś oszukał świat cały i obmył się z winy, jej nie oszukasz:. Pozna cię wszędzie; zbrodniczego mordercę brata i odtrąci cię ze wstrętem.

Nędzny, bezmózgi błaźnie, cóż ci przyjdzie z tych górnolotnych planów, z tej wiary w moc swoją nadziemską, którą zdajesz się kierować dowolnie losem. Nie zdusisz robaka, co wżarł ci się w serce i żre na śmierć twą krew! Zginiesz haniebnie, przepadniesz w beznadziejnym lamencie, choćbyś uniknął ręki sprawiedliwości.

Tak krzycząc głośno rzuciłem się na słomą i uderzyłem piersiami w jakiś twardy przedmiot, ukryty w kieszeni. Sięgnąłem ręką i wyciągnąłem mały nóż. Nie miałem przy sobie żadnego noża przez cały czas więzienia. Musiał to być ten sam, który mi podał był mój upiorny sobowtór. Podniosłem się z trudem i zbliżyłem ostrze do silnie włamującego się promienia światła. Ujrzałem srebrną błyszczącą rękojeść. O niezbadane przeznaczenie! Był to ten sam nóż, którym zabiłem Hermogena. Zapodział mi się przed kilku tygodniami i oto teraz zabłysnął mi nagle w sercu wspaniałym światłem pociechy i wybawienia od hańby. Niepojęty sposób, w jaki go otrzymałem, był znakiem danym mi przez moc odwieczną, mówiącym, jak mam odpokutować za zbrodnie, jak śmiercią przebłagać Aurelię.

Rozpłonął we mnie; rozpłonął bosko płomień przeczystej miłości ku Aurelii, płosząc zmysłowe żądze w mroki zapomnienia. Zdawało mi się, iż widzę ją, jak wówczas przy konfesjonale, w cieniach kościelnej nawy: "tak, kocham cię, Medardzie... Lecz nie zrozumiałeś mnie,.. Moja miłość to śmierć". Taką piosenką przeszłości owionął mnie głos Aurelii i powiedziałem sobie boleśnie, że wyznam sędziemu dziwne dzieje swych obłąkań i pójdę na śmierć...

Wszedł dozorca i przyniósł mi posiłek, lepszy niż zazwyczaj, i flaszkę wina.

- Z rozkazu księcia - rzekł, nakrywając stół przyniesiony przez pachołka, i roztworzył łańcuch, przykuwający mnie do muru. Prosiłem go, by oświadczył sędziemu, że pragnę być

przesłuchany, bo mam wyznać wiele, co cięży mi na sercu. Poszedł wypełnić polecenie.

Tymczasem czekałem na próżno, by mnie prowadzono na śledztwo. Już nikt się nie pokazał. Dopiero wieczorem wszedł parobek i zapalił lampę u sklepienia. Uciszyło się serce moje, lecz czułem się wyczerpany, skłonny do snu głębokiego. Zasnąłem. I oto powiedli mnie w długą, ponurą salę, przed czarny kler w sutannach, przed czarny rząd, co siadł u ścian pod rzędem wysokich oparć. Tam siedział sędzia, przy stole nakrytym krwawą kapą, a obok niego dominikanin w habicie.

- Oddano cię - rzekł sędzia uroczystym głosem - sądowi duchownemu, bo zaparłeś się stanu i nazwiska, zbrodniczy mnichu, Franciszku, zwany imieniem klasztornym Medarda, mów, co uczyniłeś?

Chciałem otwarcie wyznać wszystkie zbrodnie i grzechy żywota, lecz, o zgrozo, wszystko, co mówiłem, nie było tym, co myślałem i co chciałem wyznać. Zamiast powagi i pełnego skruchy wyznania gubiłem się w niepowiązanych w rozumną całość mowach. Wtedy dominikanin, powstając niby słup olbrzymi, krzyknął przeszywając mnie palącym wzrokiem:

- Na tortury, mnichu uparty i skryty!

Czarne postacie u ścian podniosły się i wyciągając ku mnie długie ramiona wrzasnęły chrypliwie w ponurej zgodzie głosów:

- Na tortury z nim!

Wyciągnąłem nóż i chciałem się przebić, lecz ręka mimo woli skoczyła ku górze i trafiłem się w szyję; na znaku krzyża rozprysła się klinga jak szklana i nie zraniłem się.

Pochwyciły mnie katy - rozkuły i strąciły w podziemne sklepienie. Dominikanin i sędzia zeszli ze mną. Raz jeszcze wezwali mnie do wyznania prawdy. Raz jeszcze robiłem wysiłki, lecz szalona niezgoda rozszczepiła mi głos i myśli. Skruszony aż do głębi, złamany ciężarem hańby, wyznałem w sercu wszystko. Niesmacznie, zawile, bezmyślnie brzmiało

wszystko, com wyrzekł ustami. Na skinienie dominikanina obnażono mnie i skrępowano mi ręce na plecach. Winda dźwignęła mnie w górę i zatrzeszczały mi rozciągane stawy. Czułem, że pękną za chwilę. W piekielnym, potępieńczym bólu wrzasnąłem i - zbudziłem się ze snu. Ból rąk i nóg trwał dalej - skutki długiego noszenia łańcuchów- lecz prócz tego czułem jeszcze jakiś ucisk na oczach, których nie mogłem otworzyć. W końcu stoczył się z czoła i z oczu ten potworny ciężar i wyprostowałem się szybko. Tuż nad mym leżem stał dominikanin.

Sen stał się życiem: lód ściekał mi żyłami. Nieruchomo jak posąg, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, stał mnich i wpatrywał się we mnie zapadłymi, czarnymi oczami.

Poznałem starego malarza i padłem wpółprzytomny na słomę. - Może to tylko złudzenie zmysłów wzburzonych snem? Nabrałem odwagi i powstałem znowu. Nieruchomo, jak posąg stał mnich i wpijał we mnie zapadłe, czarne oczy. Krzyknąłem w szaleńczym zwątpieniu:

- Precz, precz, potworny człecze-szatanie! Przyszedłeś mnie zgubić - precz, przeklęty, precz!

- Biedaku, nie jestem tym, który cię bierze w spiżowe więzy zatraty i hańby... Nie jestem nim... Medardzie, zaślepieńcze! Groźny i przerażający stanąłem był przed tobą ongi, gdyś igrał nad otwartym grobem wiecznego potępienia. Chciałem cię ostrzec, lecz nie zrozumiałeś... Powstań i zbliż się!

Mówił to wszystko posępnie, głosem krającej serce, przepaścistej skargi. Mówił, a oczy, tak mi niegdyś straszne, lśniły łagodnie litością bez granic. Twarz jego była twarzą dobrej ciszy. Niewypowiedziany żal nurtował mi serce. Straszliwy malarz stał przede mną jako wysłannik wieczystej potęgi, by mnie poprawić i dać pocieszenie w bezbrzeżnej niedoli.

Podniosłem się i postąpiłem bliżej. Dotknąłem jego szaty: nie był to majak. Mimo woli klęknąłem. Złożył rękę na mej głowie, jakby błogosławiąc. I zaroiły mi się przebarwną tęczą

wspaniałe obrazy. Ach, byłem w świętym lesie - tak, na tymże miejscu, gdzie mi ów z cudzoziemska przybrany pielgrzym przywiódł cudownego chłopca. Czasy dziecięctwa!

Chciałem iść, wejść do kościoła widzianego tuż, tuż w pobliżu; tam to miałem w pokucie i żałości otrzymać rozgrzeszenie z ciężkiej zbrodni. Lecz stałem bez ruchu, nie mogąc przejrzeć ni ująć własnego "ja".

- Myśl jest czynem - przemówił głos jakiś stłumiony i grobowy. Sny rozwiały się. Przede mną stał malarz. On to wymówił te słowa.

- Niepojęta istoto - szepnąłem - tyżeś to był w kościele w onym dniu nieszczęsnym?

- Ja, ale przestań... - rzekł posępnie malarz. - Stałem ci ja, stałem zawsze blisko ciebie...

Chciałem cię ratować od hańby i zatraty, ale twe serce nie chciało, nie chciało. A dzieło...

Synu, czeka dzieło, do którego jesteś wybrany... Musisz je spełnić dla zbawienia duszy.

- Ach! - krzyknąłem w zwątpieniu - czemużeś w dniu owym nie wstrzymał mej ręki; czemużeś nie wstrzymał, gdym tego młodzieńca...

- Nie było mi danym - odpowiedział malarz - nie pytaj więcej... Zuchwalstwem jest wyprzedzać wyroki opatrzności. Medardzie! Jutro zbliżysz się do celu... jutro się zbliżysz do swojego celu...

Zadrżałem w lodowym dreszczu. Zdawało mi się, że rozumiem malarza: przewidział i pochwalał samobójstwo. Och! Cichym, chwiejnym krokiem skierował się zwolna ku drzwiom więziennym. Serce mi się rwało:

- Kiedyż cię ujrzę znowu?

- U celu! - krzyknął, raz jeszcze zwracając się ku mnie, uroczyście, a z mocą, aż zajęczało sklepienie. - A więc jutro? - jęknąłem zdławionym szeptem. Cicho przekręciły się drzwi na zawiasach... Zniknął... Skoro świt zjawił się dozorca więzienia z pachołkami, którzy mi zdjęli okowy z

poranionych rąk i nóg. Miałem natychmiast być poprowadzonym na przesłuchanie.

Głęboko zatopiony w sobie, oswojony z myślą o bliskiej śmierci, szedłem do sali sądowej.

Wyznanie swoje tak uporządkowałem, że miałem podać sędziemu krótkie, lecz najmniejszy nawet szczegół obejmujące opowiadanie. Szybko zbliżył się ku mnie sędzia. Musiałem być niesłychanie zmieniony, bo uśmiech wesoły, igrający mu na twarzy, zmienił się nagle w wyraz najgłębszego współczucia. Ujął mnie za obie ręce i pociągnął łagodnie ku krzesłu.

Potem, utkwiwszy we mnie oczy, rzekł powoli i uroczyście:

- Panie Krzyński! Muszę panu oznajmić wesołą wiadomość: jesteś pan wolny. Dochodzenie przerwano na rozkaz księcia. Wzięto pana za inną osobę, w czym winne pańskie zupełne, wprost nie do wiary bezwzględne podobieństwo do danej osoby.

Jasno, zupełnie jasno okazała się pańska niewinność!... Jesteś pan wolny!...

Zaszumiało mi w głowie; świat cały zawirował mi w oczach. Postać sędziego błysła mi przez ponurą mgłę, stokrotnie powtórzona, i wszystko zapadło w grubej ciemności.

Czułem w końcu, że mi pocierano skronie jakimś mocnym płynem i budzono mnie z nieprzytomności, w którą popadłem. Sędzia odczytał krótki protokół, w którym zaznaczono, że mi już obwieścił przerwanie procesu i zarządził uwolnienie mnie z więzienia. Podpisałem w milczeniu, nie władając mową.

Uczucie, którego nie da się opisać, pełne niszczącej siły, rugowało z serca wszelki poryw radości.

Gdy sędzia spojrzał mi w oczy z serdeczną a ciepłą dobrocią, gdy mnie tak uznano niewinnym i puszczono na wolność, uczułem, że muszę wyznać otwarcie wszelką ohydną zbrodnię, spełnioną nikczemnie, a potem nóż w

serce... Chciałem mówić, sędzia zdawał się czekać, bym już odszedł.

Podszedłem ku drzwiom, on postąpił za mną i rzekł cicho:

- W tej chwili przestałem być sędzią, od pierwszego spojrzenia zainteresowałem się panem bardzo. Choć pozór - a przyznasz pan to sam - świadczył niezbicie przeciw panu, pragnąłem jednak gorąco, abyś pan nie był istotnie tym wstrętnym, zbrodniczym mnichem, za którego pana uważano. Teraz jednak mogę panu powiedzieć w tajemnicy: pan nie jesteś Polakiem; nie urodziłeś się pan w Kwieciszewie, pan nie nazywasz się Leonard Krzyński.

- Nie! - odpowiedziałem spokojnie, a z wysiłkiem.

- I nie duchowny? - zapytał sędzia spuszczając oczy, prawdopodobnie dla zaoszczędzenia mi spojrzenia inkwizytora.

Zawołałem:

- Przestań pan...

- Cicho! - przerwał mi sędzia - potwierdza się, com przypuszczał zaraz od początku i dotąd przypuszczam. Widzę, że działają tu zagadkowe sprężyny i że pan jesteś wplątany w tajemniczą grę losu razem z pewnymi osobami dworu. Nie do mnie już należy dochodzić głębiej prawdy i miałbym to sobie za ujmę i żart nieprzystojny dobierać się do tajemnic osoby pańskiej i chwytać za nici jego przedziwnego życia! Dam tylko radę: opuść pan to miejsce, gdzie tyle niebezpieczeństw kłóciło twój spokój. Po tym, co się stało, nie może panu być miłym dalszy pobyt w tym mieście!

Jeszcze nie skończył mówić, a zdało mi się, że wszystkie ponure cienie, co omotały mnie były boleśnie, uleciały pośpiesznie. Życie wracało, żądza życia prężyła się w nerwach i kołatała pulsami w tętnicach. Aurelia! O niej to pomyślałem znowu. Opuścić ją?! Iść precz?!

- I ją opuścić?.. - westchnąłem głęboko.

Sędzia spojrzał z najwyższym zdumieniem i rzekł pospiesznie:

- Ach, teraz już widzę... Daj Boże, panie Leonardzie, by złe przeczucie, jakie mnie zdjęło w tej chwili, nie spełniło się nigdy!

Nagle zaszła we mnie zupełna zmiana. Uleciała skrucha i z prawie łajdacką zuchwałością spytałem sędziego, maskując się szyderczym spokojem:

- A jednak uważasz mnie pan za winnego.

- Pozwól pan - odpowiedział sędzia - że osobiste przekonanie, oparte na żywym wyczuciu, zachowam dla samego siebie. Wykazano w sposób niezaprzeczony, że pan nie możesz być mnichem Medardem, bo właśnie ten Medard tu się znajduje i został poznany przez ojca Cyryla, złudzonego przedtem pańskim nadzwyczajnym podobieństwem do tego zbrodniarza; sam zresztą zupełnie nie przeczy, że jest tym kapucynem. Stało się więc wszystko, co stać się mogło, by pana oczyścić z wszelkich podejrzeń, tym więcej tedy muszę wierzyć, że nie dźwigasz pan winy...

Woźny sądowy odwołał sędziego i tak przerwała się rozmowa właśnie w chwili, gdy poczynała być dręczącą.

Udałem się do swego mieszkania i znalazłem wszystko, jak pozostawiłem. Papiery moje opieczętowane w paczce leżały na biurku, zapodział się tylko pugilares Wiktoryna, pierścionek Eufemii i sznurek kapucyński. Słusznymi więc były moje przypuszczenia w więzieniu. Wkrótce zjawił się lokaj książęcy i wręczył mi wraz z biletem księcia złotą, kosztownymi kamieniami wykładaną puszkę.

Wystrychnięto pana na dudka, panie Krzyński - pisał książę -lecz proszę nie winić ni mnie, ni mojego sądu. Jesteś pan niesłychanie podobny do pewnego zbrodniarza. Na szczęście pańskie wszystko się wyjaśniło.

Przesyłam panu znak życzliwości i spodziewam się, że ujrzę go wkrótce...

Łaska książęca była mi równie obojętna, jak jego podarek; ponury smutek trawił mi zabójczo ducha, naszedł mnie, jako następstwo długich mąk więzienia; czułem, że ciało

wymaga wzmocnienia, i chętnym wzrokiem powitałem lekarza, gdy przyszedł.

- Czyż to nie dziwne - rzekł ukończywszy badanie - że właśnie w chwili gdy uwierzono, że pan jesteś tym ohydnym mnichem, który wyrządził tyle złego w familii barona F., ten mnich jawi się rzeczywiście, w swej własnej osobie i ratuje pana z podejrzeń...

- Zapewniam pana, że nie wiem nic o bliższych okolicznościach, które wpłynęły na moje uwolnienie; tylko ogólnikowo objaśnił mnie sędzia, że kapucyn Medard, którego ścigano i za którego mnie wzięto, tu się znajduje...

- Nie znalazł się bynajmniej, lecz został tu dostawiony w więzach, na wozie, i to, rzecz dziwna, w tym samym czasie, gdy tu przybyłeś. Właśnie przypominam sobie, żem zaczął raz panu opowiadać dziwną historię, która się kiedyś zdarzyła na naszym dworze; przerwałem właśnie w miejscu, gdym doszedł do owego wrażego Medarda, syna Francesca, i do jego piekielnej zbrodni na zamku barona von F. Nawiązuję znowu nić opowiadania tam, gdzie przerwałem. Siostrę naszej księżnej, jak panu wiadomo, przeorysza klasztoru cystersek w B., przyjęła raz życzliwie biedną kobietę z dzieckiem, powracającą z pielgrzymki, ze Świętej Lipki.

- Kobieta była wdową po Francescu, a dziecko Medardem...

- Istotnie, lecz skąd pan możesz wiedzieć o tym?

- W przedziwny sposób poznałem tajemnicze losy kapucyna Medarda. Aż do chwili jego ucieczki z zamku barona von F. znam najdokładniej wszystko, co go dotyczy...

- A jak? Skąd?

- Żywy sen przedstawił mi wszystko.

- Żartujesz pan...

- Bynajmniej. Było istotnie tak, jak gdybym śniąc usłyszał historię tego nieszczęśliwca, co rzucany tu i tam; jak piłka w

rękach ciemnych potęg, leciał na oślep od zbrodni do zbrodni.

Po drodze w wasze strony zabłądził mój woźnica w borze. Przybyłem do leśniczówki i tam...

- Ha, rozumiem wszystko: tam spotkałeś pan mnicha...

- Tak, lecz był obłąkany ...

- Obecnie już nie wygląda na wariata. Czyżby już wtedy miał jaśniejsze chwile i zwierzył się panu ze wszystkiego?

- Niezupełnie. W nocy wszedł, nie wiedząc nic o moim przybyciu, do mojego pokoju. Przeraził się człowieka tak bezprzykładnie podobnego. Wziął mnie za swego sobowtóra, którego zjawienie zapowiada mu śmierć. Począł się jąkać, wykrztusił wyznania, gdy wtem zmógł mnie sen i zamknąłem oczy, znużony podróżą. Zdawało mi się, że mnich mówi dalej spokojnie, z zimną krwią, i nie wiem dziś zaiste, gdzie kończy się rzeczywistość, a gdzie poczyna sen... Zdaje mi się tylko, że mnich twierdził, że to nie on zabił Eufemię i Hermogena, lecz że mordercą tych dwojga był hrabia Wiktoryn.

- Szczególna, nadzwyczajna rzecz! Dlaczegożeś pan zamilczał o tym przed sędzią?

- Jakżeż mogłem spodziewać się, że sędzia przyłoży jakąś wagę do opowiadania, które brzmi tak awanturniczo. Czyż w ogóle oświecony sąd może się liczyć z cudzoziemcami?

- Przynajmniej mógłbyś pan był od razu przypuścić, że biorą pana za szalonego mnicha i opisać zbrodniarza, jako kapucyna Medarda.

- Istotnie, i to zwłaszcza wtedy, gdy jakiś stary, zidiociały starzec - zowie się Cyryl - uwziął się koniecznie brać mnie za braciszka. Nie wpadło mi na myśl, że ten szalony mnich to właśnie Medard i że zbrodnia, którą mi wyznał, jest właśnie przedmiotem mojego procesu.

Lecz, jak to wiem od leśniczego, nie wyjawił on nigdy swojego imienia, jakże więc je odkryto?

- W najprostszy sposób. Jak panu wiadomo, przebywał jakiś czas u leśniczego i zdawał się zdrowszym, gdy znowu

napadł go taki szał niebezpieczny, że leśniczy ujrzał się zmuszonym przywieźć go tu i oddać do zakładu dla obłąkanych. Tam siedział on dzień i noc z nieruchomym wzrokiem, bez ruchu, jak posąg. Nie mówił ni słowa i musiał być karmiony, bo nie poruszał rękami. Starano się wyrwać go z tej martwoty, lecz wszystkie środki spełzły na niczym; ostrzejszych nie można było stosować bez narażenia się na nowe dzikie ataki szaleństwa. Ale co się dzieje. Przed kilku dniami przybywa do miasta najstarszy syn leśniczego i udaje się do zakładu dla obłąkanych, by odwiedzić mnicha. Wzruszony do żywego beznadziejnym stanem nieszczęśliwca opuszcza zakład właśnie w chwili, gdy przechodził brat Cyryl z klasztoru kapucynów w B. Zwraca się do niego i prosi, by raczył odwiedzić chorego, zamkniętego w szpitalu brata, bo może rozmowa z duchownym tej samej reguły ulży mu nieco. Gdy Cyryl ujrzał mnicha, odskoczył wstecz przerażony "Jezus Maria!

Medardzie! Nieszczęśliwy Medardzie" - krzyknął Cyryl, a w tejże chwili ożywiły się martwe oczy mnicha. Powstał i z głuchym krzykiem runął bezsilnie na ziemię. Cyryl wraz z pozostałymi świadkami zajścia śpieszy do przewodniczącego sądu karnego i donosi o wszystkim.

Sędzia, który prowadził dochodzenia przeciw panu, udaje się z Cyrylem do zakładu dla obłąkanych; znajduje mnicha osłabionego, lecz zupełnie wyzwolonego z obłędu.

Wyznaje, że jest mnichem Medardem z klasztoru kapucynów w B. Cyryl ze swej strony zapewnia, że pomylił się przedtem co do pańskiej osoby, złudzony nadzwyczajnym podobieństwem.

Teraz dopiero spostrzegł, o ile pan Leonard w mowie, spojrzeniu, chodzie i postawie różni się od mnicha Medarda, którego ma przed sobą. Znaleziono też ów czerwony krzyżyk na lewej stronie szyi, który narobił tyle hałasu podczas pańskiego procesu. Następnie wypytano mnicha o zajściu na zamku barona von F. "Jestem ohydnym, piekielnym zbrodniarzem - rzekł głosem słabym, ledwie

dosłyszalnym. - Żałuję za winy. Ach, sam zaprzepaściłem własne «ja», własną duszę nieśmiertelną, miejcie litość, dajcie mi czas, a wyznam wam wszystko."

Książę, powiadomiony o tym, rozkazał zawiesić proces przeciw panu i wypuścić pana z więzienia.

Oto jest historia pańskiego uwolnienia. Mnicha odstawiono do kryminału.

- Więc wyznał wszystko? Zamordował Eufemię i Hermogena? A cóż hrabia Wiktoryn?

- O ile wiem, właściwy proces karny przeciw mnichowi rozpocznie się dopiero dzisiaj. Co się jednak tyczy hrabiego Wiktoryna, to zdaje się, że wszystko, co stoi w jakimkolwiek związku z owymi wydarzeniami na naszym dworze, pozostać będzie musiało ciemnym i nie wyjaśnionym.

- W istocie, nie rozumiem, w czym wiążą się owe zdarzenia na zamku barona von F. z katastrofą waszego dworu?

- Właściwie miałem na myśli osoby działające, a nie zdarzenia.

- Nie rozumiem.

- Czy przypominasz pan sobie dokładnie moje opowiadanie o katastrofie owej, która spowodowała śmierć księcia?

- W zupełności.

- Czyż nie było to dla pana zupełnie jasnym, ż Francesco zbrodniczo kochał Włoszkę, że on to był tym, który wśliznął się przed księciem do komnaty małżeńskiej i przebił księcia?

Wiktoryn jest owocem tego zbrodniczego gwałtu. On i Medard są synami jednego ojca. Bez śladu zniknął Wiktoryn i wszelkie poszukiwania pozostały bez skutku.

- Mnich wtrącił go w "diablą przepaść". Przekleństwo szalonemu mordercy brata!

Zaledwie wyrzekłem te słowa, ozwało się cicho, cichutko owo stukanie upiornego potwora z więzienia. Daremnie starałem się pokonać grozę. Lekarz zdawał się nie spostrzegać stukania ani mej walki wewnętrznej. Pytał dalej:

- Jak to, czyż wyznał panu ten mnich, że i Wiktoryn zginął z jego ręki?

- Tak!... Przynajmniej wnioskuję z jego urywanych wynurzeń, że istotnie tak się rzecz miała, skoro zestawię wszystko z istotnym zniknięciem Wiktoryna. Przekleństwo szalonemu, mordercy brata!

Zastukało silniej, zastękało, zajęczało i dziki śmiech gwizdnął przez pokój z wołaniem: "Medardzie, Medardzie... na-na pomoc..." - Lekarz nie spostrzegając nic, ciągnął dalej:

- Szczególna tajemnica okrywa urodzenie Francesca. Najprawdopodobniej jest spokrewniony z książęcym domem. To tylko pewna, że Eufemia jest córką...

Potężny cios wyważył zawiasy z piekielnym łoskotem odskoczyły drzwi i wdarł się w izbę głośny śmiech.

- Ho, ho, ho... ho, braciszku - wrzasnąłem obłędnie - ho, ho, chyżo, chyżo... chodź w bój... puchacz obchodzi weselną noc... chodźmy na dach... pod wieżę, wzwyż,.. strącać się będziem spod szczytu w dół - kto kogo strąci, ten będzie król - dostanie krwi!

Lekarz chwycił mię w ramiona i krzyknął:

- Co to, co to ma znaczyć?! Pan jesteś chory, niebezpiecznie chory. Dalej, do łóżka...

Lecz ja zaparłem spojrzeniem drzwi, czekając przyjścia swego sobowtóra; lecz nie wypatrzyłem nic w przestrzeni próżnej i wydarłem się wkrótce odrazie, co wpiła się we mnie dzikimi szponami lodu. Lekarz stwierdził, że jestem bardziej chory, niż myślę, i spędził wszystko na więzienie i na wzruszenia męczącego procesu. Zażyłem lekarstwo, przepisane przez niego, lecz skuteczniej niż jego sztuka pomogło mi to jedno, że stukanie nie powracało już więcej, a potworny sobowtór opuścił mnie nareszcie.

***

Pewnego poranku wiosennego słońce zaglądało do mego pokoju; słodki zapach kwiatów płynął przez okno do

wnętrza; niezmierna tęsknota rwała mnie w dal pachnącą; nie bacząc na zakaz doktora wybiegłem do parku. Wydartego śmiertelnej chorobie, witały mnie drzewa i zarośla, szeleszcząc i szepcząc... Odetchnąłem, jakby zbudzony z długiego, ciężkiego snu, i głębokie westchnienia popłynęły mi z piersi niewypowiedzianą powieścią zachwytu, którą tchnąłem w śpiew ptaków, w wesoły brzęk i szelest owadów. Tak, ciężkim snem zdawała mi się nie tylko najświeższa przeszłość, lecz i całe moje życie od czasu opuszczenia klasztoru, gdym stanął na ścieżce ocienionej konarami ciemnych jaworów. Byłem w ogrodzie kapucynów w B. Z dalekich zarośli wyglądał wysoki krzyż, u stóp którego nieraz modliłem się kornie, a gorąco o siłę przeciw natrętnej pokusie. Krzyż ten wydawał mi się celem, do którego mam dążyć, by runąć w proch, żałować, odpokutować zbrodnię grzesznych snów, co pochodziły od szatana... I szedłem z załamanymi, w górę wzniesionymi rękami, ze wzrokiem utkwionym w mękę Zbawiciela. Coraz to silniej przeciągał prąd powietrza, niby hymny braci klasztornych, ale to tylko hałasował dziwnymi dźwiękami las, poruszany wichrem, co igrał śród drzew poszumnych i tamował mi oddech; musiałem stanąć i oprzeć się o pobliski pień drzewa, aby nie upaść. Lecz tam, do krzyża, ciągnęła mnie moc nieprzeparta; wytężałem resztkę sił i kroczyłem chwiejnie naprzód... Ach, doszedłem, lecz tylko do progu porosłego mchem, tuż przed zarośla... Zmogła mnie śmiertelna słabość; niby bezsilny starzec osunąłem się na podłoże i oddałem się głuchym jękom, czekając od nich ulgi. Coś zaszeleściło na ścieżce... Aurelia! Ledwiem rozbłysnął tą myślą, gdy stanęła tuż przy mnie! Łzy gorejącego żalu popłynęły z niebiańskich oczu; przez łzy świecił palący płomień; był to nieopisany wyraz najgorętszej tęsknoty, był, choć obco mu było w tych anielskich powiekach. Tak właśnie przy konfesjonale płonął miłosny wzrok tej tajemniczej istoty, który tak często oglądałem we śnie.

- Czy przebaczy mi pan kiedy - wyszeptała Aurelia. Upadłem jej do nóg w bezimiennym zachwycie i porwany obłędem ująłem jej ręce!

- Aurelio... Aurelio... dla ciebie... Tortury... śmierć!

Ktoś podniósł mnie łagodnie... Aurelia padła mi na piersi... Szalałem całującymi ustami. Spłoszona nagłym szelestem wyrwała mi się z objęć... Nie mogłem jej powstrzymać.

- Spełniły się moje nadzieje, moje marzenie - wyszeptałem cicho i w tejże chwili ujrzałem księżnę idącą przez aleję. Wpadłem w zarośla i spostrzegłem nagle, żem wziął za krzyż pień wyschły, wyszarzały... Nie czułem już więcej znużenia; pocałunki Aurelii rozpaliły we mnie nowe ognie siły; miałem uczucie, że jasno i wspaniale wzeszła tajemnica mojego życia. Ach, to była czarowna tajemnica miłości, co po raz pierwszy rozgorzała czystą, promienistą glorią.

Stałem u szczytów życia... “Zstąp! - mówił mus - jeżeli ma stać się wola przeznaczenia..."

Ten to był czas przełomu i rozstrzygnięć, czas podobny do snu spływającego z nieba, czas, od którego począłem spisywać, co się działo ze mną po zejściu się z Aurelią. Ciebie, człowieku obcy, nieznajomy, co będziesz kiedyś czytał ten rękopis, prosiłem, byś patrzył na to moje pasmo cierpień przez swoje własne upojne lato życia, abyś zrozumiał ów próżen pociechy żal posiwiałego w skrusze i pokucie mnicha i zawtórował jego głuchym skargom. Idź na swoje cmentarze i zbudź wołaniem tęsknot swe południe życia, a odczujesz wspaniale, jak miłość Aurelii opromieniła światłem tę nędzną głowę i wszystko dokoła, jak walnie, jak upojnie ujrzałem życie w życiu i twarzą w twarz zszedłem się ze szczęściem nieba.

Żadna ponura myśl nie przemknęła się przez sumienie. Miłość Aurelii dała rozgrzeszenie. Mocą przedziwnych procesów serca zakiełkowało we mnie to pewne przeświadczenie, że to nie ja byłem tym potwornym mnichem, zabójcą Eufemii i Hermogena, lecz że zbrodnię spełnił ów szalony mnich, spotkany na leśniczówce.

Wszystko, com opowiedział lekarzowi, wydało mi się nie kłamstwem, lecz rzeczywistym, tajemnic pełnym biegiem rzeczy, niepojętym dla mnie samego.

Książę przyjął mnie jak przyjaciela, co się znalazł wbrew wszelkiej nadziei. To, oczywiście, nadało ton całemu dworowi - tylko księżna, choć złagodniała nieco, trzymała się z dala, odgrodzona niewzruszoną powagą.

Aurelia oddała mi się cała z dziecięcą prostotą; jej miłość nie była dla niej winą, którą by trzeba ukrywać przed światem. I ja tym bardziej nie mogłem ni w części ukryć uczucia, którym wyłącznie żyłem. Wszyscy widzieli mój stosunek do Aurelii; nikt nie mówił o tym, bo każdy czytał w oczach księcia, że jeśli nie pochwala, w każdym razie zezwala na naszą miłość.

Przyszło do tego, że z zupełną swobodą widywałem Aurelię częściej i bez świadków.

Brałem ją w objęcia; oddawała mi pocałunki - lecz czując, jak drżała w dziewiczym wstydzie, nie mogłem dać folgi grzesznej pożądliwości; każda zbrodnicza myśl zamierała w dreszczu wewnętrznej grozy. Zdawała się nie przeczuwać żadnego niebezpieczeństwa - i w istocie, nie groziło jej żadne, bo kiedy czasem, gdy tak siedziała przy mnie w samotnej izbie, a potężniej niż zwykle promieniała jej niebiańska krasa i dziki żar miłości zrywał się we mnie, kiedy więc czasem spojrzała na mnie nieopisanie łagodnie i czysto, było mi przez chwilę, jakby niebo pozwalało pokutującemu grzesznikowi już tu, na ziemi, obcować ze świętymi. Tak, nie Aurelia to była, lecz sama święta Rozalia... i padłem jej do nóg i wołałem głośno:

- O ty pobożna, ty święta, czy wolno sercu kochać cię ziemską miłością?

Raz podała mi rękę i rzekła słodkim, łagodnym głosem:

- Nie jestem-ci żadną świętą, tylko bardzo pobożną i bardzo cię kochającą...

Przez kilka dni nie widziałem Aurelii; spędziła ten czas z księżną w pobliskim pałacu letnim. Nie mogłem wytrzymać i

pośpieszyłem za nią. Przybywszy późnym wieczorem spotkałem w ogrodzie jedną z pokojowych i zapytałem o Aurelię. Wskazała mi jej pokój.

Cicho, bardzo cicho otworzyłem drzwi - wszedłem - wstąpiłem w upojne powietrze, w czarowną, zmysłową, rozkoszną woń kwiatów. Niby czarne sny zerwały się i podniosły wspomnienia. Czyż to nie pokój Aurelii na zamku barona, gdziem... - Coś krzyknęło: "Hermogen" - zda się jakaś czarna postać stanęła za mną, Przerażony kroczyłem przed siebie

- drzwi gabinetu były tylko przymknięte, Aurelia klęczała, zwrócona ku mnie plecami, przed taboretem, na którym leżała rozwarta książka.

Obejrzałem się mimo woli, z trwogi - i nie ujrzałem nic. Wtedy zawołałem z najwyższym zachwytem:

- Aurelio! Aurelio!

Obróciła się szybko, lecz nim zdołała powstać, leżałem już przy niej i zwarłem ją silnym uściskiem.

- Leonardzie, mój najdroższy... - szepnęła cicho. Rozpętała się w łonie szalona żądza, dzika, grzeszna chuć. Dziewczyna zwisła bezsilnie w mych ramionach; rozpuściły się jej włosy i rozwichrzyły bujnymi splotami po moich ramionach; młode piersi wytrysły z osłon - jęknęła głucho. Nie władałem już sobą. Uniosłem ją w górę; zdawała się wyczerpaną; nieznany żar rozognił jej oczy; coraz to namiętniej oddawała mi pocałunki. Nagle zaszeleścił wściekły szum skrzydeł; przeszywający ton, jakby okrzyk trwogi z ust trafionego śmiertelnie człowieka, rozbrzmiał po pokoju.

- Hermogen! - krzyknęła Aurelia i wypadła bezwładnie z mych ramion. Zdjęty dzikim przerażeniem wybiegłem...

W sieni spotkała mnie księżna powracająca ze spaceru. Spojrzała na mnie z wyniosłą powagą i rzekła:

- W istocie, zadziwia mnie to bardzo, panie Leonardzie, że pana tu widzę.

Uciszywszy natychmiast wzburzenie, odpowiedziałem bardziej stanowczo niż zwykle, że często walczy się daremnie przeciw wielkim wzruszeniom i nieraz pozorna niestosowność jest właśnie najstosowniejszą. Gdy w ciemną noc wracałem do stolicy, zdawało mi się, że ktoś biegnie ze mną i woła szeptem: "Za-zawsze, ja-jestem przy to-tobie, bra-braciszku, braciszku Medardzie!"

Co spojrzałem dokoła, to czułem, że majak sobowtóra straszy tylko w mej fantazji; mimo to nie mogłem pozbyć się przeraźliwego widziadła; stało się w końcu, że musiałem z nim mówić i zwierzyć mu się, jak to znowu okazałem się głupcem i przeląkłem się przeklętego Hermogena; zapewniałem, że święta Rozalia będzie wkrótce moją, zupełnie moją, boć jestem mnichem i otrzymałem święcenia. Wtedy sobowtór zaśmiał się jękliwie jak zwykle i wyjąkał: "Ale szy-szyb-ko, szybko!" "Bądź cierpliwy - szeptałem - bądź cierpliwy, mój chłopcze. Wszystko będzie dobrze. Hermogena nie trafiłem jak należy; ma on taki przeklęty krzyż na szyi, jak my obaj, ale mój ruchawy nożyk jest jeszcze silny i ostry". "Hi... hihi... tra... traf, traf dobrze!" Tak wyszeptał głos sobowtóra w szumie porannego wichru, co ciągnął od ognistych purpur rozpalonych na wschodzie.

Właśnie gdym powrócił do mieszkania, otrzymałem wezwanie do księcia. Książę przywitał mnie bardzo życzliwie.

- W istocie, panie Leonardzie - zaczął - zdobyłeś pan sobie moją najwyższą życzliwość i nie będę ukrywał, że ta szczera skłonność zmieniła się w przyjaźń dla pana. Nie chciałbym już utracić pana i chcę widzieć go szczęśliwym. Poza tym należy się panu od nas wszelkie możliwe zadośćuczynienie za doznaną krzywdę. Czy wiesz pan, kto to jedynie spowodował pański proces, kto pana oskarżył?

- Nie wiem, najłaskawszy panie!

- Baronówna Aurelia!... Dziwisz się pan? Tak, tak, baronówna Aurelia, mój panie Leonardzie, ona to (zaśmiał się głośno), ona to wzięła pana za kapucyna! Lecz, na Boga,

jeśli pan jesteś kapucynem, to zaprawdę najmilszym pod słońcem! Powiedz mi pan szczerze, panie Leonardzie, czy pan istotnie masz coś wspólnego z klasztorem?

- Najłaskawszy panie, nie wiem, co za nieszczęście chce we mnie, który...

- No, no! nie jestem inkwizytorem! Byłoby to fatalne, gdyby pana wiązały jakie śluby. Lecz do rzeczy! Czy nie żądasz pan zemsty na baronównie Aurelii - za wyrządzoną krzywdę?

- Któż by z ludzi mógł mścić się na takim aniele!

- Kochasz pan Aurelię?

Tak spytał książę poważnie, patrząc mi bystro w oczy. W milczeniu położyłem rękę na sercu. Książę mówił dalej:

- Wiem o tym. Kochałeś pan Aurelię od chwili, gdy po raz pierwszy weszła z księżną do sali.

Jesteś pan wzajemnie kochany, i to uczuciem płomiennym, o jakie nigdy bym nie podejrzewał Aurelii. Żyje tylko myślą o panu - jak mi powiedziała księżna. Wierz mi pan, że po uwięzieniu pańskim Aurelia popadła w stan zwątpienia bez granic i była bliska śmierci.

Aurelia brała pana wtedy za mordercę jej brata, a mimo to żarło ją niewytłumaczone cierpienie.

Już wtedy kochała pana. A zatem, panie Leonardzie! A raczej panie Krzyński, jesteś pan szlachcicem, ustalam pana na dworze w sposób, który powinien mu się podobać.

Zaślubisz pan Aurelię. Za kilka dni odbędą się zaręczyny...

Niemy, targany sprzecznymi uczuciami, powstałem.

- Do widzenia, panie Leonardzie - rzekł książę i zniknął w sąsiednim pokoju, żegnając mnie na odchodnym ręką.

Aurelia moją żoną! Żoną zbrodniczego mnicha! Nie! Nie dopuści do tego ciemny los, choćby się wszystko sprzysięgło na nieszczęsną!

Ta myśl podniosła się we mnie i obalała wszystko, cokolwiek bym stawił naprzeciw.

Należało - czułem to - postanowić coś natychmiast, lecz daremnie szukałem, jakby się bezboleśnie oderwać od

Aurelii. Myśl niewidzenia jej więcej była mi nieznośną; lecz to, że ona będzie moją żoną, napełniało mnie niewypowiedzianą zgrozą. Miałem przeczucie, że stanie się rzecz straszna: gdy mnich zbrodniczy stanie przed ołtarzem Pana, by poigrać piekielnie ze świętymi ślubami, zjawi się ów malarz, ów nieznany, już nie z pociechą łagodną, jak w więzieniu, lecz z zapowiedzią zemsty i zatraty, jak na ślubie Francesca, i strąci mnie w bezimienną hańbę, w nędzę doczesną i wieczną. Równocześnie jednak rozpierał mi się w duszy głos jakiś ciemny: "Aurelia musi być twoją! Niedołężny głupcze, nie odmienisz losu, co wam jest pisany". A wtedy znowu coś odkrzykiwało: "W proch, twarzą w proch!

Zaślepieńcze! Złoczyńco! Nie będzie twoja. Nie! To święta Rozalia, którą chcesz objąć gwałcącym ramieniem". Tak niezgodą srogich mocy rzucany jak piłka, próżno myślałem, próżno wyczuwałem, co czynić, jak uciec zatracie, co szła na mnie złowrogą nagonką. W pył rozwiał się ów nastrój natchnienia, w którym całe życie i ów nieszczęsny pobyt mój na zamku barona F. wydawał się ciężkim, lecz tylko złudnym snem.

W ponurym roztargnieniu widziałem się, pospolitym rozkosznikiem i łotrem.

Wszystko, co powiedziałem sędziemu i doktorowi, było tylko czczym kłamstwem, źle skleconym wymysłem; nie był to głos wewnętrzny, jak to wmawiałem w siebie.

Głęboko zatopiony w myślach wlokłem się przez gościniec. Głośne wołania woźnicy, turkot powozu zbudził mnie z zadumy; odskoczyłem w bok. Kareta księżnej potoczyła się mimo; doktor wychylił się z drzwiczek i skinął na mnie życzliwie; pośpieszyłem za nim aż pod mieszkanie. Wyskoczył i pociągnął mnie za sobą mówiąc:

- Właśnie wracam od Aurelii; mam panu coś powiedzieć.

Weszliśmy w progi salonu.

- Ej, ej - rozpoczął - gwałtowniku, zapaleńcze! Cóżeś najlepszego zrobił. Naszedłeś Aurelię jak upiór i biedne stworzenie o słabych nerwach rozchorowało się!

Pobladłem. Lekarz spostrzegł to:

- No, no... tak źle znowu nie jest. Chodzi po ogrodzie i jutro powraca z księżną do rezydencji.

Mówiła wiele o panu, kochany Leonardzie; serdecznie tęskni za panem i pragnie cię zobaczyć, by się usprawiedliwić. Martwi się, że się panu wydała nierozsądną i głupią.

Stropiłem się, nie rozumiejąc, co znaczą te słowa Aurelii.

Lekarz dał mi niedwuznacznie do zrozumienia, że jest wtajemniczony w książęce swaty, i tak mnie rozruszał wesołością porywającą wszystkich, że pierzchnął ponury nastrój i rozwiał się w swobodnej rozmowie. Opisał mi raz jeszcze, w jakim stanie zastał Aurelię, która, niby dziecko, co nie może się, odjąć ciężkiemu snowi, z pół zamkniętymi, przez łzy śmiejącymi się oczami, leżała na posłaniu, z główką opartą na ręce i skarżyła się na swoje chorobliwe wizje. Powtórzył jej słowa, naśladując drżący od wzruszenia cichymi westchnieniami przerywany głos dziewczęcia i odtwarzając zabawnie niektóre jej skargi; umiał kilku ironicznymi refleksami tak wycieniować powabliwy jej obraz, że stanął mi w oczach jak żywy. Ubawiłem się wybornie, zwłaszcza że dla kontrastu oddał doskonale uroczystą powagę księżnej.

- Czyś pan się kiedy spodziewał, czyś pan przypuszczał kiedy, gdyś pan zawitał do stolicy, że się panu wydarzy tyle przygód? Najpierw to wściekłe nieporozumienie, z łaski którego powędrowałeś pan do kryminału - a potem to zaprawdę godne zazdrości szczęście, którym pana darzy przyjazne serce księcia.

- Istotnie, muszę się przyznać, że zaraz z początku cieszyło mnie życzliwe przyjęcie u księcia; lecz teraz, gdy czuję, ile zyskałem w jego oczach i w uznaniu całego dworu, nie wiem, czemu mam to zawdzięczać - może tej krzywdzie doznanej...

- Nie tyle temu, jak raczej pewnej małej okoliczności, której możesz się pan domyślać...

- Bynajmniej!

- Wprawdzie na wyraźne życzenie pańskie nazywa pana każdy Leonardem, jak dawniej, lecz wszyscy wiedzą, że pan pochodzisz ze szlachty, bo wiadomości otrzymane z Poznania potwierdziły pańskie oświadczenia.

- Jakże jednak może to wpływać na księcia i na szacunek, jakiego zażywam u całego dworu?

Gdy mnie książę poznał i zaprosił w progi swojego dworu, nadmieniłem, że pochodzę z mieszczańskiej rodziny; wtedy zapewnił mnie książę, że wiedza uszlachetnia mnie i czyni godnym przebywania w jego otoczeniu.

- Sam w to wierzy, kokietując wiedzę i sztukę, jako oświecony książę. Spotkasz pan na dworze niejednego uczonego lub artystę z domu mieszczańskiego, ale nie żądaj od nich subtelności - rzadko tylko zdobywają się na nią ludzie, którym losy nie dały lekkiego bytu i tej swobodnej ironii życiowej, co stawia nas na podwyższeniu ponad głowami ogółu. Dlatego omijają dwór. Nawet przy najlepszej chęci wyzwolenia się z wszelkich przesądów, miesza się w zachowanie szlachcica względem mieszczanina coś, co przypomina zniżanie się i tolerowanie jakiejś niewłaściwości; nie ścierpi tego żaden człowiek, czujący w słusznej dumie, że on to właśnie zniża się w szlacheckim towarzystwie i znosi pospolitość duchową i niesmaczną głupotę. Pan jesteś szlachcicem, panie Leonardzie, ale, jak słyszę, człowiekiem kultury i wykształcenia. Stąd to zdarza się, że jesteś pan pierwszym szlachcicem, w którym nie podpatrzyłem dotychczas nic szlacheckiego, w złym tego słowa znaczeniu, nawet na dworze, pomiędzy ,szlachetnie urodzonymi. Mógłbyś pan pomyśleć, że mówię to jako mieszczanin pełen uprzedzeń albo też, że mnie samego spotkało coś przykrego i stąd moje przesądy - ale tak nie jest. Przede wszystkim należę do jednej z tych klas wyjątkowych, które muszą być nie tylko tolerowane, ale nawet utrzymywane i szczególnie pielęgnowane. Lekarze i

spowiednicy to klasa panujących - to władcy duszy i ciała, a więc dobra szlachta.

Mówiąc o spowiednikach, mam na myśli tylko katolickich. Protestanccy duchowni, przynajmniej na wsi, są tylko oficjalistami domu; poruszywszy sumienie łaskawemu państwu, siadają pokornie na szarym końcu stołu i pokrzepiają się pieczenią i winem. Ciężko przychodzi zwalczyć zakorzeniony przesąd, lecz najczęściej brakuje dobrej woli, boć niejeden szlachcic czuje, że tylko jako taki może zająć w społeczeństwie pewne stanowisko, do którego nic w świecie nie daje mu prawa. Duma rodowo - herbowa staje się śmieszną w naszym coraz to bardziej postępowym czasie. Wychodząc z rycerstwa i wojennego zamętu, wytwarza się klasa oddana wyłącznie obronie innych stanów - i poddańczy stosunek bronionego do obrońcy wytwarza się sam przez się. Niechaj uczeni wychwalają wiedzę, artysta sztukę, rzemieślnik rękodzieła. Patrz - mówi rycerz - oto przychodzi nieokrzesany wróg, któremu nie możecie się oprzeć, wy, niedoświadczeni w wojnie, wtedy ja, ćwiczony w robieniu bronią, staję przed wami z wyciągniętym mieczem i to, co jest moją zabawą i przyjemnością; ocala wam życie i mienie, i dobra.

Lecz zwolna znika z powierzchni ziemi gwałtowna przemoc, coraz to wolniej działa i tworzy duch i coraz to bardziej odsłania się moc jego wszystko pokonywająca. Wkrótce się pokaże, że silna pięść, że pancerz i potężnie wzniesiony miecz nie wystarczą do pokonania tego, co postanawia duch; nawet wojna i robienie bronią poddaje się duchowemu pierwiastkowi czasu. Coraz to więcej, coraz to bardziej będzie musiał każdy opierać się na sobie samym i czerpać z własnego wewnętrznego zasobu to, czym by zdobył znaczenie w świecie, jeżeli mu państwo nada jakieś zewnętrzne, błyskotliwe stanowisko. Na zupełnie przeciwnej zasadzie opiera się owa z rycerskich czasów idąca duma rodowa, która się streszczą w tym jednym zdaniu: "Moi

przodkowie byli bohaterami, więc i ja tak samo jestem bohaterem".

Im dalej wstecz... tym lepiej... bo gdy bez trudności możesz spostrzec, gdzie jakiegoś dziadka naszło usposobienie bohaterskie, a z nim nadanie szlachectwa, nie ufa się zbytnio całej tej historii, jak wszelkim cudom, co stały się za blisko.

Wszystko tedy opiera się znowu na bohaterstwie i na sile cielesnej. Silni, tędzy rodzice mają, przynajmniej w zasadzie, podobne dzieci, a również dziedziczy się zapał wojowniczy i odwagę. Dlatego to utrzymać klasę rycerską w czystości było staraniem owych starych rycerskich czasów i nie małą zasługą było dla panny swego rodu urodzić panicza, do którego biedny świat mieszczański modlił się pokornie: "Prosimy cię, nie zjedz nas, lecz broń przed innymi junkrami". Inna sprawa z dorobkiem umysłowym: bardzo mądrzy ojcowie rodzą często bardzo głupich synków, no i w czasie, który cielesnemu rycerstwu podporządkował ducha, było niebezpieczniejszym pochodzić od Leibniza, niż od Amadisa z Galii lub jakiegoś innego prastarego Rycerza Okrągłego Stołu. Duch czasu kroczy w kierunku raz obranym i położenie dumnej ze swych przodków szlachty pogarsza się widocznie; stąd to nietaktowne, z uznania zasług, a zarazem z odrażającego zniżania się złożone zachowanie się szlachty względem mieszczaństwa - zdobywającego w świecie i - w państwie wielkie znaczenie - jest może wynikiem - jakiegoś ciemnego, trwożliwego wyczucia, że w oczach ludzi mądrych opada przestarzały szych z dawno zużytej epoki i śmieszna nagość wygląda spoza obsłon. Dzięki Bogu wielu mężczyzn i kobiet wysokiego rodu rozumie ducha czasu i wznosi się wspaniałym lotem na wyżyny życia, jakie otwiera nauka i sztuka.

Wywody lekarza wprowadziły mnie w zupełnie obcą dziedzinę. Nigdy nie przyszło mi na myśl rozprawiać o szlachcie i jej stosunku do mieszczaństwa. Oczywiście,

lekarz nie przeczuwał, że niegdyś należałem właśnie do tej drugiej klasy, której, według niego, nie dotyka buta rycerska.

Czyż nie byłem w najdostojniejszych domach arystokracji w B. czcigodnym, wielebnym spowiednikiem? Wśród dalszych rozważań spostrzegłem, że tam na nowo zawikłałem własną dolę, bo z Kwieciszewa, o którym wspomniałem owej starej damie, wyrosło moje szlachectwo, a zarazem nieszczęsny pomysł księcia, dotyczący mojego ślubu z Aurelią.

Księżna powróciła. Pobiegłem do Aurelii.

Przyjęła mnie z wdziękiem dziewiczego zawstydzenia; objąłem ją ramionami i wpatrzyłem się uporczywie w nią, jako w moją przyszłą żonę. Była wzruszona, jakaś łagodniejsza i bardziej oddana niż zwykle.

Oczy błyszczały łzami, a w tonie mowy brzmiała jakaś nuta żałosnej prośby, niby u dziecka, co dąsa się jeszcze, a już gniewu nie czuje... Pierwsze słowa moje pytały o pałac letni i nawiązywały do moich odwiedzin; żywo domagałem się wyjaśnień; zaklinałem Aurelię, by mi wyznała szczerze, co ją tak przestraszyło. Milczała; spuściła oczy...

Przyszedł mi na myśl mój potworny sobowtór i krzyknąłem:

- Aurelio, zaklinam cię na wszystko, powiedz, co za straszną postać ujrzałaś za mną?

Spojrzała na mnie z najwyższym zdumieniem... Wzrok jej znieruchomiał... oczy struchlały...

Nagle odskoczyła ode mnie, jakby chciała uciec, lecz pozostała bez ruchu, westchnęła głęboko i zakrywając oczy rękami wyjąkała:

- Nie, nie, nie, to nie on...

Ująłem ją łagodnie. Wyczerpana opadła mi na piersi.

- Co mówisz... co mówisz... o kim? - pytałem pośpiesznie, wyczuwając dobrze, co się rozgrywa w tej najdroższej głowie.

- Ach, mój ty drogi - rzekła cicho i boleśnie - nie weźmiesz mnie za szaloną fantastkę, gdy... ci powiem wszystko... wszystko, co mi kradnie szczęście najczystszej miłości? Sen groźny idzie przez moje życie, stanął on pomiędzy nami przeraźliwym obrazem już wtedy, gdym cię po raz pierwszy ujrzała; uderzył, mnie zimnymi skrzydłami śmierci, gdyś tak nagle wszedł do mojej izby w letnim pałacu księżnej. Wiedz, że jak ty wtedy, klęczał niegdyś przy mnie przeklęty mnich i chciał nadużyć świętej modlitwy do zbrodniczego czynu. Mnich ten czaił się na mnie, jak dziki zwierz na swą zdobycz, zamordował mi brata! Ach, a ty... twoje rysy... mowa... ów obraz... nie, nie powiem ci, nie powiem...

Przegięła się w tył. W półleżącej postawie, podpierając głowę ręką, oparła się o brzeg sofy. Bujnie wystąpiły płynne zarysy dziewczęcego ciała.

Stałem przed nią; roznamiętnione oczy błądziły po nieskończonej rozkoszy, ale do walki z miłością wystąpiło szatańskie urąganie, co krzyczało we mnie: “Nieszczęsna, zaprzedana szatanowi, nie uszłaś ty mnichowi, co cię w modlitwie ciągnął w grzech... Żoną mu jesteś... żoną!" W tejże chwili zniknęła gdzieś miłość do Aurelii, ta miłość, co zapaliła we mnie niebiańskie płomienie, gdym ujrzał ją powtórnie, wydarty więzieniu i śmierci, podziała się gdzieś posępnie, a myśl, że jej zatrata może być najjaśniejszym szczytem mojego życia, wypełniła mnie zupełnie niespodzianie. Wezwano Aurelię do księżnej. Stało mi się jasnym, że w życiu Aurelii snują się jeszcze jakieś zupełnie mi nieznane stosunki do mnie samego... Mimo to nie miałem sposobu zbadać tajemnicy, bo Aurelia mimo wszystkich próśb i nalegań nie chciała bliżej objaśnić owych pojedynczych, dorywczo rzuconych wynurzeń... Przypadek zdradził mi, co chciała zamilczeć. Pewnego dnia zaszedłem do kancelarii urzędnika dworskiego, który miał obowiązek wysyłać na pocztę wszystkie prywatne listy księcia i osób przynależnych do dworu. Był właśnie nieobecny, gdy weszła panna służąca Aurelii z grubym listem i położyła go na stole

obok innych. Szybki rzut oka przekonał mnie, że był adresowany ręką Aurelii do przeoryszy, siostry księżnej. Przeczucie, że w tej kopercie spoczywa niezbadana tajemnica, o którą mi chodzi, przebiegło mnie, jak błyskawica; nim powrócił urzędnik, oddaliłem się z listem Aurelii.

Mnichu czy świecki człowiecze, biorący z tych moich wyznań naukę i przestrogę, przeczytaj te kartki, które tu załączam, przeczytaj te wynurzenia pobożnego, czystego dziewczęcia, skropione gorzkimi łzami pokutującego grzesznika. Niechaj pobożne uczucie wypełni Cię światłem pociechy w czasie upadku i zbrodni.

AURELIA DO PRZEORYSZY KLASZTORU CYSTERSEK W...

Matko Najdroższa!

Donoszę Ci, że jestem szczęśliwą. Kocham - i to uczucie odegnało precz ową przeraźliwą postać, co stawała przede mną w całej okropności i zabijała każdą radość, nawet cień radości. Wybacz mi jednak, że nie wszystko jeszcze wyznałam Ci otwarcie. Ty tak serdecznie pamiętałaś o bracie moim, o ojcu zabitym przez troskę: a ja - nie zaufałam Ci we wszystkim i przemilczałam wiele. Lecz istotnie teraz dopiero mogę wyznać Ci ponurą tajemnicę, co była ukryta głęboko w sercu. Do przeraźliwego widma podobne jest szczęście moje - najwyższe szczęście życia - i czasem myślę, że mi je stawia ułudnie przed oczy moc jakaś zła i tajemna. Dni moje były jak morze wzruszone: chwiałam się rozpaczliwie i może bym była zginęła, lecz niebo litościwe pomogło mi cudownie w chwili, gdy stanęłam bezradna przed bezkresną nędzą. Nim Ci wszystko opowiem, wrócę na chwilę do lat dziecinnych, bo wtedy już padł mi w serce zarodek, co wybujał potem tak zgubnie i plenił się tak długo. Miałam trzy lub cztery lata, gdy raz wiosennym rankiem bawiłam się z Hermogenem w ogrodzie naszego zamku. Zrywaliśmy rozkwitłe kwiaty, a Hermogen, zresztą nie bardzo do tego usposobiony, splatał mi wieńce, które wdziewałam na głowę. "Chodźmy do matki" - rzekłam,

obwieszona girlandami kwiatów; lecz Hermogen żachnął się gwałtownie i krzyknął dziko: "Po co? Tu zostań - matka siedzi w niebieskim pokoju i rozmawia z diabłem!" Nie rozumiałam zupełnie, co chciał przez to powiedzieć, mimo to zdrętwiałam z przestrachu i poczęłam żałośnie płakać. "Głupia, czemu wyjesz? - krzyknął Hermogen - matka codziennie rozmawia z diabłem - on nic jej nie zrobi." Bałam się Hermogena, bo tak ponuro spojrzał przed siebie, tak szorstko mówił - zamilkłam. Matka była już wtedy ciężko chora, chwytały ją często straszliwe konwulsje, które przeszły w końcu w stan podobny agonii. My, ja i Hermogen, zostaliśmy usunięci. Nie przestawałam biadać, ale Hermogen szeptał ciągle głucho: “To diabeł jej tak zrobił..." Tak powstała w moim dziecinnym umyśle myśl, że matka ma stosunki ze złym, obrzydliwym upiorem, bo nie mogłam sobie inaczej wyobrazić diabła, nie znając jeszcze nauki Kościoła. Pewnego dnia zostawiono mnie samą; było mi bardzo nieswojo ze strachu nie mogłam się ruszyć z miejsca, gdy spostrzegłam, że znajduję się właśnie w niebieskim pokoju, gdzie, według twierdzenia Hermogena, matka miała rozmawiać z diabłem. Otwarły się drzwi i weszła matka, śmiertelnie blada. Zatrzymała się przed pustą ścianą i zawołała stłumionym głosem głębokiej skargi: “Francesco! Francesco!" Coś zaszeleściło i ruszyło się za ścianą; mury rozsunęły się i ukazał się obraz naturalnej wielkości - pięknego, dziwnie przebranego mężczyzny w fioletowym płaszczu. Postać i twarz tego mężczyzny zrobiła na mnie nieopisane wrażenie; krzyknęłam z radości; matka obejrzała się i spostrzegłszy mnie dopiero teraz, spytała gwałtownie: “Co tu robisz; Aurelio? Kto cię tu przyprowadził?" Matka zwykle dobra i łagodna - była tak rozgniewana, jak nigdy jeszcze nie widziałam. Myślałam, że popełniłam coś złego. “Ach - wyjąkałam z płaczem - zostawiono mnie tu samą; nie chciałam tu zostać". Lecz widząc, że obraz zniknął, zawołałam: “Ach,; ten piękny obraz, gdzie jest ten obraz?" Matka podniosła mnie do góry, ucałowała, popieściła i

rzekła: “Jesteś kochaną, dobrą dziewczynką, ale obrazu widzieć już nie można - już go nie ma!" Nikomu nie zwierzyłam się z tego, co mi się zdarzyło, tylko raz rzekłam do Hermogena:

“Matka nie rozmawia wcale z diabłem, tylko z pięknym panem; ale to tylko obraz, który wyskakuje, gdy matka zawoła..." Hermogen utkwił wzrok w dali i mruknął ponuro: “Diabeł może wyglądać, jak mu się podoba - mówi ksiądz dobrodziej - lecz matce nic nie zrobi".

Opadł mnie nagły lęk i ze łzami prosiłam Hermogena, by mi już nigdy nie mówił o diable.

Wysłano nas do stolicy, obraz zatarł mi się zupełnie- w pamięci i nie odżył już wcale, gdyśmy po śmierci ukochanej matki powrócili na wieś, do zamku. Skrzydło zamku, w którym leżał ów niebieski pokój, pozostało niezamieszkane; były to pokoje mej matki, których ojciec nie mógł przestąpić bez obudzenia najboleśniejszych wspomnień. Reperacja budynku wymagała otwarcia tych apartamentów. Weszłam do niebieskiego pokoju, właśnie gdy robotnicy zdzierali podłogę. Zaledwie któryś z nich podniósł jedną taflę na środku sali, zaszeleściło coś za ścianą. Mur rozsunął się i ukazał się obraz nieznajomego. Odkryto w posadzce sprężyny, których przyciśnięcie wprawiało w ruch maszynerię rozsuwającą płat obicia ściennego.

Przypomniała mi się żywo owa chwila z lat dziecinnych; nieboszczka matka stanęła mi przed oczami; zapłakałam gorzko, lecz nie mogłam odwrócić oczu od tego obcego, wspaniałego mężczyzny, co patrzył na mnie żywymi, promiennymi oczami. Prawdopodobnie natychmiast doniesiono ojcu o tym, co się stało. Wszedł do pokoju i zastał mnie przed obrazem. Zaledwie rzucił jedno spojrzenie, struchlał ze zgrozy i wstrętu i wyszeptał głucho, a gorzko: "Francesco, Francesco!" Następnie zwrócił się szybko do robotników i rozkazał podniesionym głosem: "Wyłamać obraz ze ściany, natychmiast! Zwinąć i oddać Reinholdowi". Czułam, że nigdy już więcej nie zobaczę tego

pięknego, wspaniałego mężczyzny, co zjawił się w swym przedziwnym stroju, jak wielki jakiś książę duchów - a jednak lęk jakiś nieprzeparty nie pozwalał mi prosić ojca, aby go nie niszczył. W kilka dni jednak zniknęło zupełnie, bez śladu, wrażenie, jakiego doznałam podczas tej sceny z obrazem.

Miałam już lat czternaście i byłam dziką, nieopatrzną kozą, tak że szczególnie odbijałam od poważnego, uroczystego Hermogena i ojciec mówił często, że o ile Hermogen robi wrażenie cichej dziewczyny, o tyle ja wyglądam na rozpuszczonego chłopca.

Wkrótce miała nastąpić zmiana. Hermogen począł oddawać się namiętnie i z całą siłą ćwiczeniom rycerskim. Żył tylko bojem i walką, duszę miał pełną szczęku oręża; a że właśnie zanosiło się na wojnę, nalegał na ojca, by mu pozwolił wstąpić do służby wojskowej.

Mnie natomiast opanował właśnie wtedy jakiś niejasny nastrój, którego nie umiałam sobie wytłumaczyć; wkrótce zawładnął mną zupełnie. Jakieś dziwne niezdrowie zdawało się płynąć z duszy i owładać gwałtownie wszystkimi tętnami życia. Często byłam bliska omdlenia - po każdym takim osłabieniu nachodziły mnie dziwne obrazy i widzenia i było mi, jakbym miała przed sobą jaśniejące niebo szczęścia i rozkoszy, tylko oczu otworzyć nie mogłam, niby dziecko snem upojone. Sama nie wiedząc dlaczego, byłam nieraz to śmiertelnie smutną, to nadmiernie wesołą. Z najmniejszego powodu łzy stawały mi w oczach; niewysłowiona tęsknota wzmagała się aż do fizycznego bólu, tak ze wiłam się w konwulsjach. Ojciec zauważył mój stan. Przypisywał go przewrażliwionym nerwom i wezwał na pomoc lekarza, który przepisał rozmaite środki - bez skutku. Sama już nie wiem, jak przyszło do tego, że nagle stanął mi przed oczami zapomniany obraz owego nieznanego malarza, i to tak żywo, że czułam go tuż przed sobą, patrzącego litośnie. "Ach, mamże już umrzeć? Cóż mi jest, że się tak strasznie męczę?" wołałam do sennego widziadła; wtedy uśmiechał

się nieznajomy i odpowiadał: "Kochasz mnie, Aurelio, to twoja męka; lecz czy możesz przełamać śluby poświęconego Bogu?" Z najwyższym zdumieniem spostrzegłam, że nieznajomy miał na sobie habit zakonny kapucyna. Wytężyłam wszystkie siły, aby się wyrwać marzycielskim zadumom. Udało mi się. Byłam przekonaną najzupełniej, że ów mnich był tylko czczą i złudną grą mej wyobraźni, a mimo to czułam zbyt dobrze, że rozwarła się przede mną tajemnica miłości. Tak! Kochałam Nieznajomego całą potęgą rozbudzonego uczucia, z całą namiętnością i zapałem, do jakiego jest zdolne młodzieńcze serce. W tych chwilach marzycielskiej zadumy, co postawiła mi przed oczy obraz Nieznajomego, osiągnęła moja słabość najwyższe napięcie i stan mój począł się widocznie polepszać, nerwy się uspokoiły. Tylko to przywidzenie trwające, nieruchome, tylko ta miłość do istoty istniejącej tylko we mnie nadawały mi wygląd marzycielski. Zobojętniałam na wszystko, siedziałam w towarzystwie, nie biorąc, w nim udziału, a ponieważ zajęta wyłącznie swoim ideałem nie zwracałam uwagi na to, co mówiono, dawałam często tak niestosowne odpowiedzi, że mogłam uchodzić za istotę pomyloną.

Raz w pokoju brata znalazłam na stole jakąś książkę - otworzyłam - było to tłumaczenie z angielskiego: romans pod tytułem "Mnich".

Zimnym dreszczem oblała mnie myśl, że nieznajomy kochanek jest mnichem. Nigdy nie przeczuwałam, że miłość do sługi bożego jest grzechem; nagle zabrzmiały mi w uszach słowa widziadła: “Czy zdołasz przełamać śluby zakonnika?" - i po raz pierwszy uczułam na wargach truciznę i ciężar, aż zawyłam od rany śmiertelnej. Wzięłam książkę. Coś mówiło mi, że znajdę w niej kilka wskazówek.

Rozczytałam się w powieści i dałam się porwać przedziwnej historii, lecz gdy spełniło się pierwsze morderstwo, gdy coraz bezbożniej poczynał sobie mnich-łajdak, gdy w końcu wszedł w związki z szatanem, załamałam ze wstrętem ręce i powtórzyłam z rozpaczą

słowa Hermogena: “Matka rozmawia z diabłem!" Przyszło mi na myśl, że podobnie jak ów mnich z powieści, i ów mój Nieznajomy jest zaprzedańcem szatana kuszącym mnie do złego. A jednak już nie mogłam panować nad miłością do mnicha, co żył we mnie. Dowiedziałam się tylko, że istnieje miłość zbrodnicza; wstręt walczył z uczuciem rozpanoszonym w mym łonie, a walka ta rozpaczna rzucała mi w oczy czarowne światła, zrodzone w sercu. Często w obecności jakiegoś mężczyzny opadało mnie niespokojne uczucie, że to właśnie ów mnich nieznajomy stoi przede mną i porwie mnie w zatratę. Reinhold powrócił z podróży i opowiadał wiele o niejakim kapucynie Medardzie, kaznodziei wielkiej i szerokiej sławy, którego słuchał z najwyższym podziwem w B. Przyszedł mi na myśl ów mnich z romansu i zadrżałam, zdjęta dziwnym jakimś przeczuciem, że ów najdroższy mój, a groźny majak, jest może tym Medardem. Myśl ta była mi straszną, sama nie wiem dlaczego... Stan mój stał się boleśniejszym i cięższym, niż mogłam wytrzymać. Tonęłam w morzu przeczuć i snów nieznośnych. Daremnie chciałam wyłamać ze siebie straszny obraz mnicha - jak niegdyś ojciec wyłamał ze ściany portret Francesca. Daremnie! Nieszczęśliwe dziecko, nie mogłam oprzeć się grzesznej miłości do sługi bożego. Ksiądz jakiś odwiedził raz ojca. Rozwodził się wiele nad rozmaitymi pokusami szatana i niejedna iskra jęła się mej duszy, gdy począł opisywać beznadziejny stan młodego umysłu, do którego znalazł drogę i dobrał się szatan, po przełamaniu słabego oporu. Mój ojciec dorzucił niejedno, jakby mówił o mnie. "Tylko zaufanie bez granic - rzekł w końcu duchowny - tylko niezachwiane zaufanie nie tylko do przyjaciół, lecz także do religii i sług jej może coś pomóc." Dziwna ta rozmowa usposobiła mnie do szukania pomocy w kościele i doznania ulgi w pełnym skruchy wyznaniu na świętej spowiedzi. Postanowiłam udać się nazajutrz wczesnym rankiem do leżącego tuż przy naszym domu kościoła klasztornego - a znajdowaliśmy się właśnie w stolicy. Była to

potworna noc udręczeń i rozpaczy, z którą mi przyszło walczyć. Naszły mnie wstrętne, zbrodnicze obrazy, nigdy dotąd niewidziane, niesłyszane... Lecz oto pośrodku tej zawieruchy rozmyślań stanął mnich i podając mi rękę ratunku rzekł z ponurą mocą: "Wyznaj tylko, że mnie kochasz, a wyzwolisz się z wszystkiej nędzy!" A wtedy musiałam zawołać: "Tak, kocham cię, Medardzie!" - i w tejże chwili znikły wszystkie mary piekła. W końcu powstałam, ubrałam się i poszłam do kościoła.

Światło poranne wpadało barwnymi promieniami przez witraże; jakiś braciszek zamiatał posadzkę nawy. Niedaleko bocznych drzwi, przez które weszłam, stał ołtarz świętej Rozalii; tam pomodliłam się krótko i przystąpiłam do konfesjonału, i ujrzałam mnicha. O nieba! Był to Medard! Nie było żadnej wątpliwości - wiedziałam to z ust przeznaczenia. Pochwyciła mnie szalona trwoga i miłość, lecz czułam równocześnie, że tylko najwyższe męstwo zdoła mnie ocalić. Poczęłam spowiedź... - wyznanie grzesznej miłości do sługi bożego. I więcej jeszcze!...

Możny Boże! W chwili tej dziwnej odczułam z przeraźliwą jasnością, że nieraz już w beznadziejnej rozpaczy przeklinałam święte więzy ślubów, ciążące nad moim kochankiem. "Ty sam ty sam, Medardzie, jesteś tym, którego tak niewymownie kocham." Były to ostatnie słowa, jakie zdołałam wymówić, ale oto kojąca pociecha kościoła spłynęła na mnie balsamem niebiosów z ust mnicha, który nagle przestał mi się wydawać Medardem. Jakiś stary, czcigodny pielgrzym wziął mnie w ramiona i poprowadził powoli przez nawę kościelną ku głównej bramie. Mówił słowa święte, wspaniałe, przemożne musiałam zasnąć jak dziecko, ukołysane łagodnym dotknięciem piosnki. Straciłam przytomność. Gdym się ocknęła, leżałam w ubraniu, na sofie, w swoim pokoju. “Bogu niech będzie chwała i najwyższe dzięki, kryzys minął - już przychodzi do siebie" - zawołał ktoś nade mną. To lekarz mówił do mojego ojca. Dowiedziałam się, że mnie rano znaleziono zdrętwiałą, jakby

umarłą, i obawiano się porażenia nerwowego. Widzisz więc, moja droga, święta Mateczko, że owa spowiedź przed mnichem Medardem była tylko złudzeniem i grą wzburzonych zmysłów; to tylko święta Rozalia, do której często modliłam się, wyciągając przez sen ręce do jej obrazu, zjawiła mi wszystko w takim przywidzeniu, by mnie uratować z pęt zarzuconych przez szatana. Znikła mi z serca i uleciała obłędna miłość do widziadła w zakonnym habicie. Odzyskałam zdrowie i wstąpiłam w życie pogodnie i ze swobodą. Lecz - sprawiedliwy Boże! - raz jeszcze miało mnie spotkać nieszczęście - raz jeszcze miał mnie ranić śmiertelnie ów mnich znienawidzony. Właśnie tego Medarda, tego spowiednika ze snu, poznałam natychmiast w mnichu, który się pojawił na, naszym zamku. “To diabeł, z którym rozmawiała matka - strzeż się go, strzeż... on czyha na ciebie!". - wołał mi ciągle nieszczęśliwy Hermogen. Ach, ostrzeżenia te były zbyteczne. Od pierwszej chwili, gdy wlepił we mnie oczy, płonące zbrodniczą żądzą, i w udanym zachwycie wezwał świętej Rozalii, był mi niemiłym i wstrętnym. Wiesz, co się stało potem - znasz całą resztę okropną, kochana Matko. Ach, cóż bym dała za to, by ci nie wyznać, że mnich był mi tym niebezpieczniejszym, że się we mnie, w najgłębszych pokładach życia zbudziło uczucie podobne temu, co było pierwszą myślą o grzechu; musiałam stanąć do walki z pokusami złego. Były chwile, w których zaślepiona ufałam pobożnym na pozór przemowom zakonnika, a nawet takie chwile, w których mi się zdawało, że z jego wnętrza tryska iskra nieba, by mnie oczyścić i podnieść na wyżynę nadziemskiej miłości. Lecz w przeklętej chytrości umiał on nawet w wybuchy pobożnych natchnień wplątać ognie piekielnej natury. Niby anioła stróża zsyłali mi wtedy święci, do których gorąco się modliłam - brata. Wyobraź sobie, Matko, moje przerażenie, gdy tu, zaraz przy pierwszym moim ukazaniu się na dworze stanął przede mną człowiek, w którym natychmiast poznałam mnicha Medarda, chociaż był ubrany po świecku.

Na jego widok straciłam przytomność. Gdym się ocknęła w ramionach księżnej, krzyknęłam głośno: “To on, to on, morderca mojego brata!" “Tak, to on - rzekła księżna - to przebrany mnich Medard, zbiegły z klasztoru. Uderzająco podobny do swojego ojca Francesca..." Zlituj się, Boże! Dreszcz lodowy przechodzi mnie, gdy piszę te słowa, drżę na całym ciele. Ów mąż z obrazu mej matki był to Francesco... Złudne widziadło mnicha, tropiące mnie okropnie, miało jego rysy. Medard! Jego to poznałam jako owego majaka przedziwnej spowiedzi we śnie.

Medard jest synem Francesca, Franciszkiem, którego Ty, moja dobra Matko, kazałaś tak pobożnie wychować, a który popadł w grzech i zbrodnię. Co tak łączyło moją matkę z owym Franceskiem, że obraz jego chowała w tajemnicy i na widok jego zdawała się; oddawać wspomnieniom jakiejś szczęśliwej przeszłości? Jak się to działo, że w tym obrazie Hermogen widział diabła; dlaczego ten obraz przyczynił się do mych obłąkań? Ginę od przeczuć i zwątpień. Na Boga, czy już uszłam przemocy szatana, co mnie chciał zgubić? Nie mogę; już pisać - ciemność mnie otacza i więzi, i dusi; znikąd pociechy, gwiazda nadziei nie świeci mi w drodze, po której mam przechodzić...

(W kilka dni później)

Nie. Niech żadne zwątpienia nie zatruwają mi tych jasnych dni słonecznych, co się; poczęły dla mnie.

O ile wiem, już ci, kochana Matko, opowiedział dokładnie czcigodny ojciec Cyryl, jaki obrót wziął proces Leonarda, którego moje przedwczesne podejrzenie rzuciło na pastwę kryminału.

Że prawdziwy Medard został ujęty, że jego, prawdopodobnie udany, szał się już skończył, że przyznał się do popełnionych zbrodni i oczekuje sprawiedliwej kary i... Lecz ani słowa więcej, zbyt by cię zranił w serce haniebny los złoczyńcy, który był ci tak drogi jako chłopiec. Nie mówiono o niczym, tylko o tym dziwnym procesie.

Brano Leonarda za przebiegłego, upartego mnicha, ponieważ zaprzeczał wszystkiemu. O

Boże na wysokim niebie. Niektóre słowa raniły mnie sztyletem, bo jakiś głos wewnętrzny

mówił mi przedziwnie: "On jest niewinny - pokaże się to jasno jak słońce"...

Współczułam z nim najgłębszą litością i musiałam wyznać sama przed sobą, że mi jego obraz,

ilekroć pomyślałam o nim, rozbudzał uczucia, których nie mogłam mylnie rozumieć. Tak,

kochałam go niewymownie już wtedy, gdy jeszcze przed całym światem uchodził za podłego

zbrodniarza. Cud jakiś musiał ocalić jego i mnie, bo umarłabym, gdyby Leonard padł z ręki

kata. On jest niewinny, kocha mnie i wkrótce będzie moim już zupełnie. Tak to spełnia się

cudownie owo niejasne przeczucie z zarania mego życia, idące ku wcieleniu - przeczucie

droższe nad życie, a zwalczane podstępnie przez wrogie moce. Pobłogosław, Matko, mnie i

mojemu najdroższemu. Ach, jakżebym chciała na sercu Twym wypłakać całą radość nieba,

całe wesele najszczęśliwszego dziecka. Leonard jest zupełnie podobny do Francesca, tylko

nieco wyższy, wyraźnie też różni go od Francesca i od mnicha Medarda pewien

charakterystyczny rys, właściwy jego narodowości (wiesz, że jest Polakiem). Istotnie była to

głupota brać, choćby tylko przez chwilę, zdolnego, gładkiego, wspaniałego Leonarda za

zbiegłego mnicha. Ale tak silnie trwa jeszcze wspomnienie owych scen strasznych z naszego

zamku, że często, ilekroć Leonard przystąpi do mnie niespodziewanie i spojrzy na mnie swymi

promiennymi oczami, tak bardzo, za bardzo podobnymi do oczu Medarda, mimo woli napada
mię strach i grozi mi niebezpieczeństwo, że swym dziecinnym postępowaniem obrażę
narzeczonego. Mam wrażenie, że dopiero błogosławieństwo kapłańskie rozpędzi te ponure
postaci, które jeszcze teraz rzucają mi wrogo na moje życie niejeden cień pochmurny. Moja
droga Matko, polecam Twej modlitwie siebie i mojego najdroższego! Książę życzy sobie, by
nasz ślub odbył się wkrótce. Zapowiem ci dzień, byś myślała o mnie w tej tak uroczystej,
ważnej na całe życie godzinie!

Nie mogłem oderwać się od listu Aurelii. Powracałem do niego bez końca. Był mi on
zjawą z krainy aniołów i przenikał mnie niebem, gasząc przeczystą światłością wszelki
grzech, wszelką zbrodnię, wszelką chuć. Na widok Aurelii ogarniał mnie jakiś lęk święty; nie
odważałem się już więcej brać ją gwałtownie w ramiona i pieścić. Aurelia zauważyła zmianę
mojego postępowania. Przyznałem się w skrusze do kradzieży listu, przeznaczonego dla
przeoryszy; usprawiedliwiałem się tajemniczym musem, któremu nie mogłem się oprzeć,
niby niewidzialnej potędze sił wyższych, twierdziłem, że właśnie owa wyższa, kierująca
moim czynem potęga chciała mi powiedzieć o tej wizji przy konfesjonale, by mi dać poznać,
że nasze najściślejsze związki płyną z jej wiecznych wyroków.
- Tak, tak, dziecino ty moja najdroższa, główko ty moja święta - rzekłem - i ja raz śniłem
cudowny sen, w którym wyznałaś mi swą miłość, ale ja byłem nieszczęśliwym, przez los

zmiażdżonym mnichem, a pierś mi rwały tysiączne męki piekła. Ciebie to, ciebie kochałem w

bezimiennej tęsknocie; lecz zbrodnią, podwójną, piekielną zbrodnią była moja miłość, bo

byłem mnichem, a ty świętą Rozalią!

- O Boże - krzyknęła z przestrachem Aurelia - jakaś głęboka, niezbadana tajemnica wlecze się

za naszym życiem; nie poruszajmy, Leonardzie, zasłony, która ją otacza; kto wie, co

strasznego, co przeraźliwego kryje się za nią. Bądźmy pobożni i wierni swej miłości aż do

grobowej deski; tak oprzemy się ciemnej mocy, której duchy grożą nam zawistnie. Żeś list

mój przeczytał, to stać się musiało; ja sama musiałabym ci wyznać-wszystko; pomiędzy nami

nie może być tajemnicy. A jednak czuję, że i ty nie byłeś i nie jesteś szczerym - głos jakiś

mówi mi, że ciąży ci jakaś ponura przeszłość i walka nierozegrana; że nie śmiesz powiedzieć

wszystkiego. Lękasz się... Wiedz jednak, że szczere wyznanie przyniesie ci ulgę i jeszcze

bardziej kochać się będziemy.

Słysząc te słowa Aurelii uczułem ból w piersiach i gorzki żal: uczułem wyraźnie, że

duch kłamstwa jest we mnie; z obrzydzeniem pomyślałem, że jeszcze przed chwilą

oszukiwałem łajdacko to pobożne dziecko. Uczucie to wezbrało potężnie i, rosnąc coraz

bardziej, kazało mi wyznać wszystko przed Aurelią i mimo to zdobyć jej miłość.

Rozpocząłem wyznanie.

- Aurelio, ty, moja święta, ratujesz mnie od...

W tej chwili weszła księżna. Widok jej odrzucił mnie na powrót piekłu, powrócił mnie

szyderstwu i myślom zniszczenia. Musiała mnie teraz znosić ta dumna pani, musiała,

pozostawałem na dworze i stawałem naprzeciw niej jako mąż Aurelii. Ogółem biorąc, byłem

wolny od wszelkich złych myśli tylko wtedy, gdy sam na sam rozmawiałem z Aurelią; wtedy

byłem też szczęśliwy jak w niebie; dopiero teraz począłem serdecznie pragnąć małżeństwa z

Aurelią.

Pewnej nocy stanęła przede mną matka. Chciałem uchwycić ją za rękę, lecz na

próżno... Spostrzegłem, że to tylko mgła i czcze powietrze. "Dlaczego tak... Cóż to za

złudzenie?" - krzyknąłem rozgniewany. Rzęsiste łzy rzuciły się z oczu matki i płynęły,

zmieniając się w srebrne, jaśniejące gwiazdy, a całe to świateł płakanie trzepotało się wokół

mej głowy, składając glorię, świętych; lecz na próżno: nimb się nie złożył, bo rozdzierała go

zawistnie dłoń jakaś czarna i okropna.

"Poczęłam cię wolnym od wszelkiej winy - szeptał łagodny głos matki - czemużeś taki

złamany, że nie masz już sił do walki z pokusą szatańską? Umarłam, lecz widzę cię do głębi,

dopiero teraz widzę cię wyraźnie... Zbudź się, Franciszku, zbudź! Ustroję cię kwieciem i

wstążkami; nadszedł dzień świętego Bernarda; masz zostać znowu pobożnym dziecięciem!"

Powolny rzewnym rozkazom, zaintonowałem, hymn na cześć świętego, lecz zgłuszył

mnie huk piekielny i śpiew mój zmienił się w dzikie wycie; czarne welony wzniosły się

nieprzebitą ścianą pomiędzy mną a postacią matki. Widzenie prysło...

W kilka dni potem spotkałem się na ulicy z prokuratorem. Zbliżył się do mnie

życzliwie.

- Czy pan już wie - rzekł głośno, że proces kapucyna Medarda znowu się wikła? Już miał zapaść wyrok, najprawdopodobniej wyrok skazujący go na śmierć, gdy na nowo pokazały się objawy szaleństwa. Sąd kryminalny otrzymał wieści o śmierci jego matki; przyniosłem mu żałobną wiadomość, wtedy roześmiał się dziko i wybuchnął głosem, którego nigdy nie zapomnę: "Cha, cha, cha! Księżna już dawno umarła!" - i wymienił imię żony zamordowanego brata naszego księcia. Zarządzono nowe oględziny lekarskie; istnieje jednak przypuszczenie, że obłęd mnicha jest udany. Kazałem sobie wymienić dzień i godzinę śmierci mojej matki. Ukazała mi się w chwili samego skonu i wryła się głęboko w umysł i zmysły, bo też ta niestety zanadto zapomniana matka stała się pośredniczką pomiędzy mną a czystą, niebiańską duszą, co miała być moją.

Złagodniałem i zmiękło mi serce. Teraz dopiero zdawałem się zupełnie rozumieć miłość Aurelii; z trudem przychodziło mi oddalać się od niej, niby od jakiejś opiekunki świętej, a moja ponura tajemnica, o którą ona już nie pytała więcej, stała mi się zdarzeniem niezrozumiałym dla mnie samego i zaklętym przez najwyższe wyroki.

Nadszedł dzień ślubu, oznaczony przez księcia. Aurelia życzyła sobie, aby ślub odbył się rano, przed ołtarzem świętej Rozalii, w pobliskim kościele klasztornym. Noc spędziłem na czuwaniu i na gorącej, dawno już niemówionej modlitwie.

Zaślepieniec. Nie czułem, że modły, którymi przygotowywałem się do grzechu, były piekielną zbrodnią! Gdym pośpieszył do Aurelii, wyszła do mnie biało ubrana i w różach wonnych a w krasie aniołów. Jej strój i uczesanie włosów miały w sobie coś dziwnie starożytnego; ciemne wspomnienie przeszło mi przez oczy i zadrżałem nagle w najgłębszym dreszczu grozy, bom oto ujrzał obraz tego ołtarza, przy którym miał się, odbyć obrzęd naszych

zaślubin. Obraz przedstawiał męczeństwo świętej Rozalii, ubranej tak, jak Aurelia.

Trudno mi było ukryć posępne wrażenie, jakie to zrobiło na mnie. Aurelia podała mi rękę ze spojrzeniem, z którego promieniało całe niebo miłości i szczęścia. Przyciągnąłem ją ku sobie i przytuliłem do piersi.

Z pocałunkiem najczystszego zachwytu przeniknęło mnie na nowo to wyraźne uczucie, że tylko przez Aurelię może być zbawiona dusza moja smutna.

Sługa książęcy oznajmił, że księstwo czekają na nasze przyjęcie. Aurelia naciągnęła szybko rękawiczki; podałem jej ramię. Wtem garderobiana spostrzegła, te włosy Aurelii są w nieładzie, i skoczyła szybko po szpilki. Zaczekaliśmy przy drzwiach, ale zwłoka to zdawała się być nieprzyjemna Aurelii. Nagle gwar stłumiony rozległ się na ulicy: jakieś krzyki mieszały się bezładnie i dał się słyszeć dudniący turkot ciężko toczącego się wozu. Pobiegłem do okna! Właśnie przed pałacem zatrzymał się eskortowany przez kata wóz drabiniasty, na którym siedział mnich, obrócony tyłem do konia, a przed nim kapucyn modlący się z nim głośno i gorliwie: Był zmieniony przez bladość śmiertelnej trwogi i brodę najeżoną - lecz zbyt dokładnie poznałem rysy swojego sobowtóra. Skoro tylko koła, chwilowo zatrzymane przez tłoczące się masy ludu, ruszyły dalej w drogę, rzucił ku mnie do góry szklane, przeraźliwe spojrzenie błyszczących oczu, zaśmiał się i zawył potwornie:

- Małżonku, małżonku!... chodź, chodź na dach... pod wieżę, wzwyż, stoczymy bój - kto kogo strąci, ten będzie król... dostanie krwi!...

Krzyknąłem rozpaczliwie:

- Potworny człeku, czego chcesz.. czego chcesz ode mnie?!

Aurelia pochwyciła mnie w ramiona i odciągnęła gwałtownie od okna, wołając:

- Na Boga, na Pannę Najświętszą... Oni prowadzą Medarda... mordercę mojego brata, na śmierć... Leonardzie, Leonardzie!

Lecz oto nadeszła chwila: zbudziły się, och! Zbudziły się we mnie wszystkie furie piekła; piekło upomniało się przepotężnie o łajdaka, o przeklętego grzesznika. Szarpnąłem

Aurelię z wściekłością, aż jęknęła.

- Cha, cha, cha!... wariatko, głupia kobieto... ja... ja, twój kochanek, twój mąż, jestem

Medardem... jestem mordercą twojego brata, a ty, żona mnicha, chcesz ściągnąć nieszczęście na swego męża! Ho, ho, ho, jestem król... dostanę twej krwi!

Wyciągnąłem morderczy nóż, skierowałem go w pierś Aurelii padającej na ziemię.

Cios był straszny, strumień krwi padł mi na ręce. Rzuciłem się ku schodom, przez tłum, ku wozowi; dorwałem się do mnicha i rzuciłem nim o ziemię; w tejże chwili ujęto mnie; rozwścieczony, uderzałem nożem na oślep, dokoła, wydarłem się, skoczyłem przed siebie, naparto na mnie, uczułem w boku ból zadanej rany, lecz z nożem w prawej ręce, lewą gruchocąc i waląc pięściami, przebiłem się wskroś zbiegowiska aż do muru parku i przesadziłem go straszliwym skokiem.

- Mord... Mord... Chwytajcie... Chwytajcie! - wrzeszczano za mną. Usłyszałem łoskot: chciano wyważyć zamkniętą bramę ogrodu. Pędziłem... uciekałem na łeb, na szyję...

Dopadłem szerokiej fosy, oddzielającej park od lasu; potężny skok - już byłem po drugiej stronie i puściłem się w las, gnając na oślep, coraz dalej, coraz dalej i dalej, aż wyczerpały się siły moje i padłem pod jakimś drzewem. Już było późno w nocy, gdy zbudziłem się jakby z głębokiego osłupienia. Tylko myśl, że mam uciekać niby ścigane zwierzę, stała nade mną, jak dusza nad trupem. Podniosłem się, lecz zaledwie zrobiłem kilka kroków, człowiek jakiś,

wydzierając się z szelestem z krzaków, skoczył mi na plecy i zarzucił ramiona około szyi.

Szarpnąłem się, by go otrząsnąć ze siebie; szamotałem się i wiłem, lecz na próżno. Rzuciłem się na ziemię, tarzałem się plecami po drzewach - wszystko nadaremnie. Człowiek śmiał się szyderczo. Księżyc wyjrzał spoza gąszczy czarnych jodeł i rzucił nieco więcej światła. Trupio blada, ohydna twarz mnicha, rzekomego Medarda, sobowtóra, utkwiła we mnie nieruchome oczy, jak tam, przed pałacem, z wozu.

- Hi, hi, hi!... braciszku, braciszku... zawsze i zawsze z tobą, przy tobie... nie puszczę cię, nie puszczę, nie... Nie mogę la-la-tać, jak ty mu-musisz mnie no-nosić... Przychodzę spod szubienicy, chcieli mnie ła-łamać kołem... hi, hi...

Tak śmiała się i wyła potworna istota, a jam porwał się w dzikim przestrachu i skoczyłem w górę jak tygrys, ściśnięty i party skrętami boa-dusiciela! Tarzałem się po drzewach i skałach, aby go, jeśli już nie zabić, to przynajmniej tak zranić diabelnie, by puścił się rękami mej szyi i grzmotnął o ziemię. Lecz on zaciął się w śmiechu i trząsł brzuchem, rozbłaznowany nad moim rosnącym bólem. Więc sięgnąłem rękami do rąk upiora, splecionych pod moją brodą, targałem je i szarpałem je wściekle, lecz morderczo splecione piszczele poczęły zaciskać mi gardło i groziły uduszeniem. W końcu, po całej serii szalonych wysiłków spadł ze mnie... Puściłem się pędem, lecz zaledwie ubiegłem trzy kroki, siedział mi znowu na plecach, wiercąc się, śmiejąc i rzygając owym jąkaniem potwornym. I znowu walka - znowu wściekłe wysiłki - i wyzwolenie - i na powrót ręce zaciśnięte na gardle, diabelska zmora na karku. Nie wiem, jak długo to trwało, jak długo pastwił się nade mną sobowtór, jak długo uciekałem przez las, zdaje mi się tylko, że całe miesiące rwałem się i gnałem bez jedzenia i picia. Pamiętam tylko jedną jaśniejszą chwilę, po której padłem nieprzytomny.

Właśnie udało mi się zrzucić sobowtóra, gdy promień słońca wdarł się w gęstwinę leśną, a za nim spłynęło

wołanie dzwonów.

To w klasztorze dzwoniono na jutrznię. “Zabiłeś Aurelię!" Myśl ta chwyciła mnie lodową ręką za piersi - runąłem bez zmysłów na ziemię.

ROZDZIAŁ II

POKUTA

Łagodne ciepło wypełniało mą duszę, czułem w żyłach jego podniecające działanie.

Uczucie to wypełniało mnie. Każda cząsteczka miała własną świadomość życia we własnym zakresie ruchu i nadaremnie głowa rozkazywała członkom, co niby zbuntowani wasale nie chciały się gromadzić pod jej znakami. Myśli poszczególnych części poczęły wirować jak świecące punkty, coraz szybciej i szybciej, aż powiązały się w ogniste koło, malejące w miarę wzrostu szybkości; nareszcie z koła zrobiła się stojąca w miejscu, kula ognia, a z niej strzelały różowe promienie i wibrowały w kolorowej grze świateł. "Oto są moje członki! Jakże się ruszają! Teraz się budzę." Pomyślałem to zupełnie wyraźnie, lecz w tejże chwili przeniknął mnie gwałtowny ból i jasny dźwięk dzwonów uderzył mi w uszy. "Uciekać - dalej uciekać!" - krzyknąłem głośno, chciałem się zerwać, lecz padłem wyczerpany na powrót na plecy.

Dopiero teraz mogłem otworzyć oczy: Bicie dzwonów trwało dalej - mniemałem, że jestem jeszcze w lesie; lecz jakże się zdziwiłem, gdym ujrzał otaczające mnie przedmioty i siebie samego. Leżałem w habicie kapucyńskim w skromnej, wysokiej izbie, rozciągnięty na dobrze wypchanym materacu. Kilka stołków plecionych z trzciny, mały stół i ubogie łóżko były jedynymi przedmiotami, które się w izbie znajdowały.

Było mi jasnym, że mój stan nieprzytomności trwał długo i że mnie w nim przeniesiono do klasztoru przyjmującego chorych. Być może, iż miałem szaty podarte i dano mi na razie habit. Zdawało mi się, że uszedłem przed niebezpieczeństwem. To przypuszczenie uspokoiło mnie zupełnie i postanowiłem przeczekać, bo mogłem się

spodziewać, że wkrótce przyjdzie ktoś zajrzeć do chorego. Byłem bardzo osłabiony, lecz nie czułem żadnego bólu.

Zaledwie kilka minut leżałem tak samotnie po przyjściu do przytomności, gdy posłyszałem czyjeś kroki, zbliżające się przez długi korytarz. Otwarto drzwi i ujrzałem dwóch mężczyzn, z których jeden był ubrany po świecku, a drugi miał na sobie habit bonifratrów. Przystąpili ku mnie w milczeniu; człowiek świecki spojrzał mi bystro w oczy i zdziwił się.

- Przyszedłem znowu do siebie, mój panie - począłem słabym głosem. - Niebu niech będą dzięki za powrócenie mnie do życia, lecz gdzie się znajduję? Jakże tu przyszedłem?

Nie dając mi żadnej odpowiedzi zwrócił się człowiek świecki do duchownego i rzekł po włosku:

- Istotnie, rzecz podziwu godna; wzrok zupełnie zmieniony, mowa czysta, tylko osłabienie... widocznie nastąpił jakiś szczególny kryzys.

- Zdaje mi się - odrzekł zakonnik - że wyzdrowienie nie pozostawia już żadnych wątpliwości.

- To będzie zależało - odpowiedział człowiek świecki - od tego, jak się będzie zachowywał przez dni następne. Czy umiecie, ojcze, choć tyle po niemiecku, by z nim porozmawiać?

- Niestety nie - brzmiała odpowiedź.

- Ja rozumiem i mówię po włosku - odezwałem się nagle - proszę mi powiedzieć, gdzie jestem i jak się tu dostałem?

Radosne zdziwienie odbiło się na twarzy człowieka świeckiego, jak się domyśliłem, lekarza.

- Ach - zawołał - to dobrze, to wybornie. Jesteście w miejscu, gdzie się wszelkimi siłami troszczą o wasze zdrowie. Przyniesiono was przed trzema miesiącami w stanie dającym wiele do myślenia. Przebyliście ciężką chorobę, ale dzięki naszej troskliwej pielęgnacji zdajecie się przychodzić zwolna do zdrowia. Jeżeli los pozwoli wam

wyzdrowieć zupełnie, będziecie mogli spokojnie puścić się w da1szą podróż, bo, jak słyszę, udajecie się do Rzymu?

- Czyżbym tu przybył do was w tych szatach, które mam na sobie? - spytałem z kolei.

- Oczywiście - odpowiedział lekarz - ale dajmy spokój pytaniom; spokój przede wszystkim; dowiecie się o wszystkim, co należy, lecz teraz troska o zdrowie jest najważniejsza.

Wziął mnie za puls, a tymczasem zakonnik przyniósł mi filiżankę z jakimś napojem.

- Pijcie - rzekł lekarz - i powiedzcie, co to jest, co pijecie?

Skosztowawszy odpowiedziałem:

- Rosół, i to wcale mocny.

Lekarz uśmiechnął się z zadowoleniem i rzekł do towarzysza:

- Dobrze, zupełnie dobrze - Wyszli obaj. A więc słuszne było moje przypuszczenie.

Znajdowałem się w publicznym szpitalu. Leczono mnie metodą intensywnego odżywiania i mocnych leków, tak że po trzech dniach mogłem już wstać. Zakonnik otworzył okno. Ciepłe, wspaniałe powietrze, jakim jeszcze nigdy nie oddychałem, wpłynęło do izby.

Ogród przylegał do gmachu szpitalnego; wspaniałe, obce drzewa zieleniły się i kwitły; winograd piął się bujnie po murze; przede wszystkim jednak niebo, ciemnobłękitne, pachnące niebo! Patrzyłem w nie jak w zjawę z dalekiej krainy czarów.

- Gdzież jestem? - krzyknąłem w zachwycie. - Czyżby już święci uznali mnie godnym mieszkania w niebie?

Bonifrater uśmiechnął się błogo i rzekł:

- We Włoszech, bracie, we Włoszech!

Zdziwienie moje nie miało granic. Prosiłem usilnie zakonnika, by mi dokładnie opisał okoliczności mojego przybycia do tego domu. Odesłał mnie do doktora. Ten powiedział mi w końcu, że przyniósł mnie tu przed trzema miesiącami jakiś dziwny człowiek i prosił, by mnie przyjęto;

znajduję się mianowicie w szpitalu, pozostającym pod zarządem bonifratrów.

Zauważyłem, że doktor i zakonnik wszczynają ze mną rozmaite rozmowy i dają mi doskonałą sposobność do długich opowiadań, w miarę jak przychodziłem do zdrowia i do sił. Moje rozległe wiadomości z najrozmaitszych dziedzin wiedzy dawały mi do nich bogaty materiał, a doktor nalegał na mnie, bym spisywał niektóre rzeczy, a następnie odczytywał mi to i zdawał się być bardzo zadowolonym. Uderzała mnie tylko jedna okoliczność, zauważyłem, że zamiast chwalić moje elaboraty, wykrzykiwał: "Zaiste... doskonale... nie myliłem się... cudownie.., cudownie..." W pewnych godzinach mogłem wychodzić do ogrodu, gdzie spotykałem często straszliwie zmienionych, śmiertelnie bladych, wyschniętych jak szkielety ludzi w towarzystwie bonifratrów. Aż raz... - właśnie miałem wracać do domu, gdy zaszedł mi drogę jakiś wysoki, chudy człowiek w dziwacznym, ziemistej barwy płaszczu, prowadzony pod ramiona przez dwóch zakonników; za każdym krokiem robił skok zabawny i pogwizdywał przeraźliwym głosem. Stanąłem, zdjęty zdumieniem, lecz zakonnik towarzyszący mi na przechadzce pociągnął mnie szybko mówiąc:

- Chodź, chodź, kochany bracie Medardzie, to nie dla ciebie.

- Na Boga! - krzyknąłem - skąd znasz moje imię? Gwałtowność, z jaką rzuciłem mu te słowa,

zaniepokoiła mojego towarzysza.

- Ej - rzekł - jakże go znać nie mamy? Człowiek, który was tu przywiódł, wymienił je wyraźnie i zostaliście wpisani w registrze domowym jako Medard, kapucyn z B.

Dreszcz lodowaty przeleciał mi po kościach. Lecz kimkolwiek byłby ów nieznajomy, który mnie przyniósł do zakładu, choćby nawet znał moją potworną tajemnicę - mniejsza o to - widocznie nie życzył mi źle, skoro tak

przyjacielską oddał mi przysługę; w każdym razie jestem wolny.

Leżałem w otwartym oknie, wdychając pełną piersią wspaniałe, ciepłe powietrze, co płynąc przez płuca i krew niosło i rozbudzało nowe życie w łonie. Na drodze wiodącej do zakładu ukazała się jakaś mała, wyschnięta figurka w spiczastym kapelusiku na głowie, przyodziana w ubogi, wyszarzały surdut; zbliżała się, raczej skacząc i podrygując niż idąc.

Ujrzawszy mnie poczęła machać kapeluszem i posyłać mi ręką całusy. Człowiek ten miał w sobie coś znajomego, lecz nie mogłem dokładnie rozpoznać rysów twarzy; zniknął pomiędzy drzewami, zanim mogłem sobie przypomnieć, kto by to mógł być. Po chwili jednak zapukał ktoś do moich drzwi; otworzyłem, a w progu stanęła ta sama figura, którą widziałem w ogrodzie.

- Schönfeld - krzyknąłem ze zdumieniem - Schönfeld... Skądże się tu wziąłeś, gadaj na miłość boską!

Był to ów krotochwilny fryzjer z miasteczka handlowego, który mnie ongi wyratował z wielkiego niebezpieczeństwa.

- Ach, ach... ach! - westchnął, a twarz mu się komicznie ściągnęła do płaczu - skądżebym się tu wziął, wielebny ojcze, skądżebym się mógł tu wziąć, jak nie rzucony, ciśnięty ręką złego przeznaczenia, co prześladuje każdego geniusza! Musiałem uciec z powodu pewnego morderstwa...

- Z powodu morderstwa? - przerwałem mu gwałtownie.

- Tak, tak jest, z powodu morderstwa... - odpowiedział skwapliwie. - W przystępie gniewu zadałem śmierć lewej bokobrodzie nowomianowanego radcy, komercyjnego a prawą poraniłem nieszczęśliwie.

- Proszę bardzo - przerwałem mu znowu - zaniechaj pan krotochwil i zachowuj się choć raz rozsądnie; opowiadaj pan logicznie lub idź sobie, skądżeś przyszedł.

- Ej, kochany bracie Medardzie - począł mówić, poważniejąc nagle - odsyłasz mnie do diabła, kiedyś już

wyzdrowiał, a musiałeś mnie cierpieć przy sobie, gdyś leżał chory, a ja spałem w tym oto łóżku, jako twój towarzysz.

- Co to ma znaczyć? - zawołałem zmieszany - skąd to imię Medard?

- Spójrzcie ojcze, z łaski swojej - rzekł śmiejąc się - na prawy róg swego habitu!

Spojrzałem i struchlałem z trwogi i przerażenia, bom spostrzegł, że było tam wyszyte imię Medard, a po dokładniejszej obserwacji niezawodne znaki przekonały mnie, że miałem na sobie ten sam habit, który ukryłem był w otworze spróchniałego drzewa podczas ucieczki z zamku barona von F. Schönfeld zauważył moje wewnętrzne zakłopotanie i uśmiechnął się dziwnie; przykładając palec do nosa i stając na palcach, spojrzał mi w oczy; milczałem; wtedy począł mówić po cichu i powoli:

- Dziwicie się, wielebny ojcze; widocznie dziwicie się tej pięknej sukni, którą wam wdziano; dziwnie wam w niej do twarzy i dziwnie dobrze na was leży, lepiej niż owo orzechowe ubranie z nędznymi nicianymi guzikami, które wam zrobił mój czcigodny, rozsądny Damon...

Ja to, ja... zapoznany Pietro Belcampo okryłem waszą nagość tą szatą. Bracie Medardzie!

Znajdowałeś się w nieszczególnym stanie, bo za surdut, spencer, angielski frak służyła wam po prostu wasza własna skóra, a o porządnej fryzurze nie było nawet co marzyć, boście, odbierając mi chleb niegodną konkurencją, obsługiwali sami swoje karakalla dziesięciu zębami grzebienia, co wam wyrasta u dłoni.

- Dajże spokój tym żartom, dajże już spokój, Schönfeld...

- Nazywam się Pietro Belcampo - przerwał mi rozzłoszczony - tak jest, Pietro Belcampo, tu, we Włoszech... Lecz wiedz, Medardzie, że ja to, ja sam jestem ową głupotą, co zawsze i wszędzie stoi za tobą, aby nieść pomoc twemu rozumowi, i możesz mi wierzyć lub nie, lecz w głupocie tylko znajdujesz ratunek, bo twój rozum to strasznie marna rzecz i nieporadna...

Błąka się to tu, to tam, jak bezradny malec, i w końcu musi zawsze wchodzić w kompanię z głupotą; ta dopiero pomaga mu wspaniałomyślnie i naprowadza na właściwą drogę, na drogę do ojczyzny, chciałem powiedzieć: do szpitala wariatów, do którego doszliśmy sprawiedliwie ja i ty, mój braciszku Medardzie.

Zadrżałem i skupiłem się w sobie; pomyślałem o tej postaci, którą widziałem niedawno, o tym człowieku w ziemistym płaszczu, o jego skokach i gwizdku i nie miałem wątpliwości, że Schönfeld przy całym swym obłędzie mówi mi prawdę.

- Tak, mój braciszku Medardzie - mówił dalej Schönfeld podniesionym głosem, żywo gestykulując - tak, mój kochany braciszku. Głupota jawi się na ziemi jako prawdziwa królowa duchów. Rozum jest tylko niedbałym namiestnikiem, który nie troszczy się zupełnie o to, co się dzieje poza granicami państwa, z nudów tylko każe ćwiczyć żołnierzy na placu paradowym, i to tak, że oczywiście nie umieją nawet strzelać porządnie, gdy nieprzyjaciel naciera już z zewnątrz.

Ale oto wtedy nadciąga głupota, prawdziwa królowa narodu; z bębnami i trąbami: hejże ino, hejże ha! Tuż za nią radość, zabawa. Wasale podnoszą się z miejsc, gdzie ich zamknął rozum, i nie chcą już stać, siedzieć i leżeć według fantazji ochmistrza; ten przegląda numery i mówi: "Patrzcie no, głupota porwała mi najlepszych uczniów, zwariowali, zupełnie zwariowali!" To gra słów, braciszku Medardzie; gra słów to rozpalone żelazka w ręku głupoty, którymi kręci się myśl.

- Jeszcze raz - rzekłem, przerywając gadaninę głupkowatego Schönfelda - jeszcze raz proszę, zaniechaj pan tego bezsensownego paplania i, jeśli możesz, powiedz mi, jak tu przybyłeś i co wiesz o mnie i o sukni, którą noszę.

To mówiąc chwyciłem go za obie ręce i wcisnąłem go w krzesło. Przymknął oczy, zaczerpnął głęboko powietrza i zamyślił się.

- Uratowałem wam, ojcze - począł głosem cichym, a słabym - uratowałem wam po raz drugi życie, ja to bowiem pomogłem wam uciec z miasta handlowego i znowu ja przyniosłem was tutaj.

- Ale na miłość boską, na wszystkich świętych, gdzieżeś mnie znalazł? - zawołałem głośno, puszczając go; lecz w tejże chwili zerwał się i krzyknął wpijając we mnie rozpalone oczy:

- Ej, bracie Medardzie, gdybym cię ja, taki mały i słaby, jak jestem, nie był wyniósł na swych plecach, leżałbyś teraz z połamanymi członkami na kole.

Zadrżałem i padłem na krzesło jak zdruzgotany; w tejże chwili otworzyły się drzwi i do izby wpadł pielęgnujący mnie zakonnik.

- Co pan tu robisz? Kto panu pozwolił wchodzić do tego pokoju? - krzyknął na Belcampa; temu jednak trysnęły łzy z oczu i rzekł błagalnym głosem:

- Ach, wielebny mój ojcze, nie mogłem już dłużej wytrzymać, musiałem odwiedzić przyjaciela, którego wydarłem śmierci.

Nabrałem odwagi i spytałem zakonnika:

- Powiedz mi, kochany bracie, czy istotnie przyniósł mnie tutaj ten człowiek?

Zająknął się.

- Wiem już teraz, gdzie jestem - mówiłem w dalszym ciągu - i przypuszczam, że znajdowałem się w najstraszliwszym stanie, jaki może istnieć, lecz widzicie, że powróciłem zupełnie do zdrowia i dlatego powinienem dowiedzieć się o wszystkim, o czym dotychczas umyślnie zamilczano przede mną, aby mnie nie drażnić.

- Tak jest, w istocie - odpowiedział zakonnik - ten człowiek przyniósł cię do naszego zakładu mniej więcej trzy miesiące temu. Znalazł cię, jak to sam powiada, prawie martwego w lesie, który o cztery mile stąd zamyka nasz obwód; rozpoznał w tobie swego znajomego, kapucyna

Medarda z klasztoru w B., który w drodze do Rzymu przechodził przez jego miasto.

Znajdowałeś się w stanie najzupełniejszej apatii. Szedłeś, gdy cię prowadzono, stawałeś, gdy cię puszczono, siadałeś, kładłeś się, gdy ci nadano kierunek. Musiano ci wlewać do ust pokarmy i napoje. Wydawałeś tylko głuche dźwięki, pozbawione znaczenia; oczy zdawały się nic nie widzieć. Belcampo nie opuścił cię, lecz strzegł wiernie, dopóki się dało. Po czterech tygodniach popadłeś w najstraszliwszy szał i musiano cię zamknąć w jednej z osobnych izb, przeznaczonych na takie cele. Byłeś podobny do dzikiego zwierza, lecz nie będę ci już dłużej opisywał stanu, którego wspomnienie musi ci być przykre. Po czterech tygodniach powróciła znowu owa apatia, przechodząc następnie w zupełne odrętwienie, z którego zbudziłeś się zdrowy.

W czasie opowiadania zakonnika siedział Schönfeld spokojnie, jakby pogrążony w głębokiej zadumie, oparłszy głowę na ręce.

- O, tak - począł mówić - wiem ci ja dobrze, że jestem niedorzecznym głupcem, ale cóż, aura domu wariatów, działająca zgubnie na rozsądnych ludzi, na mnie wpływa zbawiennie.

Poczynam rezonować nad sobą samym, a to już znak nienajgorszy. Jeśli w ogóle istnieję tylko przez swą własną świadomość, to wynika z tego, że ta świadomość zdziera ze świadomego błazeństwa czapkę i oto stoję przed wami jako solidny gentleman. Ale, na Boga, czyż genialny fryzjer nie jest już sam dla siebie i przez siebie ustatkowanym zającem? Ta zajęczość broni od wszelkiej wariacji i mogę zapewnić was, wielebny ojcze, że nawet o północy przy wichrze północno-zachodnim potrafię odróżnić wieżę kościelną od latarni.

- Czy tak jest w istocie - rzekłem - należałoby dowieść; uda się to panu, jeśli mi spokojnie i logicznie opowiesz, jak mnie znalazłeś i jak mnie tu dostawiłeś.

- I owszem, zgoda - odpowiedział Schönfeld - choć ojciec duchowny ma strasznie markotną minę. Pozwól tylko, bracie Medardzie, abym ci mówił poufale "ty", jako swojemu pupilowi...

Zaraz rano, po twej ucieczce nocnej, zniknął też i ów nieznany malarz ze swoim zbiorem obrazów; gdzie i jak, nikt się nie dowiedział. Wkrótce przycichło o wszystkim i pod wpływem nowych zdarzeń zatarło się pierwsze wrażenie całej awantury. Dopiero gdy rozeszła się wiadomość o morderstwie, spełnionym na zamku barona F., a sądy poczęły ścigać listami gończymi mnicha Medarda z klasztoru kapucynów w B., przypomniano sobie, że malarz opowiedział całą historię w winiarni i poznał w tobie brata Medarda. Właściciel hotelu, w którym mieszkałeś, potwierdził przypuszczenie, że ci pomogłem w ucieczce.

Zwrócono na mnie uwagę, chciano mnie nawet zamknąć w więzieniu. Nietrudno mi było powziąć zamiar ucieczki od tego życia, co mnie tak bardzo przygniatało do ziemi.

Postanowiłem udać się do Włoch, gdzie istnieją opaci i fryzury. Po drodze ujrzałem cię w rezydencji znanego ci księcia. Mówiono o twoim ślubie z Aurelią i o straceniu mnicha

Medarda. Widziałem też tego mnicha - no i niech mu będzie jak chce, co do mnie, uważam cię za prawdziwego Medarda. Zaszedłem ci naumyślnie drogę, lecz ty nie spostrzegłeś mnie, i opuściłem rezydencję, by udać się w dalszą podróż. Po długiej wędrówce wkroczyłem o brzasku w jakiś las, co leżał przede mną czarny i ponury. Przedzierałem się wśród mroków.

Właśnie rozbłysły pierwsze promienie słońca, gdy w gęstych zaroślach rozległ się szelest i jakiś człowiek z rozwichrzonymi włosami i brodą, ale wytwornie ubrany, przemknął tuż obokmnie. Wzrok miał dziki i niepewny. Za chwilę zniknął. Szedłem dalej, lecz jakże się przeraziłem, gdy tuż przed sobą ujrzałem nagiego człowieka, rozciągniętego na ziemi. Zrazu myślałem, że dokonano

jakiejś zbrodni, a uciekinier ów był mordercą. Pochyliłem się nad nagą postacią, poznałem ciebie i posłyszałem, że lekko oddychasz. Tuż koło ciebie leżał habit zakonny, który masz teraz na sobie. Z trudem zarzuciłem go na ciebie i powlokłem cię dalej.

W końcu zbudziłeś się z głębokiej niemocy, lecz pozostałeś w stanie opisanym właśnie przez wielebnego ojca. Niemało miałem trudu z prowadzeniem cię dalszą drogą i dopiero pod wieczór zdążyłem dojść do jakiejś karczmy, leżącej w środku lasu. Pijany sennością zostawiłem cię na murawie, a sam udałem się, aby kupić coś do jedzenia i picia. W karczmie siedzieli dragoni, którzy, jak mi powiedziała gospodyni, mieli aż do granicy tropić jakiegoś mnicha, który w niepojęty sposób zdołał uciec w chwili, gdy miał być stracony za jakąś ciężką zbrodnię. Było dla mnie tajemnicą, w jaki sposób z rezydencji dostałeś się do lasu, lecz przekonanie, że właśnie ty jesteś tym Medardem, którego szukają, kazało mi użyć wszelkich środków ostrożności, by cię wyrwać z niebezpieczeństwa, jakie ci zagrażało.

Manowcami przeprowadziłem cię przez granicę i przybyłem w końcu do tego szpitala, gdzie przyjęto ciebie i mnie, bo oświadczyłem, że się z tobą nie rozłączę. Tu byłeś bezpiecznym, bo w żaden sposób nie wydano by chorego obcym sądom. Z twoimi pięcioma klepkami było nienajlepiej, gdym tu, w tej izbie mieszkał z tobą i miał o ciebie staranie... I ruchy twych członków nie zdobyłyby ci sławy; Noverre i Vestris mieliby cię w głębokiej pogardzie; głowa zwisała ci na piersi, a kiedy próbowano cię wyprostować, to przechylałeś się w przeciwną stronę, jak bezwładna kula. I z darem wymowy sprawa kiepsko wyglądała, bo byłeś tak przeklętym jednosylabowcem, że całymi godzinami powtarzałeś tylko "hu, hu!" lub "Me...me...", z czego oczywiście nie można było zrozumieć, czego sobie życzysz i o czym myślisz, i bez żadnej ujmy dla ciebie można było sądzić, że i wola, i myśl odmówiły ci posłuszeństwa i poczynały sobie na własną rękę czy na

własną nogę. Aż raz nabrałeś nadzwyczajnej fantazji i humoru, zachciało ci się skakać po powietrzu, począłeś szczekać z serdecznego zachwytu i najnieprzyzwoiciej zrywać z siebie habit, by się wyzwolić z wszelkich więzów - no, a twój apetyt...

- Przestań no, Schönfeld - przerwałem przykremu żartownisiowi - przestań! Już mi opowiedziano o przeraźliwym stanie, w jaki popadłem. Niech będą dzięki odwiecznej cierpliwości i łasce Boga, niech będą dzięki Matce Boskiej i świętym za to moje uratowanie.

- Ej, wielebny ojcze - uśmiechnął się Schönfeld-. i cóż ci przyjdzie z tego? Mam na myśli tę szczególną funkcję duszy, którą nazywają świadomością, a która nie jest niczym innym, jak przeklętą czynnością przeklętego rogatkowego akcyźnika, kontrolera, co się rozłożył w swej kancelaryjce i na każdy towar, który ma być wyniesiony, woła: "Hej, hej, wywóz wzbroniony, w kraju zostaniesz, w kraju..." Najpiękniejsze klejnoty rzuca się w ziemię jak najpodlejsze ziarno, a z zasiewu wyrastają w najlepszym razie buraki, z których praktyczność wyciska pod ciężarem tysiąca cetnarów ćwierć uncji kiepskiego cukru... Hej, hej... a przecież z takiego wywozu powinien by się rozwinąć handel z tym boskim miastem, co jest tam w górze, nad nami, gdzie wszystko jest piękne i wspaniałe. O Boże na wysokim niebie, wszystek mój najdroższy puder á la Marechal lub á la Pompadour, czy wreszcie á la reine de Golconde, rzuciłbym w rzekę, w najgłębszym jej miejscu, gdybym przynajmniej przez ten handel przewozowy mógł dostać stamtąd kwinteczkę słonecznej sztabki do popudrowania peruk uczonych profesorów, a przede wszystkim mojej własnej. Co mówię? Gdyby wam, o najczcigodniejszy z wielebnych mnichów, mój Damon zamiast fraka o barwie pchły mógł był skroić słoneczną okrywkę, w jakiej siedzą na stołkach bogaci, butni obywatele boskiego miasta, byłoby się wszystko miało inaczej, o ile chodzi o przyzwoitość i

godność; a tak wzięto cię za zwykłego glebae adscriptus, a diabła za twojego cousin germain.

Schönfeld powstał i począł się przechadzać szybko, a raczej skakać z jednego kąta pokoju do drugiego, strojąc pocieszne miny. Popadł w trans, zachęcając się, jak zwykle, głupstwem do głupstwa... Ująłem go mocno za obie ręce i rzekłem:

- Jak widzę, chcesz mnie zluzować i zająć tu moje miejsce. Czyż nie możesz choć minutę być poważnym i powstrzymać się od krotochwil?

Uśmiechnął się w dziwny sposób i rzekł:

- Czyżby wszystko, co mówię przy wenie, było trzy po trzy...?

- To właśnie jest twoim nieszczęściem - odpowiedziałem - że twoja paplanina ma często jakieś głębsze znaczenie, lecz wszystko, co mówisz, zmieniasz zaraz w tandetę niechlujną przeróżnych odpadków i tak najeżasz świecidełkami, że słuszna i dobra w kolorze myśl staje się śmieszną i niepozorną, jak suknia obwieszona pstrymi gałgankami. Jak pijak, nie możesz iść prosto, lecz skaczesz to tu, to tam, droga, po której idziesz, jest zawsze krzywa!

- A co to jest droga? - przerwał mi Schönfeld cichutko, z kwaśno-słodkim uśmiechem. - Co to jest droga, wielebny kapucynie? Droga każe z góry przypuszczać jakiś cel, do którego prowadzi. A jestżeś pewny swojego celu, kochany mnichu? Czy się nie lękasz czasem, że sobie podjadłeś za mało kociego móżdżku, a za to w oberży, tuż przy wytkniętym sznurze, użyłeś sobie zbytnio na spirytualiach - i oto niby cierpiący na zawrót głowy blacharz na wieży, widzisz dwa cele, nie wiedząc, który z nich jest prawdziwy? Zresztą, kapucynie, wybacz, że z racji mego zawodu szafuję krotochwilą, niby przyjemną przyprawą, jak pieprz hiszpański do kalafiora. Bez tego byłby artysta od włosów marną figurką, nędznym głuptasem, noszącym przywilej w kieszeni bez wyzyskania go na własną korzyść i zabawę.

Zakonnik spoglądał z uwagą już to na mnie, już na grymasy Schönfelda, nie rozumiał ani słowa, ponieważ mówiliśmy po niemiecku; teraz przerwał naszą rozmowę.

- Wybaczcie, moi panowie, obowiązek każe mi przerwać tę rozmowę, która żadnemu z was nie może wyjść na dobre. Jesteście jeszcze, mój bracie, za słabi, by tak długo rozprawiać o rzeczach wywołujących, jak się zdaje, bolesne wspomnienia z waszej przeszłości; z czasem dowiecie się o wszystkim od swego przyjaciela, boć on was nie opuści i pójdzie z wami dalej, gdy po zupełnym powrocie do zdrowia opuścicie ten zakład. A pan - tu zwrócił się do Schönfelda - pan masz sposób opowiadania zdolny najzupełniej wszystko, o czym pan prawisz, stawić słuchaczowi żywo przed oczyma. W Niemczech uchodzisz pan z pewnością za wariata, u nas wzięto by pana niewątpliwie za błazna. Zrobisz pan świetną karierę w komicznym teatrze.

Schönfeld gapił się na niego szeroko otwartym oczyma, jak gapiące się dzieci, potem podniósł się na palcach, splótł ręce nad głową i krzyknął po włosku:

- O głosie wieszczy, głosie przeznaczenia - przemówiłeś do mnie przez usta tego czcigodnego człowieka... Belcampo... Belcampo... jakżeś mógł tak zapoznać własne powołanie... stało się... kości już rzucone!

To mówiąc skoczył ku drzwiom i zniknął. Na drugi dzień wszedł do mej izby, gotowy do drogi.

- Kochany bracie Medardzie - rzekł z patosem - jesteś zupełnie zdrowy i nie potrzebujesz już moje pomocy; idę więc, śpieszę, dokąd mnie wzywa najgłębsze powołanie... Bądź zdrów...

Pozwól mi jednak, bym po raz ostatni dokonał na tobie tajemnic mej sztuki, która mi się teraz zresztą wydaje marnym rzemiosłem.

Wyciągnął brzytwę, nożyczki .i grzebień i wśród tysiąca grymasów i krotochwilnych przemówień doprowadził moją tonsurę i brodę do porządku. Człowiek ten był mi

niemiłym, pomimo wierności, jaką mi okazał, byłem więc zadowolony, gdy mnie pożegnał.

Lekarz pomógł mi niemało wzmacniającymi lekarstwami; dostałem zdrowszej cery i coraz dłuższe spacery wzmacniały mnie z dnia na dzień, począłem odzyskiwać dawne siły.

Nabrawszy przekonania, że podołam w zupełności podróży na piechotę, opuściłem gościnny szpital, który działał dobroczynnie na człowieka psychicznie chorego, lecz dla zdrowego musiał być niemiłym, wręcz ponurym miejscem pobytu. Podsunięto mi zamiar pielgrzymki do Rzymu; postanowiłem więc pójść tam rzeczywiście i powędrowałem drogą, którą mi wskazano.

Chociaż byłem już całkowicie zdrowy na umyśle, jednak sam dostrzegałem w sobie jakiś stan bezczucia, co czarnym kirem powlekał każdy obraz budzący się w moim wnętrzu, tak iż wszystko traciło barwy i tonęło w bezgranicznej szarzyźnie. Nie pomnąc przeszłości, oddawałem się niepodzielnie trosce o chwilę obecną. Wpatrywałem się w dal by wypatrzyć miejsce, gdziebym mógł zamówić coś do jedzenia i kazać sobie posłać łóżko na noclegi; czułem się bardzo szczęśliwym, ilekroć pobożni wypełnili mi dobrze torbę i flaszę, za co mechanicznie trzepałem modlitwy. Spadłem do rzędu zwyczajnego, tępego mnicha wędrownego. Tak dobiłem w końcu do wielkiego klasztoru kapucynów, odległego o kilka godzin drogi od Rzymu, położonego samotnie śród samych tylko budynków gospodarczych.

Tam musiano przyjąć w gościnę brata zakonnego, postanowiłem więc oddać się tam pielęgnacji i zupełnej wygodzie. Oświadczyłem, że wywędrowałem z Niemiec po zamknięciu mojego klasztoru - okoliczności zmusiły mnie do skierowania się na południe, zwłaszcza że chciałbym tu wstąpić do jakiegoś klasztoru mojej reguły. Z przyjacielską ochotą, która cechuje włoskich zakonników, ugoszczono mnie suto, a przeor dał mi poznać, że o ile spełnienie jakiegoś ślubu nie zmusza mnie do dalszej pielgrzymki,

mogę tu pozostać w gościnie tak długo, jak mi się będzie podobało. Już wieczór zapadał; ojcowie udali się na chór; wstąpiłem do kościoła.

Śmiała, wspaniała architektura nawy wprawiła mnie w niemały podziw, lecz mój złamany, przybity duch nie mógł się podnieść, jak ongi w czasach dzieciństwa, gdy oczami małego chłopca wpatrywałem się w świątynię w Świętej Lipce. Odmówiwszy modlitwy przed głównym ołtarzem, zwróciłem się ku bocznym nawom i korytarzom, by pooglądać malowidła ołtarzowe, przedstawiające, jak zwykle, martyrologie świętych, którym były poświęcone. W końcu wkroczyłem do bocznej kaplicy, której ołtarz oświetlały załamujące się w kolorowychwitrażach promienie słońca. Wszedłem po stopniach, by przypatrzyć się obrazowi. ŚwiętaRozalia! Nieszczęsny obraz z kaplicy mojego klasztoru! Aurelia! Ujrzałem... ujrzałem... całeżycie - tysiączne zbrodnie - łajdactwa zamordowanie Hermogena... Aurelii, wszystko zbite wjedną myśl potworną, a ta myśl wwierciła mi się w mózg ostrym, rozpalonym żelazem. Pierś,żyły, wszystkie fibry darły mi się i pękały od dzikiego bólu najwścieklejszej tortury! I śmiercńie ukoi! Runąłem na ziemię, darłem szaty w przebrzydłym zwątpieniu, wyłem w huraganieżalu, aż jęczało po kościele:

- Jestem przeklęty, przeklęty! Nie ma przebaczenia! Nic już mnie nie pocieszy ni tu, ni tam; do piekła na samo dno, na wieczne potępienie, o, ja grzesznik przeklęty!

Podniesiono mnie. Kaplica wypełniła się zakonnikami. Przede mną stał przeor, wysoki, czcigodny starzec. Patrzył na mnie z bezgranicznie łagodną powagą, ujął mnie zaręce, a mnie się zdało, że to święty, przepełniony niebiańską litością, trzyma grzesznika w powietrzu nad ogniami piekła, w które miał runąć nieszczęsny potępieniec.

- Jesteś chory, mój bracie! - rzekł przeor - chodź do klasztoru, wypoczniesz.

Całowałem jego ręce i habit; nie mogłem przemówić ni słowa, tylko głębokie, przeraźliwe westchnienia zdradzały

okrutne rozdarcie duszy.

Odprowadzono mnie do refektarza. Na skinienie przeora oddalili się zakonnicy, zostałem z nim sam.

- Masz, zdaje się, ciężki grzech na sumieniu mój bracie, bo tylko najgłębsza, beznadziejna skrucha za potworny czyn wyraża się podobnie... Wielkie jest miłosierdzie Pana i dużo może wstawiennictwo świętych. Nabierz ufności, wyspowiadaj się przede mną, a jeśli odpokutujesz, pociecha Kościoła będzie przy tobie.

W okamgnieniu wydało mi się, że przeor jest owym starym pielgrzymem ze Świętej Lipki, owym jedynym na całej powierzchni ziemi, któremu mogłem i musiałem wyjawić swoje życie pełne grzechów i zbrodni. Nie mogłem jeszcze wymówić ni słowa, upadłem tylko na twarz przed starcem.

- Idę do kaplicy - rzekł uroczystym głosem i wyszedł. Byłem na wszystko przygotowany, poszedłem za nim, usiadł w konfesjonale i uczyniłem natychmiast to, do czego parła mnie nieprzezwyciężona tęsknota: wyspowiadałem się z wszystkiego, z wszystkiego!... Straszną była pokuta, którą mi zadał przeor. Wykluczony z Kościoła, wygnany, jak trędowaty, ze zgromadzenia leżałem w podziemiach klasztoru, gdzie mieściły się grobowce, utrzymując się przy życiu niesmacznymi, zagotowanymi w wodzie ziołami, biczując się i męcząc narzędziami tortur, wynalezionymi przez najbardziej wyrafinowane okrucieństwo, i podnosiłem głos ku własnemu oskarżeniu, modląc się ze skruchą o ratunek, o wybawienie z piekła, którego płomienie już we mnie buchały. Lecz kiedy krew tryskała z mnogich ran, kiedy ból palił i kłuł tysiącem jadowitych ukąszeń skorpiona, a natura ulegała w końcu, tak iż sen brał ją opiekuńczo w ramiona, niby słabiutkie dziecię, wstawały wraże widziadła senne i zadawały mi nowe śmiertelne męki. Całe życie ukazywało mi się w potworny sposób.

Widywałem Eufemię, jak zbliżała się ku mnie w bujnej piękności; lecz ja krzyczałem głośno:

"Czego chcesz ode mnie, przeklęta! Nie, piekło mnie nie dosięgnie, ni w części." Wtedy rozchylała szaty, a groza potępienia chwytała mnie za gardło. Ciało jej było wyschnięte aż do nagiej kości, a po szkielecie wiły się niezliczone węże i wyciągały ku mnie swe głowy i czerwone języki. "Precz, precz ode mnie! Precz z nimi od tych ran - z wężami precz od piersi, wżerają się w serce! Konam, konam - śmierć wydrze mnie twej zemście!"

Tak krzyczałem, a postać wyła: "Węże krew piją ci z serca, nie czujesz, nie wiesz nic o tym; nie to jest męką dla ciebie... twa męka jest w tobie i nie zabija, bo żyjesz w niej samej.

Twa męka - to myśl o zbrodni, a ta jest wieczna..."

Przychodził krwawiący Hermogen, a przed nim uciekała Eufemia, szedł z szelestem, wskazując ranę na szyi mającą kształt krzyża. Chwytałem się modlitwy. Wtedy doprowadzały mnie do szału szepty, szelesty, trzeszczenia. Ludzie widziani dawniej jawili się zniekształceni w obłędne karykatury o nieludzkich pyskach. Głowy skakały dokoła na nogach szarańczy, wyrastających z uszu, i śmiały się złośliwie, dziwaczne owady. Kruki o twarzach ludzkich trzepotały w powietrzu... Poznałem: kapelmistrz z B. wraz z siostrą, ona kręciła się w dzikim walcu, a brat przygrywał jej do tańca, pociągając smyczkiem po własnej piersi, zmienionej w skrzypce. Belcampo z obrzydliwą twarzą jaszczurki, siedząc na wstrętnym skrzydlatym robaku, napierał na mnie, chcąc gwałtem uczesać mi brodę rozpalonym żelaznym grzebieniem, lecz nie udało mu się to. Coraz bardziej szalony stawał się zgiełk, coraz dziwaczniej i bardziej awanturniczo wyglądały postaci, od najmniejszej mrówki, tańczącej na ludzkich nóżkach, aż do wydłużonego szkieletu końskiego z płomiennymi oczami, ze skórą zwiniętą na kształt czapraka, na którym siedział jeździec o sowiej główce. Puchar bez dna służył mu za pancerz, odwrócony lejek zastępował szyszak. Żart wyrzygany przez piekło!

Słyszę swój własny śmiech, ale ten śmiech rozdziera mi pierś, coraz silniej dopieka ból, coraz gwałtowniej tryskają krwią rany. Postać kobiety jawi się świetlana, motłoch wariacki pierzcha, niewiasta zbliża się ku mnie. Ach, to Aurelia! Postać ta mówi: "Żyję i jestem twoją!" Wówczas budzi się we mnie stara zbrodnia. Szalejąc dziką żądzą spowijam ją palącym uściskiem ramion. Niknie gdzieś wszelka omdlałość, lecz oto ogień jakiś pada mi na pierś, szorstka, kłująca szczecina drapie mnie po oczach; w objęciu moim śmieje się potwornie szatan: "Mój jesteś, mój cały".

Budzę się z krzykiem przerażenia i natychmiast powracam do biczowań. Pod tysiącem uderzeń płyną strumienie krwi i słychać świst kańczuga, którym okładam się w beznadziejnym zwątpieniu. Bo nawet zbrodnia snu, każda myśl grzeszna wymaga podwójnej pokuty i kary.

Nareszcie minął czas najsroższej pokuty, wyznaczony mi przez przeora. Wyszedłem z podziemi, by rozpocząć nowe praktyki pokutnicze w samym klasztorze, lecz w oddzielnej izbie, z dala od braci. I tak przechodziłem stopniowo coraz mniejsze stopnie pokuty, aż w końcu otrzymałem pozwolenie uczęszczania do kościoła, a nawet na chór, pomiędzy braci.

W końcu pozostało już tylko codzienne zwyczajne biczowanie. Lecz ten ostatni rodzaj pokuty nie wystarczał mi wcale. Z uporem odsuwałem każde lepsze pożywienie, które mi chciano podawać. Przez całe dni leżałem krzyżem, rozciągnięty na marmurowej posadzce przed ołtarzem świętej Rozalii i w najstraszniejszy sposób, najokrutniejszymi mękami i bólem pastwiłem się nad sobą w swej samotnej izdebce, bom chciał zewnętrznymi torturami zagłuszyć najsroższe męczarnie wewnętrzne. Lecz nadaremnie. Raz po raz wracały owe postaci płodzone myślą, ciągle byłem wydawany na łup szatana, który szydził ze mnie, torturując i kusząc mnie do grzechu. Moja surowa pokuta i niesłychany sposób, w jaki ją spełniałem, zwróciły uwagę mnichów.

Patrzyli na mnie z trwogą pełną czci, a nawet czasem dolatywały mnie ich szepty: "to święty..." Słowo to było dla mnie okrutne, bo zbyt żywo jeszcze tkwiła mi w pamięci owa straszna chwila, gdy w zarozumiałym szale wołałem do stojącego nieruchomo malarza w kościele kapucynów "Jestem święty Antoni..." Wreszcie minął już ostatni termin praktyk pokutnych, wyznaczonych przez przeora, a mimo to nie zaniechałem umartwień, nie zważając na to, że te męczarnie zdawały się mnie wyczerpywać. Oczy mi zagasły, poranione ciało stało się krwawiącym szkieletem i doszło do tego, że po długich godzinach leżenia krzyżem na ziemi nie mogłem już podnieść się bez cudzej pomocy. Przeor zawezwał mnie do rozmównicy.

- I cóż, mój bracie - rzekł łagodnie - czy surowa pokuta ulżyła twemu sercu? Czy łaska boska spłynęła na ciebie?

- Nie, wielebny ojcze! - odpowiedziałem z głuchą rozpaczą. Wówczas rzekł przeor podniesionym głosem:

- Bracie, wyspowiadałeś się szczerze z całego szeregu okropnych czynów, a ja zadałem ci najsroższą pokutę. Słuchaj: postępowałem po myśli przepisów kościelnych, a te chcą, by złoczyńca, którego nie dosięgło ramię sprawiedliwości, wyznający w skrusze przed sługą bożym spełnione zbrodnie, okazał także zewnętrznym postępowaniem prawdziwość swej skruchy. Winien więc taki pokutnik oddać się niebu a ćwiczyć i męczyć ciało, by ziemska tortura zapłaciła za diabelską pokusę złych czynów. Lecz sądzę, i zgadzam się w tym ze sławnymi ojcami Kościoła, że najokrutniejsze męki, jakie sobie zadaje pokutnik, nie ujmą ani źdźbła ciężaru jego grzechów, jeżeli na nich opiera swoje nadzieje i czuje się godnym miłosierdzia Przedwiecznego. Nikt nie zbada, żaden rozum nie dociecze, jaką to miarą Bóg mierzy nasze czyny. Zgubionym jest, kto - choćby był wolnym od rzeczywistego występku - wierzy w swej zarozumiałości, że zdobył niebo zewnętrzną pobożnością. Pokutnik, który po odbyciu pokuty

uważa swą winę za zgładzoną, okazuje, że jego wewnętrzna skrucha nie była prawdziwą. Ty, bracie Medardzie, nie odczuwasz jeszcze żadnej pociechy, a to dowodzi prawdziwości twej skruchy. Zaprzestań więc teraz - życzę sobie tego - wszelkich biczowań, przyjmuj lepsze pożywienie i nie unikaj obcowania z braćmi. Wiedz, że znam lepiej, niż ty sam, całe twoje pełne tajemnic życie, z jego wszystkimi najdziwniejszymi zawiłościami.

Przeznaczenie, przed którym nie zdołałeś uciec, dało nad tobą moc szatanowi, a ty, popełniając zbrodnie, byłeś tylko jego narzędziem.

Nie spodziewaj się jednak, byś przez to mniej grzeszny stanął przed tronem Boga, gdyż daną ci była siła do zwycięskiej walki z szatanem. W czyimże sercu nie burzy się zło i nie sprzeciwia dobremu; lecz bez tej walki nie ma wcale cnoty, bo ona jest zwycięstwem pierwiastka dobra nad złem, jak grzech jest tryumfem, zła nad dobrem. Wiedz po pierwsze, że oskarżasz się o pewną zbrodnię, którą spełniłeś jedynie chęciami. Aurelia żyje! W dzikim szaleństwie zraniłeś siebie samego; krew to twej własnej rany zabłysła na ręce... Aurelia żyje... Wiem o tym...

Upadłem na kolana, podniosłem ręce do modlitwy, głębokie westchnienia wydarły mi się z piersi, łzy trysnęły z oczu.

- Wiedz też - mówił dalej przeor - że ów stary, obcy malarz, o którym mówiłeś na spowiedzi,od tak dawna, jak tylko zdołam zapamiętać, odwiedza czasem nasz klasztor i być może wkrótce znowu do nas zawita. Dał mi on na przechowanie książkę, zawierającą rozmaite rysunki, zwłaszcza zaś pewną historię, do której dopisywał po kilka ustępów za każdym przybyciem w te strony. Nie żądał, bym nikomu nie dawał jej do ręki, chciałbym ją więc powierzyć ci na czas jakiś, tym bardziej że jest to moim najświętszym obowiązkiem. Poznasz związek tej księgi ze swym własnym niezwykłym losem, co już to podnosił cię w wyższą krainę cudownych wizji, już to cię strącał w pospolitość życia.

Mówią, że cuda znikły już z powierzchni ziemi, nie wierzę temu... Cuda się dzieją. I chociaż nawet najcudowniejsze rzeczy, które nas codziennie otaczają, przestaliśmy nazywać cudami dlatego tylko, żeśmy w całym szeregu zjawisk odnaleźli regułę stałego powrotu, to przecież przez to koło zamknięte przebiega czasem jakiś fenomen zmieniający w błazeństwo całą naszą mądrość, w który jednak nie chcemy wierzyć w tępej zarozumiałości, ponieważ go nie możemy zrozumieć.

Zuchwale a z uporem odmawiamy naszym wewnętrznym oczom widzenia zjawiska dlatego tylko, że jest ono zbyt przezrocze, by się mogło odzwierciedlić na szorstkiej powierzchni oka zewnętrznego. Owego dziwnego malarza zaliczam do zjawisk nadzwyczajnych, co szydzą z wszystkich praw nauki; nie mam pewności, czy jego cielesny kształt jest tym w istocie, za co go bierzemy. To tylko pewna, że nikt nie zauważył u niego zwykłych funkcji życiowych. Nie widziałem też nigdy, by pisał lub rysował, a przecież w książce, którą tylko czytał za każdym razem, gdy zaglądał do nas, przybywało coraz więcej zapisanych kartek.

Dziwna też rzecz, że mi się wszystko w tej książce wydawało tylko zawikłaną bazgraniną; niedokładnym szkicem fantastycznego malarza i dopiero wówczas stało się jasnym i zrozumiałym, gdyś mi się wyspowiadał ze swej przeszłości. Nie będę się zapuszczał w dalsze dociekania co do osoby malarza. Sam to poznasz - a raczej tajemnica sama ci się odsłoni. Idź, staraj się wzmocnić, a gdy już uczujesz się pokrzepiony na duchu - a stać się to może w ciągu kilku dni - otrzymasz ode mnie cudowną księgę obcego malarza.

Zastosowałem się do woli przeora, jadałem z braćmi, zaprzestałem biczowań, ograniczyłem się do gorącej modlitwy przed ołtarzami świętych. A chociaż rana mego serca krwawiła w dalszym ciągu, chociaż nie złagodniał ból, bijący goryczą na dnie sumienia, opuściły mnie przecież okropne mary senne i nieraz, gdym na śmierć znużony leżał

bezsennie na twardym łożu, szumiały nade mną jakby skrzydła aniołów i widziałem wdzięczną postać Aurelii, żywej, jak schylała się ku mnie z niebiańskim współczuciem, z oczami pełnymi łez.

Wyciągnęła rękę nad moją głową, jakby dla obrony. Powieki opadły mi i zwarły się w łagodnym śnie, w pokrzepiającej drzemce, niosącej nowe siły znużonym tętnicom. Gdy przeor zauważył, że się nieco dźwignąłem na duchu, dał mi książkę malarza i napomniał mnie, bym ją przeczytał uważnie w swej celi. Otworzyłem ją. Ujrzałem rysunki fresków ze Świętej Lipki zaznaczone konturem, a wykonane światłem i cieniami. Najmniejszego zdziwienia, najmniejszej ochoty do szybkiego rozwiązania zagadki nie wzbudził we mnie ten widok. Nie! Nie było już dla mnie żadnej zagadki. Już dawno wiedziałem o wszystkim, co mieściło się w książce malarza. To, co malarz napisał na końcu książki, małym, ledwie czytelnym, wielobarwnym pismem, to były sny moje i przeczucia moje, tylko oddane wyraźnie, w ostrych zarysach, ściśle określone, w sposób przechodzący moje możliwości.

WTRĄCONA UWAGA WYDAWCY

Brat Medard snuje tu dalej swoje opowiadanie, pomijając zupełnie milczeniem, co znalazł w książce malarza. Opisuje więc od razu swoje pożegnanie z wtajemniczonym w całe jego życie przeorem i rozstanie z sympatycznymi braćmi. Z kolei kreśli swoją pielgrzymkę do Rzymu i opowiada, jak wszędzie, w kościele Świętego Piotra, Świętego Sebastiana i Laurentego, Świętego Jana Laterańskiego, i w bazylice Matki Boskiej, itd. klęczał i modlił się przy wszystkich ołtarzach, jak zwrócił na siebie uwagę nawet samego papieża i w końcu począł uchodzić za świętego, co go oczywiście - ponieważ teraz był istotnie pokutującym grzesznikiem i dobrze czuł, że nie jest niczym więcej jak tylko pokutnikiem - wypędziło z Rzymu. My jednak, to znaczy ja i ty, mój łaskawy czytelniku, wiemy za mało o przeczuciach i snach

brata Medarda, by udało nam się bez uciekania się do książki malarza, choćby w najmniejszej części, powiązać wspólnym węzłem rozbieżne nici całej historii Medarda - czyli, innymi słowami: brakowałoby nam ogniska, z którego wyłamują się rozmaite kolorowe promienie. Rękopis świętej pamięci Medarda był zawinięty w stary, pożółkły papier i w pergamin zapisany małym, prawie nieczytelnym pismem, które budziło we mnie niemniejszą ciekawość, bo zdradzało jakąś niezwykłą, bardzo niezwykłą rękę.

Po wielu trudach udało mi się odcyfrować pojedyncze litery i całe słowa i jakież było moje zdumienie, gdy się pokazało, że jest to właśnie owa w księdze malarza zapisana historia, o której mówi Medard. Napisana starowłoskim językiem, ma ona formę kroniki i zawiera mnóstwo aforyzmów. Dziwny jej ton brzmi w języku niemieckim jakoś surowo i głucho, jak pęknięta szklanka; lecz dla zrozumienia całości koniecznym było załączenie tu tłumaczenia, czynię to więc, poprzedzając je, lubo niechętnie, następującą uwagą.

Książęca rodzina, z której pochodził ów często wymieniany Francesco, żyje jeszcze we Włoszech, żyją też jeszcze potomkowie księcia, na którego dworze przebywał Medard.

Niemożliwym więc było wymienić nazwiska działających osób. Każdy zaś przyzna, że nie ma nic głupszego i niezręczniejszego niż zmyślanie nazwisk tam, gdzie istnieją rzeczywiste, i to piękne a romantycznie brzmiące, jak właśnie w tym wypadku. Jakże więc oddać ci do ręki tę książkę malarza. Podpisany wydawca umiał sobie doskonale radzić zwyczajnym określeniem: "książę", "baron" itp., lecz widzi, że tam, gdzie stary malarz wydobywa na światło dzienne najbardziej tajemne i zawikłane stosunki familijne, nie wystarczają ogólne określenia, by opowiadanie uczynić dostatecznie zrozumiałym. Czuł się więc zmuszonym do zaopatrzenia i przeładowania tego prostego elaboratu kronikarskiego wszelkimi objaśnieniami i odnośnikami, niby pokrzywionymi figurkami. A teraz, łaskawy czytelniku, stoję

przed tobą w osobie wydawcy i proszę cię, abyś przed rozpoczęciem czytania zechciał sobie zanotować w pamięci następujące szczegóły: Camillo książę P. występuje jako ojciec familii, z której pochodzi Francesco, ojciec Medarda. Teodor książę W. jest Ojcem księcia Aleksandra W., na którego dworze zatrzymał się Medard. Jego brat Albert książę W. ożenił się z księżniczką włoską Giacintą B. Ród barona F. jest znany w górach. Dodam tylko, że baronowa F. pochodziła z Włoch i była córką hrabiego Piotra S. syna hrabiego Filipa S. Wszystko będzie ci jasnym, kochany czytelniku, jeżeli sobie zapamiętasz tych kilka imion i liter. A teraz powrócimy do dalszego ciągu powieści.

PERGAMIN STAREGO MALARZA

I zdarzyło się, iż Rzeczpospolita Genueńska, ciężko uciśniona przez algerskich korsarzy, zwróciła się do Wielkiego bohatera mórz, Camilla księcia P. z prośbą, czyby nie zechciał poprowadzić czterech dobrze zaopatrzonych w broń i załogę galeonów na wyprawę przeciw zuchwałym rabusiom. Camillo, spragniony czynów wojennych i sławy, napisał natychmiast do najstarszego syna, Francesca, z wezwaniem, by przybył i pod nieobecność ojca objął rządy nad krajem. Francesco oddawał się właśnie malarstwu w szkole Leonarda da Vinci, a sztuka tak go pochłonęła, że poza nią zapomniał o wszystkim.

Stawiał sztukę wyżej niż wszelkie zaszczyty i wspaniałości ziemskie, a wszystkie inne czyny i dążenia ludzkie wydawały mu się tylko opłakaną gonitwą za marnym szychem. Nie mógł on rozstać się ze sztuką i pożegnać podeszłego już wiekiem mistrza Leonarda, odpisał więc ojcu, że umie władać pędzlem, a nie berłem, i dlatego chce pozostać przy mistrzu.

Rozgniewał się bardzo i czuł się dotkniętym stary, dumny książę Camillo, złorzeczył synowi, zowiąc go niegodziwym błaznem, i posłał zaufanych ludzi, by mu przywieźli opornego syna.

Gdy jednak Francesco wzbraniał się energicznie i wytrwale odmawiał posłuszeństwa, gdy oświadczył, że każdy książę z całym przepychem wyniosłego tronu jest tylko marnym stworzeniem w porównaniu z dobrym malarzem, wielkie zaś czyny wojenne są tylko krwiożerczą zabawą ziemskich mieszkańców natomiast twórczość malarza jest przeczystym odzwierciedleniem wypełniającej go istoty boskiej - wówczas obraził się śmiertelnie bohater morski Camillo i zaprzysiągł, że wyrzeknie się Francesca, a

następstwo po sobie zapewni młodszemu jego bratu Zenobiuszowi. Francesco wcale się tym nie zmartwił, owszem, uroczystym aktem, z zachowaniem wszelkich formalności, odstąpił swojemu młodszemu bratu prawo do książęcego tronu. Tym sposobem stało się, że gdy stary książę Camillo zginął bohatersko w zaciętej krwawej bitwie z piratami algerskimi, Zenobiusz doszedł do władzy, Francesco zaś, pozbawiony książęcego stanu i nazwiska, został malarzem i żył dość ubogo z niewielkiej pensji, wyznaczonej przez panującego, brata. Francesco był dumnym, zuchwałym młodzieńcem; jedynie staremu Leonardowi udawało się okiełznać jego dziki temperament, zwłaszcza że po wyrzeczeniu się książęcego stanu Francesco uważał go za najdroższego ojca.

Pomagał on starcowi w wykończeniu niejednego ważnego i wielkiego dzieła i stało się, że uczeń, dorównując nauczycielowi, zdobywał sobie coraz większą sławę i wziętość i musiał malować niejeden obraz do ołtarzy dla rozmaitych klasztorów i kościołów. Stary Leonardo wspierał go życzliwie radą i czynem, dopóki śmierć nie zawarła mu oczu. Wówczas znowu duma i zuchwałość wybuchły w młodym Francescu niby długo a z trudem tłumiony ogień.

Uważał się za największego malarza swojego czasu i, zestawiając swój doskonały artyzm ze swoim pochodzeniem, nazywał się sam księciem malarzy. O starym Leonardzie wyrażał się pogardliwie i, porzucając prosty i pobożny styl, stwarzał sobie nową manierę, co działając bujnością kształtów i pysznym blaskiem farb oślepiała oczy tłumu i pobudzała go do przesadnych pochwał, które oszołamiały młodego twórcę i czyniły coraz próżniejszym i zarozumialszym. Wreszcie przybył do Rzymu i popadł w towarzystwo dzikich, wyuzdanych młodzieńców, a jak zawsze i we wszystkim pragnął być pierwszym i najdoskonalszym, tak i tu stał się wkrótce najtęższym rycerzem występku. Uwiedzeni fałszywym i złudnym przepychem pogaństwa utworzyli młodzieńcy, stojący pod

wodzą Francesca, tajny związek, w którym, wyszydzając w zbrodniczy sposób chrześcijaństwo, naśladowali zwyczaje starożytnych Greków i z zuchwałymi dziewkami święcili przeklęte grzeszne obchody. Byli śród nich i malarze, lecz większość stanowili rzeźbiarze; nie uznawali nic poza sztuką nawiązującą do antyku i wyśmiewali wszystko, co nowi artyści, rozpaleni świętym płomieniem chrześcijaństwa, wynaleźli i stworzyli na chwałę kościoła, Francesco, natchniony wcale nieświętym duchem, malował wiele obrazów z kłamliwej mitologii.

Nikt nie potrafił przedstawić tak jak on prawdziwie uwodzicielskiej wspaniałości postaci kobiecych, bo brał karnację z żyjących modeli, a kształt i formę ze starożytnych marmurów. Zamiast szukać natchnienia po kościołach i klasztorach, we wspaniałych obrazach starych, pobożnych mistrzów i przejmować się ich pięknym i artystycznym nabożeństwem, kreślił skrzętnie postaci kłamliwych bóstw pogańskich. Żadne jednak kształty nie wprawiały go w taki zachwyt, jak sławny posąg Wenery, przy którym był ciągle myślami. Pensja roczna, wyznaczona bratu przez Zenobiusza, nie nadeszła raz i dała czekać na siebie dłużej niż zwykle. Wskutek tego Francesco, żyjący rozrzutnie i trwoniący nadmiernie wszystkie swe dochody, znalazł się nagle w biedzie, zwłaszcza że nie chciał porzucać dotychczasowego sposobu życia. Potrzeba mu było pieniędzy. Przypomniał sobie, że dość już dawno jakiś klasztor kapucynów zwrócił się był do niego z prośbą, by za wysoką cenę wymalował obraz Świętej Rozalii; postanowił więc zabrać się szybko do dzieła i, dorwać się do pieniędzy za obraz, którego dawniej nie chciał wykonać ze wstrętu ku wszystkim chrześcijańskim świętym. Miał zamiar przedstawić świętą zupełnie nagą i uczynić ją w kształtach i rysach twarzy zupełnie podobną do ubóstwianego posągu Wenery.

Pierwszy zarys udał się nad wyraz dobrze. Zuchwali młodzieńcy wielbili przeklęty zamiar Francesca: postawić

pobożnym mnichom w kościele nie świętą chrześcijańską, lecz pogańską boginię. Lecz gdy Francesco zaczął malować, nagle wszystko ułożyło się inaczej, niż sam pragnął i zamyślał, i jakiś wyższy duch pokonał ducha szpetnego kłamstwa, władnącego podstępnym malarzem. Twarz anioła z wysokiego królestwa niebieskiego poczęła się wyłaniać z ponurych chmur, niby jutrzenka; jakby przejęty trwogą, iż zaszarga świętość i popadnie pod sąd Przedwiecznego, nie odważył się Francesco wykończyć oblicza i wokół nago zarysowanego ciała rozłożyły się skromne szaty w powabnych fałdach; ciemnoczerwona suknia i lazurowoniebieski szal. W liście pobożnych kapucynów do malarza Francesca była mowa tylko o świętej Rozalii, nie wspomniano zaś ani słowem o tym, z jakiej chwili życia świętej ma być wzięty temat; zostawiono malarzowi zupełną swobodę; toteż Francesco postąpił według swego uznania i tylko na środku obrazu wymalował postać, dokoła niej zaś, party wewnętrznym popędem, rozmieścił rozmaite figury, co się wiązały cudownie w dzieje męczeństwa świętej. Francesco zatopił się zupełnie w swoim obrazie, a raczej obraz był tym potężnym duchem, co ujął go w swe ramiona i uniósł wysoko, ponad występne życie świata, jakie dotychczas pędził. W żaden jednak sposób nie mógł wykończyć twarzy świętej, a to dręczyło go mękami piekielnymi; cierpiał, jakby ostre żądła wbijały mu się do mózgu.

Nie myślał już o posągu Wenery; zdawało mu się, że widzi przed sobą starego mistrza Leonarda, który patrzy na niego z żałosną miną i mówi cicho a boleśnie: "Chciałbym ci dopomóc, ale mi nie wolno, musisz wprzód wyrzec się grzesznego życia i w głębokiej skrusze a pokorze błagać wstawiennictwa świętych, przeciw którym zgrzeszyłeś". Młodzi towarzysze, nie widząc Francesca już od dłuższego czasu, odwiedzili go w jego własnej pracowni i znaleźli rozciągniętego na łożu, jakby w ciężkiej chorobie. Gdy im Francesco przyznał się do dziwnego strapienia i poskarżył

się, że jakiś zły duch odebrał mu siły i nie pozwala wykończyć obrazu świętej Rozalii, roześmieli się wszyscy i rzekli:

- Ho, ho, miły bracie, byłżebyś naprawdę tak niespodziewanie chory? Musimy złożyć ofiarę Eskulapowi i Hygiei, by odpędzili tę paskudną słabość. Chodźmy po wino ofiarne!

Przyniesiono wina syrakuzańskiego, napełniono puchary i młodzieńcy, stając gromadą przed nieskończonym obrazem, spełnili kielichy na cześć bóstw pogańskich. Lecz gdy poczęli popijać coraz więcej i częstować winem Francesca, nie chciał on pić ani też brać udziału w uczcie hulaszczych wesołków, chociaż wznosili toast na cześć pani Wenery. Wtedy rzekł jeden z nich:

- Ten zwariowany malarz jest istotnie chory na duszy i na ciele; muszę mu przyprowadzić doktora. Zarzucił na siebie płaszcz, przypiął szpadę i wyszedł.

Za małą chwilę był już z powrotem; zapukał do drzwi, rozchylił kotarę i wchodząc pośpiesznie rzekł:

- Patrzcie, proszę, co za lekarz staje dzisiaj do pomocy, sam zostałem eskulapem, będzie zdrów, będzie zdrów...

I naśladując doskonale ruchy i postawę jakiegoś starego doktora, kuśtykał dokoła na nogach zgiętych w kolanach i tak dziwnie wykrzywił młodzieńczą twarz i najeżył zmarszczkami i fałdami, że wyglądał jak stary, bardzo brzydki uczony. Młodzieńcy śmieli się i wołali:

- Hm, hm, cóż za mądre miny robi ten doktor!

Doktor zbliżył się do chorego Francesca i rzekł szorstko, szyderczym głosem:

- Biedaku, biedaku, cóż ci to? Zaraz, zaraz pomożemy... przykra słabość weźmie w łeb... A cóż ci to, nieszczęśniku? Takiś blady, taki chory... Nie zechce cię pani Wenus... Ha... Może donna Rozalia da się skusić twej urodzie, ale na to trzeba zdrowia! Zażyj no tej medycyny... mój ty bezsilny wyrostku... Zaraz ci powróci rezon... Kto chce świętych brać

na pędzel, musi pić... musi pić... Pociągnij no z tej flaszeczki, to wino z piwnicy świętego Antoniego...

Rzekomy doktor wyciągnął spod płaszcza flaszkę, i otworzył ją w obliczu wszystkich.

Dziwna woń wydobyła się ze środka i tak odurzyła młodzieńców, że zdjęci nieprzepartą sennością opadli na krzesła i zamknęli oczy. Ale Francesco, wściekły, iż szydzą z niego, niby z bezsilnego chorego, pochwycił flaszkę z rąk doktora i napił się do woli.

- Na zdrowie - zawołał młodzieniec, przybierając znowu dawną postawę i młodzieńczy wyraz twarzy, następnie krzyknął na resztę towarzyszy i zbudził ich ze snu, po czym wszyscy razem skierowali się ku schodom i poszli. Nie tak kotłuje wnętrze Wezuwiusza i nie tak ciska dymem i płomieniem, jak zakotłowały i rozszalały się ogniem żyły Francesca. Wszystkie pogańskie historie, jakie kiedykolwiek malował, stawały mu jak żywe przed oczami, a on krzyczał potężnym głosem:

- Zjaw się, zjaw, ukochana bogini, musisz żyć i być moją lub poświęcę to życie bogom podziemnym.

Aż oto spostrzegł panią Wenerę stojącą tuż przed obrazem i przyzywającą go uprzejmym gestem. Jednym skokiem zerwał się z łoża i zabrał się do malowania głowy świętej Rozalii, bo chciał skorzystać z chwili i wiernie sportretować oblicze pani Wenery.

Lecz oto ręka odmówiła posłuszeństwa, a pędzel ślizgał się bezsilnie po powierzchni chmur otulających głowę świętej Rozalii i spadał na głowy barbarzyńców zgrupowanych dokoła środkowej postaci. A przecież anielskie oblicze świętej wyłaniało się coraz widoczniej na światło z osłony cieniów i spojrzało nagle na Francesca oczami tak pełnymi promiennego życia, że runął na ziemię, jak śmiertelnie rażony piorunem. Gdy znowu przyszedł do przytomności i opanował się nieco, podniósł się z ziemi i nie patrząc na obraz, napełniający go tajemniczą trwogą, podszedł do stołu, na którym stało wino przyniesione przez doktora, i

pociągnął mocno z flaszy. To wzmocniło go nieco; nabrał odwagi spojrzał na obraz; przed nim stało malowidło wykończone zupełnie, aż do ostatniego pociągnięcia pędzla i, o dziwo, nie święta Rozalia, lecz postać ukochanej Wenery uśmiechała się ku niemu oczami pełnymi rozkoszy. Francesco zdumiał się, a zbrodnicza chuć wzięła go w objęcia.

Wył z obłędnej żądzy, zazdrościł pogańskiemu Pygmalionowi, którego historię malował przed laty, i błagał, jak on niegdyś, Wenerę, by wlała życie w kształty jego obrazu.

Wkrótce poczęło mu się zdawać, że obraz zaczyna się ruszać, lecz gdy go chciał ująć w ramiona, ujrzał, że ma przed sobą tylko martwe płótno. Wtedy począł sobie wyrywać włosy i wyglądał jak opętany przez szatana. W takim stanie pozostawał przez dwa dni dwie noce. Trzeciego dnia, gdy stał jak posąg przed obrazem, otworzyły się drzwi jego pracowni i coś zaszeleściło za nim, jak suknie kobiece. Obejrzał się ujrzał kobietę, w której poznał oryginał swojego obrazu.

O mało nie oszalał: obraz, stworzony przez niego w myśli na wzór jakiegoś marmuru, stał teraz przed nim żywy, w całej krasie i pięknie nieskończonym; jakaś groza zdjęła biednego malarza, gdy spojrzał na dzieło rąk swoich i ujrzał w nim jak najwierniejsze odbicie owej obcej kobiety. I stał jak ten, który ujrzał ducha i traci mowę w obliczu dziwnego zjawiska; bez słowa padł na kolana przed obcą i wyciągnął do niej rękę, jakby w modlitwie.

Obca kobieta zmusiła go uśmiechem do powstania i powiedziała mu, że już wtedy, gdy malował w szkole starego Leonarda da Vinci, widywała go często jako mała dziewczynka i uczuła ku niemu niewypowiedzianą miłość. Obecnie opuściła rodziców i krewnych i sama przywędrowała do Rzymu, aby go odnaleźć; szła za głosem wewnętrznym, mówiącym jej, że on ją bardzo kocha i w głębokiej tęsknocie i żądzy odtworzył pędzlem jej postać, i

nie omyliła się, jak to sama widzi. Francesco uczuł; że pomiędzy nim a tą kobietą zachodzi jakieś tajemnicze porozumienie dusz - ono to właśnie stworzyło ten cudowny obraz i tę obłędną, nieprzepartą miłość ku niemu. Porwany ogniem miłości przytulił kobietę do piersi i chciał ją natychmiast poprowadzić do kościoła, by ich na zawsze już związał kapłan świętym sakramentem małżeństwa.

Lecz kobieta zdawała się przerażoną i rzekła:

- Mój drogi Francesco, czyż nie jesteś wielkim artystą? Dałżebyś się skrępować więzami kościoła katolickiego? Czyż nie oddałeś się duszą i ciałem wesołej starożytności i jej pogodnym, życiu sprzyjającym bogom? I cóż obchodzi nas związek ponurych mnichów, co w posępnych kruchtach przepłakują swój żywot w beznadziejnych skargach. Pogodnie i słonecznie uczcijmy święto naszej miłości.

Francesco dał się uwieść wymowie kobiety; jeszcze tego samego wieczora poprosił znajomych, samych grzesznych i występnej lekkomyślności oddanych młodzieńców, zowiących się jego przyjaciółmi, i zawarł ślub z nieznajomą kobietą według obrządków pogańskich. Kobieta wniosła mu w posagu skrzynkę z klejnotami i gotówką w złocie.

Francesco żył z nią w rozpuście, a oddany grzesznemu użyciu zapomniał o sztuce. Trwało to czas jakiś.

Kobieta zaszła w ciążę i rozkwitała coraz to wspanialej jaśniejącą pięknością, niby druga Wenus, a Francesco aż uginał się pod ciężarem nadmiernego szczęścia, tonąc w powodzi cielesnego czaru. Przyszła noc jedna: głuchy jęk zbudził Francesca ze snu; zerwał się, jakby w przestrachu, a gdy ze świecznikiem w ręku spojrzał na kobietę, ujrzał, iż porodziła mu syna. Szybko rozesłał służbę, by sprowadziła akuszerkę i lekarza. Francesco odebrał dziecko z łona matki, lecz w tejże chwili wydała kobieta krzyk przeraźliwy, a przeszywający i skurczyła się, jakby zgięta potężnym naciskiem ogromnych pięści.

Akuszerka przybiegła ze swoją służącą, a wkrótce zjawił się też i lekarz; lecz gdy chcieli udzielić pomocy kobiecie,

cofnęli się z przestrachem, bo zesztywniała już śmiertelnie, szyję i piersi pokryły sine, obrzydliwe plamy, a zamiast młodego, pięknego oblicza ujrzeli szeroko rozwarte oczy i szpetnie zniszczone, pomarszczone oblicze.

Na krzyk wydany przez obie kobiety nadbiegli ludzie z sąsiedztwa. Już dawniej rozpowiadano wiele dziwów o obcej kobiecie; bujny sposób życia, jakie prowadziła z Francescem, wywoływał ogólne zgorszenie i odrazę i doszło już do tego, że chciano donieść sądom duchownym o ich grzesznym pożyciu bez błogosławieństwa kapłańskiego. Obecnie, gdy ujrzano ohydnie zmienionego trupa, stało się dla wszystkich jasnym, że żyła ona w związku z szatanem, który teraz dostał ją w moc swoją. Jej piękność była tylko łudzącym wytworem przeklętego czarnoksięstwa. Wszyscy ludzie, którzy nadbiegli, uciekli przerażeni.

Nikt nie ważył się dotknąć umarłej. Francesco poznał teraz dobrze, z kim to miał do czynienia; opanowała go przeraźliwa trwoga. Wszystkie spełnione zbrodnie stanęły mu przed oczami, a sąd ostateczny nad jego duszą począł się już tu, na ziemi, bo płomienie piekła imały się jego serca.

Na drugi dzień przybył wysłaniec sądu duchownego z siepaczami i chciał zabrać Francesca. Wówczas zbudziła się w nim odwaga i duma, pochwycił za szpadę, przebił się przez zbirów i uciekł. Dobry kawał drogi za Rzymem znalazł jaskinię i ukrył się w niej znużony i wyczerpany. Teraz dopiero spostrzegł, że miał przy sobie nowonarodzonego synka; przyniósł go tu w płaszczu, nie wiedząc sam o tym. Porwany dziką złością, chciał rozbić o kamienie dziecko zrodzone z diablicy, lecz gdy wzniósł je gwałtownie do góry, zapłakało boleśnie, tonem błagalnej skargi; zdjęła go litość głęboka, położył chłopczyka na miękkim mchu i wcisnął mu do ust trochę soku z pomarańczy, które miał przy sobie.

Na kształt pokutującego samotnika spędził Francesco kilka tygodni w jaskini i żałując za grzechy i występki, którym oddawał się tak długo, modlił się gorliwie do świętych.

Przede wszystkim jednak zwracał się do tej, którą był ciężko obraził, do świętej Rozalii, z prośbą, aby mu była orędowniczką przed tronem Przedwiecznego. Pewnego wieczoru klęczał Francesco w samotni, modląc się i patrząc w słońce, zachodzące w morze czerwienią w czerwień płonących fal. Lecz gdy płomienie zbladły w szarym obłoku wieczoru, ukazał się w powietrzu jakiś blask różany, który począł wkrótce przybierać określone kształty. Francesco ujrzał świętą Rozalię, klęczącą w towarzystwie aniołów na chmurze, a w łagodnym poszumie i szeleście zadrżały jej słowa:

- Panie, przebacz człowiekowi, który w swej słabości i omdleniu nie umiał oprzeć się pokusom szatana!

Wówczas przebiegły błyskawice po obłoku różanym i głuchy grzmot przewalił się łoskotem po sklepieniu niebieskim, wołając:

- Jestże kto występniejszy nad tego człowieka?! Nie znajdzie łaski ani spokoju w grobie, dopóki pokolenie zrodzone z jego zbrodni będzie się rozkrzewiać w zuchwałym grzechu!

Francesco padł twarzą w proch, zrozumiał, że to wyrok rozbrzmiał nad nim i że okrutne przeznaczenie będzie go ścigać bez ulgi... bez pociechy... Uciekł, zostawiając przez zapomnienie chłopca w jaskini. Stał u progu nowego życia w obliczu głębokiej, opłakanej nędzy, gdyż nie mógł już malować. Czasami zrywał się w zamiarze stworzenia wspaniałych malowideł na cześć chrześcijańskiej wiary, a przed oczyma snuły mu się świetne w rysunku i kolorze pomysły, opowiadania z życia Matki Boskiej i świętej Rozalii, lecz jakże mógł zabrać się do dzieła, gdy nie miał ni skuda na farby i na płótno, bo ledwie mógł wyżyć ze skąpej jałmużny, użebranej u progów kościelnych.

Zdarzyło się pewnego razu, że gdy raz w jakimś kościele zapatrzył się w gołą ścianę i począł w myśli malować, przystąpiły do niego dwie kobiety w welonach i jedna z nich przemówiła wdzięcznym głosem anioła:

- W dalekich Prusach znajduje się kościół Najświętszej Panny Marii, zbudowany w- miejscu, na którym aniołowie Pana osadzili jej obraz na lipie. Kościół ten nie ma dotąd malowideł. Idź tam i maluj. Niech ci twa sztuka będzie nabożeństwem świętym, a pociecha niebieska napełni twą duszę starganą.

Gdy Francesco chciał prosić o bliższe objaśnienia, spostrzegł, że rozpłynęły się w blasku łagodnych promieni i tylko zapach róż i lilii unosił się w świątyni. Zrozumiał, co to były za kobiety, i postanowił zaraz nazajutrz rozpocząć wędrówkę. Lecz jeszcze tegoż wieczoru stawił się przed nim szukający go już od dawna posłaniec Zenobiusza, wypłacił mu dwuletnią pensję i zaprosił go na dwór swego pana. Lecz tylko małą sumkę zatrzymał Francesco dla siebie, resztę rozdał pomiędzy ubogich i wyruszył w drogę ku dalekim Prusom.

Droga prowadziła go przez Rzym. W pobliżu tego miasta odwiedził klasztor kapucynów, dla którego był wymalował świętą Rozalię. Tu obejrzał swój obraz, wprawiony w ramy ołtarza, lecz przekonał się, że miejsce oryginału zajęła kopia. Dowiedział się, że z powodu szczególniejszych wieści, rozpuszczonych o malarzu, od którego nabyli ten obraz, nie mogli ojcowie zatrzymać oryginału, lecz zastąpiwszy go kopią, sprzedali go klasztorowi kapucynów w B. Po uciążliwej pielgrzymce stanął Francesco w klasztorze w Świętej Lipce w Prusach Wschodnich i spełnił rozkaz, dany mu przez świętą dziewicę. Pokrył kościół tak dziwnymi malowidłami i tak cudnymi, że zrozumiał, iż duch łaski poczyna już działać w zbolałym sercu. Pociecha niebiańska wypełniła mu duszę.

***

Zdarzyło się, że hrabiego Filipa S. zaskoczyła gwałtowna burza podczas polowania w jakiejś dzikiej, odległej okolicy. Wichura wyła po rozpadlinach skał; deszcz lał strumieniami; zdawało się, że to nowy potop grozi ludziom i zwierzętom. Hrabia Filip schronił się; do jakiejś jaskini wraz z rumakiem, który z trudem dał się wciągnąć do wnętrza. Czarne chmury

pokryły cały firmament, toteż tak ciemno było w jaskini, że hrabia Filip nie mógł dostrzec i rozróżnić, co to rusza się i szeleści tuż obok. Stropiwszy się myślą, że to może zwierz dziki ukrywa się w pieczarze, wyciągnął miecz, gotowy do odparcia napadu. Lecz gdy burza już minęła i promienie słoneczne rozwidniły jaskinię, spostrzegł z najwyższym zdziwieniem, że tuż obok niego, na posłaniu z liści, spoczywał nagi chłopaczek i patrzył mu w oczy jasnymi, promiennymi oczkami. Przy dziecku stał puchar ze słoniowej kości, na dnie którego błyszczało kilka kropli pachnącego wina. Hrabia Filip wlał je w usteczka maleństwa, a dziecię wessało chciwie wesoły napój. Hrabia zadął w róg, a na to hasło zbiegli się jego ludzie, rozproszeni tu i ówdzie. Czekano, czy hrabia rozkaże wziąć dziecko na wypadek, gdyby się nie znalazł ten, kto zostawił niemowlę w jaskini. Już noc zapadała, a nikt nie przychodził.

Wówczas rzekł hrabia Filip:

- Nie mogę zostawić tego dziecka bez opieki, więc biorę je ze sobą, a żem to uczynił, należy ogłosić wszędzie, by rodzice mogli się zwrócić do mnie po odbiór zguby.

I tak się też stało. Mijały tygodnie, miesiące i lata, a nikt się nie zgłaszał.

Hrabia nazwał znajdę Francesco i takie imię nadano mu na chrzcie świętym. Chłopak wyrósł na młodzieńca nadzwyczajnej urody i zdolności, a hrabia pokochał go jak syna, dla jego niezwykłych przymiotów i, będąc bezdzietnym, postanowił mu zapisać cały swój majątek. Dwadzieścia pięć lat miał już Francesco, gdy hrabia Filip zapałał nierozsądną miłością ku biednej, lecz nad wyraz pięknej panience i poślubił ją, choć była bardzo młodziutka, a on bardzo stary. Francesco zakochał się w hrabinie i miotany grzeszną żądzą, postanowił zdobyć jej wzajemność. A chociaż była pobożną i cnotliwą i nie chciała złamać zaprzysiężonej wierności, udało mu się w końcu po zaciętej walce tak ją uwikłać szatańskimi sztuczkami, że mu się oddała w występnym pożądaniu. Tak to odpłacił się

swemu dobroczyńcy czarną niewdzięcznością i zdradą. Potomstwo hrabiego, hrabia Pietro i hrabianka Angiola, których stary hrabia przyciskał do serca z najwyższym zachwytem ojcowskiej radości, były owocem występku, ukrytego przed nim i przed światem.

***

Idąc za wewnętrznym popędem, przystąpiłem do brata Zenobiusza i powiedziałem:

- Wyrzekłem się tronu i nawet wtedy, gdybyś zmarł bezpotomnie, chcę pozostać biednym malarzem i spędzić życie oddany cichemu nabożeństwu i sztuce. Lecz niechże nasz kraik nie przypadnie w udziale obcemu państwu. Ów Francesco, wychowanek hrabiego Filipa, jest moim synem. Ja to, ratując się dziką ucieczką, zostawiłem go w jaskini, gdzie go znalazł hrabia. Na pucharze z kości słoniowej, znalezionym przy chłopcu, jest wyrżnięty nasz herb, lecz bardziej niż to usuwa tu wszelką pomyłkę znak pewien nieomylny: budowa i rysy chłopca, które niewątpliwie określają go jako potomka naszej rodziny. Przyjmij, mój bracie, tego młodzieńca za syna, niech będzie twoim następcą! Wątpliwości Zenobiusza co do prawowitego pochodzenia Francesca zostały usunięte usankcjonowanym przez papieża aktem adoptacji, który sam wyrobiłem w Rzymie. Tak położyłem kres grzesznemu, cudzołożnemu życiu mojego syna. Wkrótce zawarł prawowite związki małżeńskie i spłodził syna, którego nazwał Paolo - Francesco.

A więc krzewiło się zbrodnicze pokolenie. Krzewiło się zbrodniczo. Lecz czyż grzechów synowskich nie mogła zmazać pokuta? Stałem nad nim, jak sprawiedliwość boska, bo myśli jego leżały przede mną otwarte i jasne - a co było skryte dla świata, o tym mówił mi duch, co, potężny, coraz to bardziej potężnieje we mnie i wznosi mnie ponad zatorami życia, iż mogę z góry spoglądać w głębie, niepociągany spojrzeniem w otchłań śmierci.

***

Odejście Francesca przyprawiło hrabinę S. o śmierć, bo z oddaleniem się kochanka przyszła świadomość popełnionego grzechu; padła pod ciężarem walki pomiędzy miłością do zbrodniarza a skruchą za nędzne przestępstwo. Hrabia Filip dożył lat dziewięćdziesięciu i, umarł jako zdziecinniały starzec. Jego rzekomy syn Pietro udał się wraz z siostrą Angiolą na dwór Francesca, który objął panowanie po Zenobiuszu. Wspaniałą uroczystością obchodzono zaręczyny Paola-Francesca z Wiktorią księżniczką M. Pietro, ujrzawszy księżniczkę w całym blasku urody, zapłonął ku niej gwałtowną miłością i nie zważając na niebezpieczeństwo, począł się ubiegać o względy Wiktorii. Zabiegi Pietra uszły baczności Paola - Francesca, bo sam zajął się gwałtownie siostrą jego, Angiolą, która jednak odpierała zimno wszystkie jego starania. Wiktoria opuściła dwór, aby - jak sama oświadczyła - spełnić jakiś ślub w cichej samotności, jeszcze przed wstąpieniem w związki małżeńskie. Powróciła dopiero po upływie roku. Wkrótce miał odbyć się ślub, po którym zaraz Pietro wraz z Angiolą mieli powrócić do rodzinnego miasta. Tymczasem miłość Paola - Francesca ku Angioli wzmagała się coraz to płomienniej pod wpływem jej stałego i zaciętego oporu i przerodziła się w końcu w szaloną żądzę dzikiego zwierza, łagodzoną tylko nadzieją użycia. Wreszcie w dniu weselnym chwycił się haniebnego podstępu: podczas uczty weselnej domieszał opium do wina i podał Angioli do picia; następnie przed udaniem się do małżeńskiej komnaty wpadł do sypialni Angioli i zgwałcił senną dziewczynę. A gdy Angiola zachorowała śmiertelnie po tak strasznym przejściu, Paolo-Francesco, targany wyrzutami sumienia, przyznał się do swego występku. W pierwszym wybuchu gniewu chciał Pietro zasztyletować gwałciciela, lecz ręka opadła mu bezsilnie, gdy pomyślał, że zemsta wyprzedziła już czyn. Mała Giacinta, księżniczka B., uchodząca powszechnie za córkę siostry Wiktorii, była owocem tajemnych stosunków Pietra z narzeczoną Paola -

Francesca. Pietro udał się z Angiolą do Niemiec, gdzie porodziła syna, którego nazwano Franciszkiem i oddano w troskliwe ręce na wychowanie. Niewinna Angiola pocieszyła się w końcu powstałej zbrodni i zakwitnęła znowu wspaniałym powabem i pięknością. Poznała księcia Teodora W. I pokochała go serdecznie, gorąco kochana. Wkrótce została jego żoną, a hrabia Pietro ożenił się równocześnie z pewną niemiecką panną i doczekał się córki. Angiola porodziła księciu dwóch synów. Wprawdzie pobożna Angiola czuła się całkiem czystą w sumieniu, a jednak zapadała w ponure rozpamiętywania, ilekroć stanął jej w myśli przeklęty czyn Paola-Francesca, niby sen okropny, nieraz zdawało jej się, że nawet bezwiednie popełniona zbrodnia podlega karze i pomści się na niej i na jej potomstwie. Nawet spowiedź i zupełne rozgrzeszenie nie mogły jej uspokoić. Aż wreszcie, jakby idąc za wskazówką nieba, postanowiła wyznać wszystko małżonkowi. I wyznała. Stało się to po ciężkiej walce wewnętrznej, stało się pomimo obawy, co będzie, gdy mąż usłyszy o strasznym gwałcie, spełnionym przez łotrowskiego Paola - Francesca; związawszy się uroczystą przysięgą, odważyła się na ten krok stanowczy. Z rozpaczą i wstrętem wysłuchał książę Teodor potwornej opowieści, wszystko się w nim burzyło ze wstrętu i gniewu; głęboka złość wzburzonego męża zdawała się zagrażać nawet niewinnej małżonce. Usunęła się więc na kilka miesięcy na odległy zamek. Przez ten czas opanował się książę, stłumił gorycz i wzburzenie, dręczące go dniem i nocą, a nawet posunął się tak daleko, że pierwszy wyciągnął dłoń do pojednania i nie tylko pogodził się z żoną, lecz nawet poza jej plecami troszczył się o wychowanie Franciszka.

Po śmierci księcia i jego żony tylko Pietro i młody książę Aleksander W. znali tajemnicę pochodzenia Franciszka. Żaden z potomków malarza nie był tak podobny do owego Francesca, wychowanka hrabiego Filipa, jak ten Franciszek. Istotnie było to zdumiewające podobieństwo postaci,

ducha, zdolności. Był to przedziwny młodzieniec, ożywiony wyższym duchem, szybki i ognisty w myślach i czynach. Oby zbrodnia ojca i przodka nie zaciążyła na nim i oby pokonał zwycięsko złe pokusy szatana! Jeszcze przed śmiercią księcia Teodora udali się obaj jego synowie, Aleksander i Jan, w podróż do pięknej krainy włoskiej, lecz nie tylko widoczny brak jedności, ale przeciwne dążenia i z gruntu różne zapatrywania sprawiły, że bracia rozeszli się w Rzymie. Aleksander przybył na dwór Paola - Francesca i tak zakochał się w jego najmłodszej córce, spłodzonej z Wiktorią, że postanowił prosić o jej rękę.

Tymczasem ze wstrętem, niezrozumiałym dla księcia Aleksandra, odmawiał książę Teodor przyzwolenia na ten związek. Tym sposobem dopiero śmierć ojca przyniosła rozwiązanie tęsknot i niepokojów i książę Aleksander poślubił córkę Paola - Francesca.

Książę Jan, powracając do domu, poznał brata swego Franciszka i nie przeczuwając, z kim ma do czynienia, tak go pokochał, że już nie mógł się z nim rozłączyć. Franciszek spowodował, że książę zamiast powrócić do domu, podążył z powrotem do Włoch.

Wieczyste, niezbadane przeznaczenie chciało, że obaj, książę Jan i Franciszek, ujrzeli córkę Pietra i Wiktorii, Giacintę, i obaj zapłonęli do niej gwałtowną miłością. Zbrodnia kiełkuje...

Któż zdoła przemóc ciemne wyroki losu?..

***

Okropne były zbrodnie i grzechy mojej młodości, lecz za wstawiennictwem

Niepokalanej i świętej Rozalii zostałem uratowany z topieli wiecznego potępienia i pozwolono mi już tu na ziemi znosić męki piekła, dopóki nie sczeźnie aż do ostatecznego nasienia zbrodnicze moje potomstwo. Brzemię ziemskie władające siłami duchowymi uciska mnie, zwodniczy i barwny blask życia, świadomy tajników ponurej przyszłości oślepia mnie; a odurzone oko gubi się w potopie

rozpływających się obrazów i nie może rozpoznać prawdziwego kształtu rzeczy. Nieraz docieram do nici, którą przędzie moc ciemna, nieprzyjaciółka zbawienia mej duszy, wmawiam w siebie w głupocie, że chwytam ją, trzymam w ręku i mogę ją potargać - lecz mus mówi mi zimno, że muszę cierpieć i z wiarą a pobożnie, w bezustannej skrusze pokutnika znosić męki, nałożone mi dla zmazania winy.

Odstraszyłem księcia i Franciszka od zbliżania się do Giacinty, lecz diabeł wdał się w tę grę, czyhając na Franciszka z gotowym planem zatraty, przed którą nie miał już uciec.

Franciszek przybył z księciem do miejscowości, w której zatrzymał się na jakiś czas hrabia Pietro ze swoją żoną i córką Aurelią mającą właśnie lat piętnaście.

Jak niegdyś zbrodniarz ojciec, Paolo - Francesco, zapłonął dziką żądzą na widok Angioli, tak teraz syn wybuchnął ogniem zakazanej chuci, gdy ujrzał wdzięczną dziewczynę, Aurelię. Szatańską sztuką uwodziciela umiał tak opętać pobożną, zaledwie rozkwitającą Aurelię, że mu się oddała całą duszą i zgrzeszyła, nim myśl o grzechu mogła zakiełkować w jej łonie. Gdy już dłużej nie dało się ukryć tego, co zaszło, rzucił się Franciszek do nóg hrabinie i w rozpaczy wyznał jej wszystko, co się stało. Hrabia Pietro, choć sam miał na sumieniu grzech ciężki i zbrodnię, zabiłby bez namysłu Francesca i Aurelię. Matka dała Franciszkowi uczuć swój gniew sprawiedliwy i najgłębszą pogardę: grożąc mu, że łajdacki jego postępek odkryje swemu mężowi, wygnała gnała go na zawsze sprzed oczu swoich i uwiedzionej córki. Udało się hrabinie usunąć córkę na jakiś czas z towarzystwa i spod czujnej uwagi hrabiego Pietra. Gdzieś na odludziu przyszła na świat córeczka. Lecz Franciszek nie mógł rozstać się z Aurelią, dowiedział się o miejscu jej pobytu, pośpieszył tam i wszedł do pokoju właśnie w chwili, gdy hrabina, opuszczona przez domowników, siedziała przy łóżku córki i trzymała na łonie wnuczkę, urodzoną przed ośmiu dniami. Hrabina zerwała się

z miejsca, pełna przerażenia i wstrętu na niespodziewany widok krzywdziciela, i rozkazującym gestem pokazała mu drzwi wołając:

- Precz, precz, bo zginiesz; hrabia Pietro wie już o wszystkim!

Chciała nastraszyć Franciszka tymi słowami i postępując ku niemu z gniewnym spojrzeniem, parła go ku wyjściu. Diabelska wściekłość porwała Franciszka... Nie namyślając się, chwycił dziecko, wyrwał je z rąk hrabiny i ugodziwszy ją w piersi potężnym ciosem pięści, uciekł. Gdy Aurelia przyszła do siebie i odzyskała przytomność, matka już nie żyła - padając wstecz ugodziła głową w żelazne okucie skrzyni i została na miejscu martwa.

Franciszek miał zamiar zamordować dziecko; owinął je w chusty, zbiegł późnym wieczorem po schodach i właśnie chciał wymknąć się z domu, gdy usłyszał jakiś głuchy lament, dochodzący z parterowego pokoju. Mimo woli zatrzymał się, począł nadsłuchiwać i przysunął się do drzwi tego pokoju. W tejże chwili wyszła jakaś kobieta. Poznał w niej piastunkę baronowej S., w której domu mieszkał. Zanosiła się od płaczu. Franciszek zapytał ją o przyczynę rozpaczy.

- Ach, panie - rzekła piastunka - nieszczęście! Właśnie mała Eufemia leżała na moich kolanach, śmiała się i trzepotała, aż nagle opuściła główkę i umarła. Sine plamy wyszły jej na skronie - teraz powiedzą, że to moja wina, że ją upuściłam na ziemię!

Nie mówiąc nic, wszedł Franciszek do pokoju, lecz gdy spojrzał na dziecko, doznał dziwnego wrażenia - zrozumiał, że przeznaczenie nie chce śmierci jego dziecka, bo było ono zupełnie podobne, tak z kształtów jak i ze wzrostu do zmarłej Eufemii. Niańka, widocznie niezupełnie tak niewinna śmierci dziecka, jak o tym zapewniała, i przekupiona przez Franciszka bogatym podarkiem, pozwoliła na zamianę. Franciszek zawinął martwe dziecko w chusty i wrzucił do rzeki. Dziecko Aurelii chowało się odtąd, jako córka

baronowej S., pod imieniem Eufemii i świat nie wiedział o tajemnicy jej pochodzenia. Nieszczęsna, nie została przyjęta na łono kościoła przez sakrament świętego chrztu, bo dziecko, którego śmierć ocaliła jej życie, było już chrzczone. Eufemia wyszła po kilkunastu latach za barona F., dwoje dzieci, Hermogen i Aurelia, było owocem tego małżeństwa...

***

I pozwoliło mi wieczyste niebo, bym stanął wśród nich i poszedł z nimi, z księciem i Franciszkiem (teraz po włosku przezwanym Francesco) - do rezydencji książęcego brata. Chciałbym wesprzeć chwiejnego Franciszka i silnym ramieniem wywieść go z powodzi wypadków, znad brzegu przepaści, co już czekała na ofiarę. O, głupi wysiłku bezsilnego grzesznika, który jeszcze nie znalazł łaski przed tronem Najwyższego! Francesco zamordował brata, spełniwszy ohydną zbrodnię na Giacincie! Synem Franciszka jest nieszczęśliwy chłopiec, którego książę kazał wychować pod imieniem hrabiego Wiktoryna. Morderca Francesco postanowił ożenić się z pobożną siostrą księcia, lecz udało mi się zapobiec występkowi w chwili, gdy miał być spełnionym na świętym miejscu.

***

Potrzebna mi była, by go nakłonić do skruchy, ta głęboka nędza, w którą popadł Franciszek po swej ucieczce, szarpany myślą o grzechu nie do odpokutowania. Łamany troską i chorobą zatrzymał się u pewnego wieśniaka i znalazł gościnne przyjęcie. Córka wieśniaka, pobożna i cicha dziewczyna, uczuła dziwną miłość do obcego i pielęgnowała go troskliwie.

Francesco po wyzdrowieniu odwzajemnił się jej uczuciem i połączyli się świętym sakramentem małżeństwa. Udało mu się roztropnością i wiedzą powiększyć znacznie niemałą spuściznę ojca: żył więc w dostatku i powodzeniu. Lecz niepewnym i czczym jest szczęście niepogodzonego z Bogiem grzesznika. Franciszek popadł znowu w

najboleśniejszą biedę, a nędza ta była zabójczą, bo czuł, jak duch i ciało zanikały w wyczerpującej chorobie. Życie jego było nieprzerwanym spełnianiem pokuty. W końcu zesłało mu niebo promień pociechy.

Miał odbyć pielgrzymkę do Świętej Lipki, gdzie urodzenie syna miało być zapowiedzią łaski boskiej.

***

W lesie otaczającym klasztor w Świętej Lipce przystąpiłem do uciśnionej matki, gdy płakała nad sierotą-noworodkiem, i pocieszyłem ją słowami nadziei. Cudownie objawia się łaska Pana na dziecku, urodzonym w błogosławionej świątnicy Niepokalanej! Często zdarza się, że dzieciątko Jezus zstępuje ku niemu widzialne i wcześnie rozpala iskrę miłości w młodocianym umyśle. Matka nadała chłopcu na chrzcie świętym imię ojca, Franciszek!

Będziesz li, Franciszku, tym, który, urodzony na świętym miejscu, pobożnym życiem odkupi grzesznego przodka i wyprosi mu spokojność w grobie? Z dala od świata i jego zwodnych pokus niech chowa się chłopiec, oddany rzeczom niebiańskim. Niech będzie księdzem. Tak obwieścił matce ów świątobliwy mąż, co wlał w jej serce cudowną pociechę, a to proroctwo jest łaską, rozświecającą mnie czarownym światłem, iż zdaję się widzieć we wnętrzu swoim żywy obraz przyszłości.

Widzę go: młodzieniec toczy śmiertelną walkę z ciemną przemocą, co nań naciera przeraźliwą bronią! Upada... lecz boska kobieta wznosi nad jego głową zwycięską koronę! To święta Rozalia ratuje go! Ilekroć pozwoli wieczysta moc niebiosów, chcę stać przy boku chłopca, młodzieńca, męża i bronić go, o ile tylko pozwolą siły.

On będzie, jak...

***

UWAGA WYDAWCY

Tu, łaskawy czytelniku, na pół wypełzłe pismo starego malarza staje się tak niewyraźnym, że już nie można

odcyfrować ni słowa. Wróćmy do rękopisu dziwnego kapucyna Medarda.

ROZDZIAŁ III

POWRÓT DO KLASZTORU

Doszło do tego, że wszędzie, gdziem się pojawił na ulicach Rzymu, ludzie stawali w milczeniu i w zgiętej postawie, z pokorą prosili mnie o błogosławieństwo. Prawdopodobnie surowe moje praktyki pokutnicze, których nie przerywałem, zwróciły na siebie powszechną uwagę; to tylko pewne, że wokół mojej cudzoziemskiej postaci żywa fantazja rzymian osnuła wkrótce legendę i bez mej wiedzy zrobiono mnie bohaterem jakiejś pobożnej powieści.

Często bolesne westchnienia i szepty cichej modlitwy budziły mnie z głębokich rozmyślań, w które zapadałem leżąc na stopniach ołtarza, i spostrzegałem, że dokoła mnie klęczeli pobożni i patrzyli na mnie z prośbą o wstawiennictwo u Boga. Jak w owym klasztorze kapucynów słyszałem często poza sobą wołania: "Il Santo!"", a noże boleści wrzynały mi się w piersi. Postanowiłem opuścić Rzym.

Jakże przestraszyłem się, gdy przeor klasztoru, w którym zatrzymałem się, zawiadomił mnie, że papież wzywa mnie przed swoje oblicze, Jakieś ponure przeczucia straszyły mnie, że to może na nowo zła moc chce mnie opętać wrogimi łańcuchami, lecz nabrałem otuchy i w oznaczonej godzinie poszedłem do Watykanu. Papież, człowiek wysokiego wykształcenia, mężczyzna w pełni sił, przyjął mnie siedząc na bogato zdobnym krześle. Dwaj przedziwnie urodziwi, w duchowne szaty przyodziani chłopcy podawali mu napoje chłodzące i poruszając wachlarzami z piór czaplich odświeżali powietrze w pokoju, by utrzymać chłód w tym dniu nadmiernie gorącym. Stanąłem przed mm w pokorze i przykląkłem według zwyczaju.

Spojrzał mi bystro w oczy, wzrokiem pełnym dobrotliwości, a zamiast zwykłej powagi, co zawsze, jak to już słyszałem od ludzi, panowała na jego obliczu, łagodny uśmiech rozjaśniał wspaniałe rysy. Zapytał mnie, skąd przybywam i co mnie przywiodło do Rzymu, jednym słowem o zwykłe szczegóły moich osobistych stosunków, i powstał mówiąc:

- Kazałem cię wezwać, bo mówiono mi o twojej niezwykłej pobożności. Dlaczego, ojcze

Medardzie, odbywasz swoje nabożne praktyki publicznie, przed ludem w najbardziej uczęszczanych kościołach? Jeżeli masz zamiar występować jako święty pański i odbierać hołdy fanatycznego tłumu, to wpatrz się w siebie i zbadaj dokładnie, jakiej natury jest ta myśl, co pcha cię do podobnego postępowania. Jeżeli nie, jesteś czystym przed obliczem Pana i przede mną, jego namiestnikiem na ziemi, skończysz szybko i haniebnie, mnichu Medardzie!

Te słowa wymówił papież silnym, przenikliwym głosem, a z oczu biły mu płomienne błyskawice.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu nie czułem się winny grzechu, o który mnie oskarżano, więc też stało się, że nie tylko nie straciłem odwagi, lecz podniesiony myślą, że moja pokuta płynęła z prawdziwego skruszenia, przemówiłem jakby natchniony:

- Wielce świątobliwy namiestniku Pana, dana jest możność wniknięcia w moje wnętrze; danym ci jest wiedzieć, że przygniata mnie do ziemi niewypowiedziany ciężar grzechów, lecz właśnie przez to poznasz prawdziwość mej skruchy. Obcą mi jest myśl wstrętnej obłudy, obcym mi jest wszelkie samolubne dążenie do łudzenia ludu przeklętym sposobem. Pozwól, świątobliwy panie, pokutującemu mnichowi, by ci w krótkich słowach objawił swoje występne życie, i to, co począł w najgłębszej skrusze i pokorze!

Tak rozpocząłem i nie wymieniając nazwisk, o ile możności zwięźle, opowiedziałem cały przebieg swojego życia. Papież słuchał ze wzrastającą uwagą. Usiadł w fotelu i oparł głowę na ręce; patrzył ku ziemi; nagle podniósł głowę do góry i

powstał; założył ręce; prawą nogę wysunął naprzód, jakby chciał przystąpić do mnie; płonące oczy wpiły się we mnie nieruchomo. Gdym skończył, usiadł na nowo.

- Historia twoja, mnichu Medardzie - rzekł - jest najdziwniejszą ze wszystkich, jakie kiedykolwiek słyszałem. Czy wierzysz w jawny, widoczny wpływ złej siły, którą Kościół nazywa szatanem?

Chciałem odpowiedzieć, lecz papież nie dopuścił mnie do słowa...

- Czy wierzysz - mówił dalej - że wino, które wykradłeś z relikwiarza i wypiłeś, popychało cię do zbrodni, które popełniałeś?

Przerwałem mu:

- Niby woda nasycona trującymi wyziewami dało ono siłę do wybujania złemu nasieniu, drzemiącemu we mnie...

Usłyszawszy moją odpowiedź zmilknął papież na chwilę, a potem począł mówić z poważnym, w siebie zapatrzonym spojrzeniem:

- Jak to, więc natura przestrzegałaby praw cielesnego organizmu nawet i w sprawach duchowych, rozkazując, by równe ziarna rodziły równe owoce, takie same właśnie a nie inne?... Więc skłonności i wola przenoszą się z pokolenia na pokolenie, z ojców na synów, znosząc wszelką samowolę, podobnie jak siła zamknięta w ziarnie znowu zabarwia liściestrzelającego w górę drzewa?. Są więc rodziny morderców, rabusiów!... Byłby to grzechdziedziczny, wieczny grzech zbrodniczego rodu, żadną pokutą nie zatarta klątwa!

- Lecz jeżeli potomek grzesznika musi także grzeszyć z racji odziedziczonych skłonności, togrzech nie istnieje... - rzekłem, przerywając rozważania papieskie.

- A jednak - odpowiedział - wieczysta moc stworzyła olbrzyma, który ma daną sobie moc okuć więzami i pokonać to ślepe zwierzę, srożące się w naszym wnętrzu. Sumieniem zowie się ten olbrzym, a z walki jego ze zwierzem rodzi się

wolny czyn! Zwycięstwem: olbrzyma jest cnota, zwycięstwem zwierzęcia - grzech.

To powiedziawszy zamilknął na chwilę. Wzrok mu się wypogodził. Zapytał łagodnym głosem:

- Czy sądzisz, ojcze Medardzie, że to bardzo przystoi namiestnikowi Pana mędrkować tu z tobą o cnocie i grzechu?

- Wasza świątobliwość - odpowiedziałem - zaszczycił swojego sługę, zapoznając go ze swoim głębokim poglądem na życie ludzkie i z pewnością przystoi ci mówić o walce, którą już dawno zakończyłeś wspaniale świetnym zwycięstwem!

- Masz dobre wyobrażenie o mnie, bracie Medardzie - rzekł papież - a może sądzisz, że tiara jest wawrzynowym wieńcem mówiącym światu: Oto bohater, zwycięzca.

- Zaiste - rzekłem - jest w tym coś wielkiego być królem i panować nad narodem. Stojącemu na takiej wyżynie wszystko dokoła wydaje się jakieś bliższe i nawzajem do siebie podobne.

Właśnie więc dlatego wysokie stanowisko pozwala rozwinąć się cudownej sile przenikania, co niby wyższe namaszczenie objawia się w urodzonym księciu.

- Myślisz więc - zauważył papież - że nawet władcy o słabej głowie i woli mogą mieć pewną cudowną sagacitatem, która snadnie, uchodząc za mądrość, może imponować tłumowi. Lecz cóż to ma do rzeczy?...

- Chciałem - odpowiedziałem natychmiast - mówić o namaszczeniu książąt, których królestwo jest z tego świata, a potem o świętym, boskim pochodzeniu władzy namiestnika boskiego. W tajemniczy sposób oświeca duch boski kardynałów, zebranych na conclave.

Zamykają się na osobności, w oddzielnych izbach, oddani pobożnym rozmyślaniom - a promień z nieba zesłany zapładnia im ducha, tęskniącego za objawieniem. I oto rozbrzmiewa imię, jedno jedyne imię na wszystkich ustach, jakby intonujących w natchnieniu hymn na cześć wieczystej

potęgi. Ale to tylko ogłoszenie w języku ziemskim rozkazu przedwiecznej mocy, która sobie wybrała godnego namiestnika na ziemi. Stąd to, Ojcze Święty, korona twoja, piastująca w potrójnym pierścieniu misterium Pana twojego, Pana Światów, jest w rzeczy samej wawrzynem, wieńczącym cię jako bohatera i zwycięzcę. Królestwo twoje nie jest z tego świata, a jednak jesteś powołany do panowania nad wszystkimi królestwami tej ziemi, ty, który członków widzialnego Kościoła zbierasz pod chorągiew Pana! Ziemskie państwo, które ci jest dane, to tylko tron twój kwitnący w niebieskim majestacie.

- Przypuszczasz więc - przerwał mi papież - przypuszczasz więc, bracie Medardzie, że mam przyczynę być zadowolonym z tego przydzielonego mi tronu? Co prawda, mój kwitnący

Rzym jest przyodziany niebieskim przepychem, jak to sam zauważysz, bracie Medardzie, jeżeli już zupełnie nie zatraciłeś zmysłu widzenia rzeczy ziemskich... Lecz... nie wierzę w to...

Jesteś tęgim mówcą i przemówiłeś mi do przekonania. Sądzę, że jeszcze bliżej się porozumiemy... Pozostań tu!... W kilka dni zostaniesz może przeorem, a później może cię wybiorę na swego spowiednika... Idź... zachowuj się mniej dziwacznie w kościołach... i tak nie zostaniesz świętym - kalendarz już jest kompletny. Idź...

Ostatnie słowa papieża zdziwiły mnie bardzo, jak i w ogóle całe jego zachowanie; nie zgadzające się zupełnie z wyobrażeniem, jakie wyrobiłem sobie w duszy o Najwyższym w gminie Chrystusowej, któremu dana jest moc wiązania i rozwiązywania. Było mi niewątpliwym, że wszystko, co mówiłem o boskości jego stanowiska, wziął za czcze i łase pochlebstwo. Wychodził z założenia, że mam zamiar zostać świętym, a widząc, że on mi zamyka tę drogę z rozmaitych powodów, zamierzyłem na innej drodze zdobyć sobie wpływ i uznanie. Na to ostatnie zgadzał się chętnie z różnych nieznanych mi przyczyn.

Nie myśląc o tym, że jeszcze przed otrzymaniem wezwania do papieża chciałem był Rzym opuścić, postanowiłem oddawać się nadal swoim ćwiczeniom nabożnym. Lecz za wiele wzruszeń grało mi w sercu, bym mógł się zupełnie oddać kontemplacji świętej. Mimo woli powracałem myślami do minionej już dawno przeszłości; zblakło widziadło grzechów i tylko świetność kariery, którą począłem jako ulubieniec księcia, teraz podejmuję jako spowiednik papieża, a kto wie, na jakiej wyżynie skończę, stawała mi w najjaskrawszych kolorach przed oczami duszy. Stąd to poszło, że jakoś mimo woli - nie dlatego, że mi papież zakazał - zaniechałem swych praktyk nabożnych, a natomiast włóczyłem się po ulicach Rzymu.

Pewnego dnia, przechodząc placem Hiszpańskim, zauważyłem tłum ludu zgromadzony dokoła skrzyni kuglarza. Doleciało mnie komiczne skrzeczenie Pulcinella i śmiech tłumu.

Właśnie skończył się akt pierwszy. Przygotowywano się do drugiego. Maleńka kurtynka podskoczyła do góry i ukazał się młodziutki Dawid z procą i workiem pełnym kamyków. Zabawna ta marionetka zapowiedziała śród komicznych poruszeń, że teraz na pewno zostanie zabity nieokrzesany olbrzym Goliat, a Izrael zostanie ocalony. Nagle coś zatrzeszczało i rozległo się głuche mruczenie. Wyszedł olbrzym Goliat o ogromnej głowie. Jakże się zdziwiłem, gdy zaraz od pierwszego spojrzenia poznałem po głowie Goliata dziwacznego Belcampa. Tuż pod głową przymocował, za pomocą misternego aparatu, malutki korpus z ramionkami i nóżkami, własne zaś swoje ramiona i barki ukrył w draperii, wyglądającej jak szerokofałdzisty płaszcz Goliata.

Z nadzwyczajnymi grymasami i groteskowym potrząsaniem karzełkowatego korpusu wygłosił Goliat dumną przemowę, którą Dawid przerywał od czasu do czasu cieniutkim chichotem. Lud śmiał się na całe gardło i ja sam, dziwnie zainteresowany nowym, iście bajecznym wystąpieniem Belcampa, dałem się porwać prześmiesznym

dowcipem i wybuchałem wesołym, dawno zapomnianym śmiechem, jak dziecko. Ach, jakże często bywał mój śmiech konwulsyjnym skurczem bólu rozdzierającego serce. Walkę z olbrzymem poprzedziła długa dysputa i Dawid udowadniał dowcipnie i uczenie, dlaczego musi pokonać i istotnie pokona straszliwego przeciwnika.

Belcampo manewrował muskulaturą twarzy niby nieustającym ogniem liniowym, a ramionka olbrzyma wymierzały cios za ciosem w kierunku więcej niż małego Dawida, który jednak umiał wymykać się zręcznie, to przycupnąć, to uchylić pół ciała, to skulić się, to znowu spłaszczyć i, kryjąc się tu i tam, zjawiał się co chwila na innym miejscu, nawet w fałdach własnego płaszcza Goliata. W końcu uciekł się do procy. Kamyk ugodził Goliata w głowę; olbrzym runął i kurtyna spadła. Śmiałem się i śmiałem, coraz to więcej i głośniej, pobudzony szalonym pomysłem Belcampa. Wtem dotknął ktoś mojego ramienia. Jakiś opat stał przede mną.

- Cieszy mnie - zagadnął na początek - żeście, wielebny ojcze, nie stracili ochoty do rzeczy ziemskich. Istotnie po tym, co widziałem, po waszych niezwykłych ćwiczeniach nabożnych, nigdy bym nie przypuścił, że możecie śmiać się z takiego głupstwa.

Słowa te zmieszały mnie nieco; uczułem, że powinienem się wstydzić swej wesołości i mimo woli odpowiedziałem - jakże pożałowałem wkrótce tej odpowiedzi - pół serio, a pół żartem:

- Wierzaj mi, kochany opacie, że kto na bystrych falach najbujniejszego życia był tęgim pływakiem, tego nigdy nie zawiedzie siła i z najciemniejszej topieli potrafi unieść głowę i spojrzeć dumnie w twarz światu.

Opat zmierzył mnie roziskrzonymi oczami i zawołał:

- Brawo, jakże świetne porównanie i jak stosowne! Pochlebiam sobie, żem poznał was teraz dobrze i do gruntu; przyjmijcie wyrazy najgłębszego mojego podziwu!

- Nie wiem, wasza świątobliwość, czym biedny, pokutujący mnich mógł wzbudzić wasz podziw?

- Wybornie, najczcigodniejszy! Wpadacie znowu w swą rolę! Jesteście ulubieńcem papieża!

- Podobało się namiestnikowi Pana zaszczycić mnie spojrzeniem. Uczciłem go w pokorze, jak przystoi godności danej mu przez Opatrzność, co w jego sercu znalazła niebiańsko czystą cnotę...

- No, godny wasalu trzykrotnie ukoronowanego, ty będziesz sprawował dzielnie, co nakaże urząd! Lecz wierz mi: obecny namiestnik Chrystusa jest klejnotem cnoty w porównaniu z Aleksandrem Szóstym i być może, że w tym wypadku przerachowałeś się nieco! Mimo to - graj swoją rolę - przegra się szybko, wesoło i raźnie poczęta komedia... Bywaj mi zdrowy, świątobliwy ojcze!

Roześmiawszy się szyderczo zniknął mi sprzed oczu, zostawiając mnie samego.

Stałem nieruchomy. Z porównania ostatniej jego uwagi o papieżu z własnymi moimi spostrzeżeniami wynikało całkiem jasno, że nie był to wcale ów koronowany zwycięzca zwierzęcia i bohater, za jakiego uważałem go z początku, a zarazem dostała mi się przykra nauczka, że przynajmniej ta część publiczności, którą stanowi duchowieństwo, uważała moją pokutę za oszukańcze zabiegi w celu wybicia się i zrobienia kariery. Zraniony aż do głębi, wróciłem do klasztoru i pomodliłem się gorąco w samotnym kościele.

I jakby łuski opadły mi z oczu, poznałem pokusę ciemnych mocy, co chciały mnie uwikłać na nowo, a zarazem swoją grzeszną słabość i karę nieba. Tylko szybka ucieczka mogła mnie ocalić. Postanowiłem więc wyruszyć nazajutrz w drogę.

Już noc zapadała, gdy silnie rozebrzmiał dzwonek przy furcie klasztornej. Jakaś nerwowa ręka targała za sznurek. Wkrótce wszedł do mej celi brat furtian i zawiadomił .mnie, że jakiś dziwacznie ubrany człowiek gwałtownie pragnie

mówić ze mną. Udałem się natychmiast do rozmównicy. Był to Belcampo. Przyskoczył do mnie w wariackich podrygach, chwycił mnie za oba ramiona i pociągnął szybko do kąta.

- Medardzie - począł szeptać cicho i z pośpiechem - Medardzie, możesz sobie poczynać, jak ci się podoba, by się zgubić, lecz głupota bieży za tobą na skrzydłach wiatru zachodniego, południowego lub tez południowo-zachodniego, wreszcie na czyichkolwiek, chwyta cię, choćby tylko koniuszek twego habitu wystawał z przepaści, i wyciąga cię do góry , o Medardzie! Poznajże to, poznaj, co to przyjaźń, poznaj, co może miłość, przypomnij sobie Dawida i Jonatana, najdroższy kapucynie!

- Podziwiałem cię w roli Goliata - przerwałem niepomiarkowanemu gadule - lecz powiedz mi prędko, o co ci chodzi, co cię tu sprowadza?

- Co mnie tu sprowadza ? - zawołał Belcampo - co mnie tu sprowadza? Szalona miłość do pewnego kapucyna, któremu raz uporządkowałem głowę, który rozrzucał czerwoniutkie niby krew dukaty, który pomordował coś niecoś, a który potem chciał zaślubić najpiękniejszą ze wszystkich dziewicę mieszczańskim, a raczej szlacheckim trybem.

- Milcz! - krzyknąłem - milcz, okrutny błaźnie! Odpokutowałem ciężko za to, co mi zarzucasz tak zuchwale!

- O panie - zawołał Belcampo - więc jeszcze me posnęły snem sprawiedliwych te rany zadane ręką wroga? Ejże... więc powrót do zdrowia był tylko przewidzeniem? No, to już będę łagodny i cichy jak nowonarodzone dziecię, w każdym razie okiełznam się, oczywiście, nie będę już skakał ni duchem; ni ciałem i tylko powiem ci, kochany kapucynie, że kocham cię tak czule głównie dla twoich szczytnych szaleństw, a ponieważ jest rzeczą pożyteczną, by wszelka istota szalona żyła na ziemi tak długo, dopóki się tylko da, więc ratuję cię z każdego niebezpieczeństwa śmierci, na jakie się zuchwale narażasz. W garderobie moich lalek podsłuchałem rozmowę dotyczącą ciebie. Papież chce cię zrobić przeorem tutejszego klasztoru kapucynów i podnieść

do godności swojego spowiednika. Uciekaj jak najprędzej, uciekaj natychmiast z Rzymu, bo czyhają na ciebie sztylety. Znam nawet poczciwca, który cię ma wyekspediować do królestwa niebieskiego. Stoisz w drodze dominikaninowi, który jest obecnie spowiednikiem papieskim, i jego całej bandzie. Jutro uciekaj!

Ta ostatnia uwaga doskonale mi się kojarzyła ze słowami nieznajomego opata. Byłem tak zaskoczony, że ledwie zauważyłem, iż przekomiczny Belcampo raz po raz przyciskał mnie do serca i w końcu w podskokach, ze swym zwykłym, dziwacznym grymasem pożegnał się i zniknął.

Było już może po północy, gdy usłyszałem skrzypienie zewnętrznej bramy klasztoru, którą otwierano, i jakiś powóz wtoczył się głucho na bruk podwórza. Potem dały się słyszeć

jakieś kroki na klatce schodowej. Zapukano do mej izby. Otworzyłem i zobaczyłem ojca gwardiana, któremu towarzyszył jakiś szczelnie zakapturzony mężczyzna z pochodnią.

- Bracie Medardzie - rzekł gwardian - umierający żąda od ciebie duchowej pociechy i ostatniego pomazania. Czyń, co ci każe obowiązek, i śpiesz za tym człowiekiem, który cię zaprowadzi tam, gdzie cię potrzebują.

Przebiegł mnie zimny dreszcz i przeczucie, że powiodą mnie na śmierć:.. Lecz nie mogłem się ociągać ni wahać i poszedłem za ponurym kapturem. Człowiek z pochodnią otworzył drzwiczki powozu i zaprosił mnie do wejścia. W powozie znalazłem dwóch mężczyzn, którzy mnie wzięli pomiędzy siebie.

Zapytałem, dokąd mnie wiozą i kto właśnie żąda ode mnie pociechy i ostatniego pomazania.

Żadnej odpowiedzi! W głębokim milczeniu minęliśmy jakieś ulice. Po turkocie powozu i dźwięku podków końskich przypuszczałem, że byliśmy już poza Rzymem; wkrótce jednak spostrzegłem dokładnie, żeśmy przejeżdżali przez jakąś bramę, a potem znowu poczęły się brukowane ulice.

W końcu stanął powóz i szybko związano mi ręce, a gruby kaptur przysłonił mi oczy.

- Nie stanie wam się nic złego - rzekł ktoś szorstkim głosem - milczcie tylko na wszystko, co zobaczycie i usłyszycie, inaczej zginiecie natychmiast... Wydostano mnie z powozu, zadźwięczały klucze i jakaś brama zaskrzypiała chrapliwie na ciężkich i szorstkich zawiasach. Prowadzono mnie przez długie korytarze, a potem przez schody, z góry na dół, coraz to niżej i niżej. Odgłos kroków wskazywał, że znajdowaliśmy się w podziemiach, o których przeznaczeniu świadczył obmierzły zapach trupów. W końcu zatrzymano się... rozwiązano mi ręce i kaptur opadł mi z głowy. Znajdowałem się w obszernym, słabą poświatą lampy oświeconym wnętrzu. Jakiś człowiek w czarnym kapturze, prawdopodobnie ten sam, który mnie tu przywiódł, stał przy mnie; dokoła na niskich ławkach siedzieli dominikanie.

Przyszedł mi na myśl ów przedziwny, przeraźliwy sen z więziennej celi. Byłem już pewny; że zginę bolesną śmiercią, lecz stałem przygotowany na wszystko i modliłem się gorąco do Boga już nie o ratunek, lecz o szczęśliwy koniec. Po kilku minutach ponurego, złowieszczego milczenia wystąpił jakiś mnich, zbliżył się do mnie i rzekł posępnie:

- Medardzie, osądziliśmy jednego z twoich braci zakonnych. Wyrok ma być wykonany. Od ciebie, świętego człowieka, czeka on absolucji i otuchy w chwili śmierci. Idź i czyń, co ci każe powinność! Zakapturzony człowiek, stojący przy moim boku, ujął mnie pod ramię i poprowadził mnie przez wąskie przejście do jakiejś małej piwnicy. Tu, w kącie, na słomianej podściółce leżał jakiś blady, wyniszczony, pokryty łachmanami szkielet. Człowiek zakapturzony postawił lampę na drewnianym stole na środku piwnicy i wyszedł w milczeniu. Zbliżyłem się do więźnia. Z trudem obrócił się ku mnie. Struchlałem - był to Cyryl. Utopiłem wzrok w szlachetnych rysach pobożnego

nieszczęśliwca, a on uśmiechnął się jakimś niebiańskim, świetlanym uśmiechem i rzekł słabym głosem:

- Widzę, że nie oszukali mnie ci ohydni służalcy piekła, którzy tu mieszkają. Od nich to dowiedziałem się, że znajdujesz się w Rzymie, kochany bracie Medardzie, i gdym tak tęsknił do ciebie, bom ci niegdyś wyrządził straszliwą krzywdę, przyrzekli, że mi cię przyprowadzą w godzinę śmierci. Ta właśnie nadeszła i - dotrzymali słowa.

Ukląkłem przy pobożnym, świątobliwym starcu i zakląłem go, by mi przede wszystkim powiedział, jak się to stało, że go uwięziono i na śmierć skazano.

- Kochany bracie Medardzie - rzekł Cyryl - dopiero po wyznaniu w skrusze, żem zawinił względem ciebie przez pomyłkę, dopiero gdy mnie pojednasz z Bogiem, będę mógł mówić o własnej nędzy, o własnej ziemskiej zatracie! - Wiesz pewnie, że ja, a ze mną cały nasz klasztor brał cię za przeklętego grzesznika; najstraszniejsze zbrodnie ściągnąłeś (w naszym mniemaniu) na swoją głowę - i wyrzuciliśmy cię z naszego grona. A jednak była to tylko fatalna chwila, w której szatan zarzucił ci stryczek na szyję i pociągnął z miejsc świętych w odmęty grzesznego świata. Łudząc twoim imieniem, suknią i postacią, jakiś diabelski oszukaniec popełnił owe zbrodnie, które o mało nie ściągnęły na ciebie haniebnej śmierci mordercy. Ale Przedwieczny okazał sposobem cudownym, że wprawdzie grzeszyłeś lekkomyślnie, bo postępowanie twoje zmierzało do złamania ślubów zakonnych, lecz pozostałeś czystym i wolnym od owych straszliwych zbrodni. Powróć do naszego klasztoru, a z miłością i weselem przyjmie cię Leonard i bracia, szczęśliwi z powrotu odzyskanego brata, którego mieli za straconego. O Medardzie!

Starzec, wyczerpany dłuższym mówieniem, zapadł w głębokie omdlenie.

Wytrzymałem wzruszenie, wywołane słowami jego, pełnymi jakby objawienia nowych, a dziwnych zdarzeń, i myśląc tylko o nim, o zbawieniu jego duszy, starałem się,

nie mając żadnych innych środków, w ten sposób powrócić go do przytomności, że prawą ręką pocierałem mu powoli i łagodnie głowę i piersi - jak to się praktykowało w naszym klasztorze, ilekroć chodziło o śmiertelnie chorych. Cyryl ocknął się wkrótce i wyspowiadał się przede mną, on - pobożny - przed zbrodniczym grzesznikiem.

A w chwili gdym mu dawał odpuszczenie grzechu, jeżeli grzechem nazwać można jakieś małe wątpienia w sprawach mniej ważnych - w chwili tej nie byłem sobą samym, lecz jakby ucieleśnionym organem nieba, przez który przemawia duch wieczny i zwraca się po ludzku już tu do człowieka, wyzwalającego się z cielesnych więzów. Cyryl podniósł pobożnie oczy ku niebu i rzekł:

- O bracie Medardzie, jakże mnie pokrzepiły twe słowa! Wesoło idę na śmierć, zgotowaną mi rękami przeklętych złoczyńców. Padam jako ofiara straszliwego fałszu i grzechu, otaczających tron uwieńczonego potrójną koroną.

Usłyszałem głuchy odgłos kroków zbliżających się w naszym kierunku. Wkrótce klucze zaskrzypiały w zamku. Cyryl podniósł się z wysiłkiem, ujął mnie za rękę i rzekł do ucha:

- Wracaj do naszego klasztoru... Leonard wie o wszystkim... i o mojej śmierci... zaklinam go, by milczał o tym, jak umarłem...

I tak niedługo już... a zmarłbym ze starości... jestem bardzo wyczerpany. Bywaj zdrów, mój bracie! Módl się za zbawienie mej duszy!... Będę z wami, w klasztorze, na mszy żałobnej za spokój mojej duszy... Przysięgnij mi, że zachowasz w tajemnicy wszystko, o czym się tu dowiedziałeś - inaczej ściągniesz zgubę i wiele niebezpieczeństw na nasz klasztor!

Przysiągłem. Weszli ludzie zakapturzeni i podnieśli starca z leża. Był tak osłabiony, że nie mógł utrzymać się na nogach. Więc powlekli go przez korytarz ku piwnicy, w której byłem poprzednio. Na skinienie zakapturzonych poszedłem za nimi. Dominikanie otoczyli nas zwartym kołem. Postawiono

starca i kazano mu uklęknąć na kupie ziemi. Do ręki dano mu krucyfiks. Modliłem się głośno, jak przystało spowiednikowi. Jakiś dominikanin ujął mnie pod ramię i odciągnął na bok. W tejże chwili ujrzałem miecz błyszczący w rękach człowieka zakapturzonego i krwawa głowa Cyryla padła mi pod stopy. Upadłem nieprzytomny. Gdy przyszedłem do siebie, znajdowałem się w jakiejś małej izbie. Jakiś dominikanin przystąpił ku mnie i rzekł z szyderczym śmiechem:

- Przestraszyliście się, mój bracie, a przecież należało wam się raczej cieszyć i pysznić, żeście na własne oczy widzieli tak piękną śmierć męczeńską. Bo tak musimy rzecz nazwać, gdy któryś z braci waszego klasztoru ponosi śmierć zasłużoną; wszak wy wszyscy razem i każdy z osobna jesteście świętymi!

- Świętymi? Nie! - rzekłem. - Lecz w naszym klasztorze nie zamordowano by nigdy niewinnego! Puśćcie mnie, spełniłem już z radością swoją powinność! Dusza tego męczennika będzie ze mną, gdyby mi przyszło dostać się w ręce przeklętych morderców.

- Nie wątpię - rzekł dominikanin - że świętej pamięci brat Cyryl będzie wam mógł pomóc w podobnych wypadkach, lecz zechciej, kochany bracie, nie nazywać mordem jego stracenia.

Ten Cyryl zgrzeszył ciężko przeciw namiestnikowi Pana i on to sam skazał go na śmierć.

Lecz co tu gadać, z pewnością sam wyspowiadał się wam ze wszystkiego, wiecie więc już, co należy... Lepiej pokrzepcie się i odświeżcie. Pobledliście i wyglądacie nieszczególnie.

To mówiąc podał mi kryształowy kielich, w którym pieniło się ciemnoczerwone wino o mocnym zapachu. Nie wiem już, jakie przeczucie ogarnęło mnie, gdym zbliżał ten puchar do ust. To tylko pewna, że uderzył mnie zapach podobny do woni wina, które mi niegdyś owej fatalnej nocy podała była Eufemia. Mimo woli, nie wiedząc sam, co czynię, podniosłem

lewą rękę, jakby dla przysłonienia oczu przed rażącym promieniem lampki, i całą zawartość kryształu wlałem w rękaw habitu.

- Niech wam będzie na zdrowie - zawołał dominikanin, otwierając drzwi z pośpiechem.

Rzucono mnie do powozu, który, ku mojemu zdziwieniu, był pusty. Zacięto konie. Pojazd ruszył z miejsca. Groza nocy, wielkie napięcie nerwowe, żal po nieszczęśliwym Cyrylu, wszystko to podziałało na mnie tak przygnębiająco, żem był jak martwy i poddałem się bez oporu, gdy mnie wyciągnięto z powozu i dość brutalnie rzucono na ziemię. Zajaśniał poranek.

Ujrzałem się przed bramą kapucyńskiego klasztoru. Pociągnąłem za sznurek od dzwonka.

Furtian przestraszył się na widok mojej bladej, pomieszanej twarzy i widocznie doniósł przeorowi o moim niezwykłym powrocie, bo zaraz po mszy rannej wszedł zatroskany do mojej celi. Na pytania jego dawałem tylko ogólnikowe odpowiedzi; że śmierć człowieka, którego wyspowiadałem, była za okropna, by mnie nie wzruszyć do głębi. Wkrótce jednak przestałem panować nad sobą i nie mogłem mówić bo wściekły ból w lewym ramieniu zgiął mnie aż ku ziemi. Krzyknąłem.

Wezwano chirurga klasztornego. Zdarto mi z ramienia rękaw, jakby wrosły w mięśnie, i znaleziono całe ramię rozszarpane w kawałki i przeżarte jakoby trawiącym kwasem.

- Podano mi wino do picia, wlałem je do rękawa! - jęknąłem odchodząc od przytomności pod naporem piekielnego bólu.

- Żrąca trucizna była w tym winie - zawołał chirurg i pobiegł po odpowiednie środki, by przynajmniej uśmierzyć gwałtowne cierpienie. Zręczności chirurga i najtroskliwszej opiece samego przeora, który mnie pielęgnował osobiście, udało się ocalić ramię, przeznaczone pierwotnie do

amputacji. Lecz aż do kości zeschły mięśnie i wszelką zdolność ruchu zniszczył ów kielich zabójczy cykuty.

- Widzę aż za jasno - rzekł przeor - jak się ma sprawa z owym zdarzeniem, co przyprawiło cię o stratę ramienia, Pobożny brat Cyryl zniknął z naszego klasztoru i z Rzymu w niepojęty sposób, a i ty, kochany bracie Medardzie, pójdziesz jego śladem, jeśli natychmiast nie opuścisz Rzymu.

Różnymi podejrzanymi sposobami dowiadywano się o ciebie, gdyś leżał chory, i tylko czujności mojej i jedności pobożnych braci masz do zawdzięczenia, że mordercza ręka nie dotarła aż do twojej celi. Jak w ogóle wydajesz mi się dziwnym człowiekiem, na którego czatują wszędzie fatalne wypadki, tak też dziwnym musiałeś się wydać wszystkim tu w Rzymie i zanadto zwróciłeś na siebie uwagę, by niektórym osobistościom nie zależało serdecznie na usunięciu cię z wiecznego miasta. Wracaj do swojej ojczyzny, do swego klasztoru. Pokój z tobą.

Czułem dobrze, że dopóki znajduję się w Rzymie, życie moje wisi na włosku, ale do męczącej myśli o spełnionych zbrodniach, których nie starła najsurowsza pokuta, przyłączył się fizyczny, dotkliwy ból zamierającego ramienia - przestałem cenić to pełne męczarni, chorowite życie, od którego, niby od gniotącego ciężaru, mogła mnie uwolnić szybko zadana śmierć. Coraz więcej przyzwyczajałem się do myśli, że skończę gwałtowną. śmiercią, co więcej, jawiła mi się ona jako tryumfalne, długą moją pokutą zdobyte męczeństwo.

Widziałem się w myślach, jak wychodzę szybko z podwoi klasztoru, a jakaś ciemna postać przeszywa mnie zabójczym sztyletem.

Tłum gromadzi się około skrwawionego trupa. "Medard, pobożny pokutnik Medard został zamordowany!" Tak krzyczą po ulicach, a coraz gęściej i gęściej napływają masy tłumu, zawodząc i lamentując głośno nad zwłokami. Kobiety klękają i wycierają białymi chustami ranę, z której wytryska krew.

Wtem jedna z nich spostrzega krzyż na szyi i krzyczy głośno: "Męczennik i święty! Widzicie znak Pana na szyi tego człowieka?" Wszyscy padają na kolana.

Szczęśliwy, kto może dotknąć ciała świętego, kto może otrzeć się o jego szaty!

Szybko przynoszą nosze układają na nich ciało, pokrywają je kwiatami i w tryumfalnym pochodzie, wśród głośnych śpiewów i modlitw niosą je do kościoła Świętego Piotra!

Tak to fantazja kreśliła mi obrazy, przedstawiające w żywych kolorach moje

wywyższenie tu, na ziemi, i nie myśląc o tym, nawet nie przeczuwając, jak duch grzesznej duszy starał się znowu skusić mnie nowym sposobem, postanowiłem pozostać nadal w Rzymie po zupełnym powrocie do zdrowia i nadal prowadzić dotychczasowy sposób życia, i tak albo zaszczytnie umrzeć, albo ocalony przez papieża z rąk wrogów, wznieść się do wysokich godności Kościoła.

Moja silna, żywotna natura pozwoliła mi przetrzymać ból niewypowiedziany i oparła się zgubnemu wpływowi piekielnej trucizny; co działając z zewnątrz, wdzierała się do wnętrza i chciała nadszarpnąć mi ducha.

Lekarz zapowiedział mi rychłe wyzdrowienie i w rzeczy samej już tylko w chwilach owego majaczenia, co zwykle poprzedza zaśnięcie, odczuwałem napady febryczne, występujące na przemian z zimnymi dreszczami i przelotną gorączką. Właśnie w takiej chwili, przepełniony obrazami swojego męczeństwa, patrzyłem, jak to już nieraz mi się zdarzało, na siebie samego zamordowanego pchnięciem sztyletu.

Lecz zamiast ujrzeć się, jak zwykle, rozciągniętym na placu Hiszpańskim i otoczonym przez tłumy ludu, domagające się mojej kanonizacji - leżałem samotny w alei ogrodu klasztornego w B. Zamiast krwi, tryskał jakiś obmierzły, bezbarwny płyn z szeroko otwartej rany, a głos jakiś mówił: “Czy to krew męczennika? Lecz ja tę wodę nieczystą rozjaśnię i zabarwię, a wtedy uwieńczy go ogień,

co odniósł zwycięstwo nad Światem." Tym, który wymówił te słowa, byłem ja sam, lecz gdy poczułem się wolnym od swego trupa, spostrzegłem, że jestem bezistotną myślą własnego ja, i wkrótce rozpoznałem się jako czerwień płynąca w eterze. Piąłem się na jaśniejące szczyty gór - chciałem się wedrzeć w ojczysty zamek przez złotą bramę obłoków porannych, lecz ogniem ziejące węże błyskawic zawirowały po sklepieniu niebiosów i opadłem na dół: wilgotna, bezbarwna mgła. "Ja to, ja - mówiła myśl - ja to zabarwiam wasze kwiaty, waszą krew - kwiaty i krew to wasz weselny strój, cenny moim tchnieniem..."

Zapadając coraz niżej i niżej, spostrzegłem trupa z szeroko rozwartą raną w piersi, z której tryskały strumienie owej nieczystej wody. Tchnienie moje miało tę wodę zamienić w krew, ale daremnie, daremnie, nie stało się, jak chciałem - tylko trup podniósł się złowrogo, wpił we mnie oczy podkrążone, okrutne i zawył, jak wiatr północny w głębokiej rozpadlinie:

- Myśli szalona! Co ci się śni? Bój światła z ogniem - bajka zmyślona. Zatruwasz czerwień, co światło chrzci. - Trup opadł; wszystkie kwiaty na łące opuściły powiędłe głowy; ludzie, podobni do bladych upiorów, padali na ziemię i bezimienny lament tysiąca głów zadygotał w powietrzu:

- O Panie, Panie! Tak niezmierzonym jest brzemię naszych grzechów, iż dajesz nieprzyjacielowi moc, by zabijał przebłagalną ofiarę krwi naszej...

Silniej, coraz to potężniej, na kształt huczącej fali morza, nabrzmiewała skarga. Myśl rozpadała się w proch w gwałtownym drżeniu niewymownego lamentu. Nagle zbudziłem się, jakby pod uderzeniem iskry elektrycznej. Zegar na wieży klasztornej wybijał dwunastą:

Oślepiające światło padało z okien kościoła do mej celi. "Umarli wstają z grobów i odprawiają mszę" - rzekło coś we mnie i począłem się modlić. Wtem posłyszałem jakieś ciche pukanie. Zrazu myślałem, że któryś z mnichów przychodzi do mnie, lecz jakże struchlałem, posłyszawszy ów potworny

chichot i śmiech swojego upiornego sobowtóra i to drażniące, szydercze wołanie: "Braciszku... braciszku... znów jestem przy tobie... rana krwawi... krew cieknie... czerwono... czerwono... chodź, chodź... braciszku Medardzie... chodź ze mną...!" - Chciałem zerwać się z łoża, ale lodowa pokrywa grozy przywarła mnie do pościeli i wszelki wysiłek ruchu zmieniał się w wewnętrzne konwulsje, rozdzierające mięśnie przeokropnym bólem. Została mi tylko jedna myśl, a tą myślą była gorąca modlitwa o ocalenie i wydarcie z rąk ciemnych mocy, idących na mnie całą przepaścią piekła. I stało się, że swą modlitwę, pomyślaną tylko w duchu, usłyszałem dokładnie, jak prosiła głośno o pomoc, a potem rozpostarła się, jako zwycięzca, nad stukaniem i chichotem, i dręczącym wołaniem okrutnego sobowtóra, w końcu jednak rozpłynęła się w jakimś niezwykłym brzęczeniu, co zawibrowało, jak wówczas gdy wiatr południowy rozbudzi chmary złośliwych owadów, co jadowitym smoczkami niszczą kwitnące zasiewy. Brzęczenie przeszło zwolna w ów niewymowny lament płaczących ludzi, a dusza moja smutna spytała: "Nie jestże to sen wieszczy, co kładzie się lękiem i pociechą na twoje rany krwawiące?" W tejże chwili zakotłował obłok ponury i bezbarwny, a z wełny jego obmierzłej wzbiły się łuny wieczornej purpurowej zorzy: to jakaś postać wysoka wzniosła się z mgły posępnej. Był to Chrystus. Z każdej jego rany rosiły krople krwi. Oddawał ziemi ukochaną czerwień, a lament ludzki zmienił się w radosny hymn, bo czerwień była łaską Pana rozpostartą nad nimi! Tylko krew Medarda płynęła jeszcze bezbarwna i cisnęła się smutnie w rozwarte usta rany - więc modliłem się gorąco: "Mamże sam jeden na całym świecie, mamże sam jeden, jedyny, pozostać bez pociechy, ofiara wieczystej męki potępiania?" Coś poruszyło się w zaroślach i róża nasycona jasnym szkarłatem niebiańskiego żaru wychyliła głowę, spojrzała na Medarda z anielsko łagodnym uśmiechem, owionął go słodki zapach, a zapach ten był cudownym jaśnieniem najczystszego powietrza wiosennego.

"Nie ogień zwyciężył; bój światła z ogniem - bajka zmyślona; ogień jest słowem, co oświeca grzesznych." Słowa te zdawały się słowami róży, lecz róża była wdzięczną dziewczyną.

W białej szacie, z różami w ciemnych włosach; przystąpiła ku mnie.

- Aurelio! - krzyknąłem, budząc się ze snu. Przedziwny zapach róż wypełniał celę. Zdawało mi się, że widzę dokładnie postać Aurelii; patrzyła mi w oczy poważnie, a potem znikła w promieniach poranku, wpadających do izby. Oczywiście musiałem to wszystko uważać za przywidzenie. Pośpieszyłem jednak co prędzej przed ołtarz świętej Rozalii i pomodliłem się gorliwie. Poznałem pokusę szatana i swoją grzeszną słabość. Zapadło postanowienie: żadnych biczowań, żadnej pokuty w duchu klasztornym, ale gdy w południe słońce rzucało prostopadłe promienie, byłem już za Rzymem w odległości kilku godzin. Nie tylko przestroga Cyryla, lecz także wewnętrzna, nieprzeparta tęsknota za ojczyzną gnała mnie naprzód po tej samej drodze, którą szedłem był do Rzymu. Mimo woli, choć przede chciałem był zdradzić swoje powołanie, obrałem najprostszą drogę do celu wyznaczonego przez przeora Leonarda.

Unikałem rezydencji księcia nie z obawy, że mnie poznają i na nowo oddadzą w ręce sądu kryminalnego, lecz jakże mógłbym bez najboleśniejszych wspomnień znaleźć się na miejscu, gdzie w zbrodniczej przewrotności odważyłem się ubiegać o ziemskie szczęście, choć jako sługa Boży wyrzekłem się go na zawsze, i gdzie, obcy wieczyście czystemu duchowi miłości, brałem moment zadowolenia ziemskiego popędu za najjaśniejszy szczyt życia, na którym zmysłowe z nadzmysłowym stapia się w jednym płomiennym wybuchu; na tym to miejscu drgająca pełnia życia, podsycana bujnością własnego bogactwa, jawiła mi się jako zasada sprzeciwiająca się potężnie wszelkim dążeniom ku rzeczom niebiańskim, w których mogłem był

widzieć tylko nienaturalne zaparcie się siebie samego! Ale co więcej...

Pomimo pokrzepienia płynącego z nienagannego postępowania i wytrwałej a surowej pokuty, czułem się bezsilnym do podjęcia zwycięskiej walki z tą ciemną, groźną potęgą, której wpływ dał mi się za często i za okrutnie we znaki.

Raz jeszcze ujrzeć Aurelię! Być może w całym przepychu piękności i wdzięku! Czyż mógłbym to znieść nie popadając w moc złego ducha, co jeszcze gotował mi krew ogniami piekła, iż wrąc i sycząc biegła drogami żył.

Jakżeż często jawiła mi się postać Aurelii, lecz jakże często budziły się wówczas we mnie uczucia, których grzeszność widziałem dokładnie, i całą siłą woli starałem się je zniszczyć. Tylko że w świadomości tego wszystkiego, z której wypływała najczujniejsza baczność na siebie samego, i w uczuciu własnej bezsilności, odciągającej mnie od walki, widziałem prawdziwość swej pokuty i pocieszającym było mi to przekonanie, że przynajmniej opuścił mnie piekielny duch dumy i zuchwalstwo prące do zaczynania z ciemnymi mocami.

Wkrótce stanąłem w górach. Pewnego poranku z obłoku, pokrywającego rozpostartą u mych stóp dolinę, wynurzył się jakiś zamek. Zbliżywszy się nieco poznałem, że znajdowałem się w dobrach barona F. Park zdziczał, ścieżki zarosły chwastami i piołunem, perspektywy szpalerów straciły równość i przejrzystość; na pysznym niegdyś trawniku, rozciągniętym piękną polanką przed zamkiem, pasło się bydło. Okna zamku były połamane i przeważnie bez szyb; wejście zapadło. Ruina! Ani żywej duszy... W głuchym milczeniu, z nieruchomymi oczami stałem oddany na pastwę ponurej samotności. Cichy jakiś jęk dobył się z pobliskiego, dość starannie jeszcze utrzymanego gaiku i w tejże chwili spostrzegłem starego, sędziwego mężczyznę, który siedział pod drzewami i jakoś nie spostrzegał mnie

zupełnie, choć stałem dość blisko. Gdym podszedł bliżej, usłyszałem te słowa:

- Pomarli, pomarli już wszyscy, których kochałem! Ach, Aurelio, Aurelio, i ty ostatnia umarłaś dla świata!

Poznałem starego Reinholda - stałem jak wryty.

- Aurelia umarła? Nie, nie, mylisz się, stary, niebo ją zasłoniło przed nożem zbrodniczego mordercy.

Tak krzyknąłem, a stary wzdrygnął się, jakby rażony piorunem, i zawołał głośno:

- Kto tu? Kto tu? Leopoldzie, Leopoldzie!

Przybiegł jakiś chłopiec. Gdy mnie zobaczył, skłonił się nisko i pozdrowił:

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Odpowiedziałem "na wieki wieków". Wówczas zerwał się starzec i krzyknął jeszcze głośniej :

- Kto tu? Kto tu?

Teraz dopiero spostrzegłem, że starzec był ślepy.

- To wielebny ojciec - rzekł chłopiec - to kapucyn.

Na te słowa zadrżał starzec i skrzywił się ze zgrozy i wstrętu i począł wołać pośpiesznie:

- Chodź, chodź, chłopcze; prowadź mniej dalej, dalej, zamknąć drzwi, Piotr niech stanie na straży, chodźmy... chodźmy!

Starzec zebrał wszystkie siły, jakie mu jeszcze pozostały, i uciekał przede mną jak przed drapieżnym zwierzęciem. Zdziwiony chłopiec spoglądał na mnie z przerażeniem, lecz starzec, nie ,czekając, aż on go poprowadzi, porwał go sam za sobą i wkrótce zniknęli w zamku. Usłyszałem zgrzyt klucza, drzwi zawarły się za uciekinierami.

Uciekłem pośpiesznie od tej sceny moich największych zbrodni, tym śpieszniej, że tu właśnie najżywiej stanęły mi przed oczami widma okrutnej przeszłości.

Wkrótce znalazłem się w głębokim gąszczu. Upadając ze zmęczenia, siadłem na mchu pod drzewem. Opodal widniało niewielkie wzgórze a na nim krzyż. Usnąłem znużony drogą.

Gdym zbudził się ze snu, ujrzałem jakiegoś starego chłopa siedzącego przy mnie. Z radością spostrzegł, że otworzyłem oczy, i natychmiast ściągnął z uszanowaniem czapkę, mówiąc tonem najszczerszej, a pełnej wielkiego poważania dobroduszności:

- Ej, wielebny ojcze, z pewnością przybyliście tu z daleka bardzo i musicie być bardzo znużeni; oj, nie spalibyście tak głębokim snem na takim miejscu, gdybyście wiedzieli... A może wielebny ojciec nie wiedzą, co to za miejsce?

Zapewniałem, że jako obcy, z Włoch wędrujący pielgrzym, zgoła nic nie wiem o tym miejscu, ani o jego historii.

- Ano - rzekł chłop - tyczy to szczególnie was i waszych kapucynów. Bóg widzi, że kiedym tak ujrzał jegomościszka śpiącego tu pod drzewem, zaraz siadłem, na wszelki, co nie daj Boże, wypadek, aby was bronić ode złego. Przed kilku pono laty zamordowano tu jednego kapucyna. To tylko pewna, że przybył wtedy jakiś kapucyn do wsi, przenocował i ruszył w góry. Tegoż dnia schodził mój sąsiad w dolinę po ścieżce poniżej “diablej przepaści". Nagle usłyszał jakiś daleki, przenikliwy krzyk, co dziwnie rozległ się w powietrzu. Powiada nawet, ale mnie się to nie widzi, że jakaś postać buchła z wirchu w przepaść. To pewna, żeśmy wszyscy we wsi, nie wiedzieć dlaczego, myśleli, że to kapucyn stoczył się... Kilku z nas wyszło i, o ile się dało bez narażenia życia, spuszczaliśmy się na dół, aby znaleźć choć zwłoki nieszczęśliwego człeka. Nie mogliśmy jednak nic odkryć i wyśmialiśmy porządnie sąsiada.

Aż tu w jakiś czas potem, w jasną noc księżycową, przybiegł sąsiad do domu, cały drżąc ze strachu, i przysięgał się, że zobaczył nagiego człowieka wychodzącego z "diablej przepaści". Było to jednak czcze przywidzenie. Później zaś dowiedziano się, że kapucyna, Bóg raczy wiedzieć dlaczego, zamordował tutaj jakiś dostojny pan, a trupa strącił w przepaść.

Jestem przekonany, że w tym miejscu musiano dokonać mordu. Słuchajcie jeno, wielebny ojcze, co mi się pewnego

razu wydarzyło.

Przypatrywałem się tej oto dziupli. Naraz spostrzegłem, że jakiś kawał ciemnobrunatnego sukna wystaje ze szpary drzewa. Zrywam się na równe nogi, podchodzę bliżej i wyciągam stamtąd nowiutki habit kapucyński. Na jednym rękawie znać było ślady krwi, a na brzegu było wypisane: Medardus.

Pomyślałem sobie, że zrobię dobry uczynek, choć jestem biedny, jeśli habit sprzedam, a uzyskane pieniądze dam na mszę za duszę tego wielebnego ojca, który został tu zamordowany bez przygotowania się na śmierć i bez spowiedzi. Tak się też stało. Habit poniosłem do miasta, lecz żaden kupiec nie chciał go kupić, a klasztoru kapucynów nie było na miejscu. Spotkałem jednak pewnego pana - mógł to być z ubioru sądząc, strzelec albo leśniczy - którymi oświadczył, że właśnie potrzebuje takiego kapucyńskiego habitu, i zapłacił mi sowicie. Poprosiłem więc księdza proboszcza o mszę, a ponieważ w "diablej przepaści" nie można było postawić krzyża, umieściłem go tutaj na pamiątkę strasznego mordu, dokonanego na kapucynie. Jednak nieboszczyk musiał wiele w życiu przeskrobać, gdyż ma się jeszcze od czasu do czasu tutaj ukazywać. Dlatego msza księdza proboszcza niewiele pomogła. Proszę też was, wielebny ojcze, jeśli zdrowo powrócicie do domu, zróbcie coś dla zbawienia duszy Medarda, waszego brata zakonnego. Przyrzeknijcie.

- Jesteś w błędzie, mój przyjacielu - odpowiedziałem - kapucyn Medard, który przed kilku laty, podróżując do Włoch, przechodził przez waszą wieś, nie został zamordowany. Nie potrzebuje wcale mszy żałobnej, bo żyje i może pracować, i troszczyć się o zbawienie wieczne. Ja właśnie jestem tym Medardem.

To rzekłszy odwinąłem połę i pokazałem mu wyszyte na brzegu imię: Medardus.

Chłop zbladł i struchlał z przerażenia. Następnie zerwał się i krzycząc przeraźliwie skoczył w las i uciekł. Widocznie wziął

mnie za błąkającą się duszę zamordowanego zakonnika.

Daremnie kusiłbym się o wyprowadzenie go z tego błędu. Samotna ustroń, cisza, przerywana tylko niekiedy przytłumionym, idącym z oddali szmerem lasu, wszystko to składało się w doskonałe tło dla podobnych strasznych widziadeł. Przyszedł mi na myśl mój własny, straszliwy sobowtór i, zarażony przerażeniem chłopa, zadrżałem. Strach zajrzał mi w oczy.

Wzburzony do głębi czekałem, rychło z krzaków wyskoczy okropny jąkała i schwyci mnie za gardło. Rozmyślając sam nad sobą, szedłem dalej naprzód. Zwolna opuściła mnie myśl o upiorze mojego własnego "ja", za którego uważał mnie ten chłop. Zrozumiałem jasno, w jaki sposób dostał się mój habit, zostawiony w lesie, do rąk szalonego mnicha. Leśniczy, u którego właśnie ów mnich się zatrzymał, kupił mój habit u jakiegoś chłopa w mieście. Ów dziwny zbieg okoliczności utkwił mi głęboko w duszy. Jakże to wszystkie wypadki musiały się skojarzyć, by spowodować ową nieszczęsną przemianę z Wiktorynem. Szczególnie ważną wydała mi się owa dziwna wizja przerażonego sąsiada. Czekałem z niewątpliwą nadzieją na dalsze wyjaśnienia, nie wiedząc, gdzie i w jaki sposób je otrzymam.

Wreszcie, po kilkutygodniowej podróży, przybyłem do ojczyzny. Ujrzałem wieże klasztoru cystersek, a serce uderzyło mi w piersiach boleśnie. Wszedłem na dziedziniec przed kościołem. Usłyszałem hymn, śpiewany przez chór męski. Ujrzałem krzyż. Za nim szli zakonnicy, parami, jakby podczas procesji. Ach, poznałem moich braci zakonnych, a na ich czele Leonarda, prowadzonego przez jakiegoś nieznanego mi młodzieniaszka. Nie poznali mnie. Śpiewając minęli mnie i weszli przez otwartą furtę do klasztoru. Za nimi przeszli dominikanie i franciszkanie, wreszcie potoczyły się kryte powozy - to niepokalanki. Przyszło mi na myśl, że trafiłem na jakąś nadzwyczajną uroczystość. Podwoje kościoła stały otworem.

Wszedłem. Wszędzie ruch, krzątanina: robiono staranne porządki. Girlandami róż strojono ołtarze. Kościelny rozprawiał głośno i wiele o świeżo rozkwitłych różach, które koniecznie na jutro rano miały być dostarczone, ponieważ ksieni wyraźnie poleciła, aby ołtarz główny ubrany był różami.

Postanowiłem iść natychmiast do braci. Po odmówieniu pokrzepiającej modlitwy poszedłem do klasztoru i zapytałem o przeora Leonarda. Odźwierna zaprowadziła mnie do wielkiej sali. Ujrzałem czcigodnego starca. Siedział na krześle, otoczony braćmi. Załkałem, wzruszony do głębi - głos zamarł mi w gardle - padłem do nóg kochanego ojca.

- Medard! - zawołał Leonard, a przytłumiony szmer przebiegł szeregi braci.

- Medard! Medard! Powrócił!

Podniesiono mnie. Bracia przyciskali mnie do piersi. - Dzięki Bogu! Dzięki Bogu! - wołano na wyścigi. - Opowiadaj! Opowiadaj!

Przeor powstał i skinął na mnie. Poszedłem za nim do pokoju, który mu zwykle przeznaczano na mieszkanie w czasie wizytacji klasztoru.

- Medardzie! - zaczął poważnie - złamałeś zuchwale śluby zakonne; oszukałeś najnikczemniej klasztor; uciekłeś haniebnie, zamiast wykonać dane ci polecenie. Według reguły zakonu powinienem cię kazać zamordować!

- Czyńcie, jak każe litera prawa, wielebny ojcze - odpowiedziałem wzruszony, a spokojnie - z rozkoszą zrzucę brzemię nędznego, nieszczęsnego życia; wiem bowiem, że najsurowsza pokuta nic mi nie pomogła, żadnej nie przyniosła pociechy!

- Co rzekłem - przerwał mi Leonard - rzekłem jako przeor. Teraz zwracam się do ciebie jako przyjaciel, ojciec. W cudowny sposób uszedłeś śmierci, która ci w Rzymie groziła. Tylko Cyryl padł ofiarą...

- Wiecie więc i o tym? - zapytałem zdumiony.

- Wszystko wiem - odrzekł przeor - wiem, że temu biedakowi oddałeś ostatnią przysługę.

Wiem, że i ciebie chciano zgładzić zatrutym winem, podanym ci do picia.

Prawdopodobnie pomimo argusowych oczu mnichów udało ci się wylać całe wino, bo jedna kropla wystarczyłaby w zupełności, byś skończył w przeciągu dziesięciu minut.

- Patrzcie - zawołałem rozsuwając rękaw habitu i pokazałem przeorowi ramię wypalone do kości. - Tknięty złym przeczuciem, wlałem wino do rękawa.

Leonard wzdrygnął się na widok podobnego do mumii ramienia i szepnął głucho do siebie:

- Odpokutowałeś za wszelką zbrodnię. A Cyryl, mój pobożny starzec...

Przyznałem się przeorowi, że nie znam właściwej przyczyny tajemniczego stracenia biednego Cyryla.

- Zapewne - rzekł przeor - doznałbyś tego samego losu, gdybyś był wystąpił jako nasz pełnomocnik. Wiesz, że żądania naszego klasztoru grożą kardynałowi utratą bezprawnie przywłaszczonych dochodów. Kardynał tedy zawarł nagle przyjaźń ze spowiednikiem papieża, wrogiem swym do tego czasu, i użył go przeciw Cyrylowi.

Chytry mnich umiał zgubić Cyryla. Sam zaprowadził go do papieża i tak mu przedstawił obcego kapucyna, że papież przyjął go jako nadzwyczajne zjawisko i przybrał do swego otoczenia. Cyryl spostrzegł wkrótce, że namiestnik Chrystusa zanadto w królestwie tego świata i jego rozkoszach szuka swojego królestwa i że stał się narzędziem w ręku diabelskiej bandy, co łamiąc przewrotnie wrodzony mu hart ducha, miota nim jak piłką pomiędzy niebem a ziemią.

Rzecz jasna, że pobożny starzec nie mógł ścierpieć tego i dręczony zgryzotą, poszedł za głosem powołania i natchnienia. Począł się zwracać do papieża z ognistymi mowami, aby nim wstrząsnąć do głębi i odwrócić od rzeczy ziemskich. I rzeczywiście, papież, natura miękka, dał się

porwać słowom pobożnego starca. Tego tylko czekał dominikanin.

Wyzyskując nastrój papieża na zgubę naszego biednego brata, począł kuć żelazo, póki gorące.

Podszepnął papieżowi jakąś mętną wieść o tajemniczym sprzysiężeniu, mającym strącić go z tronu, jako niegodnego potrójnej korony. Cyryl ma go nakłonić do publicznej pokuty, a pierwszy krok papieża w tym kierunku będzie hasłem do formalnego powstania, wrącego wśród kardynałów. Papież uwierzył. Bez trudu już odnajdował ukryty zamiar w każdym namaszczonym słowie naszego brata i znienawidził starca. Ledwie go mógł ścierpieć w swym otoczeniu. Nie usunął go jednak dla niepoznaki. Raz zdarzyło się, że Cyryl znalazł się bez świadków sam na sam z papieżem. Korzystając ze sposobności rzekł otwarcie, że rozkosznik pozbawiony świątobliwego ducha jest niegodnym namiestnikiem pana, a dla Kościoła hańbą i zgubnym ciężarem, od którego należy się uwolnić. Zaraz po tym, po wyjściu Cyryla z komnat papieskich, znaleziono w napoju chłodzącym podawanym papieżowi do picia truciznę. Że Cyryl był niewinnym, nie potrzebuję cię zapewniać. Znałeś go za dobrze. Ale papież nie wątpił o jego winie. Padł rozkaz tajemnego stracenia Cyryla w podziemiach dominikańskich.

Byłeś w Rzymie intrygującym zjawiskiem. Sposób, w jaki uczciłeś papieża, opowieść o twej przeszłości - wszystko to zastanowiło go i uderzyło jakimś pokrewieństwem waszych natur. Zaświtała mu nadzieja, że z tobą i przez ciebie wzniesie się na wyżyny ducha i znajdzie pokrzepienie a siłę w grzesznych rozmowach o cnocie i religii, by potem, jak śmiem twierdzić, grzeszyć z prawdziwym natchnieniem do grzechu. Twoje ćwiczenia pokutne uważał za roztropną sztuczkę, wiodącą do wyższego celu; podziwiał cię i wyciągał się, jak wąż w słońcu, w tych pochwalnych, świetnie brzmiących słowach. Stało się tedy, że zanim się spostrzegł dominikanin, wybiłeś się nad innych i mogłeś być niebezpieczniejszym niż Cyryl.

Dziwi cię może, Medardzie, że mam tak dokładne wiadomości o twym pobycie w Rzymie. Wiem o każdym słowie, jakie powiedziałeś do papieża, lecz tajemnica to łatwa do rozwiązania: klasztor nasz ma przyjaciela w pobliżu jego świątobliwości, a ten donosił mi dokładnie wszystko. Nawet wtedy, gdyś sądził, żeś rozmawiał sam na sam z papieżem, stał nasz przyjaciel dostatecznie blisko, by mógł pochwycić każdy wyraz. Gdy w klasztorze kapucynów - przeor jest moim bliskim krewnym - rozpocząłeś surowe praktyki pokutne, uważałem twą skruchę za prawdziwą. I tak też było istotnie. Lecz w Rzymie pochwycił cię na nowo ten duch pychy, któremu uległeś był tu u nas. Dlaczego oskarżałeś się przed papieżem o zbrodnie, których nigdy nie popełniłeś? Czyż byłeś kiedykolwiek na zamku barona F.?

- Ach! - krzyknąłem boleśnie, porwany nagłą zgryzotą - toż to miejsce moich największych zbrodni! Najstraszliwsza to kara wieczystej, niezbadanej mocy, że już nigdy tu na ziemi nie wydam się oczyszczonym z grzechu, popełnionego w szaleńczym zaślepieniu. I dla ciebie, wielebny ojcze, jestem grzesznym oszustem!

- W samej rzeczy- rzekł przeor - teraz, gdy cię widzę, jestem bez mała przekonany, że nie byłbyś zdolnym do kłamstwa po takiej pokucie. Lecz w takim razie jest tu jeszcze jakaś niewyjaśniona tajemnica. Wkrótce po twej ucieczce ze stolicy (Bóg nie chciał twej zbrodni - ocalił pobożną Aurelię), gdy mnich, którego sam Cyryl brał za ciebie, ocalił się jakby cudem, stało się jasnym, że to nie ty byłeś na zamku barona F., lecz właśnie hrabia Wiktoryn, przebrany za kapucyna. Listy, znalezione w spuściźnie po Eufemii, mówiły wprawdzie to samo, lecz przypuszczano, że sama Eufemia pozostawała w błędzie, Reinhold bowiem zapewniał, że znał cię za dobrze, by cię pomieniać z Wiktorynem, nawet pomimo waszego niezwykłego podobieństwa. Pomyłki Eufemii nie umiano wytłumaczyć. Wtem niespodzianie zjawił się jeździec hrabiego i opowiedział, jak to hrabia, który kilka miesięcy przeżył

samotnie w górach i zapuścił długą brodę, ukazał mu się nagle w lesie, przy tak zwanej "diablej przepaści", w ubraniu kapucyńskim. Chociaż nie wiedział, skąd hrabia dostał suknie, nie dziwił się przebraniu, bo był wtajemniczony we wszystko. Hrabia miał udać się na zamek barona w stroju zakonnika i nosić ten strój przez cały rok, dla wykonania swych planów.

Domyślał się tylko, skąd hrabia wziął habit kapucyna, bo słyszał od niego dzień przed tym, że widział we wsi jakiegoś kapucyna i spodziewa się dostać od niego w jakikolwiek sposób szatę, skoro tylko wejdzie do lasu. Samego kapucyna nie widział, ale słyszał jakiś krzyk.

Wkrótce potem mówiono we wsi o zamordowaniu kapucyna w lesie. Za dobrze znał swego pana, za wiele z nim mówił, jeszcze podczas ucieczki z zamku, by mógł ulec jakiejś pomyłce. To zeznanie jeźdźca osłabiło twierdzenia Reinholda. Lecz jakże wytłumaczyć zupełne zniknięcie Wiktoryna. Księżna postawiła hipotezę, że domniemany pan Krzyński z Kwieciszewa był właśnie hrabią Wiktorynem, a opierała się na jego niezwykle uderzającym podobieństwie do Francesca, w którego winę dawno już nikt nie wątpił, oraz na przykrym wzruszeniu, jakiego doznawała na jego widok. Wtórowano jej zgodnie i dopatrywano się wielu rysów hrabskich w tym awanturniku, uważanym, w śmiesznej pomyłce, za maskującego się mnicha. Opowiadanie leśniczego o szalonym mnichu, wytropionym w lesie i przyjętym na leśniczówkę, dało się także powiązać ze zbrodnią Wiktoryna, należało tylko przypuścić kilka okoliczności. Zakonnik z klasztoru, z którego pochodził Medard, poznał najdokładniej w szalonym mnichu Medarda. Nie wątpiono, że to on był w istocie. Wiktoryn wtrącił go w przepaść. Trafem, nie tak znowu bardzo niesłychanym, ocalił się. Przyszedłszy do siebie, ciężko ranny w głowę, wypełznął z otchłani. Ból z zadanej rany, głód i pragnienie zrobiły go wariatem. W takim stanie przebiegał góry, karmiony tu i

ówdzie przez litościwych chłopów i obwieszony gałganami, aż dotarł do osady leśniczego.

Dwie tylko rzeczy pozostają bez wyjaśnienia, a mianowicie: jak mógł Medard przebiec tak długą drogę niezatrzymany przez władze i jak mógł sam nawet w stwierdzonych przez lekarzy chwilach najdoskonalszego spokoju świadomości, przyznawać się do zbrodni niepopełnionych. Obrońcy prawdopodobieństwa owego związku rzeczy czynili uwagę, że nie wiadomo nic o losach Medarda po jego wyratowaniu się z "diablej przepaści". Wszak możliwe, że szał jego wybuchnął dopiero w pobliżu leśniczówki. Z przyznawania się do zbrodni, o jakie się obwinia, należy wnioskować, że nigdy nie wyzdrowiał, lecz przy pozornych przebłyskach zdrowego rozumu pozostał szalonym. Myśl o tym, że istotnie popełnił zarzucane mu zbrodnie, zamieniła mu się w stałe urojenie. Sędzia prawa karnego, na którego sprycie budowano wiele, pytany o zdanie, oświadczył:

- Rzekomy pan Krzyński nie był Polakiem ni hrabią; hrabią Wiktorynem z pewnością nie; w każdym razie nie bez winy; mnich pozostał szalonym i na wszelki wypadek nieodpowiedzialnym, dlatego sąd polecił trzymać go pod zamknięciem, ze względu na bezpieczeństwo.

Orzeczenia tego nie chciał słuchać książę, gdyż on to właśnie, wstrząśnięty głęboko zbrodniami spełnionymi na zamku barona, zamienił proponowaną przez sąd karę więzienia na karę śmierci. Lecz, jak wszystko w tym nędznym i znikomym życiu, wszelki wypadek, wszelki czyn, choćby na pierwsze wejrzenie wydał się ogromny, traci wkrótce na barwie i blasku, tak też i to, co w stolicy, a zwłaszcza na dworze wzbudzało dreszcz i grozę, stało się z czasem pastwą przykrej gadaniny. Hipoteza, że zbiegły małżonek Aurelii był Wiktorynem, przypomniała historię Włoszki. Niewtajemniczeni zostali wtajemniczeni przez wtajemniczonych, którzy już nie poczuwali się do obowiązku milczenia. Naturalnie, kto tylko znał Medarda, dochodził do

wniosku, że jego rysy były podobne do rysów Wiktoryna - boć byli synami jednego ojca. Doktor był przekonany, że w istocie tak być musiało, i rzekł do księcia: "Cieszmy się, łaskawy panie, że obaj niebezpieczni ptaszkowie poszli już sobie, poprzestając na pierwszej, nieudanej próbie." Zdania tego uchwycił się całym sercem książę, bo czuł dobrze, że ta podwójność Medarda przyprawia go o coraz nowe błędy. "Sprawa zostanie tajemnicą - rzekł książę - nie dotykajmy zasłony rzuconej dobroczynną ręką dziwnego losu. Tylko Aurelia..."

- Aurelia! - przerwałem przeorowi gwałtownie, - Na Boga, ojcze, co się stało z Aurelią?

- Ej, bracie Medardzie - rzekł przeor z łagodnym uśmiechem - niebezpieczny to płomień!

Czyżby wybuchał za najlżejszym podmuchem? Więc jeszcze nie wyzwoliłeś się z grzesznych popędów? Jakże mam wierzyć w prawdziwość twej pokuty. Jakże mam zaufać, że cię opuścił duch kłamstwa. Wiedz, Medardzie, że tylko wtedy uznam twoją skruchę, gdy się przekonam, że istotnie popełniłeś owe zbrodnie, o które się oskarżasz. Wtedy dopiero uwierzę, że postępki te tak wzburzyły twe wnętrze, że niepomny mych nauk i wszystkiego, co ci mówiłem o zewnętrznej i wewnętrznej pokucie, chwyciłeś się, jak rozbitek, owej lekkiej, niepewnej deski ocalenia, owych złudnych sposobów zmazania winy, dzięki którym wydałeś się oszustem nie tylko przewrotnemu papieżowi, lecz i każdemu pobożnemu człowiekowi.

Powiedz, Medardzie, czy twoje nabożeństwa, czy twoje westchnienia do Wieczystego Stwórcy były bez zmazy, ilekroć pomyślałeś o Aurelii?

Spuściłem oczy, zdruzgotany w sercu.

- Jesteś szczerym, Medardzie! Twoje milczenie powiada mi wszystko. Wiedziałem z całą pewnością, że to ty, nie kto inny, grałeś w stolicy rolę polskiego szlachcica i chciałeś zaślubić baronównę Aurelię. Drogę twoją śledziłem dość dokładnie. Dziwaczny człowiek, niejaki fryzjer Belcampo,

którego ostatni raz spotkałeś w Rzymie, donosił mi o wszystkim. Byłem przekonany, że to ty w przeklęty sposób zamordowałeś Hermogena i Eufemię. Mogłem był zgubić cię, lecz daleki od misji mściciela, pozostawiłem los twój ręce Opatrzności. Ocalałeś w cudowny sposób - widocznie wyrok zguby nie zapadł jeszcze nad tobą. A teraz posłuchaj, z jakiego dziwnego powodu musiałem z czasem uwierzyć, że to hrabia Wiktoryn zjawił się na zamku barona F. w habicie kapucyna.

Stało się to niedawno. Jakieś jęki i stękania, jakby rzężenie konającego, zbudziły naszego furtiana. Zerwał się brat Sebastian, a że już dniało, otworzył bramę klasztorną.

Człowiek jakiś leżał na ziemi i - skostniały od zimna, z trudem wykrztusił wyznanie, że jest bratem Medardem, zbiegłym z naszego klasztoru. Przerażony Sebastian przybiegł do mnie z doniesieniem, co zaszło. Wyszedłem z braćmi i wnieśliśmy omdlałego człowieka do refektarza. W przeraźliwie zmienionej twarzy mężczyzny poznaliśmy twoje rysy; wielu nawet twierdziło z przekonaniem, że tylko szaty nadają niezwykły wygląd znanemu bratu Medardowi. Miał tonsurę i brodę, ale szaty świeckie, wprawdzie zniszczone zupełnie i podarte, lecz pełne śladów dawnej ozdobności. Nosił jedwabne pończochy, na jednym trzewiczku lśniła złota sprzączka, a kamizelka z białego atłasu...

- Kasztanowy surdut z najlepszej materii - zawołałem z pośpiechem - bielizna zbytkowna, na palcu złoty pierścień.

- Istotnie - rzekł Leonard, zdumiony - skądże wiesz?

- Ach, to był ślubny strój, mój ślubny strój! - Sobowtór stanął mi przed oczami. Więc to nie szatan obłędu, ohydny, to żywa istota gnała wtenczas za mną i osiodłała sobą grzbiet mój, niby potwór krający wnętrze! Więc to zbiegły, szalony mnich był tym prześladowcą, co puścił mnie dopiero, gdy padłem zemdlony i zdarł ze mnie ubranie i narzucił mi habit. On to leżał pod klasztorną bramą, niby ja sam - udający mnie potwornie!

Zaklinałem przeora, by opowiadał dalej, bo mi się w mózgu przecierała prawda i przeczucie dziwnej tajemnicy zdarzeń.

- Ale niebawem - ciągnął dalej przeor - gdy z przybłędy zagadał najwyraźniej nieuleczalny obłęd, chociaż rysami twarzy przypominał cię dokładnie, choć nie przestawał wpierać w nas:

"Jestem Medardem, jestem zbiegłym mnichem, chcę pokutować u was", zrozumiano powszechnie, że tylko chorobliwa mania każe przybyszowi uważać się za ciebie.

Przybraliśmy go w habit i wprowadzili do kościoła, by jął się najzwyklejszych praktyk nabożnych. Sposób, w jaki sobie poczynał, świadczył niezbicie, że człowiek ten nigdy nie był w klasztorze. Mimo woli pomyślałem sobie: kto wie, czy to nie mnich zbiegły ze stolicy, czy też to nie Wiktoryn? Historia, którą ten obłąkaniec osłupił naszego odźwiernego, była mi znaną. Wszystkie okoliczności, znalezienie i wypicie diablego eliksiru, wizja w więzieniu, jednym słowem cały pobyt w klasztorze - to może potworny płód chorego umysłu, zapłodnionego przez twoją na dziwnych drogach ducha działającą istotę. Zwłaszcza dziwnym było, że mnich, w przystępie złości, krzyczał, iż jest hrabią i władcą. Postanowiłem odesłać nieszczęśliwca do zakładu dla umysłowo chorych w St. Getren. Spodziewałem się bowiem, że jeżeli tylko wyleczenie jest możliwym, wyleczy go z pewnością dyrektor tamtejszego zakładu, genialny, głęboko w zboczenia ludzkiego organizmu wglądający lekarz.

Wyzdrowienie cudzoziemca musiałoby, choć w części, odsłonić tajemniczą grę nieznanych mocy. Nie przyszło jednak do tego. Trzeciej nocy zbudził mnie głos dzwonka, w który się uderza, ilekroć ktoś na sali chorych potrzebuje mej pomocy. Wypadłem z celi. Powiedziano mi, że przybysz wzywa mnie gorąco, bo chce się spowiadać, jest zaś tak chory, że pewnie nie doczeka świtu. "Przebaczcie - rzekł do mnie, gdym go pozdrowił w imię boże - przebaczcie, wielebny ojcze, że śmiałem was łudzić. Nie

jestem mnichem Medardem, zbiegłym z waszego klasztoru. Widzicie przed sobą hrabiego Wiktoryna. Właściwie, należałoby go nazwać księciem, bo pochodzi z książęcego domu - i radzę wam wziąć to pod uwagę, jeżeli nie chcecie wprawić mnie w gniew..." Odpowiedziałem, że w naszych murach nie ma znaczenia tytuł, zwłaszcza przy obecnej jego niedoli - niech lepiej odwróci się od marności ziemskich i czeka w pokorze, co mu przysądzić raczy moc przedwieczna. Spojrzał mi drętwo w oczy, jakby odchodził od zmysłów. Dano mu wzmacniających kropli. Pokrzepił się i rzekł: "Czuję, że wkrótce umrę. Serce pragnie ulgi. Macie moc nade mną... Wiem, nie oszuka mnie żadne przebranie - wiem, wyście święty Antoni... Oto są opłakane skutki waszych eliksirów. Myśl wielka - wielka myśl! Dla wielkiej myśli przedzierzgnąć się w brodacza w brunatnym habicie! Lecz - lecz... wydołać sztuka! Coś wymknęło się z serca: tajemnice, moje tajemnice.

Wyszły razem, gwałtownie i zeszły się, o Chryste! - zbiły się w jedno ciało, w istotę, w coś, co było mną... To drugie «ja» miało złośliwą siłę: strąciło mnie w przepaść w chwili, gdy z czarnych złomów głębokiej otchłani, spośród źródlanych, spienionych wód wyszła księżniczka w bieli, niby śnieg. Księżniczka pochwyciła mię w ramiona i obmyła mi rany; kojąc ból. Wprawdzie stałem się mnichem, ale owo "ja" moich myśli było mocniejsze i popchnęło mnie do zamordowania księżniczki, mej zbawicielki, mej ukochanej - wraz z jej bratem. Wtrącono mnie do więzienia, a potem - wypiłem wasz przeklęty trunek i unieśliście mnie w powietrze, jak to sami już wiecie, święty Antoni. Zielony król lasu przyjął mnie źle, choć nie była mu nieznaną moja książęca krew. "Ja" moich myśli zjawiło się również u niego i podsuwało mi różne ohydy w nadziei, że zawrę z nim spółkę. I tak się też stało, lecz wkrótce, gdy przyszło do ucieczki - chciano bowiem odrąbać nam głowę - rozdwoiliśmy się na chwilę. Gdyśmy się znowu zeszli, a śmieszne "ja" zabrało się do mnie, by wiecznie i wszędzie żywić się moimi myślami,

rzuciłem potwora o ziemię, obiłem porządnie i zdarłem szatę".

Do tego miejsca opowiadanie nieszczęśliwca było jeszcze jako tako zrozumiałym.

Następnie począł się wikłać w czczej gadaninie najwyższego obłędu. W godzinę później, gdy zadzwoniono na jutrznię, zerwał się z przeraźliwym, przeszywającym krzykiem i runął - jak nam się zdawało - bez życia.

Kazałem go zanieść do trupiarni. Miał być pogrzebany w naszym ogrodzie, na poświęconym miejscu. Wyobraź sobie jednak nasze osłupienie, nasz przestrach, gdyśmy, przyszedłszy zabić wieko trumny, nie zastali trupa. Zniknął bez śladu. Poszukiwania były bezowocne. Musiałem wyrzec się nadziei, że kiedykolwiek dotrę do tajemniczego wątka zdarzeń, co sprzęgły twe życie z życiem hrabiego.

Na razie porównałem tylko urywane monologi wariata z historią na zamku barona i znikła moja wątpliwość; tak, ten trup był istotnie trupem Wiktoryna. Zamordował w górach wędrującego kędyś kapucyna - przynajmniej tak zeznał jego pachołek konny - i zabrał mu szaty, by zagrać swą rolę na zamku. Wbrew zamiarom śmiałka, występek skończył się zamordowaniem Eufemii i Hermogena. Być może, już wtedy ulegał obłędowi, jak twierdzi Reinhold, albo też stracił zmysły dopiero w czasie ucieczki - pod obuchem sumienia. Suknia, jaką nosił, zamordowanie mnicha, przyczyniły się fatalnie do wytworzenia chorobliwej fikcji, że jest istotnie mnichem, i rozdwoił się w dwie wrogie istoty. Tylko przerwa w czasie pomiędzy ucieczką z zamku a przybyciem do leśniczówki - ginie w mrokach tajemnicy; nie wiadomo też skąd mu się wzięło to opowiadanie o pobycie w klasztorze, te baśni o przedziwnym wydarciu z więzienia - wszystko to pokrywają niezbadane ciemności. Cóż tu było bodźcem? A musiał być jakiś - nie ulega bowiem wątpliwości, że dziwnym sposobem opowiadanie przybysza zlepiło się, lubo dość niedokładnie, ze scen twojej przeszłości. Tylko że data przybycia mnicha do leśniczówki, podana przez leśniczego,

nie zgadza się z terminem, w którym, według Reinholda, Wiktoryn zbiegł z zamku. Licząc według wskazówki leśniczego musimy przypuścić, że szalony Wiktoryn musiał się ukazać w lesie zaraz po przybyciu na zamek barona.

- Pozwól, wielebny ojcze - przerwałem przeorowi - wielkie me grzechy, lecz przecież miałem nadzieję. Niechże mi zgaśnie ta droga nadzieja zbawienia, ta ufność w nieprzebranym miłosierdziu Pana. Zwątpieniu oddam resztkę życia i skonam przeklęty własnymi ustami, jeśli tu, przed wami, nie wyznam wszystkiego, jak ongi, na świętej spowiedzi. Posłuchajcie, co w najgłębszej pokucie i skrusze powiem wam o sobie. Pocznę od chwili ucieczki z waszego klasztoru.

Wielkie było zdziwienie przeora, gdy wywołując z przeszłości najdrobniejsze szczegóły, opowiedziałem mu wszystkie przemiany swego życia. Wysłuchawszy rzekł:

- Wierzę ci, bracie Medardzie, bo prawdziwą skruchą brzmiały twoje słowa! Któż zbada tajemnicę krwi. Któż przejrzy tajnie duchowego pokrewieństwa dwóch braci, dwóch synów zbrodniczego ojca, pogrążonych w zbrodni. To pewna, że Wiktoryn cudem ocalał z przepaści, w którą go strąciłeś. On to był tajemniczym mnichem, gościem leśniczego. On to prześladował cię, niby sobowtór. On to skonał tu, w klasztorze.

Igraszką w ręku ciemnych potęg, co wtargnęły w twe życie i wyzwały cię do walki - igraszką ciemnych potęg był Wiktoryn. Nie towarzyszem twoim, lecz tylko podrzędną istotą, postawioną ci w drodze do jasnego celu - zasłoną, rzuconą ci na oczy, co mogły przejrzeć.

Ach, bracie Medardzie, do dziś dnia jeszcze chodzi szatan po świecie i wmusza w ludzi swoje eliksiry. Któż nie skosztował, choćby raz w życiu, choć kilka kropli jego wywaru. Ale tak kazał Bóg, by człowiek zaznał złego działania chwilowej lekkomyślności i z tego doświadczenia wywiódł sobie siłę i moc odporu. Ten ci jest znak mocy boskiej, że jak życie natury truciznę, tak dobro moralne stoi

złem. Mówię ci to, Medardzie, bez obawy, gdyż wiem, że mnie źle nie zrozumiesz. A teraz - odejdź do braci!

W tejże chwili jęknąłem w jakimś okrutnym, wszystkie nerwy i tętna przebiegającym bólu, a tęsknota najwyższej miłości wydarła mi z ust okrzyk:

- Aurelio, ach Aurelio!

Przeor powstał i rzekł poważnie:

- Zapewne spostrzegłeś przygotowania do wielkiej uroczystości klasztornej? Aurelia jutro dostąpi obłóczyn i otrzyma imię klasztorne Rozalia.

Struchlałem. Głos zamarł mi w piersiach. Stałem przed przeorem jak wryty.

- Odejdź do braci! - rzekł bez mała z gniewem.

Bez wiedzy i woli zeszedłem do refektarza, pomiędzy braci. Zarzucono mnie pytaniami, lecz bolesne milczenie zaparło mi usta. Ni słowa nie mogłem poświęcić swej przeszłości. Całe moje "wczoraj" zapadło w mroki niepamięci. Tylko Aurelia świeciła mi w oczach jasną postacią.

Pod pozorem modlitwy opuściłem salę i odszedłem ku odległej kaplicy, na końcu klasztornego ogrodu. Chciałem się pomodlić, lecz jakiś poszum ledwie dosłyszalny, jakiś łagodny szelest, co przemknął się aleją, wyrwał mnie z pobożnej zadumy.

Ona! Idzie. Ujrzę ją - krzyknęło cos we mnie i serce zadrżało mi z trwogi i zachwytu.

Coś, niby cicha rozmowa, musnęło mi uszy. Wyprostowałem się, zmogłem się w sobie i wyszedłem z kaplicy. W pobliżu powoli przechadzały się dwie zakonnice. Śród nich nowicjuszka. Ha! Aurelia! To ona, z pewnością ona! Opadło mnie konwulsyjne drżenie:

Straciłem oddech. Chciałem postąpić o krok, lecz nogi wypowiedziały posłuszeństwo.

Runąłem na ziemię. Zakonnice i nowicjuszka zniknęły w zaroślach.

Co za dzień! Co za noc! I Aurelia, ciągle tylko Aurelia! Nic, nic innego i żadna inna myśl nie dała się rozpalić w mej głowie.

O świcie zagrały dzwony, głosząc dzień obłóczyn Aurelii.

Wielka to była sala. Zebrali się, bracia i w towarzystwie dwóch sióstr weszła ksieni.

Jakże wyrażę uczucie, jakiego doznałem na widok tej, która tak serdecznie kochała mego ojca; kochała mimo wszystko, chociaż ten ojciec gwałtami zbrodni potargał ten związek i wyrzekł się ostoi najwyższego szczęścia na ziemi; zachowała życzliwość dla syna swego krzywdziciela i chciała tego syna wychować w zbożnej cnocie. Ale na równi z rodzicem jałem piętrzyć zbrodnie na zbrodniach i zniszczyłem całą nadzieję świątobliwej opiekunki, która cnotą syna chciała zbawić ojca...

Ze spuszczoną głową, ze wzrokiem wbitym w ziemię słuchałem krótkiej przemowy ksieni o wstąpieniu Aurelii do klasztoru. Mówczyni wezwała zebrane duchowieństwo do gorącej modlitwy w rozstrzygającej chwili złożenia ślubów, aby rodowy, dziedziczny wróg nie ważył się targnąć zmysłowym matactwem na spokój pobożnej dziewicy.

- Zaprawdę - dodała ksieni - ciężkie próby przeszło to dziewczę. Ponętą złego kusił ją nieprzyjaciel, wszystką sztuką piekła chciał ją oszołomić, aby zgrzeszyła we śnie rozmarzenia, bez przeczucia grzechu, by potem, zbudzona, poszła na zatratę w hańbie i zwątpieniu. Ale moc przeczysta raczyła się ująć za anielskim dzieckiem. Niech sobie broi

wróg, niechże próbuje, nawet i dziś jeszcze, zgubić ją - ona zwycięży tym świetniejszym zwycięstwem. Módlcie się, módlcie się, bracia, nie o wytrwałość dla wybranki Chrystusa, albowiem silnie i całym sercem oddała się niebiosom, lecz o to, by żadne ziemskie nieszczęście nie padło na nią w tym zbożnym działaniu. Czuję niepokój...

Było jasnym, że mnie to właśnie, mnie samego nazwała ksieni szatanem i pokusą, że powiązała mój powrót z

obłóczynami Aurelii i przeczuwała we mnie jakiś zamiar gwałtu.

Odkrzyknąłem jej w sumieniu poczuciem prawdziwej skruchy i pokuty, wiarą w dokonaną przemianę serca.

Ksieni nie obdarzyła mnie ani jednym spojrzeniem. Uczułem głęboką zgryzotę.

Uczułem, że wzbiera we mnie gorzka, szydercza nienawiść, jak ongi, w stolicy, na widok księżnej. Zamiast upaść przed ksienią w proch, jak to miałem zamiar uczynić, dopóki nie zaczęła mówić, chciałem przypaść do niej zuchwale i krzyknąć obelżywie: "Byłażeś zawsze tak nadziemską kobietą! Nie czułażeś nigdy pożądliwości ludzkiej? A na widok mojego ojca - gdyście się spotkali - czyli oparłaś się myśli o grzechu? Mów, czy i potem, w infule, z pastorałem, nie miałaś nigdy chwili zapomnienia? Czy nie nachodził cię obraz mego ojca, czy nie dyszałaś żądzą, żądzą, żądzą? Dumnaś - lecz przyciskając do piersi syna swego kochanka, wywoływałaś boleśnie imię utraconego, chociaż był grzesznym zbrodniarzem. Walczyłaś ty kiedy z mocą ciemności, jak ja walczyłem? Czy możesz pochlubić się zwycięstwem bez walki? Czy masz tyle mocy, by gardzić tym, który uległ najpotężniejszemu wrogowi, a mimo to podniósł się w najgłębszej pokucie i skrusze?"

Gwałtowna gonitwa myśli, ten ruch wewnętrzny, gdy zrzucając z serca pokutne popioły, dumny ze stoczonej walki, wyciągnąłem ręce po odzyskane życie - wszystko to musiało się odbić na zewnątrz, w twarzy i postaci, brat bowiem, stojący tuż obok, zapytał mnie nagle:

- Co ci to, bracie Medardzie? Czemu tak gniewnie spoglądasz na tę świątobliwą ksienię?

- Tak, świątobliwa! - odparłem półgłosem. - Nietrudno jej było. Była postawioną na wyżynach, ku którym nie sięga profanacja. Lecz dziś wygląda nie po chrześcijańsku; rzekłbyś kapłanka pogańska, stojąca z nożem ofiarnym nad szyją człowieka.

Nie wiem, skąd mi się wzięły te ostatnie słowa, obce mym myślom. Ale wraz z nimi wtargnął wir obrazów, układający się w coś straszliwego. Aurelia rzuca świat na zawsze, jak ja sam ongi. Wyrzeknie się praw do życia wymówieniem ślubu, który mi się nagle wydał potworem religijnego obłędu. Wróciła, wróciła przeszłość. Jak niegdyś, zaprzedany szatanowi, szukałem w grzechu i zbrodni zachwytów najwyższego szczęścia - tak i teraz oddałem się myśli, że my, ja i Aurelia, mamy się zespolić, choćby na sekundę, w najwyższej rozkoszy, a potem runąć w mrok podziemnych potęg. Naraz zadygotałem od strasznej myśli o mordzie, co przeszła mnie jak szatan. Zaślepieniec, nie spostrzegłem wcale, że utarczka ze słowami ksieni była właśnie chwilą najcięższej próby, że szatan brał górę i chciał mnie zniewolić do najokropniejszego z czynów.

- Jezus Maria! Co mówisz? - zawołał mój sąsiad głosem przerażenia i zajrzał mi w twarz.

Spojrzałem na ksienię. Już miała wychodzić. Ujrzała mnie. Zbladła śmiertelnie, zachwiała się. Musiano ją podtrzymać. Zdawało mi się, że wyszeptała lękliwie: "O Boże, moje przeczucie!"

Wkrótce potem wezwano do niej przeora Leonarda. Gdy wrócił do sali, grały już społem wszystkie dzwony klasztoru, a nad grzmiącym spadem organowych tonów ulatywały w powietrze konsekracyjne śpiewy mniszek.

Rozpoczął się pochód mnichów. Szli według reguł, uroczystą procesją, do kościoła bez mała tak pełnego, jak w dniu świętego Bernarda. Po jednej stronie wielkiego ołtarza, zdobnego wonnymi różami, naprzeciw trybuny dla kapeli biskupiej, umieszczono podwyższenia dla duchowieństwa. Mszę miał odprawić biskup.

Leonard przyzwał mnie do swego boku i spostrzegłem, że trwożnie mnie pilnuje, bacząc uważnie na każde, choćby najmniejsze moje poruszenie. Oparł się o mnie, czytając bez przerwy z mojego brewiarza.

Klaryski zajęły miejsce przed wielkim ołtarzem, zamknięte niską kratą.

Nadszedł moment rozstrzygający.

Weszła Aurelia. Przywiodły ją cysterski przez okratowane drzwi, spoza ołtarza.

Na jej widok rozszeptały się tłumy na chwilę i zmilkły. Organy ucichły. Mniszki poczęły śpiewać hymn prosty, dziwny. Śpiew zatargał mi serce. Nie śmiałem podnieść oczu: ogarnęła mnie trwoga potworna. Skuliłem się konwulsyjnie, brewiarz wypadł mi z ręki, schyliłem się, by go podnieść, lecz o mało nie strącił mnie z wysokich siedzeń nagły zawrót głowy. Leonard pochwycił mnie, przytrzymał i szepnął:

- Medardzie, opanuj się! Zginiesz: to szatan cię... Zebrałem wszystkie siły i podniosłem oczy.

Spojrzałem na Aurelię, klęczącą przed ołtarzem.

O nieba! Piękna, jak nigdy jeszcze! Powab... Czar... Ubrana do ślubu... jak w onym dniu fatalnym, gdy miała być moją. We włosach róże i kwitnące mirty. Podniosłość pobożnej chwili zabarwiła jej policzki. Oczy, wzniesione ku niebu, świeciły niebiańską rozkoszą.

Czymże była chwila pierwszego ujrzenia Aurelii w obliczu chwili tego smutnego spotkania?

Czymże one chwile na książęcym dworze? Gwałtowniej niż kiedykolwiek zawrzała we mnie żądza, strzeliły płomienie miłości. Boże, tylko nie oszaleć, nie oszaleć! Ratunku!

Ratunku! Święci, odwróćcie tę straszną mękę piekła! Tylko nie oszaleć, bo stanie się okropność, pójdę na wieczną zatratę...

Tak modliłem się w duchu, bo czułem złego ducha, iż brał we mnie górę coraz to gwałtowniej.

Zdawało mi się, że Aurelia uczestniczy w zbrodni, wspólniczka występku, spełnionego jedynie przeze mnie; że ślubując Bogu, ślubowała mnie tylko, przysięgła być moją

przed obliczem Boga. Nie oblubienica to Chrystusa, nie! To zbrodnicza żona mnicha krzywoprzysięzcy.

Pochwycić ją w objęcia, uścisnąć ogniami żądzy, a potem zabić!

Zmagałem się z tą myślą nieprzepartą, a zły duch naganiał coraz to piekielniej.

Już chciałem krzyknąć: "Stójcie, głupcy! Kogóż to ślubujecie Chrystusowi. Dziewicę czystą? Puścić tę żonę mnicha!"

Już miałem rzucić się w gromadę mniszek i wydrzeć im zdobycz. Rękę wsunąłem w zanadrze, palce szukały noża, gdy wtem Aurelia poczęła wygłaszać przysięgę.

Ceremonia doszła do szczytu.

Na głos Aurelii pierzchła cała złość, jakby światło księżyca rozerwało czarne chmury dzikiej burzy. Stała się światłość, spłynęła mi na serce. Poznałem złego ducha, teraz musiał przegrać. Stawiłem gwałtowny opór.

Każde słowo Aurelii dodawało mi siły. Cierpka, twarda walka, a zwyciężyłem!

Przepadło widmo zbrodni, rozchwiała się żądza.

Oto jest Aurelia, czysta oblubienica nieba. Oto jej modlitwa ratuje mnie od wiecznejhańby i potępienia! Jej ślub to moja pociecha, moja nadzieja. Wyjaśniałem czarownie niebiańską pogodą.

Leonard - dopiero teraz spostrzegłem go na nowo, po mrokach chwilowego zapomnienia - widocznie śledził zmiany mego wnętrza, bo rzekł łagodnie:

- Synu, odparłeś wroga. Była to ostania, ciężka próba, na jaką wystawiła cię moc

Przedwiecznego.

Przebrzmiały słowa ślubu. Klaryski zaczęły śpiewać. Miano Aurelii włożyć suknie zakonnicy. Już zdjęto jej z głowy mirty i róże, już zabierano się do odcięcia spadających aż do ziemi włosów, gdy jakiś hałas powstał w kościele. Ujrzałem, ktoś rozpychał tłumy i obalał ludzi. Coraz to bliżej nadbiegała wrzawa.

Jakaś twarz szalona, jakiś wzrok dziki, potworny gnał przerażoną ciżbę.

Człowiek, na pół nagi, w strzępach kapucyńskiego habitu, bił zaciśniętymi pięściami w ruchomą masę ciał i tratował powalone.

Poznałem: był to mój straszny sobowtór.

Zdjęty złym, przeczuciem, chciałem rzucić się naprzeciw i zastąpić mu drogę, ale w tejże chwili szalony potwór przeskoczył galeryjkę zamykającą prezbiterium.

Mniszki rozbiegły się z krzykiem. Ksieni objęła Aurelię.

- Cha, cha, cha! - zaskrzeczał wariat przeraźliwym głosem - chcecie mi porwać księżniczkę!

Moja to, moja panna! Moja narzeczona! Cha, cha, cha!

To mówiąc jedną ręką pochwycił Aurelię, a drugą, wzniesioną wysoko dla rozmachu, wbił jej nóż w piersi, po samą rękojeść.

Strumień krwi trysnął w powietrze.

- Hej, ha! Już ją mam! Żonkę mam! Hej, ha, ślub!

Tak wrzeszczał szaleniec i rzucił się poza wielki ołtarz, przez okratowane drzwi, w korytarze klasztoru.

- Mord! Mord! W kościele! - krzyknął tłum cisnąc się ku wielkiemu ołtarzowi.

- Obsadzić wyjścia - zawołał Leonard, a tłum pochwycił rozkaz. Mnisi chwytali za stojące w kącie laski do procesji i biegli w krużganki, w pogoń za złoczyńcą.

Wszystko to było dziełem sekundy.

Po chwili uklękłem przy Aurelii.

Mniszki przewiązały ranę białymi chustami i cuciły omdlałą ksienię.

- Sancta Rosalia, ora pro nobis! - zawołał nade mną głos jakiś potężny.

- Cud! Cud! Sancta Rosalia, ora pro nobis! - wołała po kościele reszta obecnego ludu.

Spojrzałem. Tuż przy mnie stał stary malarz, poważny i łagodny, jak niegdyś w więzieniu.

Nie czułem ni cienia ziemskiej rozpaczy z powodu śmierci Aurelii, ni przerażenia na widok malarza. Coś świtało mi w duszy, że oto prysły tajemnicze więzy ciemności.

- Cud! Cud! - wołano dalej w tłumie. - Widzicie tego starca w fioletowym płaszczu. Zszedł z obrazu wielkiego ołtarza. Widziałem. I ja widziałem. I ja. I ja...

Krzyczano na przemiany i padano na kolana. Niesforny hałas przeszumiał i przeszedł w modlitwę zanoszącą się wzdychaniami i płaczem.

Ksieni ocknęła się z omdlenia i zapłakała boleśnie.

- Córko! Dziecię! - rzekła głosem rozdzierającym serce - Aurelio! Wola boża!

Przyniesiono nosze wyścielane poduszkami.

Gdy podnoszono Aurelię, westchnęła głęboko i otworzyła oczy. Malarz stanął w głowach lektyki i położył rękę na czole dziewczęcia. Wyglądał jak święty i wszyscy, nawet ksieni, patrzyli na niego z jakąś czcią pełną bojaźni.

Klęczałem tuż przy noszach. Spojrzenie Aurelii spoczęło na mnie... I zdjął mnie głęboki, rozpaczny żal nad tym bolesnym męczeństwem świętej. Stłumiony, tępy krzyk wydarł mi się z piersi skargą bez słów. Aurelia przemówiła łagodnie:

- Nie żal się nade mną. Dano mi już odejść. Tu wszystko nicość. Potrzeba mi wieczności: wiekuistego szczęścia...

Powstałem i przyparłem się do lektyki.

- Aurelio - rzekłem - spojrzyj na mnie z wyżyn, bo zginę w zwątpieniu. Dusza mi dogorywa.

Niszczeję. Wtargnąłem w twe życie jak wróg... Czy potępiasz zbrodniarza? Pokutowałem ciężko, ale pokuta nie zmniejszyła winy. Aurelio, czy przebaczasz przed śmiercią?

Uśmiechnęła się, jakby zasłuchana w szum anielskich skrzydeł i zamknęła oczy.

- Więc bez pociechy, w zwątpieniu pójdę na potępienie... Zlituj się! Ratunku!

I uczepiłem się rozpacznie gorzkich słów modlitwy. A wtedy Aurelia raz jeszcze otworzyła oczy i rzekła:

- Medardzie, uległeś złej mocy. A ja? Czy pozostałam wolną od grzechu? Czy w występnej miłości nie marzyłam o szczęściu tu, na ziemi?

Przeznaczył nas Przedwieczny na zmazanie ciężkich win naszego zbrodniczego rodu; połączył nas miłością, której ojczyzną gwiazdy, obcą ziemskiej żądzy. Lecz chytry wróg przesłonił nam głębokie znaczenie tej miłości; skusił nas okrutnie, byśmy po ziemsku i tylko po ziemsku oddali się temu, co było niebiańskie. Och, czyż to nie ja sama wyznałam ci na spowiedzi miłość! Lecz zamiast uczuć wieczystej miłości, zapłonęły w tobie piekielne płomienie żądzy; a że cię żarły i paliły śmiertelnie, szukałeś ulgi, chciałeś je zgasić występkiem. Odwagi, Medardzie! Szaleniec, w którego zły wróg wmówił, że jest tobą i musi spełnić, co ty rozpocząłeś, ten szaleniec był w ręku Opatrzności narzędziem do spełnienia przeznaczeń. Odwagi, Medardzie! Wkrótce już - wkrótce...

Po tych słowach, wymówionych z zamkniętymi oczami i widocznym wysiłkiem, popadła Aurelia w omdlenie. Ale jeszcze nie nadeszła śmierć.

- Czy spowiadała się przed wami, wielebny ojcze? - zapytały zakonnice.

- Nie - odpowiedziałem - udzieliła mi pociechy.

- Szczęść Boże, Medardzie! Wkrótce czas próby będzie już za tobą, a przez to i za mną... -

Słowa te wypowiedział malarz.

Przystąpiłem ku niemu:

- Nie opuszczaj mnie, dziwny człowiecze!... Chciałem mówić dalej, lecz tak dziwna omdlałość zaćmiła mi zmysły, że stanąłem nagle na pograniczu snu i czuwania. Ze stanu tego wyrwały mnie dopiero krzyki i łoskot nadbiegającego tłumu.

Nie było już malarza.

Chłopi, mieszczanie, żołnierze wpadli do kościoła i domagali się gwałtownie przeszukania całego klasztoru, by ująć mordercę Aurelii, który musiał być jeszcze w klasztorze.

Ksieni odmówiła, obawiając się wybryków, ale pomimo swej powagi, nie mogła opanować rozwścieczonych umysłów. Zarzucano jej, że z małostkowej obawy ukrywa mordercę, ponieważ jest mnichem i coraz to bardziej hałasując, zabierał się tłum do szturmowania klasztoru. Wówczas na kazalnicę wstąpił Leonard i po kilku silnych słowach o znieważeniu świętego miejsca oświadczył tłumowi, że morderca nie jest wcale mnichem, ale obłąkańcem, któremu tylko z litości dało się schronienie w klasztorze. Następnie opowiedział przeor całą historię, jak to po pozornej śmierci przybrano wariata w habit zakonny i zaniesiono do trupiarni, jak się potem obudził z pozornej martwoty i zniknął. Jeżeli jeszcze znajduje się w klasztorze, zostanie schwytany, gdyż ucieczka jest już niemożliwą.

Tłum uspokoił się i domagał się tylko, aby Aurelię przeniesiono do klasztoru nie przez korytarze, lecz w uroczystej procesji przez dziedziniec.

Tak się też stało. Strwożone mniszki podniosły lektykę uwieńczoną różami. Na nowo w mirty i w róże ustrojono Aurelię. Nad noszami unosił się baldachim niesiony przez czteryzakonnice. Tuż za nimi szła ksieni wsparta na dwóch cysterskach. Reszta sióstr szła z klaryskami. Dalej postępowali zakonnicy rozmaitych reguł, a w końcu lud.

Cały pochód skierował się przez kościół ku wyjściu. Nagle, gdy już do połowy kościoła doszła procesja, za brzmiały z góry głuche, straszliwie głębokie tony organów i oto - powoli z łoża podniosła się Aurelia i wy ciągnęła ręce do modlitwy. Cały tłum znowu padł na kolana i krzyknął:

- Sancta Rosalia, ora pro nobis!

Tak stało się prawdą, co niegdyś, w dniu onym pierwszego ujrzenia Aurelii, obwołałem kłamnie w szatańskim zaślepieniu.

Złożono nosze w dolnej sali klasztoru. Bracia i siostry stanęli dokoła, z pacierzem.

Aurelia westchnęła głęboko i padła w ramiona klęczącej ksieni. Umarła.

Tłum oblegał furtę klasztorną. Gdy dzwony zagrały smutną wieść o skonie pobożnej dziewicy, rozległy się łkania i okrzyki boleści. Wielu ślubowało pozostać we wsi aż do pogrzebu Aurelii i przez cały ten czas pościć surowo.

Wiadomość o strasznej zbrodni i męczeństwie wybranki pańskiej rozeszła się szybko.

Toteż gdy po czterech dniach odbył się pogrzeb Aurelii, równał się uroczystemu obchodowi na cześć jakiejś świętej. Już w przededniu egzekwii pokryła się łąka klasztorna tłumami ludu, jak w dzień świętego Bernarda. Gromady obozujących na gołej ziemi czekały świtów porannych. Tylko zamiast wesołej wrzawy słychać było pobożne westchnienia i głuchy pomruk żalu. Z ust do ust szło ciche opowiadanie o przeraźliwym zajściu, rozegranym przed wielkim ołtarzem, a jeśli czasem zagadał kto głośniej, był to tylko wykrzyk złorzeczący mordercy, przepadłemu bez śladu.

Cztery te dni spędziłem przeważnie samotnie, w kaplicy ogrodowej. Więcej się one przyczyniły do zbawienia mej duszy, niż długa, ostra pokuta w rzymskim klasztorze. Ostatnie słowa Aurelii wyświetliły mi tajemnicę mych grzechów. Poznałem, że mimo całej potęgi cnoty i pobożności, służących mi za zbroję, nie mogłem, niby nędzny tchórz, oprzeć się szatanowi, co podsycał płomień zbrodniczego rodu, by się szerzyło i trwało życie to nieszczęsne... Słabiuchnym pulsem tętniło we mnie zło, gdy ujrzałem siostrę kapelmistrza, gdy się unosiłem dumą genialnego mówcy. Lecz oto szatan wsunął mi w rękę swój eliksir i przeklęta trucizna rzuciła obłęd w krew. Wrzałem, paliło się w sercu... Gardziłem przestrogami nieznajomego malarza, przeora, ksieni. Pojawienie się Aurelii przed konfesjonałem dopełniło miary - wykończyło we mnie zbrodniarza. Wybujał we mnie grzech, niby psychiczna choroba zaszczepiona diabelską trucizną.

Sługa szatana, jakżeż mogłem pojąć symbol wieczystej miłości, którą, jak stułą tęczową, mnie i Aurelię związało niebo. Szatan, szczęśliwy, gdy szkodzi - sprzęgnął mnie

z przeklętym, bym zapadał w jego istotę i cierpiał wpływ jego fatalny. Sobie to musiałem przypisać jego pozorną śmierć, być może szatańską ułudę. Czyn taki spoufalił mnie z myślą o mordzie, który też i przyszedł w ślad za diablim łgarstwem. Tak tedy brat ten, spłodzony w przeklętym grzechu, był tylko ożywioną diabłem siłą, która mnie parła do ohydnych zbrodni i biczowała okrutną udręką. Aż po chwilę tę przeznaczoną, w której Aurelia wygłosiła słowa zakonnego ślubu, nie byłem wolny od grzechu - wróg tryumfował nade mną i górował, lecz owa cisza cudowna i ta jak z nieba zesłana pogoda ducha, którą napełniło mi się wnętrze całe, gdy Aurelia wygłosiła ostatnie słowa przysięgi - przekonały mnie dowodnie, że śmierć

Aurelii była zapowiedzią przebaczenie mi grzechów. Gdy w uroczystym "Requiem" chór wydzwaniał słowa: "Confutatis maledictis, flammis acribus addictis" - zadrżałem; lecz przy"Voca me cum benedictis" rozmarzyłem się radośnie, że widzę Aurelię w słońcu niebiańskiej jasności, jak patrzy ku mnie z wyżyny, i zdawało mi się, że podniosła głowę w obręczy gwiazd świetlanych i zwracając oblicze ku obliczu Najwyższego, zaczęła się modlić o wieczne zbawienie mej duszy! Przy "Oro supplex et acclinis cor contritum quasi cinis" upadłem twarzą w proch. Lecz jakże innym było moje uczucie, moje pokorne błaganie - od owego namiętnego rozłamania się, od owych srogich i dzikich praktyk pokutnych w klasztorze kapucynów. Dopiero teraz stałem się zdolny odróżnić prawdę od fałszu, a ta jasna świadomość niweczyła wszelkie nowe zakusy odwiecznego wroga. Nie śmierć Aurelii, lecz tylko okrutna i przeraźliwa forma tej śmierci wstrząsnęła mną w pierwszej chwili tak głęboko.

Szybko ocknąłem się w poznaniu, że to łaska Przedwiecznego dała jej zaznać najwyższego szczęścia. O, palmo męczeńska wypróbowanej i rozgrzeszonej oblubienicy Chrystusa! Czyliż mi umarła? Czyż przepadła mi? Nie! Teraz dopiero, gdy odeszła od mąk tego padołu, stała się naprawdę moją, stała się we mnie czystym płomieniem

wiekuistej miłości. Tak, śmierć Aurelii to święto rozkwitu onej miłości, co z dala od ziemi tronuje ponad gwiazdami.

Myśli te uniosły mnie ponad cielesną doczesność i, zaprawdę, dni one w klasztorze cystersek były najszczęśliwszymi dniami mego życia.

***

Nazajutrz po eksportacji wezwał Leonard braci do powrotu do miasta. Już ruszaliśmy w drogę, gdy wezwano mnie do ksieni. Znaleźliśmy się sami w jej celi. Drżała w najwyższym wzruszeniu. Łzy płynęły jej z oczu.

- Wszystko, wszystko już wiem, synu, Medardzie! Przeszedłeś ciężką próbę, nieszczęśliwy, biedny! Medardzie, tylko ona, jedynie ona, która przed tronem Boga może się wstawić za nami, tylko ona jest wolną od grzechu. I ja stałam u brzegu przepaści, gdy porwana myślą o ziemskiej rozkoszy, chciałam się oddać mordercy. Synu Medardzie! Zbrodniczymi łzami płakałam w samotnej celi na myśl o twym ojcu! Idź, Medardzie! Z duszy mej pierzchła bez śladu wszelka wątpliwość, wszelka obawa, czy to ja sama, przepełniona winą, przez tę winę właśnie nie wychowałam w tobie zbrodniczego grzesznika.

Leonard, który widocznie wyjawił ksieni pewne nie znane jej dotychczas szczegóły mojego życia, okazywał mi postępowaniem zupełne przebaczenie; zapewne zdał wszystko na wolę Najwyższego, na chwilę sądu po śmierci...

Powrócił stary porządek klasztorny, a z nim mój dawny stosunek do braci.

Pewnego dnia rzekł do mnie Leonard:

- Chciałbym cię namówić do jeszcze jednej praktyki pokutnej.

- Do jakiej? - spytałem z pokorą.

- Opisz dokładnie dzieje swego życia - rzekł przeor. - Nic nie opuszczaj, żadnego zdarzenia, nawet mniej ważnego - jednym słowem, nie pomijaj nic z tego, co cię spotkało na

szerokim świecie. Fantazja starczy ci za rzeczywistość. Przeżyjesz powtórnie grozę i farsę, potworność i mękę. Przyjdą może chwile, że w Aurelii ujrzysz nie tylko siostrę Rozalię, świątobliwą męczennicę. Lecz jeśli jad złego opuścił cię zupełnie, jeśli się całkiem wyparłeś rzeczy ziemskich, przebiegniesz ponad wszystkim; jak wyższe principium, a gra wznowionych wrażeń nie zostawi śladu.

Zrobiłem, jak nakazał. Zaiste, stało się, jak przewidział. Ból i rozkosz, groza i chuć, przerażenie i uchwyt były ze mną, gdy pisałem swój żywot.

Zasię kto czytać będziesz te wyznania, pomiarkuje dobrze, o czym tu jest mowa: o słonecznej miłości, za którą szedłem, szukając Aurelii. Jest coś wyższego nad miłość zmysłową, przez którą giną lekkomyślni: zaślepieńcy - a to właśnie słoneczna miłość i jej południe, kiedy to kochanka, niby promień z nieba, z dala od żądzy, rozpala ci w piersi wszystko, co wyższe, wszystko, co błogosławieństwem spływa na biednego człowieka - z królestwa miłości.

Myśl o tym wzniosłym kochaniu krzepiła mnie zawsze, ilekroć na wspomnienie najwspanialszych snów królestwa tego świata gorące łzy tryskały mi z oczu, ilekroć wszystkie dawno zasklepione rany otwierały się na nowo.

Wiem dobrze, że i w chwili skonu wolno jest szatanowi dręczyć grzesznego mnicha, ale wytrwale i z żarliwą tęsknotą czekam tej chwili, co mnie stąd zabierze, bo ona spełni wszystko, co mi przy śmierci przyrzekła Aurelia, ach, sama święta Rozalia. Gdy już wybije ta ciemna godzina, proś wtedy za mną, dziewico święta, by przemoc piekła, której nieraz uległem, nie przemogła mnie, nie porwała w odmęty wieczystej zatraty!

***

Dodatek ojca Spirydiona, bibliotekarza klasztoru kapucynów w B.

W nocy, z trzeciego na czwarty września 17... roku zaszły w naszym klasztorze różne cudowne zdarzenia. Mogła być już północ, gdy z przyległej celi ojca Medarda doszły mnie nagle jakieś dziwne chichoty a śmiechy i głuche, żałosne wzdychania. Usłyszałem wyraźnie jakiś głos ohydny, krzyczący zawistnie:

- Chodź, chodź - po oblubienicę - chodź ze mną, braciszku Medardzie!

Zerwałem się z łoża, by pobiec do Medarda lecz opadła mnie niezwykła trwoga.

Zacząłem się trząść ze strachu jak w febrze. Więc udałem się do przeora Leonarda, zbudziłem go z trudem i opowiedziałem, com słyszał. Leonard przestraszył się i kazał mi iść po święcone gromnice. Zrobiłem, jak kazał, zapaliłem świece od lampki przed obrazem Matki Boskiej i wstąpiliśmy na schody. Zaczęliśmy nasłuchiwać, lecz obrzydliwy ów głos już się nie powtórzył, natomiast dały się słyszeć łagodne, serdeczne głosy dzwonów i czarowny zapach róż rozchodził się w powietrzu.

Podeszliśmy bliżej. Wtem otworzyły się drzwi celi i wyszedł dziwny, wysoki mężczyzna z białą brodą, w fioletowym płaszczu. Pobladłem z przerażenia, bo juścić wiedziałem, że człowiek ten musi być okropnym upiorem, brama bowiem klasztorna była dobrze zamknięta i nikt obcy nie mógł dostać się do środka. Natomiast Leonard spojrzał nań odważnie, lecz o nic nie spytał.

- Godzina spełnienia już bliska... - rzekła postać głucho i uroczyście i znikła w ciemnym przejściu. A mnie zdjęła jeszcze większa trwoga. O mało z drżącej ręki nie puściłem świecy.

Przeor, który dla swej pobożności i silnej wiary niewiele troszczy się o upiory, ujął mnie za ramię i rzekł:

- Wejdźmy do celi brata Medarda.

I weszliśmy. Brat Medard, który chorował od dłuższego czasu, leżał w agonii. Śmierć zawiązała mu mowę, lekkie tylko rzężenie dobywało się z piersi. Leonard pozostał przy

konającym, ja zaś pobiegłem pobudzić braci. Pociągałem silnie za dzwonek i wołałem:

- Wstawajcie, wstawajcie, brat Medard umiera.

Powstali wszyscy co do jednego, i z płonącymi świecami poszliśmy wszyscy do celi konającego brata. Byliśmy bardzo przygnębieni. Przenieśliśmy brata Medarda w lektyce do kościoła i złożyliśmy go przed głównym ołtarzem. Wówczas przyszedł do siebie i ku wielkiemu naszemu zdumieniu, wróciła mu mowa, tak że Leonard zdołał go wyspowiadać, rozgrzeszyć i :zaopatrzyć ostatnim pomazaniem. Następnie udaliśmy się na chór i poczęliśmy śpiewać zwyczajne modlitwy za konających. Tymczasem na dole Leonard rozmawiał z umierającym. Właśnie gdy nazajutrz, piątego września 17... roku, wybiło południe, wyzionął brat Medard ducha w objęciach Leonarda.

Zauważyliśmy, że był to właśnie dzień i godzina, o której zeszłego roku padła pod okrutnym ciosem zakonnica Rozalia. Przy "Requiem" i eksportacji zaszła jeszcze rzecz następująca. Podczas "Requiem" zapachniały róże wonią silną - i wtedy spostrzegliśmy bukiet wspaniałych, w tej porze rzadko widzianych róż; zwisały one z obrazu świętej Rozalii, który był dziełem starego i nieznanego mistrza z Włoch, a został nabyty za ogromną cenę od kapucynów z okolicy Rzymu, którzy sobie tylko kopię zostawili. Brat odźwierny oznajmił, że wczesnym rankiem wemknął się niepostrzeżenie do kościoła jakiś nędzarz w łachmanach i wspiąwszy się na ołtarz przymocował kwiaty do obrazu. Tenże żebrak zjawił się też podczas eksportacji i wcisnął się pomiędzy braci. Chciano go usunąć, lecz przeor Leonard, przypatrzywszy mu się uważnie, kazał go zostawić w spokoju. Przyjął go nawet na laika i nazywaliśmy go braciszkiem Piotrem, bo zwał się Piotr Schönfeld. Pozwoliliśmy mu nosić to dumę wzbudzające imię, bo był nadzwyczaj cichy i dobroduszny; niewiele mówił,

tylko czasem śmiał się krotochwilnie, co bardzo nas bawiło, gdyż nie miał w sobie nic grzesznego.

Przeor Leonard rzekł raz:

- Rozum Piotra utonął w głupocie, w którą się w nim przekształciła ironia życia.

Nikt z nas nie rozumiał, co przez to chciał powiedzieć uczony Leonard, było nam tylko jasnym, że musiał się już od dawna znać z laikiem Piotrem.

Tak więc do kart żywota brata Medarda, których jednak nie czytałem, dodaję, ad maiorem Dei gloriam, dokładnie i nie bez trudu, okoliczności jego śmierci. Pokój z nim.

Niech spoczywa w ciszy. Oby Bóg pozwolił mu zmartwychwstać w weselu i raczył przyjąć go między wybrańce. Bardzo bowiem pobożnie umarł był brat Medard.

Spis treści

Przedmowa wydawcy
Część I
Rozdział I
Rozdział II
Rozdział III
Rozdział IV
Część II
Rozdział I
Rozdział II
Pergamin starego malarza
Rozdział III